Joanna RACEWICZ

POCZEKALNIA

13 ROZMÓW O PANDEMII

Ewa BŁASZCZYK
s. Małgorzata CHMIELEWSKA
Małgorzata DOMAGALIK
Dorota GAWRYLUK
Paweł GRZESIOWSKI
Anita LIPNICKA
Rafał OLBIŃSKI
Robert RUTKOWSKI
Jacek SANTORSKI
Andrzej SEWERYN
Tomasz SOBIERAJSKI
Adam SZTABA
Dorota ZAWADZKA

RM

Joanna RACEWICZ

POCZEKALNIA

13 ROZMÓW O PANDEMII

Dla Igora i Pawła:
dziękuję, że jesteście

SPIS TREŚCI

EWA BŁASZCZYK

SIOSTRA MAŁGORZATA CHMIELEWSKA

MAŁGORZATA DOMAGALIK

DOROTA GAWRYLUK

PAWEŁ GRZESIOWSKI

ANITA LIPNICKA

RAFAŁ OLBIŃSKI

ROBERT RUTKOWSKI

JACEK SANTORSKI

ANDRZEJ SEWERYN

TOMASZ SOBIERAJSKI

ADAM SZTABA

DOROTA ZAWADZKA

WSTĘP

„Coś jest ze światem nie tak. To poczucie, zarezerwowane kiedyś tylko dla neurotycznych poetów, dziś staje się epidemią nieokreśloności, sączącym się zewsząd niepokojem”.

Kiedy na początku grudnia 2019 roku Olga Tokarczuk wygłaszała te słowa w siedzibie Akademii Szwedzkiej – świat nie miał jeszcze pojęcia o koronawirusie. Nie miał, choć od miesięcy, a może nawet lat, jego mieszkańcy nie nauczyli się dostrzegać, że – znów cytując Noblistkę – *świat umiera*. Krok po kroku. Na nasze życzenie. Płonęły lasy Amazonii, z dymem poszły setki tysięcy hektarów buszu w Australii, ginie życie w Morzu Karaibskim i w weneckich kanałach. Wszystko wydawało się nam jednak niegroźnie, bo jakoś tak daleko od chaty, która – jak wiadomo – z kraja. Nawet, kiedy wieczorne serwisy zaczęły pokazywać zdjęcia zdjętego strachem Wuhanu – oddychaliśmy po staremu. Miarowo. Bez zadyszki. Obrazy zamkniętej, jedenastomilionowej chińskiej metropolii i udręczonych twarzy medyków szybko spowszedniały. Przywykliśmy do nich tak, jak przyzwyczajamy się do reporterskich zdjęć z wojen, katastrof i klęsk żywiołowych. Nikt nie ogląda ich z namaszczeniem. Nikt nie pada na kolana ugięty współodczuwaniem dla tragedii, która dzieje się na drugim krańcu rzeczywistości. Można zupełnie spokojnie umościć się w fotelu, wypić herbatę i zjeść kolację. No, w ostateczności pozostaje jeszcze przerzucić się na serial albo kabarety. To nawet nie jest zgryźliwość. Raczej gorzka prawda. Sama „obrywam” tu rykoszetem. Jako dziennikarka biorę czynny udział w oswajaniu Publiczności ze zgrozą, która dzieje się jednak bliżej, niż można przypuszczać.

„Mamy coraz więcej dowodów na istnienie spektakularnych i czasem bardzo zaskakujących zależności w skali całego globu. Jesteśmy wszyscy – my, rośliny, zwierzęta, przedmioty – zanurzeni w jednej przestrzeni, którą rządzą prawa fizyczne”.

To znów Noblistka z genialnego wykładu. Te zależności, niemal profetycznie opisane w „Czułym narratorze”, dały o sobie znać jeszcze przed początkiem nowego, przestępnego i – jak się okazało – pandemicznego 2020 roku. Zapisze się on w historii jako jeden z najgorszych, najbardziej niespokojnych i tragicznych w dziejach ludzkości. Jak wielkie, globalne „sprawdzam” z odpowiedzialności, postępu medycyny, z uczciwości, człowieczeństwa.

Duże słowa? Być może. Ale i czasy mamy nietuzinkowe. Nasze dzieci będą się o nich uczyć w podręcznikach do historii. Będą, choć same są teraz przedmiotem i podmiotem gigantycznego eksperymentu – z oswajania samotności, izolacji i nieszczęsnej edukacji domowej. Można chylić czoła przed wysiłkiem obu stron zdalnego nauczania – nauczycieli i uczniów – ale nie sposób ryzykować twierdzenie, że jego efekty będą porównywalne z tym, co niosła ze sobą tradycyjna szkoła. „Zostanie nam po covidzie pokolenie głęboko poranionych młodych ludzi” – to zdanie Doroty Zawadzkiej brzmi mi w uszach ilekroć słyszę, jak mój – dziś niemal trzynastoletni – syn, zamknąwszy się w pokoju, „idzie” na lekcje i godzinami rozmawia z ekranem komputera. Odcięty od rówieśników, okradziony z poczucia wspólnoty, śmiechów na korytarzu i robienia psikusów najfajniejszej dziewczynie w klasie. „Wiesz, ja już nawet nie zauważam ludzi w maseczkach na ulicach – mówi pewnego razu podczas spaceru Nowym Światem – już się niczemu nie dziwię”. Czy to dlatego, że dzieci przywykają szybciej? Że mają większą niż my zdolność adaptacji? A może – wybierają w tym przypadku strategię mijania się z praw-

dą, żeby chronić nas, dorosłych, przed nadmiernym lękiem o byt latorośli w tych arcychorych czasach?

Wiele pytań miałam do moich Rozmówców. Każdemu dziękuję za poświęcony czas, świętą cierpliwość, szczególne obserwacje i gotowość do znoszenia wszelkich technicznych niedogodności. A to chrypiało na łączach, a to sieć nie rejestrowała rozmowy, albo trzeba było zaczynać nagranie po kilka razy. Dziękuję za wszystko, bo wszystko jest pamiątką roku, który nie ma sobie podobnych.

Ziemia okazała się wioską, w której trzepot skrzydeł motyla w jednym miejscu, potrafi się objawić tsunami na drugim jej końcu. Covidowy szkwał okazał się też wyjątkowo demokratyczny. Nie wybierał statusu ofiar ani miejsca, w które uderzy. Każdego dnia doświadczał i zabijał – z równą stanowczością – krezusów i żebraków. Od Pekinu po Nowy Jork.

Jakie blizny zostawi na żywej tkance świata cierpiącego od dawna na cud niepamięci zbiorowych doświadczeń? Jakie ślady narysuje w umysłach i sercach tych, którzy czekają pełni wiary, że za drzwiami poczekalni, w której znaleźliśmy się ponad rok temu, jest powrót do starego, dobrze znanego świata? „Niech to wszystko wreszcie minie” – brzmią zaklęcia powtarzane na wszystkich szerokościach geograficznych. Tylko czy na pewno chcemy nacisnąć klamkę?

Dziękuję wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tego pamiętnika z pandemii.

Raz jeszcze – Rozmówcom.

Dziękuję Wydawnictwu RM, a szczególnie Piotrowi Kieryłowi – za zaufanie, Oldze Łęckiej – za cierpliwość i Zespołowi redakcyjno-graficznemu – za troskliwą opiekę nad książką.

Dziękuję mojej książkowej agentce, Joli Zdrzałek – za poświęcony czas.

Dziękuję mojemu Igorowi za każdą wspierającą chwilę w każdej kolejnej izolacji. Synku, gdyby nie twoje poczucie humoru i dystans – lockdown byłby dla mnie nie do wytrzymania.

Dziękuję Patrycji Woy-Wojciechowskiej za wielkie, dobre serce, którym potrafi obdarowywać bez reszty.

Przytulam Isię Woy-Wojciechowską z wiarą, że niedługo popandemicznie znów się zobaczymy w kraju.

Dziękuję Donacie i Romanowi, Przyjaciołom bliskim jak rodzina, za każde niezwykłe święta.

Dziękuję Pawłowi, bez którego droga do celu byłaby znacznie bardziej kręta i długa.

Joanna Racewicz

EWA BŁASZCZYK

AKTORKA I PIEŚNIARKA, ZAŁOŻYCIELKA I PREZESKA FUNDACJI „AKOGO?”

JOANNA RACEWICZ: Pamiętasz kiedy pierwszy raz usłyszałaś o koronawirusie?

EWA BŁASZCZYK: Tak. Byłam taka wypodróżowana, wylatana samolotami, bo w lutym ubiegłego roku przemierzałam Indie od Waranasi po Goa, zwiedzałam Delhi, a wcześniej całą jesień spędziłam z teatrem w Los Angeles, gdzie grałam *Metafizykę dwugłowego cielęcia* w REDCAT w niezwykłym kompleksie Walt Disney Concert Hall. Słowem – miałam dosyć przemieszczania się. Przyjęłam więc ze spokojem, że nie można wyjść z domu. Natomiast doniesienia z Chin, potem z Włoch, pierwsze materiały prasowe stamtąd – były przerażające. Oglądając je, jednak nie dowierzałam, że ów wirus za moment będzie u nas, że będzie wszędzie. W tej chwili mam zupełnie inną świadomość. Myślę sobie, że jeśli nawet wymknął się z laboratorium i jest dziełem człowieka, to człowiek będzie też potrafił opracować jakieś antidotum. Teraz to takie czekanie na wygaśnięcie wirusa i na znalezienie skutecznego lekarstwa. Mam nadzieję, że szczepionka poradzi sobie z zarazą. A na początku pandemii panował taki reżim, że nikt nikogo nie wpuszczał do domu, wszyscy się pilnowali, stosowali do zaleceń. Wszystko odbywało się gdzieś za furtką, za drzwiami, z oddalenia. Wciąż dowiadujemy się czegoś o tym wirusie i o własnych organizmach, uczymy się, jak to przetrwać. Jeśli ktoś wychodzi jeszcze z domu do pracy, to zachowuje pewną równowagę. A ludzie zamknięci w mieszkaniach i w lęku – to jest naprawdę bardzo trudne. I myślę, że zostawi trwałe ślady w naszej psychice.

Byłaś jedną z tych osób, które kupowały tony jedzenia, na wypadek gdyby wydarzyło się coś kompletnie nieprzewidywalnego, gdyby nas zamknięto na nie wiadomo ile, przestałyby działać sklepy i trzeba było przetrwać długie miesiące?

Temu nie uległam, bo nie bardzo potrafiłam sobie jednak wyobrazić, że tak z dnia na dzień wszystko może się zmienić, nie wierzyłam, że nie będzie co i gdzie kupić, raczej myślałam o przetrwaniu psychicznym. Choć dobrze rozumiem pierwotny strach i potrzebę atawistycznego zapewnienia sobie przetrwania za sprawą pełnej lodówki i zabezpieczonych potrzeb sanitarnych. Współczuję wszystkim, którzy pierwszy straszny czas niepewności musieli spędzić w małych mieszkaniach, małych przestrzeniach, bez szans na wyjście choćby na krótki spacer.

Masz dom i ogród.

To mnie uratowało. Powiedzmy, że nie wychodzę, nie podróżuję, no ale mogę coś zdziałać tutaj na podwórku. Na szczęście mam podwórko, czyli wyobraziłam sobie więzienie ze spacerniakiem, to już nie był karcer, więc od razu zrobiło się jakoś tak optymistyczniej. Próbowałam w ten sposób. Ponieważ wcześniej dużo się działo, nagrałam się, zanim zamknęli teatry, to nie od razu odczuwałam tę sytuację jako kryzys, i pomyślałam, że to jest taki czas na inne rzeczy. Na przykład na zdanie sobie sprawy z tego, co w życiu najważniejsze. Ilu rzeczy można nie robić i jak niewiele potrzebujemy, żeby przetrwać. Oczywiście tęskni się do ludzi, do kontaktów indywidualnych, ale przychodzi refleksja, że właściwie jak ma się dłoń i pięć sprawnych paluszków i można coś nimi robić, to już jest nie najgorzej. Dobrze sobie uświadomić, co dla nas ma naprawdę znaczenie. Właśnie w takiej skrajnej sytuacji możemy dostrzec, że na co dzień mijamy się z bliskimi, każdy gdzieś

pędzi, jest jakiś galop, a potem się okazuje, że to przestaje być ważne.

A ty tuż przed pandemią zaczęłaś budowę kliniki Budzik dla dorosłych.

I to też mi – paradoksalnie – pomogło, bo zaprzątało głowę tam, gdzie jeszcze byłoby miejsce na strach. Trzeba było podjąć milion decyzji dotyczących i spraw budowlanych, i aspektów medycznych. Do tego na bieżąco pojawiały się problemy do rozwiązania w dziecięcym Budziku, więc miałam ręce pełne roboty. Było naprawdę bardzo dużo pracy i emocji z tym związanych, ale w tej chwili fundamenty już stoją, wszystko toczy się mimo wirusa.

Myślisz, że to podróżowanie i granie na scenie nasyciły cię na tyle, że byłaś spokojniejsza? Można się tym „nakarmić" na zapas?

Tak, miałam jakiś zapas. Zresztą, wiesz, jestem już na tyle dojrzała i w ogóle „wysycona" życiem, że nie przeżyłam tamtej wiosny specjalnej traumy. Może to kwestia dyscypliny? Kiedy słyszę, że dla dobra swojego i innych powinnam zamknąć się w domu i nie wychodzić bez potrzeby – robię to i tyle.

To nie był pierwszy raz, gdy twój świat nagle się zatrzymał… I śmiem twierdzić, że to hamowanie było najbardziej łagodne.

Wiesz, myślę sobie, że los czy Bóg sprowadza na nas tylko takie doświadczenia, jakie jesteśmy w stanie wytrzymać. Tym razem byłam w szczęśliwym położeniu, bo przed lockdownem żyłam bardzo aktywnie, dużo zrobiłam, zobaczyłam i doświadczyłam, a poza tym trwały prace architektoniczno-budowlane, trzeba było popychać rozmaite sprawy urzędowe, które oczywiście uległy spowolnieniu, więc niezbędne okazały się pokłady cierpliwości. Musiałam prze-

stawić się na inny tryb, żeby nie zwariować. A teraz, gdy pandemia trwa już tyle czasu i na dobre osadza się w naszej rzeczywistości, po prostu siedzę w domu, przeczytałam ponad dwadzieścia sztuk, które dostaję od tłumaczki z Londynu i z agencji literackiej. Dużo pracuję, zajmuję głowę i myśli szykowaniem się do tego, co potem. To sztuki jednoosobowe albo dwuosobowe, czyli takie, które ewentualnie można opracować w domu i być gotowym zagrać, gdy sytuacja się poprawi. Tego typu rzeczy sobie wyszukuję i nad nimi pracuję.

Wybrałaś już coś?

Wybrałam. Bardzo poważnie przymierzam się do monodramu młodego polskiego autora, staram się, żeby sztuka nie była zbyt mroczna, bo wydaje mi się, że mamy już dość przygnębienia, sama nie czułabym się na siłach, żeby pójść do teatru i oglądać sztukę o covidzie. Za dużo tego wszystkiego wokoło. Ta sztuka to powinno być takie światełko w ciemnościach, które pozwoli widzowi odreagować. Znalazłam monodram o kobiecie, która jest światowej sławy śpiewaczką operową, a urodziła się w getcie jako dziecko Żydówki i Niemca, który patrolował getto. Powoli poznajemy jej tajemnice. Sztuka ma różne odcienie, przyglądam się temu projektowi na serio.

Teatry – długo zamknięte – znów mogą pracować w reżimie sanitarnym. Niby wiosenna odwilż po roku koszmaru, a bardzo wielu aktorów nie widzi teraz szans dla siebie. Zatrzymują się na konstatacji, że jest źle, i w tym przeświadczeniu tężeją. Smutny, trudny czas, długotrwały stres i beznadzieja odbierają wolę życia.

Jak wiesz, Joasiu, w trudnych momentach życia i ty, i ja staramy się być po prostu aktywne. Staramy się zorganizować sobie jakąś rzeczywistość, która jest realna, i w niej

funkcjonować. Próbujemy zasiewać swoje poletka, podlewać, uprawiać i poszerzać przestrzeń niby-normalności. Bardzo współczuję osobom, które ubierają się w to „źle". Dlatego, że to czysta destrukcja. Nawet jeżeli z tego działania miałoby nic nie wyjść, to czas poświęcony czemuś konkretnemu z jakimś zainteresowaniem i pasją pozwala oswoić trudne chwile. To sposób na wejście w tryb przetrwania i przejście go w jak najlepszej formie fizycznej i psychicznej, która – jak wiadomo – łączy się ze wszystkim, jest najważniejsza. Dlatego szukam zajęcia. Ale jak pomyślę o osobach, które na przykład siedzą w maleńkim mieszkaniu w bloku z wielkiej płyty, gdzie nie ma możliwości wyjścia nawet na balkon, albo pracują tylko w teatrze, wynajmują mieszkanie i próbują przetrwać, to pod względem psychicznym, fizycznym i ekonomicznym jest to bardzo trudna sytuacja. Dramatycznie trudna.

Pieniądze z Ministerstwa Kultury mogą pomóc?

Myślę, że w takiej sytuacji liczą się każde pieniądze.

A ty starałaś się o dofinansowanie?

Moja firma jest jednoosobowa, malutka. Ale te wszystkie tarcze w jakimś stopniu pomagają. COVID-19 to surowy nauczyciel, ale bardzo skuteczny. Wdrożył na przykład mechanizm samoograniczenia. Niby banalne, ale przekonałam się, że można potrzebować mniej kosmetyków, ciuchów, dóbr i dobrze funkcjonować. Myślę, że to, co się generalnie teraz dzieje, to taki proces, dzięki któremu zdajemy sobie sprawę, że najważniejsze są relacje z najbliższymi, najważniejsza jest praca i wszystko jedno, czy do niej wychodzimy, czy ją przenosimy w to miejsce o powierzchni kilku metrów kwadratowych, w którym mieszkamy. Ta zmiana w myśleniu odbywa się w głowie. Trzeba być cierpliwym, przyjąć do wiadomości, że pandemia to zdecydo-

wanie maraton, a nie jak wcześniej myśleliśmy – sprint. Ta świadomość wprowadza pewną harmonię, jakiś rodzaj spokoju.

Inaczej rozkładasz siły, jeśli wiesz, że bieg będzie długi…

…i z przeszkodami. Tak. Oczywiście, że to całe unerwienie pod skórą zostało pobudzone, podrażnione, jesteśmy sfrustrowani, gotowi do wybuchu w każdym momencie i pojawia się niepokój wynikający z tej niewiadomej, co zdarzy się za chwilę. Ale wiadomo przynajmniej, że ani jutro, ani za miesiąc nic się nie zmieni.

Co sądzisz o dyskusji, która przetoczyła się przez media jak huragan, a która dotyczyła dofinansowania ludzi kultury – co komu z artystów się należy, a komu się nie należy. Czy powinno się wesprzeć sztukę wysoką, czy może jednak rozrywkę? Nie było w tej zawierusze słychać twojego głosu.

To się odbyło gdzieś obok mnie. Zdaję sobie sprawę, że pandemia jest wyjątkową sytuacją, działano szybko i nawet przy najlepszej woli niektóre decyzje były nieprzemyślane. To trochę tak jak gaszenie pożaru. Każdy chce go ugasić szybko i dobrze, ale nie zawsze wszystko się udaje. Staram się utrzymać w takiej dyscyplinie, żeby nie wystawiać stopni, nie oceniać, nie podejrzewać ludzi o to, że w trudnej sytuacji działali tak, żeby było źle. Bo od tego prosta droga do skakania sobie do gardeł. To nie moja bajka. Tak, jestem daleko od zgiełku i dobrze mi z tym.

Chciałabym wrócić do tego, co powiedziałaś przed chwilą – że to jest taki czas, który nas uczy, że możemy żyć bez bardzo wielu rzeczy. Bez czego ty możesz się obejść, a co jeszcze niedawno wydawało ci się nie do zredukowania?

Odkryłam, że mam tylko parę bliskich osób, a reszta to jakieś życie towarzyskie ze znajomymi, z którego czasem

wynikają fajne rzeczy, ale to nie jest konieczne do egzystencji. Przychodziły mi też do głowy refleksje, że nie jest tak źle, bo nikt nie strzela do nas na ulicy. I że wiele osób przeżyło obozy koncentracyjne i potem wiodło szczęśliwe życie, choć z ogromną traumą w tle, pozakładało rodziny, śmiało się i radowało. Przywołałam również stan, kiedy w moim rozpędzonym życiu wszystko szło świetnie i nagle zostałam wyjęta z tego pędu, bo strasznie połamałam nogę. A potem zdarzyły się inne okropne rzeczy. Wierzę jednak w sens zdarzeń, które są lekcją. Widocznie musiałam ją odrobić, dostałam bardzo czytelny sygnał, że to konieczne.

Zwolniłaś tempo i przyszła myśl, że gwar, ruch i pogoń za codziennością wcale nie są do niczego potrzebne? A co z ludźmi?

Ludzie… Miałam na myśli bardziej znajomych, bo przyjaciół nie mam tak wielu – to maksimum cztery osoby. Zostało mi to najbliższe grono plus świadomość, że już wiele razy przeszłam przez jakiś trudny czas i jak pomyślałam o tym rozpędzonym życiu i roku wyjętym nagle przez złamaną nogę, to właściwie ten rok zabrany przez pandemię niczego nie zniszczył w moim życiu. Może nawet zrobił coś dobrego. Więc pomyślałam o aktualnej sytuacji bardziej optymistycznie. Przywołuję takie rzeczy i wtedy mam większy luz w głowie i większą cierpliwość. Czekanie jest trudne, ale myślę, że z tego wyjdziemy. Że jakoś wrócimy do życia. Oczywiście pojawia się pytanie, do jakiego świata wrócimy. Martwi mnie, co się teraz dzieje ze zniszczoną gospodarką, jak sobie z tym poradzimy i jaki ten świat będzie później. To budzi niepokój, ponieważ nie ma żadnej poważnej rozmowy na ten temat.

To prawda. Za mało jest refleksji, jak świat się zmienił, co nas czeka i do czego wrócimy. Przypomniał mi się przypadek czło-

wieka, który zapadł w śpiączkę w marcu ubiegłego roku.

Słyszałam o nim.

Zasnął jeszcze w „starym” świecie. Koma zabrała mu najtrudniejszy czas i jednocześnie oszczędziła najgorszego. Teraz go wybudzono. Jego doświadczenie jest w zasadzie doświadczeniem nas wszystkich w pandemii, tylko zaaplikowanym nagle i raczej bez znieczulenia – że świat, w którym się budzisz, jest zupełnie inny niż ten, który pamiętasz.

Wyobraźmy sobie, że na Ziemię przybywa ktoś spoza naszej cywilizacji i raportuje na swoją planetę: „Jestem w centrum miasta, nikogo nie ma, a jak się pojawia, to ma na twarzy jakiś aparat z filtrami, wszystko pozamykane. Co tu się dzieje?”.

No właśnie. Jak teraz wygląda świat, który zbudowałaś za względu na Olę? Jest w nim strach? Dla niej koronawirus byłby szczególnie groźny.

Ma odporność osoby z wirusem HIV, czyli żadną. W domu panuje reżim absolutnie OIOM-owy, tak jak i w naszym Budziku, tak jak i w naszej przychodni konsultacyjno-medycznej „Akogo med” o profilu neurologiczno-neurochirurgicznym, którą otworzyliśmy w lutym 2020 roku, a w marcu zamknęliśmy. Mimo wszystko organizujemy tam indywidualne spotkania z lekarzami, ponieważ do przychodni trafiają pacjenci z bardzo poważnymi schorzeniami, na przykład z guzami mózgu, i trzeba szybko podejmować decyzje, czy natychmiast operować, czy można poczekać. To są przypadki na granicy życia i śmierci. Ludzie są bardzo spragnieni tego, żeby w trudnej, poważnej sprawie mieć bezpośredni kontakt z lekarzem, bo teleporady to nie to samo, wszyscy to wiemy. Specjalne lampy, ozonowania, naświetlania, wszystkie te procedury, tony fartuchów jednorazowych, które kupujemy – wszędzie tutaj jest jak na

OIOM-ie. Podobnie jest w moim domu, a drugi taki szpital mam na Mokotowie, gdzie mieszka moja dziewięćdziesięcioletnia mama, która potrzebuje pomocy lekarskiej i pielęgniarskiej. Żeby mamy nie odesłać do szpitala, to szpital trzeba było zorganizować u niej w domu. Na razie nic tu się nie stało, ale w tym teamie, który przychodzi ze szpitala, już trzy osoby przechorowały covid. Jesteśmy stale na łączach i korygujemy plan dyżurów.

Kiedy podchodzisz do Oli albo robi to ktoś z rehabilitantów, to musicie być w tym kosmicznym rynsztunku?

Tak, tak to wygląda.

To zupełnie inne doświadczenie niż to, które towarzyszy ludziom wychodzącym do pracy, nawet w szpitalu, i potem wracającym do domu. Ty wychodzisz i wracasz do szpitala. Czy strach, który ci towarzyszy, można jakoś opanować?

Unikam wszystkich zdarzeń, które nie są konieczne. Które nie są potrzebne. Nie idę, nie robię, nie pokazuję się. Bo wiem, co jest tutaj, więc rezygnuję z pewnych rzeczy, które może byłyby dopuszczalne, gdyby tu panowała inna sytuacja. Ale Ola jest ważniejsza, więc tamto musi odpaść. I żeby bez przerwy nie przebywać w strefie strachu, zbudowałam sobie taką konstrukcję „mądrym w życiu trzeba być, szczęście w życiu trzeba mieć”. Robię tyle, ile mogę. Dbam o to, chronię siebie i najbliższych mi ludzi, oni też dbają o siebie, bo wiedzą, jakie mogą być konsekwencje, natomiast żeby tak coś planować na zapas? Nie, tego w ogóle nie podejmuję, bo nie mam na to najmniejszego wpływu. Tak jak lekarz, który idzie do chorego – jest zagrożenie, ale niewiele od niego zależy. Tutaj działa stały zespół zmieniany tylko wtedy, kiedy coś się dzieje. I tyle.

Za każdym razem, gdy z tobą rozmawiam, zastanawiam się, jak zbudować w sobie odporność na trudne sytuacje – czy to jest racjonalizacja, czy takie podejście do wyzwania, żeby stało się najważniejsze?

Już dawno temu, z racji zdarzeń, jakie nastąpiły w moim życiu, zdałam sobie sprawę z tego, że z faktami dokonanymi się nie dyskutuje. Wydarzyły się i już zawsze będą miały wpływ na moją świadomość i moje życie. Jak poukładać te klocki, żeby funkcjonować? No to już zależy od nas. Kieruję na to cały strumień energii, pomysłów, bo tamto zostanie. Staram się do tego nie wracać, nie rozdrapywać ran, nie przywoływać nieustannie trudnych emocji z przeszłości. Po prostu istnieje tylko czas teraźniejszy i przyszły. A może nawet bardziej teraźniejszy.

A jak patrzysz na ludzi, ich reakcje i zachowania, wszystko to, co się dzieje w konfrontacji z koronawirusem, myślisz sobie, że to sprawdzian, z którego wyjdziemy wygrani z oceną „zdał do następnej klasy", czy z jaskiń wyjdą szuje i szubrawcy?

To i to. Nie ma złotego środka. Wychodzą rzeczy albo piękne, albo paskudne. Myślę, że właśnie ten brak równowagi powoduje, że kształtują się zdecydowanie dwie postawy. Obca mi jest i zawsze była postawa agresywna, w której istnieje potrzeba rozładowania napięcia kosztem innych, więc na to się nie łapię, natomiast staram się ogarnąć tę rzeczywistość, która jest, i znaleźć parę osób, które podobnie czują i kombinują. Wśród takich ludzi po prostu łatwiej żyć. Szczególnie właśnie w trudnym momencie.

Często słyszę o empatii, o poczuciu wspólnotowości, które kiełkowało w trudnych czasach, ale też o wrogości, niechęci, nienawiści, hejcie – tym ostatnim szczególnie w sieci. Wylewa się na wszystkich, a na lekarzy w szczególności. Pamiętasz głośną

sprawę starosty pilskiego, który nazwał ich – cytuję – „bucami, nieukami, warchołami, olewaczami i gwiazdorami”?

To bardzo smutne, że atakuje się lekarzy, że ktoś potrafi sobie wyobrazić, że stanowią dla niego zagrożenie. To taki łatwy, egoistyczny schemat. Niemniej, jak sobie przypominam, po moich ciężkich życiowych ciosach też niektórzy mnie unikali, jakby „nieszczęście” mogło być zaraźliwe, przejść na nich. Poza tym wiele osób z mojego otoczenia mogło czuć się niepewnie w moim towarzystwie – no bo „jak i o czym z nią rozmawiać”.

Ktoś oblał czerwoną farbą drzwi znajomej lekarki. Profesor Krzysztof Simon i doktor Paweł Grzesiowski notorycznie słyszą, że zostali kupieni przez zachodnie koncerny, dlatego wiecznie „straszą zarazą”. Skąd idzie przyzwolenie?

To bardzo przykre, że ci z pierwszej linii frontu, zamiast szacunku i podziwu, dostają baty. Myślę, że to brak wyobraźni, empatii, myślenia i woli, żeby postawić się w sytuacji konkretnego lekarza. Ja osobiście staram się wszystko ważyć i zachować zdrowy rozsądek.

Czy w konfrontacji z koronawirusem postawa którejś ze znanych ci osób cię zaskoczyła?

Chyba na razie nie. Już dawno postarałam się o to, żeby otaczali mnie ludzie, do których mam zaufanie, o których wiem, że mnie nie zostawią, choćby nie wiem co. Dzięki temu nie ma niepotrzebnych spięć, niepotrzebnej utraty energii, a tak się dzieje, gdy robi się piekło z niczego tylko dlatego, że ktoś jest rozchwiany. Ludzie w tym moim ciasnym gronie więcej od siebie wymagają, żeby nie przenosić jakichś niepotrzebnych brudów emocjonalnych na kogoś innego. Wtedy jest po prostu łatwiej i nie trzeba o tym rozmawiać, bo to się wie i to się rozumie.

Co zostanie w nas po covidzie? Jakie szramy, blizny na skórze, w duszy i w sercu?

Nie wiem, co się jeszcze okaże, ale głęboko mnie niepokoi to, że nie rozmawiamy poważnie o możliwych scenariuszach i obawach ludzi dotyczących tego, co znajduje się w szczepionce i czy ona jest bezpieczna. Nie ma takich rozmów. Były na początku, a potem ucichły. Co to za wirus, skąd się wziął? Nie ma żadnego śledztwa w tej sprawie. Oficjalnego, mówię o tym, co jest dostępne dla zwykłych ludzi, bo może gdzieś tam ktoś czegoś docieka, a my o tym nie wiemy. Bardzo mi brakuje wiedzy, jak to wszystko działa, a to niestety wiąże się z zaufaniem na przykład do medycyny, do rządów poszczególnych państw, do Światowej Organizacji Zdrowia. Bronię się przed różnymi teoriami spiskowymi, ale też trudno nie zauważyć, że w Internecie czy na Facebooku panuje cenzura, są rzeczy, które potem znikają. Po prostu jak się coś zadzieje na twoim podwórku, to będziesz chciała się dowiedzieć, o co chodzi, a ja nie widzę u innych takiej potrzeby.

Jak ci ktoś wrzuci za płot płonącą żagiew, to najpierw ugasisz, a potem chciałabyś wiedzieć, kto to zrobił.

Tak, dokładnie. Chciałabym wiedzieć więcej na temat koronawirusa, bo to buduje poczucie bezpieczeństwa. I dotyczy przyszłości, czyli tego, z czym zostaniemy.

Na razie to sfera bardziej fake newsów, ale – na chwilę postawmy hipotezę roboczą – jeśli się okaże, że SARS-CoV-2 został stworzony w jakimś laboratorium i przypadkiem albo specjalnie wypuszczono go z niego, to jak to zmieni twoje poczucie bezpieczeństwa i twoje postrzeganie tego, w czym bierzemy udział?

Zmieni w bardzo istotny sposób. Będę wiedziała, że wszystko jest możliwe, każda podłość, i będę kroczyła

przez świat, jakbym stąpała po kruchym lodzie. Z taką świadomością trudno w ogóle myśleć o jakimkolwiek poczuciu bezpieczeństwa.

Może po to właśnie to się stało, żebyśmy sobie uświadomili, że kierunek, w którym zmierzał świat, był drogą w stronę przepaści i trzeba było ten szalony pochód zatrzymać. I jeśli przyjmiemy taką tezę, że wszystko dzieje się po coś – jak sama mówisz – abstrahując już od wszelkich teorii spiskowych – to pytanie brzmi – czy szaleńczy pęd ku przepaści udało się wyhamować?

Na pewno pojawiły się myśli, które wiążą się z tą stopklatką. Bez wątpienia. Natomiast nie wydaje mi się, żebyśmy czegokolwiek już się nauczyli. Myślę, że ten proces nadal trwa. I pytania, jakie zadamy sobie w tej sytuacji, to sprawa bardzo indywidualna, wynikająca z jednostkowych przemyśleń, choć pewne spostrzeżenia będą zbieżne, bo mamy do czynienia z globalnym kryzysem. Na bardzo wiele pytań nie potrafię odpowiedzieć i żałuję, że tak mało poważnych rozmów toczy się na ten temat. Gdzie są na przykład naukowcy z Wuhanu? Przecież oni wiedzą najwięcej, bo byli na miejscu.

Wuhan jest już normalnie funkcjonującym miastem. To, co oglądaliśmy rok temu, te wyludnione ulice jedenastomilionowej metropolii, to przeszłość. Wuhan znów tętni życiem, jest pełen turystów. Tak jakby nic tam się nie wydarzyło.

Nic nie wiemy o tym wirusie. Ile razy będzie wracać, ile razy ta sama osoba może zachorować? Niby są przeciwciała, a jest coraz więcej przypadków ponownych zakażeń. Pojawił się szczep brytyjski, południowoafrykański. Jedna z naszych pielęgniarek miała wiosną lekki przebieg choroby, a teraz prawie przeniosła się na tamten świat.

Koronawirus mutuje jak każdy wirus. Zmienia się i pewnie dlatego tak trudno nad nim zapanować. Mamy do czynienia z niewidzialnym wrogiem, niezwykle przebiegłym.

No tak, ale grypa też ucieka. Jak to wirus. Chciałabym wiedzieć więcej o białku spike i o szczepionkach – jaka jest różnica między tymi przygotowanymi w technologii genetycznej mRNA, a tymi wykorzystującymi technologię wektorową. Ale trudno o rzetelną informację.

W mediach wiele jest materiałów, rozmawiamy z ekspertami wirusologami. Może rzeczywiście nie dość często, nie dość długo. Zaszczepisz się?

Nie wiem. Poczekam na kolejne dane, na pewno w miarę upływu czasu pojawi się ich więcej. Zależy, jaki będzie poziom histerii, lęku w społeczeństwie, na razie nie mam zaufania do tych szczepionek. Ale być może nie będę miała wyjścia, bo zostanie wydana jakaś specjalna dyrektywa, że ten, kto się nie zaszczepił, nie poleci samolotem, nie wjedzie do jakiegoś kraju. To by było bardzo ograniczające. Nie ma jeszcze wyraźnej informacji o „paszporcie szczepionkowym”, ale coraz więcej państw coraz głośniej o tym przebąkuje.

Czy covid wpłynął na twoje plany związane z budową kliniki Budzik dla dorosłych?

Nie, nie wpłynął na budowę, klinika ma się świetnie. Prace idą do przodu, postępują w bardzo fajnym tempie. Na pewno, gdyby pojawiły się zachorowania na placu budowy, to wszystko by się skomplikowało, zahamowało, ale – odpukać – na razie zmierzamy prosto do celu.

Kiedy Budzik dla dorosłych będzie gotowy?

Teraz jesteśmy na etapie kończenia stanu surowego zamkniętego zabezpieczonego przed wpływem warunków at-

mosferycznych – z zamontowanymi balkonami, wstawionymi szybami itd. I na to mamy pieniądze. Ale ponieważ ceny tak się ostatnio zmieniły, zmieniają się dalej i pewnie jeszcze będą się zmieniać, to właściwie nie wiem, co będzie na przykład z łańcuchami dostaw, dlatego że już wszystko trwa dłużej i trzeba to dużo wcześniej zamawiać itd. Natomiast na dalsze etapy budowy zabraknie nam pieniędzy i będziemy musieli zrobić jakąś akcję, szukać tych pieniędzy. Byłoby świetnie, gdyby nie było przestoju, wtedy w roku 2022 moglibyśmy zacząć przyjmować pacjentów. Mocno wierzę, że to się uda.

Ile dzieci wróciło z tamtej strony dzięki Budzikowi działającemu przy Centrum Zdrowia Dziecka?

Dziewiętnastego lutego Budzik opuściło osiemdziesiąte wybudzone dziecko. Wspomnę też o Budziku dla dorosłych w Olsztynie – tam mamy dwadzieścia siedem wybudzeń.

To niebywałe, ile dobra pączkuje z ciebie na świat i ludzi. Każdego dnia powinny płynąć do ciebie ogromne podziękowania od bardzo wielu osób, którym wracasz nadzieję.

To jest taka wymiana energetyczna, bo ja też dostaję od ludzi bardzo dużo dobrego. Właśnie w ten sposób chronię siebie przed szaleństwem otaczającego świata – ta budowa i szukanie dla siebie sztuki, którą mogłabym zagrać, to takie pozytywne aspekty w tej niewesołej sytuacji. Taki wentyl, dzięki któremu mam siłę, żeby skupić się na Oli i pracach działu naukowo-badawczego, w którym pojawiają się bardzo obiecujące informacje o zastosowaniu komórek macierzystych w terapii osób przebywających w śpiączce. To światełko w tunelu dla wszystkich chorych i ich bliskich – gdyby te prowadzone na świecie badania się potwierdziły, a w tej chwili w nauce na świecie dzieje się naprawdę bardzo dużo w tej kwestii, mielibyśmy szan-

się na przełom w leczeniu wszystkich chorób neurodegeneracyjnych mózgu. Nie chcę zapeszyć i mówić o tym więcej, ale z Polską Akademią Nauk i profesorem Wojciechem Maksymowiczem z zespołem będziemy nad tym dalej pracować.

Już od jakiegoś czasu mówisz o tych komórkach macierzystych.

Tak, tylko po drodze przybyło badań na ten temat.

Czy nie jesteś wkurzona na covid, który tak bardzo zawłaszczył medycynę dla siebie – właściwie od miesięcy nie mówimy o niczym innym, jakby ludzie nagle przestali zapadać w śpiączkę, chorować na nowotwory, mieć problemy powypadkowe albo skarżyć się na sto jeszcze innych dolegliwości.

Oczywiście spowodował, że wielu badaczy zaczęło poszukiwać rozwiązań związanych z wirusem, niektóre osoby skoncentrowały się na tym temacie, ale my nie porzuciliśmy naszych badań. Koronawirus sprawił, że naukowcy z całego świata nie mogli przylecieć w październiku do Warszawy na wielką, międzynarodową konferencję zorganizowaną przez Fundację „Akogo”. Budzik ma swoją radę naukową, która składa się z Polaków, i fundacja ma swoją radę naukową, która składa się z lekarzy i badaczy z wielu ośrodków na świecie. Na szczęście są technologie, dzięki którym wszyscy spotkaliśmy się na Zoomie. Wynajęliśmy profesjonalną firmę, która zadbała o jakość połączenia. To była bardzo długa i wnikliwa konferencja, podczas której wypowiadali się guru z różnych dziedzin zajmujących się aktywnością neuromózgową i centralnym systemem nerwowym. W wyniku omówionych podczas konferencji badań opracowaliśmy plan działania, w którym najbliższy etap potrwa dwa, trzy lata. W laboratorium Polskiej Akademii Nauk będziemy prowadzić doświadczenia na zwie-

rzętach i posługiwać się metodą, za którą Shinya Yamanaka z Japonii dostał Nagrodę Nobla w 2012 roku. Ponieważ w Japonii nie wykonuje się przeszczepów organów pochodzących od innych organizmów, to tamtejsi naukowcy wymyślili sposób, jak z dowolnej dojrzałej komórki, pobranej na przykład ze skóry, otrzymać pluripotentną komórkę macierzystą – w tym celu należy dojrzałą komórkę cofnąć w rozwoju do poziomu zero i ponownie przekształcić w dowolną komórkę organizmu, którą następnie można wykorzystać do leczenia wielu schorzeń o podłożu neurologicznym. Tutaj nie ma płodów, nie ma żadnej bariery etycznej, komórka jest autologiczna – z własnego organizmu. I potem, jeśli eksperymenty na zwierzętach powiodą się w stu procentach i udowodnimy, że ta metoda jest bezpieczna, to będziemy mogli zacząć myśleć o przeniesieniu terapii na człowieka.

Takie badania były już prowadzone i w zasadzie wiemy, czego się spodziewać, ale trzeba jeszcze potwierdzić, że w terapii nie dochodzi do rozwoju na przykład nowotworów, nie powstaną jakieś groźne mutacje. Krótko mówiąc – że jest ona bezpieczna. To nie są pierwsze badania tego typu, to już jest bardzo zaawansowana wiedza i trzeba teraz na przykład zdecydować, w którym miejscu w mózgu te komórki implementować. I w jakiej ilości. I czy raz, czy kilkanaście razy, czy jeszcze jakoś inaczej.

Czy to znaczy, że taka wszczepiona do mózgu komórka macierzysta może przejąć funkcję każdego obszaru, który jest w nim wyłączony z działania?

Neuralna komórka macierzysta, bo o tym rozmawiamy, pełni w medycynie regeneracyjnej niepowtarzalną funkcję, ponieważ ma zdolność do różnicowania się w różne komórki układu nerwowego i naprawiania komórek cen-

tralnego układu nerwowego. To wiemy. Pozostaje kwestia, czy podawać ją dokomorowo, czy do płynu mózgowo-rdzeniowego, czy do hipokampu – tu muszą się wypowiedzieć osoby mające największą wiedzę na ten temat. Bo w Szwecji na przykład też jest taki program, tam ludzie po udarach dostają już taką terapię i to bardzo dobrze rokuje, dlatego staramy się zapraszać osoby, które zajmują się tą dziedziną w innych krajach. Tylko w tej chwili trudno się spotkać, a z takiego spotkania bezpośredniego wynika więcej. Bo potem jeszcze gdzieś razem idziemy, jeszcze ze sobą rozmawiamy, jeszcze ktoś ma refleksję, coś mu się przypomniało. Rozkręca się dyskusja. Więcej wynika z kontaktów osobistych.

Wyobrażasz sobie świat już bez koronawirusa? Myślisz, że znowu będzie jak dawniej?

Myślę, że żyjemy wśród bardzo wielu wirusów i jakoś dajemy radę. Czasami kogoś to dogania, czasami w jakimś odległym kraju o innym klimacie, i wtedy lekarze w Europie też nie wiedzą, co to jest, a to coś kogoś zjada. Mówię o różnych tropikalnych choróbskach. I potem sobie z tym nie dajemy rady. Ale myślę, że jest możliwy ten powrót, tylko trzeba mieć świadomość, że zagrożenie pewno nie zniknie. Grypa też mutuje. Sama kiedyś bardzo ciężko przeszłam grypę i właściwie wydaje mi się, że Jacek odszedł z tego świata w wyniku powikłań pogrypowych, bo wtedy to był rok dwutysięczny i panowała ta czeska grypa. Myśmy byli w Zakopanem i oboje bardzo się pochorowaliśmy. Ja dużo ciężej, może dlatego miałam więcej szczęścia, bo dostałam osłonowo potężne antybiotyki. To są wirusy, które mutują, musimy za nimi nadążać, a nawet je wyprzedzać, żeby kontrolować sytuację. Jak mamy większą wiedzę na temat tego wirusa, jak on mutuje, to też jesteśmy

w stanie jakoś do tego się ustosunkować, odnieść, mieć siłę do walki. Żyjemy wśród wirusów i bakterii.

To prawda. Tęsknisz za światem sprzed pandemii?

Tak, tęsknię za ludźmi, za kontaktami, za normalną wolnością, którą ma się indywidualnie w głowie. Że mogę wsiąść do samolotu, polecieć, gdzie chcę – nie muszę, ale mogę, to jest bardzo duża różnica. Ale chyba będę wolała – jeszcze nie jestem tego pewna, bo to wszystko wciąż się dzieje – stan świadomości po covidzie i docenienie pewnych kwestii oraz zdanie sobie sprawy z pewnych niefajnych rzeczy, które wydarzyły się na świecie, niż mój stan świadomości sprzed wybuchu pandemii.

Bardzo ciekawy ten eksperyment, w którym tkwimy po uszy, prawda? Gdyby go obserwować zza lustra weneckiego, byłby naprawdę fascynujący.

Dobre kino. Ale wszystko jest w toku, bardzo wiele jeszcze przed nami.

SIOSTRA MAŁGORZATA CHMIELEWSKA

PRZEŁOŻONA WSPÓLNOTY „CHLEB ŻYCIA”

JOANNA RACEWICZ: Czy siostra już po szczepieniu?

SIOSTRA MAŁGORZATA CHMIELEWSKA: Ja tak. Większość pracowników Domów Wspólnoty Chleb Życia też została zaszczepiona, są po pierwszej dawce, dwie osoby dostały drugą dawkę, ale mamy ogromny problem ze szczepieniami w Warszawie. W jedenastu domach w różnych miejscowościach Polski wszystko w miarę się udało. Warszawa niestety została zablokowana, siedzę jak na bombie właśnie dlatego, że w Warszawie mieliśmy ogromne ognisko koronawirusa, bardzo niebezpieczne, to zdarzyło się w schronisku dla starszych i chorych bezdomnych. Cudem udało się umieścić tych ludzi w szpitalach, bo oczywiście wszyscy byli bezradni i mieli to w głębokim poważaniu, a tak być nie powinno. To powinno iść jakoś systemowo. Niemniej jednak w takich sytuacjach, kiedy system nie działa, działają dobrzy ludzie. I dzięki pani prezydentowej Agacie Dudzie, która nas wsparła, udało się naszych mieszkańców umieścić w szpitalach, i to m.in. w Szpitalu Narodowym.

Na coś się przydał.

Tak, na coś się przydał. To było w sumie ponad pięćdziesiąt osób. Z personelu zachorowało dziesięć, niektóre przechodziły covid bardzo ciężko. Ci, którzy byli zdrowi, zostali praktycznie bez opieki, to znaczy oczywiście teoretycznie bez opieki, bo na szczęście zgłosił się nasz pracownik, Błażej Strzelczyk, który przyjechał z Krakowa, plus dwie osoby, które przetrwały w Warszawie, i we trój-

kę zajmowali się dzień i noc wszystkim pozostałymi dwudziestoma ciężko chorymi ludźmi, którzy jakimś cudem nie zarazili się koronawirusem. Bardzo bym nie chciała tego ćwiczyć po raz kolejny. Lekarze mówią, że to był cud, że nasi podopieczni nie zmarli. Myślę, że cud wsparty także tym, że trafili do szpitala rzeczywiście błyskawicznie, bo w ciągu trzech dni od wykrycia tego ogniska. Najpierw została zabrana pierwsza grupa, potem się okazało, że są kolejni zarażeni, i wtedy ich też zabrano. My w schronisku nie mamy możliwości izolacji. Przeznaczyliśmy dla chorych kaplicę, jakieś pokoje, ale to nie wystarczyło. I teraz siedzę i się trzęsę o personel, który od marca praktycznie trwa w wewnętrznym lockdownie, czyli moi ludzie nie wychodzą, jeśli nie muszą, kontakty pomiędzy naszymi domami zostały zawieszone, normalnie wymieniamy się zarówno personelem, jak i jakimiś najrozmaitszymi rzeczami, teraz tego nie ma. Jeżeli ktoś gdzieś coś dowozi, to zostawia przed bramą i odjeżdża. Ale wywalczyłam w Ministerstwie Zdrowia oficjalną interpretację dotyczącą nas i wszystkich schronisk dla ludzi bezdomnych i personelu, że powinniśmy być w grupie zero.

Gratulacje!

Też się bardzo z tego cieszę. Ta oficjalna interpretacja istnieje, co daje możliwość legalnego szczepienia naszych ludzi, którzy są tak samo, a może nawet bardziej narażeni co pracownicy DPS-ów, bo w DPS-ach mieszkańcy nie rotują tak często. My przyjmujemy ludzi z ulicy. Oczywiście testujemy ich, no ale jednak wirus się przedostał. Myślę, że w innych domach też mieliśmy ogniska chorobowe, ale dużo mniejsze.

Wiadomo, kto był źródłem zakażenia? Udało się znaleźć „chorego zero”?

Nasi mieszkańcy muszą jeździć do lekarzy, do specjalistów, bo to są schorowani ludzie, więc najprawdopodobniej któryś z nich, mówiąc nieładnie, przywlókł koronawirusa z jakiejś placówki medycznej. Bo inne wyjścia zostały wstrzymane, ludzie od marca siedzą zamknięci w domach. Nie mogą pójść po zakupy, pracownicy kupują im, co potrzeba. Warunki w schroniskach dla ludzi bezdomnych nie są idealne. To osiem – dziesięć osób na sali na przykład, więc to zapuszkowanie jest rzeczywiście bardzo trudne. Często są to ludzie starzy, zagubieni, nie wiedzą, dlaczego odmawiamy im wyjścia, robią nam awantury. Jeden z podopiecznych powiedział mi, że czuje się jak Nawalny…

Jak Aleksiej Nawalny, skazany przez sąd w Moskwie na kolonię karną?

Takie ma skojarzenie… Cóż, to starszy człowiek, siedemdziesięciopięciolatek, i takie sobie dorabia teorie. Twierdzi poza tym, że w ogóle jest u nas nazistowski obóz. Oczywiście mogę go wypuścić, tylko że jest schorowany i to może źle się dla niego skończyć, bo na razie nie mam czym go zaszczepić. Został oczywiście wpisany na listę, udało mi się tu w rejonie świętokrzyskim zaszczepić personel pierwszą dawką, natomiast zabrakło szczepionek, żeby zaszczepić mieszkańców. Tłumaczę więc człowiekowi, że może wyjść, może jechać do Warszawy, bo on ma tam jakieś spotkania ze znajomymi, ale ryzykuje. Nawet jak ktoś jest w grupie zero, to nic to teraz nie daje, bo po prostu brak szczepionek. W Krakowie mamy cztery osoby z personelu, trzy zaszczepione, a kierownik jeszcze nie. Prawdziwa rosyjska ruletka.

Szczepionka to teraz obiekt marzeń, oczywiście dla tych, którzy są przekonani, że warto ją przyjąć. Coraz ich więcej, ale daleko wciąż do entuzjazmu Niemców, Francuzów czy Portugalczyków.

O izraelskim programie nie wspominając. Siostro, pamięta siostra pierwsze informacje o koronawirusie rok temu i związane z tym myśli?

Pamiętam, ale nie powiem, bo znowu będzie, że siostra mówi brzydkie wyrazy.

Serio? Używa siostra brzydkich słów?

Padły brzydkie wyrazy, ponieważ widziałam już sceny z Chin, wiedziałam, że to nie są żarty, i umiałam sobie wyobrazić, co nam grozi. Na pewno nie spodziewałam się tak wielkiej głupoty niektórych środowisk lekceważących zagrożenie. Tego się nie spodziewałam. Nie sądziłam, że będzie tylu lekkoduchów chodzących po ulicach bez maseczek, że będzie tylu szaleńców robiących duże ludzkie spędy, że będą wielkie polityczne wiece i ludzie będą zapewniani, że nic im nie grozi, bo „pokonaliśmy wirusa”.

A była siostra zaskoczona wykwitem teorii spiskowych – o pochodzeniu wirusa, o szczepionce, w której są chipy, albo o spisku „rządu światowego”, który chce – przepraszam – „wykończyć” słabszą część ludzkości?

Wie pani, mam już tyle lat na karku, że mnie niewiele zdziwi. Nie jestem zaskoczona wiarą na przykład w to, że Ziemia jest płaska, że wirusa nie ma albo że nie przenosi się przez wodę święconą. Z jednej strony nie jestem, chociaż jednak z drugiej strony jestem. Wiem, że w środowisku, w którym żyję, też większość osób zlekceważyła wirusa, dopiero niestety, jak zaczęli umierać znajomi, bliscy, wtedy część osób troszeczkę oprzytomniała. Czasami to były naprawdę bardzo trudne doświadczenia, po prostu dochodziło do dzikich awantur z kurierami, listonoszami, personelem zewnętrznym o to, żeby włożyli maseczkę, wchodząc na nasz teren. Mam nadzieję, że może z tego wszystkiego

urodzi się chociaż coś pozytywnego – jakiś rozwój wiedzy, współczucia, wzajemnego szacunku.

W Polsce nienoszenie maseczki urosło do rangi symbolu – stało się manifestacją wolności osobistej.

Dokładnie. „Nikt mi nie będzie mówił, co mam nakładać na twarz”. Myślę, że to jest syndrom ogromnego problemu naszego społeczeństwa. Brak solidarności, rzeczywistej solidarności pomiędzy ludźmi, nasz egoizm i źle pojęta wolność, która nie liczy się z drugim człowiekiem. Ale jest to także kwestia wychowania. Kiedyś czytałam, to były chyba jakieś wskazówki czy nawet program wychowania obywatelskiego dzieci we Francji. No to po prostu mało z krzesła nie spadłam. To w ogóle inny świat niż u nas. U nas wychowujemy ludzi do konkurencji. Masz być gwiazdą bez względu na wszystko – najlepszy, najsprawniejszy, bez oglądania się na kolegów, na to, czy nie trzeba się zatrzymać, żeby im pomóc.

Idea współodpowiedzialności za społeczeństwo to myśl, którą bardzo pielęgnuje pani Krystyna Starczewska, założycielka Zespołu Społecznych Szkół Ogólnokształcących „Bednarska”.

Znamy się oczywiście.

Ona powtarza dokładnie to samo – że w szkole wychowujemy dzieci na liderów, szykujemy do rywalizacji, wyścigu szczurów, przekonujemy, że tylko najlepszy się liczy. Maszeruj albo giń, przepraszam za przejaskrawienie, ale widzę to na co dzień. A gdzie życie we wspólnocie? Gdzie praca w zespole, granie do jednej bramki?

No właśnie, nie wychowujemy do życia we wspólnocie i pracy w zespole. Najzwyczajniej w świecie. To się przejawia wszędzie, w naszym życiu społecznym na co dzień, ale także w gospodarce. Bo jeśli nawet jest, powiedzmy sobie,

jakaś korporacja, to praca zespołowa da dużo lepsze i szybsze efekty niż indywidualna konkurencja. To oczywiste. I to odkryli nie tylko Francuzi rzecz jasna, ale Amerykanie na przykład, którzy uczą dzieci w szkole przygotowania do pracy zespołowej. U nas absolutnie tego nie ma.

Skoro w literaturze roi się od Kmiciców, Wallenrodów, Konradów…

Oczywiście. Umrę, zginę na barykadzie, ale ja jeden. Ja bohater. I potem będziemy czcili tych bohaterów, to jest niestety Polska. Zresztą już Norwid powiedział o nas bardzo celnie, jakim jesteśmy narodem i społeczeństwem, a był to wiek XIX, jak dobrze pamiętamy – Polacy są wspaniałym narodem i bezwartościowym społeczeństwem – i miał rację. Myślę, że nie ma w tej chwili chęci ze strony liderów społecznych – nie mówię tutaj o organizacjach pozarządowych, które starają się zapełniać te dziury – żeby rozwijać wspólnotowość, wręcz przeciwnie, jest kreowana polityka społeczna ukierunkowana na indywidualizm i rozbijanie solidarności. No bo dziel i rządź. To takie proste. A jakim kosztem to się odbywa, to już inna sprawa.

W pewnym momencie zaczęły się pojawiać dramatyczne doniesienia o sytuacji pandemicznej w Polsce, o zapełniających się szpitalach, braku respiratorów, gwałtownym wzroście zachorowań i śmiertelności wśród ludzi. Czy gdyby to siostra miała decydować, to zamknęłaby siostra wtedy także kościoły?

Kościoły w sensie nieuczestniczenia w liturgii? Myślę, że tak, to byłby słuszny krok. Ewentualnie wymagałabym przestrzegania bardzo ostrego reżimu sanitarnego. Znajomy Polak, który mieszka w Wiedniu, zaprosił mnie na konferencję do polskiej parafii. To było kilka miesięcy temu. Oczywiście odmówiłam, ponieważ sama sobie narzuciłam reżim ze względu na ludzi, z którymi żyję – naprawdę bar-

dzo ciężko chorymi – a on mi wtedy powiedział, że w Austrii, gdyby ktoś wszedł do kościoła bez maseczki albo nie zachował dystansu, to wierni donieśliby na niego na policję. Nie dlatego, że są donosicielami, tylko dlatego, że trzeba dbać o siebie nawzajem. Myślę więc, że u nas zamknęłabym kościoły lub też w dialogu z władzami kościelnymi ustaliłabym takie sposoby i takie możliwości korzystania z liturgii czy z sakramentów, które nie zagrażałyby zdrowiu. No ale nie oszukujmy się, oprócz kilku akcji przeprowadzonych przez ludzi Kościoła i dotyczących tego, że maseczka cię nie zabije i że wirus jednak przenosi się przez kontakt czy drogą kropelkową, bardzo wielu hierarchów kościelnych najzwyczajniej w świecie – z braku wiedzy czy źle pojętej wiary – zlekceważyło koronawirusa i uczyniło wiele złego. Dobra wiara musi się opierać na rozumie, a nie na wierze w czary.

Już w lutym tamtego roku Episkopat wydał komunikat, w którym proszono biskupów o informowanie wiernych, że mogą przyjmować komunię duchową albo na rękę, i zachęcano do niekorzystania z wody święconej. Siostra na pewno zna jednak przypadki księży zapewniających, że w kościele nic nikomu stać się nie może…

Też wierzę w cuda – ale uważam, że o cud możemy prosić wtedy, kiedy wszystkie ludzkie metody zostały już wyczerpane. Inaczej taka wiara to głupota. Zwyczajnie. Tak jak w przypadku takich „zaklęć”. Jeśli liczymy na cud, a ignorujemy wiedzę i rozum, to nic nie wskóramy. Mam wrażenie, że dopiero gdy zaczęli chorować i umierać księża, czyli naziemny personel Kościoła, to wtedy ta wiedza do wszelkich covidowych sceptyków dotarła. Tylko wielka szkoda, że wiele osób straciło przy tym życie albo zdrowie.

Czy Kościół odegrał swoją rolę w pandemii? Czy był dobrym przewodnikiem, dobrym doradcą?

To ja zadam pytanie, czym – pani zdaniem – jest Kościół. Co to takiego?

To bardzo szerokie pojęcie – wspólnota ludzi i instytucja, i ten personel naziemny, jak go siostra malowniczo nazwała.

Nie ja wymyśliłam to określenie, ale często go używam. Otóż myślę, że Kościół jako wspólnota odnalazł się całkiem nieźle w pandemii. Natomiast brakuje mi, i chyba nie tylko mnie, przywódców duchowych, których rolą, zwłaszcza w trudnych czasach, powinno być pomaganie ludziom, dawanie im nadziei i zachęcanie do walki o dobro. Kiedy zaczęła się pandemia, brałam udział w rozmowie przez Skype'a, w której uczestniczyli też profesor Jerzy Hausner i prezydent Krakowa Jacek Majchrowski. Ja mówiłam, że pandemia jest jak wojna. Paneliści pytali, dlaczego tak uważam, więc odpowiedziałam – znów powołując się na pesel i doświadczenie – że po prostu jestem już dostatecznie stara, żeby wiedzieć, jak to się potoczy – to wojna, w której nie możemy liczyć na przywódców. Bo tak rzeczywiście było. Może w tej chwili sytuacja troszkę się poprawiła, ale nadal panuje chaos decyzyjny i ogromny brak wszystkiego. Sprzętu, respiratorów, maseczek. Moja wspólnota, moi bezdomni, moja szwalnia, pracownicy i księża – wszyscy na początku tego koszmaru szyliśmy maseczki i rozdawaliśmy je na prawo i lewo. Tak było. Czy tutaj przywódcy duchowi odegrali swoją rolę? Przykro mi to mówić, ale nie. Ja przynajmniej nie słyszałam słów zachęty, słów rozsądku ze strony hierarchów Kościoła. Na początku pandemii ludzie przecież wpadli w panikę, stracili w dużej części dostęp do sakramentów, nie wiedzieli, jak się zachować, komu wierzyć, bo jak wiadomo, w takiej

sytuacji wiele osób usiłowało ubić własny interes polityczny na tym nieszczęściu, i tutaj zabrakło mi duchowego wsparcia od przywódców Kościoła. Tego ewangelicznego spojrzenia na dramat, który trwa do dzisiaj i dotyczy wielu osób. Ludzie potracili pracę, stracili bliskich, czują się zagubieni w rzeczywistości, także społeczno-politycznej.

Co powinni byli usłyszeć z ambony?

Trudno mi jest tutaj podpowiadać. Ale powinni usłyszeć przemodloną ewangelię dostosowaną do chwili obecnej. O, tak to mogę ująć.

Bardzo dyplomatycznie.

To prawda, bardzo.

A czy pamięta siostra moment nagonki na lekarzy i pielęgniarki, ogromny hejt, który się na nich wylał? Nie przypominam sobie ani słów otuchy dla pracowników służby zdrowia, ani pouczenia tych, którzy tworzyli mowę nienawiści, które wybrzmiałyby ze strony purpuratów.

Oczywiście, to również powinno zostać powiedziane. Każdy kryzys obnaża nasze słabości. Ale również pokazuje naszą wielkość, ponieważ jednak objawiła się również i wielkość setek tysięcy ludzi. To trzeba podkreślić – solidarność, której doświadczyły moje domy. Dzięki temu przeżyliśmy. Dzieliliśmy się tym, co mieliśmy, co dostawaliśmy, ale inni też się z nami dzielili. I to zwykli ludzie. Wszystkim: środkami dezynfekującymi, maskami, jedzeniem. Dostajemy z marketów żywność, której kończy się termin przydatności do spożycia, a w pewnym momencie te dostawy ustały i nie mieliśmy co jeść. Wtedy ujawniła się wielkość ludzi, ale również ich małość. I myślę, że – to jest oczywiście moje spojrzenie – rolą przywódcy powinno być wskazanie naszych słabości i powiedzenie, co trzeba zro-

bić, żeby te słabości przezwyciężyć. Żeby dawać ludziom nadzieję. Dobrym przykładem takiego działania jest założyciel naszej wspólnoty, Francuz, który zamieszkał ze swoimi dziećmi w wiosce dla trędowatych w Nigrze i tam ratował głodujące dzieci. I jego dzieci w tym uczestniczyły. Mówił, że w ten sposób nauczyły się, że istnieje cierpienie na świecie, ale że jest też sposób, jak zapobiec temu cierpieniu albo przynajmniej mu ulżyć. Myślę, że takiego przesłania zabrakło – przesłania nadziei i jednocześnie jakiejś zachęty do tego, żebyśmy byli lepsi w tej trudnej sytuacji.

Siostra użyła metaforyki wojennej. To ciekawe, bo o wojnie często słyszałam w pandemii z ust polityków. Być może takie ujęcie pomaga nazwać to, z czym mamy do czynienia, ale też budzi w ludziach strach – wojna budzi strach pod każdą szerokością geograficzną. A strach jest wyjątkowo wygodnym narzędziem do sterowania i zarządzania.

Tak, tylko politycy używają słowa wojna w znaczeniu zniszczenia przeciwnika politycznego lub człowieka inaczej myślącego. Natomiast ja używam słowa „wojna” w innym sensie. Wróg jest kompletnie apolityczny.

Covid nazywali wrogiem, a pandemię wojną.

Jeżeli covid nazywali wrogiem, a pandemię wojną, to jeszcze trzeba dookreślić narzędzia walki. I tutaj oczywiście można też siać propagandę tak jak w czasie każdej wojny, takiej prawdziwej – ci, którzy ją prowadzą, sieją propagandę sukcesu i zwycięstwa. Nawet gdy już III Rzesza upadała, to jeszcze szczekaczki Hitlera nadawały, że wszystko będzie dobrze i zwyciężyliśmy. Tu oczywiście podaję drastyczny przykład, no ale tak było. Więc ja bym tutaj nie wycofywała się z tego słowa wojna, bo rzeczywiście jest to walka z przeciwnikiem, który w tej chwili wydaje nam się trochę lepiej znany, aczkolwiek ciągle nie do końca. Wojna

również mobilizuje do organizacji, do obrony. To w tym sensie użyłam tego słowa. Do pewnej dyscypliny. Chociażby do respektowania zasad bezpieczeństwa. Żeby mnie i mojej rodziny nie dotknęło nieszczęście i wróg mnie nie zniszczył. W tym sensie wojna.

To spytam o strach. Przyszedł? Czy był moment w pandemii, kiedy ta emocja wzięła górę nad wszystkim, co racjonalne?

Ale strach o co?

Strach o życie, o byt, o przetrwanie, o adoptowane dzieci, o podopiecznych, o chorych...

Trudno to nazwać strachem. Lęk o siebie, szczerze powiem, raczej się nie pojawił.

To kwestia wiary? Czy procedur?

Jeżeli stosuję wszystkie możliwe zabezpieczenia, jakie mam do dyspozycji, to już więcej nic nie mogę zrobić. Natomiast owszem, dopadł mnie w pewnym momencie wielki lęk o moich współpracowników i o los ludzi bezdomnych. Ale z drugiej strony pojawiła się niesamowita mobilizacja, po prostu uruchomienie wszystkich komórek mózgowych, żeby wymyślić, co zrobić. I wtedy na lęk nie było już czasu. Zwłaszcza gdy zaczęły się zachorowania. Sytuacja wydawała się kompletnie beznadziejna i do tego nie dostrzegałam narzędzi, którymi można by ratować ludzi i zapobiec większym katastrofom. I wtedy to właśnie poczułam się jak na wojnie. Niesamowita mobilizacja, uruchomienie wszystkich sił, zresztą nie tylko moich, ale jestem tutaj głównym logistykiem i osobą najbardziej odpowiedzialną za to wszystko, więc to rzeczywiście był niesamowity stres. Lęk powraca do dzisiaj. Dwa dni temu się dowiedziałam, że znowu jest podejrzenie koronawirusa w dwóch domach w Warszawie, a ponieważ nie udało mi się dopro-

wadzić do zaszczepienia tamtejszych mieszkańców, lęk powrócił. Lęk o ludzi. Mój syn, przybrany syn, który pracuje jako sanitariusz w schronisku, bardzo ciężko przeszedł koronawirusa na początku grudnia i do dzisiaj właściwie nie może z tego wyjść. Jest więc o co się martwić. Tych najbliższych osób, o które się troszczę, jest naprawdę bardzo wiele, dlatego wciąż podświadomie liczą się z tym, że może dojść do najgorszego. Zmarł niedawno nasz przyjaciel, lekarz psychiatra, tu w Świętokrzyskiem, miał sześćdziesiąt trzy lata. Nie doczekał szczepień. Rozmawiałam z nim chwilę przed tym, zanim zachorował. Kilka dni później zmarł. A to był naprawdę fantastyczny człowiek, leczył biedaków za darmo, w dzień i w nocy można było na niego liczyć. Straszna bezsilność i krytyka systemu szczepień ciśnie mi się na usta. No ale musimy żyć dalej, musimy walczyć. Będę dalej walczyć o to, żeby zaszczepić wszystkich pracowników i mieszkańców wspólnoty.

Jakie były pierwsze decyzje siostry, kiedy wybuchła zaraza?

Zamknęłam domy. Wbrew temu, co nam zalecał pan wojewoda, który jest lekarzem z wykształcenia. Mówię tu o Warszawie. Oczywiście wszyscy zgłupieli, nie wiedzieli, co robić, dlatego natychmiast wydałam zarządzenie i ogłosiłam, że jeśli nie będzie przestrzegane, to powysyłam za karę do piekła na męki. Rozesłałam do wszystkich domów i dzwoniłam co chwilę, i sprawdzałam, czy jest respektowane. To był nasz całkowity lockdown. To były wszelkie możliwe środki zabezpieczające, dezynfekcje i wszystko, co tylko mieliśmy do dyspozycji. I tak to trwa do dzisiaj. Wstrzymałam kontakty między domami, zakazałam mieszkańcom wychodzić, nie wpuszczałam wolontariuszy, do dzisiaj wolontariusze nie mogą wejść do naszych domów. To jest oczywiście również problem, bo to była wielka po-

moc dla nas – te wszystkie dodatkowe ręce do pracy. Od takich działań rozrywkowych dla naszych mieszkańców, różnych spektakli czy wspólnego śpiewania na przykład kolęd, po konkretną pomoc. Tak że to był pierwszy ruch, za co mi się oberwało ogromnie. Również od innych organizacji.

Kolejnym krokiem była próba stworzenia możliwości przyjmowania ludzi bezdomnych z zewnątrz – wiedzieliśmy, że część z nich mogła być zakażona. Dopiero w maju udało nam się zorganizować w Warszawie punkt testowania osób bezdomnych, pracowników i wolontariuszy z organizacji warszawskich, nie tylko naszych, ale dla całej Warszawy – zorganizowaliśmy to, dostaliśmy grant, to też cud po prostu, do głowy by mi nie przyszło, żeby prosić w tym miejscu, ale dobrzy ludzie pomogli. Ten punkt działa do dzisiaj. Na początku postawiliśmy namioty, obecnie to kontenery, w których pobiera się próbki do badań i wysyła do specjalistycznych laboratoriów. Finansujemy to. Te działania pozwoliły nam uruchomić ścieżkę przyjmowania ludzi bezdomnych do schronisk.

To były moje pierwsze decyzje – całkowity lockdown, maski na twarz i zero dyskusji na ten temat. No i oczywiście poszukiwanie maseczek, rękawiczek, fartuchów, wszystkiego w dużych ilościach. Niektórzy moi pracownicy pukali się wtedy w czoło, po co to robię – wydaję wszystkie pieniądze na takie akcesoria. Dzięki Bogu, część dostaliśmy za darmo od dobrych ludzi. Ale tego potrzeba do dzisiaj bardzo, bardzo dużo. Szybko się okazało, że te działania były właściwe.

Szybko też pojawili się ludzie, którzy zarobili krocie na pandemii.

Oczywiście. Ceny rękawiczek ochronnych poszybowały do niebotycznych zupełnie sum. Podobnie maseczek. Tak się dzieje podczas każdej wojny. Opowiem anegdotkę. Moi prapradziadowie ze strony ojca dorobili się na wojnie rosyjsko-japońskiej. Stali się bardzo zamożną rodziną. Nie pochwalam tego, nie wiem dokładnie, jak się dorobili, czy to na przykład był skandal na tamte czasy, ale dla mnie to nieetyczne. I tak samo oceniam to teraz. Bo miałam takie rozpaczliwe prośby od ludzi, którzy opiekują się swoimi niepełnosprawnymi dziećmi – muszą zmieniać pampersy czy cewnikować bez względu na to, czy trwa pandemia, czy jej nie ma. I potrzebują rękawiczek. I nagle za paczkę stu rękawiczek musieli zapłacić ponad dwieście złotych. A wcześniej trzydzieści – czterdzieści złotych. Tych ludzi nie było na to stać. Więc oczywiście kupowaliśmy, wysyłaliśmy, pomagaliśmy. Niestety taka jest natura ludzka. Nie pochwalam tego, ale to było do przewidzenia, dlatego jak złapałam coś tańszego, starałam się zrobić zapasy. To logiczne.

Czy w naturze ludzkiej leży też nienawiść do drugiego człowieka? Czy siostra nie ma wrażenia, że im dłużej trwa pandemia – tym intensywniej narasta coś bardzo niepokojącego? Gniew, frustracja i niechęć…

Agresja.

W czasach przedcovidowych także nie było różowo, hejt lał się strumieniami, ale – mówiąc obrazowo – wtedy ludzie wyciągali maczety, a teraz mierzą do siebie z karabinów maszynowych.

A nawet zrzucają bomby atomowe. W sytuacji zagrożenia ludzie czują się zmęczeni, reagują agresją. I to jest bardzo ludzkie. Pojawia się albo bohaterstwo, albo nijakość, albo nikczemność. Znamy takie obrazki z czasów drugiej wojny światowej – byli bohaterowie, którzy potrafili życie po-

święcić lub oddać drugiemu człowiekowi ostatnią kromkę chleba w obozie koncentracyjnym, ale byli też tacy, którzy potrafili zabrać. Czy to normalne? Myślę, że jest związane z naturą ludzką i naszą skłonnością do grzechu, do zła, które w nas tkwi. Agresji jest teraz więcej, bo ludzie czują się zagubieni. Kiedy ludzie czują się pewnie, mają w miarę ustabilizowaną sytuację i nie obawiają się zagrożenia, wtedy są bardziej na luzie i po prostu będą życzliwsi w stosunku do innych, będą bardziej skłonni się podzielić, nie mając z tyłu głowy, że im zabraknie. Tylko bohaterowie na to nie patrzą. A to bohaterstwo wcale nie musi być wielkie. Ono może być malutkie, na poziomie naszego sąsiedztwa. Drobne gesty.

Poza tym, gdy ktoś nie może się wygadać z kimś twarzą w twarz, to siada do komputera i wylewa całą żółć, bezmyślnie zatruwając przestrzeń internetową. Istnieje przecież syndrom pubu, że żonaty mężczyzna idzie się napić, nadaje na żonę, narzeka, jaka to ona wredna i podła. To samo robią jego koledzy, po czym wracają grzeczniutko do domów i znowu wszyscy są dobrymi mężami. Gdzieś musimy dać upust tej naszej frustracji. A że dokonuje się on w tak paskudny sposób, to ja bym tutaj spojrzała trochę szerzej. Cała przestrzeń publiczna w Polsce jest w tej chwili zatruta agresją, abstrahując od koronawirusa.

Przykład idzie z góry.

Przykład idzie z góry. Oczywiście. I przyzwolenie. Pisałam o tym już wielokrotnie na swoim blogu, to nie jest żaden głos proroczy i nie mam aspiracji, żeby się stać jakąś wyrocznią, ale wiadomo, że jeżeli poszerzamy granice przyzwolenia na pewne złe zachowania, to ta granica będzie się przesuwać. I tutaj również środki masowego przekazu dokładają swoją cegiełkę, z lubością cytując i używając na

przykład sformułowań „polityk X zaorał polityka Y”. To jest język wojny, nie dialogu i dyskursu, tylko język zniszczenia. My nie rozmawiamy ze sobą, tylko chcemy zniszczyć drugiego człowieka. Przykład idzie z góry i granice się przesuwają, właściwie już ich nie ma w tej chwili.

Jest siostra w stanie wskazać, kto pierwszy rzucił kamieniem?

Nie. Ale coś mi się przypomniało. Było nas troje w rodzinnym domu i jak się kłóciliśmy, to mama mówiła: „Przestańcie się kłócić”. Któreś z rodzeństwa się skarżyło: „Ale to on zaczął”. „To ty nie kończ” – odpowiadała mama. Myślę, że ktoś powinien to przerwać. Jeśli polityk powołuje się na wartości chrześcijańskie, to nie może sobie pozwolić na publiczne, ale również i niepubliczne, wystąpienia, które tym wartościom przeczą. Chrystus przyszedł po to, żeby rozdarty świat pojednać ze sobą. Pismo Święte o tym mówi. I Pan Jezus powiedział coś takiego, to już cytuję z pamięci: „Biada tobie Jeruzalem, bo nie rozpoznajesz swojego czasu pokoju”. Jakoś tak to szło. Mamy budować pokój, a nie święty spokój. Nie chodzi o to, że mamy się godzić na wszystko czy przyjmować poglądy ludzi, z którymi się nie zgadzamy. Nie na tym rzecz polega. Polega na tym, o czym mówił Chrystus w ośmiu błogosławieństwach – pokój można budować tylko pokojem i pojednaniem. I szacunkiem dla drugiego człowieka. W wersji dla niewierzących – po prostu zaczyna coraz bardziej brakować przyzwoitości. Zwykłej przyzwoitości i wzajemnego szacunku. Drugi człowiek nie jest moim wrogiem. Inaczej myślący, innego koloru skóry, mający inne poglądy, nawet bardzo skrajne, z którymi się nie zgadzam, ma prawo do swoich przekonań, a metodą na pokazanie mu moich racji nie może być kopanie go po łydkach, szczypanie po twarzy czy dziobanie nożem w serce. A już tym bardziej człowiek

uważający się za chrześcijanina nie powinien tak postępować.

Takim konfliktem, który przetoczył się przez media, politykę i ulice, był Strajk Kobiet związany z publikacją wyroku Trybunału Konstytucyjnego. Wtedy w przestrzeni publicznej i w mediach nazywano te kobiety, które protestowały, obraźliwym słowem na literę „k". Czy to jest w porządku?

Oczywiście, że nie jest w porządku. Ale totalną głupotą jest także mazanie po drzwiach kościołów. Bez sensu to jest kompletnie. I darcie tych tęczowych flag. Jakaś walka na poziomie przedszkola. Oczywiście nie mówię o tym, że sprawa, o którą toczy się ten spór, nie jest ważna. Ona jest szalenie ważna. Tylko że metody pochodzą z piaskownicy. Zabrałeś moją łopatkę, jesteś głupi. Nie słucham, dlaczego ją zabrałeś, tylko głupi jesteś. I to jest poziom naszego dyskursu społecznego. Oczywiście, że nie wolno stosować w stosunku do nikogo tego typu epitetów i niszczyć symboli, jakiekolwiek by one były, bo dla kogoś są drogie. Chodzi o to, że jeżeli chcesz kogoś przekonać do swojej racji, to nie zadawaj mu bólu. Tylko z szacunkiem zacznij z nim rozmawiać. Jeśli rozmowa jest niemożliwa, możesz okazać swój sprzeciw, na przykład organizując demonstrację. Nie jestem przeciwniczką demonstracji, ale należy to tak robić, żeby samemu nie stracić człowieczeństwa. Bo to jest również kwestia i mojego człowieczeństwa. Jeśli kogoś poniżam, to poniżam samą siebie. Tutaj kłaniają się wielkie postaci historyczne od Martina Luthera Kinga po Mahatmę Gandhiego, gdzie walka o swoje racje była walką bez użycia przemocy. Zarówno słownej, która może, jak wiemy, zabić, i mamy tego przykłady, jak i czynnej. To jest dużo, dużo trudniejsze niż nazwanie kogoś wulgarnym słowem.

Dziwi się siostra mocnym słowom na ulicy? To był gniew, wściekłość, poczucie zabranego prawa do wolności decyzji. Trudno w takiej sytuacji powiedzieć: „Szanowni państwo, prosimy o opuszczenie swoich stanowisk”. Choć takie hasła też się, o przekoro, pojawiły.

A widziałam takie tablice. Świetne. I to młodzież licealna chyba je trzymała. Widniały na nich właśnie hasła: „Uprzejmie prosimy”, i coś tam dalej. Natomiast osiem gwiazdek nie mieści się w mojej konwencji publicznego wyrażania się.

Czy to znaczy, że siostra jest dziadersem?

Nie do końca, ponieważ sama czasem używam tego słowa, na przykład w stosunku do kogoś, komu przez długi czas życzliwie i serdecznie tłumaczę, dlaczego powinien zrobić tak, a nie inaczej. Nawet wczoraj to powiedziałam. Tu zwykle chodzi o czyjeś dobro i kiedy argumenty nie docierają, to mówię to słowo, i wtedy dociera. Natomiast naprawdę mi się nie zdarzyło, mogę z czystym sumieniem zaświadczyć, a miałam w trzydziestoletniej prawie historii naszych domów wiele różnych sytuacji, żebym do kogoś powiedziała „Ty k…!”. Natomiast „O k…!”, owszem. Ale to jest zasadnicza różnica.

Nie jest wycelowane w żadną osobę.

Tak. Jeżeli mi spadnie młotek na palec i powiem „O k…!”, to może niełądnie, ale adekwatnie. Natomiast jeżeli komuś powiem „Ty k…!” czy „Ty ch…!”, czy jeszcze jakoś inaczej, to moim celem jest poniżenie człowieka. To zupełnie inna sytuacja. Niechwalebnie powiedzieć „O k…!”, ale absolutnie nie jest dopuszczalne powiedzenie „Ty k…!”. W dyskusjach z moimi podopiecznymi, kiedy na przykład po raz dziesiąty pompa do szamba została zatkana ścierkami, szmatami i mopem wrzuconymi do toalety, nie rozpoczy-

nam rozmowy od: „Drodzy państwo, może byśmy tego nie robili”, tylko od czegoś mocniejszego.

Gdybym zapytała o deklarację, o jasne opowiedzenie się po jednej ze stron tego sporu – co by siostra odpowiedziała: „Jestem po stronie Strajku Kobiet”?

Nie popieram wszystkich postulatów. Ale moim zdaniem w Strajku Kobiet i w tych demonstracjach bunt dotyczy wielu zagadnień. Nie wszyscy, którzy tam idą, są zwolennikami aborcji na życzenie. Wielu młodych ludzi ma dosyć obłudy i tego, co się generalnie dzieje w Polsce.

I tego dotyczy hasło „w…!”.

I tego dotyczy to hasło. Uważam tylko, że w Strajku Kobiet niepotrzebnie zaatakowano Kościół jako instytucję, co nie oznacza, że Kościół jest bez grzechu i nie powinien podlegać krytyce. Natomiast myślę, że zrobiono to w sposób absolutnie dziecinny i to obniża rangę całej demonstracji. Wolałabym trochę inteligentniejsze happeningi. Na przykład dowcipne, ale nikogo nieobrażające. A tak mogło zostać odebrane powieszenie tęczowej flagi na figurze Chrystusa. Dla mnie to bardzo ważny symbol religijny, więc rozumiem, że ktoś mógł się poczuć urażony.

To siostrę obraziło? Tęczowa flaga na figurze Chrystusa przed kościołem Świętego Krzyża była obelgą?

Bo ja wiem? Spotkałam się w życiu z tak ogromną ludzką głupotą, że tego typu rzeczy mnie osobiście nie obrażają. Uważam, że to głupie, małe, ale nie robiłabym z tego wielkiego halo, dlatego że tworzy się wtedy taki mechanizm, że coraz więcej tych flag zawiśnie na symbolach religijnych. Są naprawdę dużo inteligentniejsze sposoby na wyrażanie buntu.

Ale przyzna siostra, że niektóre hasła zaprezentowane na kartonach podczas protestów, które przeszły przez Warszawę, były fantastyczne i inteligentne.

Rzeczywiście, były dowcipne.

„Podmiot nie zgadza się z orzeczeniem” – to jedno z moich ulubionych na przykład.

Tak, doskonałe.

Nie raz rwaliśmy włosy z głowy nad taką mizerią młodego pokolenia, że nie czytają, że siedzą po uszy w Internecie, a tu się okazało, że sporo wiedzą, potrafią cytować klasykę i mają dużo do powiedzenia.

Młodzi są świetni, nie są obojętni. To nie oznacza, że zgadzam się ze wszystkim, czego chcą, ale to do nich należy zbudowanie lepszego świata. I wreszcie ruszyli się z kanap. Może właśnie dlatego, że poczuli, że tym razem rzecz dotyczy ich bardziej niż sądy. Oczywiście w którymś momencie trzeba dorosnąć. Oby nie zobojętnieli i walczyli o lepsze jutro, i pogłębiali swoją wiedzę, co to znaczy to lepsze jutro. Bo w zrywie, w tłumie dobrze, tylko że później trzeba żmudnie budować dzień po dniu. Więc wracając do tych tęczowych flag – ja na to wzruszę ramionami i puknę się co najwyżej w czoło, natomiast kogoś rzeczywiście może to zaboleć. Jest to robione po to, żeby zabolało. Podobnie jak darcie tęczowych flag przez stronę przeciwną – to też jest robione po to, żeby zabolało. Więc nie róbmy tego, bo nie tędy droga. Jeśli będziemy wzajemnie się ranić, to nie uda nam się stworzyć przestrzeni do życia pod tym samym niebem z różnymi poglądami.

Tylko po co w takim razie, siostro, rozjechano wypracowany z wielkim mozołem kompromis aborcyjny w pandemii?

Już się na ten temat wypowiadałam i to publicznie, że oczywistą jest sprawą, że gdyby ustawodawcy naprawdę zależało na tym, żeby wprowadzić prawo, które chroniłoby tych, których należy chronić, to zrobiono by to inaczej. Teraz w pandemii wykorzystano sytuację, w której wiele środowisk – lekarzy, etyków, zainteresowanych tematem mądrych kobiet z różnych frakcji czy też kobiet, które mają za sobą to doświadczenie urodzenia lub nieurodzenia dziecka z ciężką wadą – nie miało możliwości wzięcia udziału w rzeczowej dyskusji. Tak się nie powinno postępować. Jeśli chcę przeprowadzić jakieś zmiany w mojej wspólnocie, to siadam, słucham, rozmawiam, pytam, proponuję, żeby zasięgnąć opinii kogoś z zewnątrz, jakiegoś doradcy, bo się na tym nie znam. Nie wiem na przykład, jak wybudować dom. Dlatego zbieram informacje, dyskutujemy, wspólnie szukamy rozwiązań. Natomiast tu wiadome było, że ruszenie tego kruchego kompromisu spowoduje natychmiast walkę o liberalizację aborcji. I to się dzieje w tej chwili. Zmieni się ekipa rządząca i aborcja będzie na życzenie. Prędzej czy później. Więc nie oceniam tego wszystkiego jako rzeczywistej chęci zmiany na lepsze. Oczywiście prawdą jest też, że prawo, które istniało, było wykorzystywane, nie mówię, że celowo, do zabijania osób, które mogły śmiało żyć. Klasyczny przykład to dzieci z zespołem Downa.

Ciąże przerywane z powodu zespołu Downa stanowiły promil.

Nie jestem lekarzem ani etykiem, jestem zwykłą kobietą, która co prawda nie urodziła dzieci, ale ma przybrane, w tym jedno głęboko niepełnosprawne, i na co dzień też mam przecież do czynienia z niepełnosprawnością. I uważam, że – po pierwsze – powinna odbyć się rzetelna dyskusja społeczna przy zaangażowaniu naprawdę wielu środo-

wisk i specjalistów. A po drugie, jeżeli chcemy rzeczywiście zapewnić godne życie osobom niepełnosprawnym to, na Boga, zróbmy to. A tu zaczynają się już schody. Jak sobie urodziłaś kalekie, to teraz sobie radź. Takie jest stanowisko…

Wszyscy wiemy, jakie są zasiłki i jakie jest wsparcie dla takich osób i ich opiekunów.

Renta socjalna wynosi około dziewięciuset czterdziestu złotych, mój Artur mniej więcej tyle dostaje, plus pięćset złotych dodatku dla osób z najwyższym stopniem niepełnosprawności, wywalczonego podczas strajku osób z niepełnosprawnością. Razem jakieś tysiąc czterysta czterdzieści złotych. Zasiłek dla opiekujących się osobami niepełnosprawnymi wynosi około tysiąca ośmiuset złotych i nie wolno dorobić ani złotówki. Przy czym jak, nie daj Boże, kobiecie umrze dorosłe już dziecko, to ta kobieta zostaje bez stażu pracy, bez pieniędzy, ma pięćdziesiąt parę lat, nie może się nigdzie załapać do roboty i nie ma za co żyć. Proszę spróbować przeżyć za tysiąc osiemset złotych plus, załóżmy, tysiąc czterysta czterdzieści złotych na niepełnoprawne dziecko. Gdy trzeba zapewnić mu rehabilitację, dowóz, najlepiej mieć własny samochód, opiekę jakąś, bo jak wychodzi się po zakupy, to trzeba komuś zapłacić, żeby z takim dzieckiem posiedział. To jest dopiero dramat.

To też pytania o heroizm, które było często słychać w medialnej dyskusji – czy można zmuszać kobiety do postaw, które wymagają nadludzkiej siły i odwagi?

Moja fundacja dysponuje jeszcze funduszem stypendialnym dla niepełnosprawnych, utworzonym przed strajkiem osób z niepełnosprawnością, ale to nie są wielkie pieniądze, bo to maksymalnie trzysta złotych miesięcznie. No

ale dla człowieka, który dostaje dziewięćset złotych z hakiem kolejne trzysta złotych to jest bardzo dużo.

Człowiek niepełnosprawny, który nie ma prawa do renty socjalnej, czyli stał się niepełnosprawny po osiemnastym roku życia, ale nie zdążył wyrobić sobie prawa do renty zusowskiej, czyli nie pracował legalnie co najmniej pięć lat, otrzymuje zasiłek z pomocy społecznej w wysokości około sześciuset czterdziestu złotych. Każda złotówka dodatkowego dochodu jest mu od tego odcinana. Rozumie pani? Masz żyć za sześćset czterdzieści złotych. Ze wszystkim. Z lekami, z pampersem itd. Mam tu taką rodzinę, w której są dwie głęboko niepełnosprawne osoby, ojciec i syn. Syn ma rentę socjalną, oboma opiekuje się matka chłopaka. Matka dostaje zasiłek opiekuńczy na syna, a ojciec ma teoretycznie te sześćset czterdzieści złotych. Ale ponieważ to rodzina, to zliczony dochód syna i matki sprawia, że ojcu zabierają od stałego zasiłku czterysta czterdzieści złotych i dostaje tylko dwieście złotych.

To niewyobrażalne.

I tak to wygląda. To jest nasza polska troska o osoby niepełnosprawne. Jako społeczeństwo jesteśmy obrzydliwymi hipokrytami. Jestem absolutnie za ochroną życia, ale za ochroną życia od urodzenia do śmierci – taką, że chorzy, niepełnosprawni czy starzy ludzie nie muszą egzystować w nędzy.

Siostro, a jaki będzie świat po covidzie? Jak go sobie siostra wyobraża?

Nie jestem futurologiem ani prorokiem, nie mam pojęcia, czy będzie lepszy czy też gorszy. Pewne rzeczy trzeba będzie zacząć od nowa. Może to i dobrze? Mam nadzieję, że młodzież ruszy do budowy tego lepszego świata. Mamy naprawdę wspaniałą młodzież. To tysiące wolontariuszy,

tysiące ludzi zaangażowanych w najrozmaitsze przedsięwzięcia, pomagających w schroniskach dla bezdomnych, roznoszących kawę czy zupę na Plantach, na Monciaku, na dworcach, chodzących do bezdomnych na ulicach.

Gdy ja i moja wspólnota zaczynaliśmy pomagać bezdomnym w 1988 roku, to mało kto się do tego garnął i miałam awantury ze strony tworzących się wtedy służb, że bezdomnych nie ma, a ja ich specjalnie wynajduję. Dokładnie tak było.

Jakby byli „statystami" – przepraszam za modne ostatnio słowo.

Tak. Gdy otworzyliśmy dom dla ofiar przemocy w rodzinie i bezdomnych matek z dziećmi, które na początku lat dziewięćdziesiątych koczowały na dworcach, to miałam nieprzyjemności ze strony Kościoła, że wykrzywiam obraz polskiej rodziny, mówiąc o tym, że tam jest jakaś przemoc. Teraz na szczęście to się pozmieniało, domy dla matek z dziećmi otwierają zarówno świeckie, jak i kościelne stowarzyszenia. Nawiasem mówiąc, pierwszy dom dla samotnych matek otworzyła Teresa Strzembosz, jeszcze w komunie. W tej chwili takich miejsc jest pełno, one są oficjalnie strukturyzowane itd. Może za bardzo. Więc idziemy do przodu. I wierzę, naprawdę wierzę w młodzież.

Od czego by siostra zaczęła tę budowę nowego świata, świata po zarazie?

Od nauczenia polityków przyzwoitości. Ci, którzy dzierżą władzę, powinni mieć autorytet, a oni dawno go stracili. Nauczyłabym ich troszczyć się o wspólne dobro, choć to wymagałoby głębokiej przemiany wewnętrznej, ale na szczęście ta zawsze jest możliwa.

Siostra mówi o wspólnym dobru. Jeśli przyjąć, że Polska to dwa zwaśnione plemiona, to politycy troszczą się raczej o dobro swoich wyznawców i pobratymców.

O dobro swojego plemienia, to prawda. A ja mam na myśli oba plemiona. Mam na myśli dobro wszystkich Polaków – z obu stron barykady, z obu plemion, które tworzą nasze społeczeństwo. Zaczęłabym przede wszystkim od pojednania tych plemion. Tu nie chodzi o przekonanie do czyichś racji, tylko o to, żeby stworzyć takie warunki, w których każdy w ramach prawa, które reguluje relacje społeczne, będzie mógł żyć po swojemu. Trzeba pokazać ludziom, że można żyć razem. I nie trzeba się „zaorywać". Można żyć razem i razem szukać rozwiązań, które w polityce zawsze powinny być kompromisami.

W naszym kraju kompromis jest zazwyczaj „zgniły".

Nie mówię tutaj o cynizmie, tylko o realnym kompromisie. Musimy ustąpić miejsca innym. Są oczywiście rzeczy, które pod kompromis nie podchodzą, to są zasady ogólne, prawa człowieka chociażby, to nie podlega kompromisowi. Ale zanim doszliśmy do tego, że w ogóle istnieje coś takiego jak prawa człowieka, i jeszcze je spisaliśmy, to niestety ludzkość przeszła przez bardzo wiele tragedii.

Jestem optymistką, wierzę, że tak naprawdę wszyscy chcielibyśmy żyć w dobrym, przyjaznym kraju, w którym oczywiście zdarzają się konflikty, ale załatwia się je przyzwoicie i z szacunkiem dla wszystkich.

MAŁGORZATA DOMAGALIK

DZIENNIKARKA, PISARKA, PUBLICYSTKA

JOANNA RACEWICZ: Małgosiu, gdybyś miała napisać książkę o koronawirusie, jaki byłby tytuł?

MAŁGORZATA DOMAGALIK: Wiesz, muszę chwilę pomyśleć, żeby to było nie tylko efektowne, ale...

Tytuł to ważna rzecz.

Wiem. To bardzo ważna sprawa. Poczekaj... Dałabym taki: „Nie wiem”.

Tytuł „Nie wiem”?

Tak.

Czego nie wiesz? Czego jeszcze nie wiesz o covidzie? Właściwie wszystko już zostało powiedziane.

A ja mam poczucie, że nadal bardzo mało o nim wiemy. Wyliczenia, statystyki, przerażające obrazy, ozdrowieńcy, osocze, szczepionka... To właśnie taki moment, kiedy zdajesz sobie sprawę z tego, że jesteś tylko ziarenkiem piasku na pustyni. To, czy w tym piasku przetrwasz, zależy od tego, w jakim miejscu akurat się znajdujesz, a na to z kolei wpływa pustynny wiatr, który przesuwa piasek w jedną albo drugą stronę. Małość. Pod każdym względem jesteśmy ziarenkami pustynnego piasku. A jak czytam, że pierwszą szczepionkę antycovidową zawdzięczamy naukowcom, małżeństwu emigrantów z Turcji, które u nas chyba nie mogłoby tak rozwinąć się naukowo, bo byliby uznani za obcych, to się cieszę, że ich ten wiatr historii przeniósł tam, gdzie mogli spokojnie robić swoje. Kiedyś my byliśmy przybyszami z dalekiego kraju, prawda?

Kiedyś sami byliśmy imigrantami.

Tak, i zapomnieliśmy o tym bardzo szybko. Teraz nam się wydaje, że to my jesteśmy pępkiem świata. Covid jest jak pożar, powódź, trzęsienie ziemi i błyskawicznie nas tego „dobrego" samopoczucia pozbawił. Czas wrócić na ziemię. Zmienić stosunek do innych, także do imigrantów.

To jest jakieś doświadczenie ostateczne? Tak to chcesz nazwać?

To jest tak, jakbyś uciekała z płonącego lasu. Amerykanie robią filmy o strażakach nie dlatego, że nie mają innych tematów i że to się efektownie filmuje, ale dlatego, że za każdym razem chcą nam uświadomić, jak to jest, gdy człowiek zderza się z niemożliwym do ogarnięcia. Z czymś większym niż on sam, z czymś nie do opanowania. To siła natury.

Czy covid jest siłą natury? Nie wiem. Z pewnością pod względem biologicznym, etycznym, humanitarnym i moralnym, no i mocy rażenia, jest jak tsunami.

Mówisz o małości. Ale człowiek jest mały wobec właściwie wszystkich granicznych doświadczeń – śmierci, choroby...

Asiu, nie zgodziłabym się z tobą, dlatego że człowiek właśnie swoją wielkość, swój charakter, swoją nieśmiertelność w jakimś sensie pokazuje w momentach ostatecznych. W chwili śmierci także.

Każdy człowiek, Małgosiu?

Nie, nie każdy. Tak jak w życiu.

Wiemy o sobie tyle, ile nas sprawdzono, jak mówi poetka.

Oczywiście, ale człowiek, który skacze w ogień, żeby ratować cudze dzieci, skacze z mostu, żeby ratować obcego człowieka, ma ten egzamin zdany za życia. Byłam dzieckiem, kiedy mój ojciec skoczył do wody w kamienioło-

mach, gdzie akurat spędzaliśmy wakacyjną niedzielę, żeby ratować nieznanego mu tonącego chłopaka. A jego biologiczny ojciec stał na brzegu sparaliżowany i nie mógł się ruszyć. Mój ojciec uratował go, być może powodowany tylko naturalnym odruchem, na pewno nie zdając sobie sprawy z tego, że jednocześnie ostatecznie naruszył coś w relacji tych dwóch mężczyzn. Ojca i syna.

Uratowany będzie miał żal, że to nie jego ojciec skoczył mu na ratunek. Ojciec nie daruje sobie, że zabrakło mu odwagi.

Nawet nie wiem, czy podziękował. Chociaż dla mojego ojca i tak nie miałoby to znaczenia. To był odruch. I ja myślę, że właśnie te odruchy nas sprawdzają.

A koronawirus? To też wielkie „sprawdzam”.

Pamiętasz pierwsze sceny z Wuhanu, prawda? Byłam wtedy u ciebie w programie. Mówiliśmy: „Ci Chińczycy to się chyba wygłupiają, w dwa dni budują szpitale, po co? O co w tym w ogóle chodzi?”. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia 2019 roku. My, Europejczycy, byliśmy spokojni i przekonani, że to nas nie dotyczy. To pokazuje, jak bardzo straciliśmy perspektywę. Uważaliśmy, że to, co się dzieje w Chinach, nie jest naszą sprawą. Byliśmy piaskiem na pustyni, bez świadomości, że ta nie istnieje bez tych ziarenek, którymi jesteśmy.

Zawiodła nas czujność? Cały czas mówimy, że świat się skurczył i jest teraz w zasięgu ręki. Odmieniamy globalizację przez wszystkie przypadki. Jakbyśmy zapomnieli, że Ziemia to na dobrą sprawę grajdoł, w dodatku mały. Gdzie wiedza o efekcie motyla?

Przede wszystkim panują egoizm i nieuważność na to, co dookoła. Jesteśmy tak przebodźcowani, że informację

o Wuhanie odebraliśmy jako kolejny z bodźców – jakiś wirus gdzieś tam. Pamiętasz tsunami w Tajlandii?

Drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, 2004 rok.

Zginęło wtedy prawie trzysta tysięcy ludzi. Trzysta tysięcy ludzi straciło życie w kilkanaście minut. Przypomina mi się takie zdjęcie, które zresztą obiegło cały świat – parę godzin po tragedii na plaży leży turysta i się opala. I to mną wstrząsnęło. Naprawdę. Nie chodzi o to, że on się miał bać kolejnej fali, tylko powinien mieć jakąś autorefleksję, że zginęli ludzie i że po prostu, ze względów etycznych, z empatii, nie powinno go tam wtedy na tym leżaku być. Nie sądzę więc, że w wypadku koronawirusa zawiodła nas czujność. Od tego są inni, którzy mają nas chronić. Przeszliśmy już świńskie grypy, choroby wściekłych krów, AIDS, SARS, MERS. Pamiętam strach spowodowany AIDS. Kiedy oglądamy na Netflixie serial *Korona* i scenę, kiedy księżna Diana przychodzi do szpitala, przytula chore na AIDS dziecko, to i dziś robi ona na nas piorunujące wrażenie. Z perspektywy czasu może się to wydać błahe, ale wtedy towarzyszył tej chorobie niewyobrażalny lęk. Ona się odważyła. Czy się nie bała? Wtedy wokół AIDS narosło mnóstwo mitów. Ludzie myśleli, że wystarczy popatrzeć na chorego i już się umiera. Przeżyłam w swoim życiu, zarówno zawodowym, jak i prywatnym, wiele różnych momentów, kiedy musiałam powiedzieć sobie „sprawdzam”. Dlatego nieproszona nie udzielam rad, zwłaszcza jeśli w swoim życiu sama nie przerobiłam konkretnej sytuacji.

A gdyby metaforą reakcji na zarazę był twój tata skaczący w głębinę i ojciec chłopaka stojący obok jak słup soli, to po której stronie stoi świat wobec pandemii?

Dla mnie odpowiedź jest oczywista. „Skacze” każdy. Choć nie osądzam ojca tego chłopaka. Cena, jaką zapłacił, mimo

że jego syn przeżył, wydaje się nie do oszacowania. On zawsze już będzie wiedział, że go nie uratował.

Syn też będzie to wiedział.

Tak… Mogłam mieć wtedy pięć lat, jakoś tak… Zapamiętałam ten krzyk, tę głęboką wodę, tę skałę, która mi się wydawała przeogromna, i mojego ojca, który skacze. I pamiętam mężczyznę, który stał w kąpielówkach na tej skale i sam był skałą. A jeśli chodzi o koronawirusa, to każdy musi się teraz sam sprawdzić. Tuż przed covidem spotkałam w windzie sąsiadkę, z którą zwykle wymieniałyśmy się tylko „dzień dobry” i „do widzenia”, a w dodatku byłam przekonana, że ona mnie nie lubi, bo mój pies wył wieczorami, kiedy piętro wyżej jej mąż umierał na raka. Jedziemy więc tą windą i ona mówi do mnie: „Wie pani, nigdy pani tego nie zapomnę”. Byłam przekonana, że ma na myśli wycie tego mojego psa. To było okropne. I doskonale ją wtedy rozumiałam. Zapytałam jednak: „Ale o co chodzi?”. Ona na to: „Opowiadałam niedawno komuś o tym, że jak umarł mój mąż, to w tym dniu, choć jeszcze się nie znałyśmy, przyjechała pani do mnie piętro wyżej, zadzwoniła do drzwi i powiedziała: »Dzień dobry, nazywam się Małgorzata Domagalik, jak pani sądzi, może powinnyśmy napić się teraz razem kawy i pogadać?«”. Powiedziała, że dałam jej wtedy coś, co było bezcenne, czas, troskę, choć byłam dla niej obcym człowiekiem. Chciałam słuchać. A ja tego w ogóle nie pamiętam. Wtedy temu zdarzeniu nie przypisałam aż takiego znaczenia, żeby je zapamiętać na całe życie. Dla mnie to było naturalne, a ona pamięta to nawet po siedemnastu latach. Dzisiaj, kiedy trwa pandemia, na mojej klamce bardzo często wiszą zakupy. Pani Hania, robiąc je dla siebie, robi dla mnie i dla mojej mamy, mimo że nie ma takiej potrzeby.

Wrażliwość na drugiego człowieka. Ładniejsza twarz pandemii.

Wyciągam z tego też, być może nieco metafizyczny, wniosek, że relacje między ludźmi polegają na tym, że kiedy tych ludzi zabraknie, to cały czas z nimi rozmawiasz i masz pewność, że wiesz, co by ci powiedzieli na przykład w chwili zagrożenia. Wiem, że mój ojciec, który był lekarzem, powiedziałby mi dziś: „Nieważne, co kto mówi. Nieważne, że ktoś twierdzi, że wirus jest zaraźliwy, a drugi, że wcale nie jest, albo że ci chorzy pokazywani w szpitalach to są statyści. Masz robić wszystko, by ochronić siebie i mamę”. Czy ja się obronię? Nie wiem. Spójrz, ile już miesięcy minęło. I ja, i moja mama przestrzegamy obostrzeń i w ogóle mnie nie obchodzi, czy ktoś krzywo na mnie patrzy, kiedy idę po ulicy w rękawiczkach i maseczce. Zresztą spotkałyśmy się latem w kawiarni na zewnątrz, więc wiesz, jak ja się zachowuję. Jakbym ciągle była na ostrym dyżurze. Nauczono mnie tego, że nie jest ważne, co powiedzą inni, nie jest ważne, że dla innych to będzie śmieszne czy histeryczne. Ważne jest to, że ja będę mogła sama przed sobą przyznać, że w kwestii bezpieczeństwa zrobiłam wszystko, co mogłam.

Zauważyłaś, jak efektownie w mediach brzmią ogłoszenia o kolejnych falach koronawirusa? Pierwsza, druga, trzecia, zawsze wyznaczane szybującymi w górę wskaźnikami zachorowań. Fale trochę porządkują opowieść o zarazie, więc spytam – która była dla ciebie najgorsza?

To trzy różne lęki.

Różne lęki, różne historie, różne reakcje. Kiedy wychodziłam podczas pierwszej fali koronawirusa w maseczce po zakupy, to uwierz mi, tysiąc razy spotykałam spojrzenia, w których widziałam politowanie. Jakby ludzie chcieli powiedzieć: „Dałaś sobie założyć kaganiec”. Teraz już tego nie ma. Zrównaliśmy się jakoś

w obowiązku noszenia masek. Przynajmniej nie ma pobłażliwych spojrzeń, chociaż wciąż maseczki lądują gdzieś w okolicach podbródka.

Pamiętam strach z przełomu lutego i marca 2020 roku. To była panika. Bardzo się przestraszyliśmy. Wieczorem odbywałam podróże z jednej windy u siebie do drugiej windy u mamy, wjeżdżałam na jej piętro, zostawiałam jedzenie pod drzwiami i wydawało mi się, że jestem agentką na misji specjalnej. To nie było miłe uczucie. Dziwne jest też to, że wtedy nie spotkałam nikogo w tych dwóch windach. Do dziś nie wstydzę się też mówić ludziom, że chcę pojechać windą sama. Wtedy nikt nic nie wiedział, więc się musieliśmy zmobilizować. Myśleliśmy, że wirus jest wszędzie – na klamce, torebce foliowej czy tekturze. Dzisiaj boimy się inaczej. Wtedy był strach medyczny. Tak bym go określiła.

Strach jest projekcją przyszłości, naszym wyobrażeniem o niej podlanym sosem niewiedzy. Pamiętasz, „gdy rozum śpi, budzą się demony”…

Wiedzieliśmy wtedy, że mierzymy się z jakąś chorobą, musimy sobie z nią poradzić, dlatego wszystkie ręce na pokład, wprowadzamy lockdown. To się wtedy udało. Dzięki tamtej mobilizacji bardzo szybko „przydusiliśmy” pierwszą falę.

Apokaliptycznie puste ulice, zamknięte kina, teatry, galerie sztuki i te handlowe, ludzie omijający siebie szerokim łukiem podczas spacerów. Puste półki z mydłem, piekielnie drogie rękawiczki i jednorazowe maseczki… Wielkanoc spędzona na tarasie, tylko z synem. Tak zapamiętam ten czas.

Ja go nie pamiętam. Święta spędzałam sama. Teraz jest inny strach. Egzystencjalny. Minęła druga fala, jest trzecia. Dzisiaj to nie jest już kwestia tego, czy się zarazisz, czy nie. To raczej kwestia tego, czy będziesz miała pracę,

czy ją stracisz. Pandemia dotyka nas ekonomicznie. Ludzie ze strachu przed zwolnieniem nie mówią, że się źle czują, idą do pracy. To jest przerażające. Ale rozumiem strach tych ludzi. To się już tak rozlało, że tak szybko tego ściereczką nie zetrzesz.

Naprawdę rozumiesz ludzi wystawiających innych na niebezpieczeństwo w pracy?

No, dobrze. To nie jest kwestia rozumienia. Raczej kwestia przyjęcia do wiadomości, że takie sytuacje istnieją. Ja rozumiem strach o pracę. Niestety, mamy bardzo niewielką wiedzę medyczną jako społeczeństwo. To dlatego, kiedy ktoś powie temu, który nie wierzy w covid, że wirus naprawdę istnieje, to wylewa się na niego wiadro pomyj – najlepiej, żeby taki człowiek uciekł z Internetu albo zmienił nazwisko. Wracając do twojego pytania, jaka jest różnica między tym, który idzie do pracy, bo mu się wydaje, że ma tylko anginę i odsuwa od siebie myśl o covidzie, a tym, który stoi za tobą w sklepie bez dystansu i mówi, że nie włoży maseczki? Pozbawiliśmy się empatii. Jeden się boi i z tego powodu odrzuca empatię, a drugi się nie boi i o empatii też w jego przypadku nie ma co mówić. Nie wspominając już o empatii w stosunku do salowych, pielęgniarek, lekarzy. Jestem lekarskim dzieckiem i mam wielki szacunek dla tych ludzi i ich pracy. Nie boję się widoku sali operacyjnej. Ani skalpela, ani krwi i tego całego szpitalnego krajobrazu. Całkiem niedawno zostałam wpuszczona na salę operacyjną i w specjalnej kamerze i kasku na głowie oglądałam usuwanie laparoskopem woreczka żółciowego. Duże przeżycie. Na usuwanie trzustki już się nie zdecydowałam. Dlaczego o tym mówię? Bo świat medycyny to moje naturalne środowisko, w którym żyłam przez czterdzieści parę lat. Zapach szpitali, lekarskiego fartucha

jest mi doskonale znany. Także jako pacjentowi. Z relacji znajomych lekarzy wynika, że ludziom towarzyszy zwyczajny lęk przed samym szpitalem. Jak widzą te respiratory, rurki, strzykawki, to robi im się słabo na sam ich widok. Do tego lęku przed chorobą, przed śmiercią dochodzi teraz ten związany z utratą pracy i poczucia bezpieczeństwa. To może jeszcze dłużej udawajmy, że koronawirusa nie ma? Katastrofa.

Wiesz, jak teraz brzmi najczęściej powtarzane zdanie, gdy na swoją szczepionkę poczekasz kilka miesięcy albo nawet lat? „Chcę mieć to za sobą”.

Tak. Słyszę, jak ludzie mówią: „Ja już zachorowałem, więc jest okej”. Na jak długo?

Uff, mogę oddychać spokojnie, mogę wychodzić na ulicę, mogę dotykać klamek. Mam przeciwciała, na chwilę jest spokój.

Nadal nie ma pewności, jak długo będziemy odporni, być może od trzech do siedmiu miesięcy. Ostatnio spotkałam się ze znajomym, ale tylko dlatego, że on jest pocovidowcem i spacerowaliśmy na świeżym powietrzu.

Podaliście sobie ręce?

Nie. Uważam, że trzeba mieć pokorę. Wobec covidu także.

Nie wierzysz w zapewnienia, że ozdrowieńcy nie zarażają przynajmniej przez trzy miesiące?

Przyjmuję to do wiadomości, ale swojego zachowania nie zmieniam. Po prostu. Kiedyś mówiłyśmy o tych party…

Koronaparty?

Dostałam zaproszenie na przyjęcie, a raczej spotkanie w większej grupie, może sześć czy osiem osób. Powiedziano nam, że każdy na początku dostanie test. Zresztą to było moje pierwsze pytanie: „Czy nie boicie się, że ktoś się

zarazi”?. Każdy miał dostać test dwudziestominutowy i jak się okaże, że nie ma covidu, to wszyscy usiądą do stołu. Wtedy sobie pomyślałam, jaka jest sprawdzalność tych testów. 50–70 procent?

No właśnie taka.

To ja dziękuję. A jak się okaże, że jestem jedyną osobą w tym towarzystwie, która znalazła się w tych niedobrych 50 procentach i mam tego wirusa? Co wtedy zrobię? Jak wrócę do domu? Mam wsiąść do taksówki i udawać przed kierowcą, że jestem zdrowa? To wszystko się komplikuje. Wydawało nam się, że znamy scenariusz życia i będziemy go realizować. Teraz się okazuje, że po pojedynczych scenach wypadają z tego scenariusza całe odcinki. Nie wiem, czy gdybym miała dzisiaj rodzinę, to czy zabrałabym ją na wakacje nad morze. To znaczy wiem. Nie zabrałabym.

Polskie plaże latem 2020 roku były pełne turystów, a parawany wreszcie miały jakiś sens.

Kiedy ciągle słyszysz sprzeczne informacje – raz wirus jest, raz go nie ma, to niczego nie możesz być pewna.

Tylko że w ludziach jest potworny głód normalności. Tego wszystkiego, czego wcześniej nie docenialiśmy.

Ja przez wiele lat swojego życia walczyłam o to, żeby normalnie chodzić. Gipsy, wyciągi, szyny, kule, gwoździe itd. Miesiące leżenia w łóżku. Mogłam wtedy sobie powiedzieć: „Ojej, ale jestem biedna”, i z tej niesprawności zrobić sobie alibi na życie. Wybrałam inną drogę. Trzeba skakać do tego basenu, jakim jest życie, i trzeba walczyć, żeby nie pójść na dno. Jako piętnastolatka leżałam półtora roku na wyciągu i każdą nogę miałam obciążoną trzykilogramowym ciężarkiem. To może dlatego dla mnie niepojechanie raz na wakacje nie jest żadnym problemem. I żeby

było jasne: nie mam w Warszawie domu z basenem, kilkuhektarowym ogrodem i trampoliną. Po prostu przyjmuję to, co za oknem, z pokorą. W Polsce w zeszłym roku zaszczepiło się przeciwko grypie trzy procent populacji. W Niemczech 78 procent. A ty mówisz o powrocie do normalności?

W Polsce dwa miliony, w Niemczech ponad 65 milionów.

Czy to świadczy o tym, że oni są strachliwi? Być może. Ale także o tym, że mają zaufanie do swoich lekarzy, wierzą w medycynę. Ich zaufanie nie zostało nigdy nadszarpnięte. Ja też w tym roku się zaszczepiłam przeciwko grypie i pneumokokom, bo słuchałam wypowiedzi profesora Krzysztofa Simona. Przy okazji, to jest właśnie lekarz, który odbierze słuchawkę w swoim gabinecie, jak przechodzi obok dzwoniącego telefonu, a nie będzie czekał na to, aż podejdzie sekretarka i go połączy. Sprawdziłam to, kiedy dzwoniłam do jego szpitala z informacją, że nasza fundacja Ludzki Gest Kuby Błaszczykowskiego chce im przekazać maseczki, które sprowadziliśmy. Nie miałam jeszcze wtedy prywatnej komórki profesora, zadzwoniłam na ogólnie dostępny numer, odebrał. Hurra! O takich lekarzach to się mówi, że oni się na każdą wojnę nadają.

Mówisz o stosunku do szczepień w Polsce i w Niemczech, a także o szacunku do lekarzy, który u nas ewidentnie gdzieś się zapodział. Doktor Bartosz Fiałek, reumatolog, niestrudzony w informowaniu o pandemii i covidzie, opowiadał mi ostatnio, że dostaje wiadomości z życzeniem mu śmierci albo ostrzeżenia – żeby przestał „gadać te głupoty”, bo inaczej coś złego stanie się jego bliskim.

Porażające i niepojęte. Hejt jest polską specjalnością także w stosunku do lekarzy i pielęgniarek, jeśli się na przykład okaże, że któreś z nich pracuje w szpitalu na oddziale co-

vidowym. Jestem w stanie zrozumieć strach, kiedy się czegoś nie rozumie, ale nienawiści nie pojmuję. Widziałaś, jak ludzie zachowywali się w Hiszpanii czy we Włoszech. A przecież oni są tacy sami jak my, tyle tylko że to Włosi i Hiszpanie. Oni bili brawo, a my hejtujemy. Jesteśmy przedziwni…

W Polsce też bili brawo na początku. Potem był hejt.

Brawa były, chociaż zaczynam podejrzewać, że i motywacja bywała różna. Żeby na przykład pokazać, że my też tak potrafimy. Nie było tak, że Polacy wyszli pierwsi, zaczęli bić na balkonie brawo, a wtedy za ich przykładem poszli Włosi i Hiszpanie.

My nie zaczęliśmy. Zgadzam się.

No właśnie. To nie my zaczęliśmy bić brawo. Szkoda, że jeszcze nie poszliśmy na rekord bicia brawa. Nigdy tego nie rozumiałam. Najważniejszym zawodem świata jest zawód lekarza. To jest nasze „być albo nie być”. Każdego z nas.

Zgadzam się.

My się zajmujemy tysiącem pierdół, boimy się różnych rzeczy, a tak naprawdę, kiedy przychodzi co do czego, to przecież lekarz jest panem twojego życia i twojej śmierci. A my tego nie szanujemy. Były na początku takie momenty, kiedy lekarze nie mieli ochraniaczy i zakładali worki na śmieci na nogi, żeby się chronić. Szli walczyć z pandemią jak w czasie wojny lekarze polowi na front. Niemcy mają teraz też ogromne problemy, jeśli chodzi o kadrę, o respiratory itd. Mówią o tym samym co my, tylko w innym kontekście, bo mają jednak zaplecze i funkcjonującą ochronę zdrowia.

Rozmawiałam też z pielęgniarką, która pracuje na oddziale covidowym. „Pracujemy po 12–14 godzin na dyżurze” – mówiła. „Nie możemy brać wolnego, bo wtedy nasza szefowa mówi nam, że w takim razie będzie musiała przyjść Zośka albo Kaśka. Jest presja. Ty musisz przyjść. Nawet jak jesteś pozytywna, to masz przyjść na dyżur, przecież i tak pracujesz z chorymi, przestań się pieścić”.

Bić im brawo? Ta pielęgniarka powiedziała: „Wie pani, ja nie chcę już tych braw, mnie już irytują te brawa. Nie chcę tego słyszeć. Ja naprawdę jestem po prostu zmęczona. Nie mam już przestrzeni na mojego syna, na moją córkę w domu. Boję się podejść do moich dzieci, bo nie jestem pewna, czy nasze procedury, czy nasze śluzy, czy nasze wszystkie kąpiele sprawią, że jestem czysta i czy mogę się bezpiecznie do nich przytulić”.

Słuchaj. To jest właśnie wspaniałe w ludziach, że przynajmniej na początku pandemii nosili pod szpitale wody mineralne, środki czystości, jedzenie. Wspaniałe jest też to, że byli lekarze, którzy robili sami śluzy w szpitalach. A z drugiej strony to jest przecież straszne.

Straszne, bo to ludzie na początku próbowali zastąpić system i jakoś sobie dać radę?

Bo jest XXI wiek. Z drugiej strony pojawił się wirus, który zmiótł wszystko jak w średniowieczu. Wiesz, dlaczego tak wiele osób umierało na hiszpankę? Między innymi dlatego, że w tym czasie pojawiła się aspiryna, którą ludzie otrzymywali w olbrzymich dawkach. To powodowało, że rozpadały się im wątroby i występowały liczne krwotoki. Ludzie umierali też z tego powodu. Kiedyś była hiszpanka, dzisiaj jest koronawirus, a za drzwiami cały czas czają się ebola i inne wirusy, z którymi naprawdę sobie dobrze nie radzimy. Jest więc sytuacja, że tak naprawdę to możemy

także pomóc sobie sami. Dobrze mieć taką świadomość, bo ona może się w życiu przydać w różnych momentach. Być może wtedy, kiedy trzeba będzie zrezygnować z oczekiwań, właśnie z wakacji, wyciągów, nart. Wiadomo, każdy chce pojechać, odetchnąć, posłuchać szumu fal. Trzeba sobie teraz powiedzieć: „Dobra, teraz wybieram podstawowe wartości, jakimi są troska o drugiego człowieka, chęć przeżycia i samo życie". Wtedy też pomagam tej pielęgniarce, o której mówisz. Wiem, że to brzmi idealistycznie czy wręcz pompatycznie, ale o to właśnie w tym chodzi. Noszenie maseczki, zachowywanie dystansu to jest nasza prywatna, indywidualna walka z koronawirusem.

Widziałaś ludzi, którzy zostawiają zakupy przed szpitalem?

Widziałam.

Naprawdę? Ja nie.

Widziałam w telewizji.

Takie sceny tak, ale na żywo nie widziałam tego nigdy. Nie chcę w związku z tym powiedzieć, że to są statyści grający w jakimś filmie, którzy przynoszą te siatki, akurat kiedy jest tam kamera, ale zastanawiam się, czy rzeczywiście covid pokazał w nas dobro i to, co szlachetne.

Myślę, że tak jest ze wszystkim. Cokolwiek się dzieje, my przynajmniej na samym początku potrafimy się zachować. Nie okazujemy jeszcze tylko wystarczającej empatii tym, którzy giną na łodziach na morzu. To straszne, kiedy uświadomisz sobie, że gdzieś tam jest łódka, a na niej kobiety, dzieci, nie terroryści, jak próbuje się nas przekonać, i ta łódka idzie na dno, a my sobie teraz rozmawiamy przez Skype'a. Ja to porównuję do Holocaustu. Byli ludzie, którzy wiedzieli, że za murem jest getto, a byli tacy, którzy to wypierali, prawda? Jak to się stało, że Niemcy jako spo-

łeczeństwo pozbierali się po tym, co zrobili światu? Bo odrobili lekcję pokuty, nie odwrócili się od krzywd i zbrodni, które wyrządzili innym. No więc my sobie tutaj rozmawiamy o koronawirusie, maseczkach i rękawiczkach, które nosimy, a tymczasem w tym brudzie, smrodzie, moczu i z chorobą morską ludzie uciekają przed swoją inną wojną. Innym „koronawirusem”.

I nikt ich tutaj nie chce.

I nikt ich nie chce. Można też zrozumieć tych, którzy mieszkają na Lampedusie, że już nie mogą znieść ciągłego napływu uciekinierów, bo ich życie całkowicie się zmieniło. Nie mają ani biznesu, ani poczucia bezpieczeństwa, ani środków do życia, ani turystów. Wiesz, co się dzieje na greckiej wyspie Kos? I to się będzie działo dalej. Jest takie zdanie Ryszarda Kapuścińskiego, które pomaga mi określić wielkość człowieka jako obserwatora świata: „XXI wiek będzie wiekiem Innego”. Albo to zaakceptujesz i jak się postarasz, to odnajdziesz się w życiu, albo będziesz miał w nim i z nim problemy. Inny to też dla wielu „koronawirus”. Kiedy zaczęła się pandemia, rozbolał mnie ząb. Ale jak mój najlepszy dentysta świata, Czarek, przysłał mi zdjęcie siebie w masce jak z kopalni, to mi przeszedł ból. Mimo że wiedziałam, że będę obstawiona tymi wszystkimi śluzami.

Sama widzisz – wszystko jest w głowie, myśli mogą stwarzać rzeczywistość, cytując klasyka.

Mam jeszcze jedną zasadę. Choć nie mieszkam razem z moją mamą, to jesteśmy bardzo blisko i utrzymujemy stały kontakt. Ale jeśli się z kimś spotkam, nawet na zewnątrz, to odliczam pięć dni do kolejnej wizyty. Dopiero jak minie pięć dni, jadę do mamy. I się tego trzymam. Nie mam dziś także dwudziestu lat, żeby sobie powiedzieć:

„Come on, Domagalik, wszystko przed tobą”. Na pewno wszystko już nie. Kiedy byłam nastolatką, dość krnąbrną swoją drogą, i pojawiał się jakiś problem, to radziłam się rodziców. Oczywiście zawsze miałam inne zdanie niż oni. Teraz się z tego śmieję, ale mój tata mawiał wtedy tak: „Kategorycznie się na to czy na tamto nie zgadzam”, a potem dodawał: „Rób, co chcesz, ale pamiętaj, że ja całkowicie umywam od tego ręce”. Wystarczało, żeby ta krnąbrna nastolatka stwierdzała, że on ma rację. Bunt dla samego buntu nie ma sensu. Do dzisiaj się tym kieruję. Ciężko mi było nie pójść na cmentarz do taty, ale kiedy wiał wiatr albo lało i już się wybierałam, to jakbym słyszała z góry: „Ale po co? Wiem, że mnie kochasz, ale kategorycznie zabraniam, bo ci może spaść drzewo na głowę albo stanie się coś innego”. To jest kwestia ustawienia się w takiej, a nie innej perspektywie, i pamiętania każdego dnia, że nie jesteśmy panami świata.

Byłaś zła, kiedy zamknięto Powązki i wszystkie cmentarze tuż przed świętem 1 listopada?

Byłam wstrząśnięta sposobem, w jaki to zrobiono. Po prostu często odwiedzam grób taty. Odwiedzam jeden cmentarz w Warszawie i „mam” panią Małgosię, która sprzedaje tam kwiaty i zawsze pójdzie zapalić światełko, gdy ja nie mogę. To jest wspaniałe. Widzisz. Mam człowieka, który obdziela mnie swoją empatią. Covid spowodował, że też zaczęliśmy sprawdzać ludzi. Wzięłam notes i zadzwoniłam do wszystkich osób, które nie spodziewały się, że zadzwonię. Nie do tych, z którymi mam stały kontakty, ale wszystkich innych. Żeby powiedzieć im, że jeśli będę mogła, to pomogę. Pani Małgosia, jak tylko mogła, to zapalała znicz u taty. W życiu trzeba dużo rozmawiać i czas pandemii to jest właśnie ten moment, żeby to robić. Mimo że mojego

ojca już nie ma, ja wiem, jak nasze rozmowy by przebiegały, gdyby żył. To daje wielką siłę. Od dziesięciu lat na oparciu mojego fotela leży ukochany sweter mojego taty. To daje mi poczucie, że jest ze mną cały czas.

W wielu domach lockdown skończył się pozwami rozwodowymi, a w najlepszym wypadku terapiami rodzinnymi.

Może na szczęście. Sama jestem trzykrotną rozwódką. A tak serio, to czasem najlepsze wyjście. Przecież w wielu domach przemoc domowa to jest piekło.

Jasne, ale to oznacza, że podejmowaliśmy decyzję o byciu z kimś albo na etapie motyli w brzuchu, albo nie znaliśmy w ogóle tego człowieka, albo dopiero teraz sprawdziliśmy jego charakter, zachowania w przestrzeni, której nie było wcześniej.

W XVII albo XVIII wieku ludzie średnio jako małżeństwa przeżywali ze sobą siedem lat. Działo się tak, ponieważ różnica wieku między mężem a żoną była tak duża, że kobieta szybko zostawała wdową. W życiu wszystko jest po coś. Dzisiaj nam się wydaje, że fajnie jest wyjść za mąż, potem fajnie się rozwieść. Ja ze swoim ostatnim mężem, który pozostał moim prawdziwym przyjacielem, byłam dwadzieścia trzy lata. Uznaliśmy, że to kawał czasu. Chyba wszystko sobie powiedzieliśmy. Nie możemy także zapominać o przemocy ekonomicznej w wielu związkach. Ta w czasach pandemii przybiera na sile. Co z tego, że kobieta nie chce być ze swoim mężem, skoro nie ma gdzie pójść, bo nie ma pieniędzy, pracy? Zanim zadzwoniłaś, to słyszałam newsa, że jak tak dalej pójdzie z emeryturami, to średnia emerytura kobiet będzie wynosiła tysiąc dwieście złotych. Może koronawirus uświadomi wszystkim, jaką nieprawdą było wmawianie kobietom, że wcześniejsza emerytura jest cudowna. Tak naprawdę szukam pozytywów w koronawirusie i powiem ci…

Sama powiedziałaś przed chwilą, że wszystko się dzieje w życiu po coś.

Koronawirus być może nauczy nas jednego: że nic nie wiadomo, że niczego nie możemy być pewni na sto procent.

Sokretejskie „Wiem, że nic nie wiem”?

Tu chodzi też o coś innego. To raczej dotyczy twojego IQ, szarych komórek i tego, na ile i czy chcesz eksplorować przestrzeń dookoła siebie. Chodzi o to, że nic nie wiadomo. Nie o to, że nic nie wiem. Nie wiadomo, jak będzie za miesiąc czy za rok. Nie wiadomo, czy możesz wyjść za mąż, czy zdążysz się z kimś pożegnać. Czy pojeździsz na stoku, czy przeżyjesz…

Zastanawiam się, czy odwiedzić rodziców. Są po siedemdziesiątce.

Zrób test i pojedź. To jest właśnie perspektywa. Ty się zastanawiasz, czy odwiedzić rodziców, a jeden z moich znajomych dzisiaj powiedział mi, że leci właśnie na tydzień do Hiszpanii – ma tam dom. Zrobi test w piątek i poleci. Tydzień przed tym, jak zaczęło się naprawdę walić we wrześniu, moja mama właściwie umierała. Nie z powodu covidu. Powiedziała mi wtedy, że już nie ma siły na życie, że się poddaje. Patrzyłam na nią, bo zawsze emocje zostawiam na później, i myślę: „To jest ten moment. Żegnamy się”. Bez kontaktu. Bez niczego. Wtedy też moje przyjaciółki lekarki mówiły, żeby nie zabierać jej do szpitala, bo mama tego nie przeżyje. Jest koronawirus. A kiedy przyszły wyniki badań, to powiedziały, że natychmiast trzeba ją tam zawieźć, bo inaczej nie przetrwa kilku następnych godzin. Mama wyszła z tego śpiewająco, mogłabym nawet powiedzieć, że jest lepiej niż przed tym wszystkim. Tymczasem ja się zmierzyłam z tym podwójnym lękiem. Przed śmiercią i przed covidem. Do tego dochodzi strach przed

niezrealizowaniem tak zwanego planu na życie. Na każdym jego etapie. Ktoś chciał pojechać na studia, ktoś chciał wyjść za mąż, ktoś budował dom, ktoś złożył aplikację i miał pracować.

Syn znajomych dostał się na Oksford i bierze udział w zajęciach, siedząc w Warszawie na Chocimskiej przed komputerem. I żeby tylko o takie sprawy chodziło.

Ja nie pojechałam do Nowej Zelandii, wybrałam mamę. Podjęłam taką decyzję. Kiedy robiłam program w TVN24 *Ona i on* i właśnie miałam nagrywać następny sezon, zaczął umierać mój tata. Program był emitowany w soboty na żywo. Bardzo chciałam przy nim pracować. Musiałam jednak wybrać i zrezygnowałam z kolejnego sezonu. I choć włodarze tej stacji tego nie rozumieli, to co tydzień latałam do Wrocławia, żeby przez trzy kolejne miesiące towarzyszyć ojcu w jego odchodzeniu. Teraz wybrałam mamę, a nie Nową Zelandię.

Czy pandemia to jest jakiś eksperyment społeczny, tak to rozumiesz?

To by było za proste. Pewnie cię to rozbawi, ale mam znajomych, którzy piszą mądre rozprawy naukowe, a w prywatnych rozmowach ze mną cytują jasnowidzów. Jesteśmy otoczeni watą cukrową, ona jest do nas mocno przyczepiona. Kiedy wyciągamy rękę, żeby coś złapać, i już się nam wydaje… To jest taki moment, żeby może coś zrewidować, choć w sumie to też takie literackie. Mam taką sytuację życiową, że mogę sobie więcej poczytać, piszę nową książkę i dość idealistycznie podchodzę w niej do miłości jako takiej. Mówię o tym dlatego, że to się wiąże z tym, co powiedziałaś, że najpierw przyrzekamy sobie miłość do śmierci, kiedy mamy motyle w brzuchu. Wiesz, jak Niemcy je nazywają? „Samolot w brzuchu”. Już wiesz, dlaczego

musisz się rozwieść z Niemcem po dwudziestu trzech latach. Żartuję. Albo na przykład kiedy ktoś przestrzeli karnego, to my mówimy: „strzelił Panu Bogu w okno”, a Niemcy „strzelił na następną autostradę”. To są te takie małe różnice, które są powodem dużych katastrof.

Dlaczego uważasz, że rozbawi mnie to, że twoi znajomi sięgają po porady wizjonerów i wróżek zza siedmiu mórz? Wcale mnie to nie śmieszy. Z bezradności robi się wiele rzeczy.

Wiesz co? Spędziłam dużo czasu z kimś, kto gra w kości.

Przez telefon, na Skypie?

Nie, zawsze face to face. I wiesz co? To jest coś nieprawdopodobnego, ponieważ ten człowiek mówi tak: „A teraz rzucę strita”. Patrzymy i on to rzuca.

Kości są znaczone?

Nie, on po prostu rzuca i to wypada. Twierdzi, że to jest kwestia wiary, takiego silnego przekonania, że właśnie to wypadnie. Ja natomiast rzucałam bez przekonania i kilka razy wygrałam. To spowodowało, że ten człowiek już o siódmej rano, a lubi spać do dwunastej, czekał na mnie na dole, żebym zjadła śniadanie i przegrała następną partię. A on wygrał. To też dobra w kontekście koronawirusa postawa życiowa. Nie poddawać się w walce.

Siła przekonania. Wierzę, że może zdziałać cuda… Weźmiesz szczepionkę przeciwko covidowi?

Słyszę, że główny lekarz w Stanach mówi, że trzeba ostrożnie do niej podchodzić. To będzie taki sprawdzian dla wszystkich – nie wiadomo, czy każdy to przetrwa, czy ludzie się nie wystraszą tego, że po pierwszej dawce będą mieć objawy covidowe. Nic tak naprawdę nie wiemy. Słyszę też jednak, że jak 70 procent społeczeństwa się wyszczepi, to pandemia odejdzie. Z drugiej strony, docierają

do ciebie informacje, że ktoś młody i silny umiera. Tak, zaszczepię się.

Tak. Jest teoria, która mówi, że im silniejsza twoja immunologia, tym silniejszy covid, z którym się mierzysz.

Mam jeszcze jedno spostrzeżenie. W Polsce, moim ukochanym kraju nad Wisłą, strach przed covidem okazał się słabszy niż chęć i prawo do życia po swojemu, życia według własnego dekalogu. Myślę teraz o kobietach, które wyszły na ulice. Ktoś celnie zauważył: „Zrobiliście coś strasznego. Rozdrażniliście lwice. One wam tego nie darują, bo każda lwica będzie broniła swojego dziecka do ostatniej kropli krwi". Dotyczy to także prokreacji, seksu, miłości. Covid z nimi przegrał, a z drugiej strony widzisz ludzi z NASA w maseczkach na twarzy, mimo że przed chwilą „zdobyli" Marsa.

Zauważ, że dużo młodych wyszło na ulice. Bo to jest ich protest… Można patrzeć na coś z perspektywy żaby, ale można też z lotu ptaka. Perspektywa żaby to m.in. statystyka. Teraz się okazało, że dla tych młodych ludzi, którzy się kochają, którzy uprawiają seks, którzy są przyzwyczajeni do wolności, bo urodzili się w wolnym kraju, ta ingerencja w ich życie, zaglądanie im pod kołdrę, decydowanie o ich sprawach w brutalny sposób, są nie do przyjęcia. Oczywiście, decyzja zawsze należy do kobiety. Ale to są dwa różne doświadczenia – z jednej jest prawo do życia, a z drugiej walka o życie i godną śmierć, pomimo covidu. I okazało się, że to jest silniejsze. Kobiety się nie przestraszyły zarazy nie dlatego, że są głupie, niewykształcone, tylko dlatego, że postanowiono im zabrać prawo decydowania o sobie. W jakimś sensie prawo do kochania życia.

Byłaś na tym proteście?

Nie byłam z powodu mamy. Nie mogę tak ryzykować i przynieść osiemdziesięciosiedmioletniej kobiecie wirusa. Ale całym sercem jestem ze wszystkimi kobietami i wspieram je wszędzie, gdzie mogę.

Czy to jest rewolucja, która pójdzie dalej, której nic nie zatrzyma, nawet policja? Słyszałaś o mundurowych, którzy weszli do domu czternastolatka, bo przeczytali na Facebooku, że…

Tak, tak.

Zapowiedział strajk w jakiejś małej miejscowości i w związku z tym zrobili z niego prowodyra i organizatora.

Dodałabym jeszcze, że wyjście w małej miejscowości z plakatem to…

…duża odwaga.

Ogromna, bo tam zaraz jakaś sąsiadka skomentuje, kto poszedł, a kto nie. Poza tym, kurwa mać, nie życzę sobie, żeby o życiu moim, moich koleżanek i ich dzieci, milionów kobiet, decydowało paru facetów czy nawet stu facetów. Po prostu nie! Jak to lubią powtarzać politycy, z różnych zresztą frakcji, nie ma na to mojej zgody.

Trybunałem Konstytucyjnym kieruje kobieta.

Wyjątek tylko potwierdza regułę.

Miało nie być politycznie, ale jak tu nie spytać, jak jako dziennikarka czytałaś wiadomości o covidzie, które pojawiały się w związku z wyborami. I tymi w Polsce, i tymi w Stanach.

Czy iść, czy nie iść?

Tak.

Czytałam to wszystko jako córka lekarza także. Tak, czytałam.

„Nic się nie dzieje, idźcie na wybory”?

Ja poszłam na wybory. I miałam to szczęście, że jedna z przyjaciółek lekarek zaopatrzyła mnie w jakąś nadzwyczajną maseczkę na pierwszą i drugą turę. Widziałam mnóstwo młodych ludzi na wyborach. Jeszcze raz pokonali strach, poszli. Bo chodziło o ich wybór. O ich decyzję. Mogłoby się więc wydawać, że nam ten covid niestraszny, ale to nieprawda. Powinniśmy się go bać. Przeraża mnie też to, że ja o prawach kobiet pisałam piętnaście, dwadzieścia, trzydzieści lat temu. Pisano o mnie, że jestem pierwszą feministką III Rzeczpospolitej i dziś mam poczucie, że teraz wracamy do punktu wyjścia. Rozumiem, że ten pierwotny wątek aborcyjny jest łączony z innym, ale boję się, że sedno sprawy zniknie nam z oczu i już nie będziemy wszyscy wiedzieli, o co chodzi. Czekam na moment, kiedy wrócimy do autorytetów. Do osób, na których opiniach można się oprzeć. Ludzie się śmieją, że na ulice wyszły czternasto- i piętnastolatki, że co one mogą wiedzieć. One wiedzą więcej niż ja, gdy miałam piętnaście lat. Nie można się odklejać od rzeczywistości.

To na pewno. Ich świat jest inny niż twój i mój.

Czy uważam, że jest lepszy? Nie, jest inny i dlatego na przykład pierwszy raz, czegokolwiek dotyczy, powinien mieć swoje miejsce, czas i okoliczności. Tak uważam, ale to moje życie.

One dojrzewają w bardzo szczególnym czasie.

Ale one dojrzewają w wolnym kraju, w którym nie powinno się odbierać im podstawowych praw. A tym jest decydowanie, ze wszystkimi konsekwencjami, o własnym życiu.

Covid będzie ich doświadczeniem pokoleniowym. Zastanawiam się, czy Strajk Kobiet też będzie ich rewolucją. Czy będzie ich

„Solidarnością”.

Covid nie, bo oni covidowi powiedzieli w jakimś sensie „spierdalaj”. Ich doświadczeniem będzie to, że – mimo zarazy – wyszli na ulicę. Pierwszy raz mogli powiedzieć „nie”. Ludzie nie przestraszyli się covidu, co musiało ogromnie zdziwić władzę, która tego nie przewidziała. Zresztą nikt tego nie przewidział. Tobie pewnie też zrobiło się słabo, jak zobaczyłaś na ulicach w Warszawie sto tysięcy ludzi. Z jednej strony imponująca solidarność. Znowu pokazywały nas media na całym świecie, ale jak oglądał to jakiś wirusolog, to musiał się złapać za głowę. Bo to przyprawiało o zawrót głowy. Z tysiąca powodów. Tłum to jest wielka siła.

To prawda.

Ale to nie jest doświadczenie covidu. Paradoksalnie, okazało się, że są wartości w życiu człowieka, które są ważniejsze niż strach przed śmiercią. Znów myślę o tym ojcu, który nie skoczył. A może nie umiał pływać? Ja cię nie muszę pytać, czy ty byś skoczyła, prawda? Kobiety są właśnie jak te lwice. Człowiek pokazał, że jest silniejszy niż covid.

Gdyby jednak na ulice wyszła ta druga strona, która jest przeciwna aborcji, to pewnie też by były tłumy.

Słuchaj, idę o wielki zakład, że 95 procent tych tłumów stanowiliby mężczyźni.

Niewykluczone.

No właśnie. A ta sprawa dotyczy kobiet.

Jak w *Opowieści podręcznej*.

Czytałam, zanim książka stała się popularna w Polsce. Nie wiedziałam wtedy dużo o Margaret Atwood, ale kupiłam tę książkę w Londynie, przepięknie wydaną. Profesor Dębski, którego obie znałyśmy…

Nieodżałowany, wspaniały lekarz, ginekolog i położnik. Wiele mu zawdzięczam.

Co on sobie teraz myśli, kiedy patrzy na to wszystko? Był w stanie zoperować serduszko wielkości pięćdziesięciogroszówki. Lekarz, który równie mocno kochał nienarodzone dziecko, jak i jego matkę. Prawda? Każdy normalnie i empatycznie myślący człowiek wie, że taka decyzja dla kobiety to jest coś potwornego. Być może za tymi ludźmi, którzy dzisiaj mają siedemdziesiąt lat i decydują o życiu młodych kobiet, ciągnie się jakiś strach przed wiedzą, przed zapomnianym. Może oni nigdy nie słyszeli o Simone de Beauvoir albo Boyu-Żeleńskim. Wiesz, tak patrzę na tych facetów, którzy z takim przekonaniem bronią życia nienarodzonego… Ostatnio miałam okazję rozmawiać z ojcem dominikaninem, który prowadzi miesięcznik „W drodze”. Zadzwonił do mnie i trochę pogadaliśmy, m.in. właśnie o wierze. W rozmowie ze mną stwierdził, że to, że mam pytania czy wątpliwości, absolutnie mnie nie wyklucza ze społeczności katolickiej. Musimy jednak przyjąć do wiadomości, że Polska jest państwem świeckim. Po prostu. Czy koronawirus nam to także uzmysłowił? Nie wiem.

To trochę jak stwierdzenia, że cierpienie uszlachetnia albo czas leczy rany. Oba to bzdury.

Przypomniało mi się teraz, że jak byłam małym dzieckiem, to lubiłam się drażnić z mamą, że dotknę pieca. Ciągle pytałam mamę: „A co się stanie?”. W końcu po trzech dniach tych nieustannych pytań, mama powiedziała: „Dotknij”. No i dotknęłam. Sprawdziłam. I więcej już nie pytałam „A co się stanie?”. Teraz my wszyscy musimy się sprawdzić. Ludzie często nie mają wyboru, muszą wstać do pracy, „usiąść na kasie”. Nie mogą sobie zdalnie popracować. Nie mogę zrozumieć też decyzji o tym, żeby nagle małe

dzieci nadal musiały chodzić do szkoły. W czasie wojny przez sześć lat dzieci się nie uczyły. I wyszli z tego pokolenia fajni, mądrzy ludzie. Dzisiaj mamy podziemne kawiarnie. Myślę, że zamiast, za przeproszeniem, zawracać dzieciom tyłki, powinniśmy rozmawiać z nimi o emocjach. Trzeba się pogodzić z tym, że ten rok będzie inny.

To jest pokolenie, które nie radzi sobie z emocjami. W Polsce mamy największy odsetek samobójstw wśród młodych ludzi.

Wiele prób samobójczych jest kwalifikowanych jako wypadki. Kiedy mieszkałam w Finlandii, to ten „ranking" największej liczby samobójstw wyglądał tak: pierwsze miejsce Japonia, drugie – Węgry (zaskakujące), trzecie – Finlandia. Czy ty zauważyłaś, ile jest informacji o tym, że ktoś wypadł z okna? Coraz więcej. Młoda kobieta, młody mężczyzna… Nasza psychika tego wszystkiego nie wytrzyma. Dobrze, że zwróciłaś uwagę na to, że jesteśmy szorowani emocjami. Każdy ma swoją wersję katastrofy smoleńskiej. Pamiętam, jak rozmawiałyśmy na ten temat, czułam się w sumie wtedy podle. Robiłyśmy numer…

Październikowy, Małgosiu. 2010 rok, pół roku po.

Zrobiłyśmy tę rozmowę po kilku miesiącach. Naprawdę doceniam, że się na to zgodziłaś, zresztą dzięki Leszkowi Czajce. Wiedziałam, że tu nie chodzi o żadną sensację, tylko o to, że ty, dzieląc się swoimi emocjami, sprawiłaś, że wszyscy zobaczyli w tobie człowieka. Pamiętasz, sesję zrobiliśmy we Włoszech, żeby tutaj nikt za tobą nie chodził. To był też pierwszy i ostatni raz w historii „Pani", kiedy sprzedał się cały nakład, co do jednego egzemplarza. Ja też straciłam w tym samolocie wielu znajomych, m.in. swoją kumpelkę Krysię Bochenek. My tak od tamtych emocji lecimy przez te wszystkie lata, cały czas w powie-

trzu… Nie wiem, co sobie myślisz, kiedy słuchasz, że wybuchła puszka z parówkami?

To na inną rozmowę, Małgosiu.

Ale wiesz, o co chodzi. My przeżywamy nieprawdopodobne emocje. Z jednej strony mamy katastrofę smoleńską. Z drugiej mamy koronawirusa. I pytam się, ile człowiek może jeszcze wytrzymać? Z drugiej strony ja nigdy nie spałam tak dobrze jak teraz. Biorę kubek herbaty do ręki i zasypiam. Stres okołocovidowy mnie tak zmęczył, że śpię jak nigdy dotąd. Mam też szczęście, że mogę jeszcze z kimś pogadać, rozładować emocje.

Wiesz, ale też umiesz nazywać te emocje i nimi zarządzać.

Dobrze, że to powiedziałaś. Umiem o nich opowiedzieć, ale czy potrafię nimi zarządzać? Nie jestem tego już taka pewna.

To jest umiejętność, której nie uczą w żadnej szkole ani której nie znajdzie się w żadnej lekturze, mimo że lista tego, co dzieciaki czytają, jest już fantastycznym powodem do tego, żeby gadać z nimi o tym, co się czuje.

Ktoś, kto jest dla mnie wzorem, powiedział, że szczerze mi zazdrości tego, że mówię otwarcie o emocjach, że je z siebie wyrzucam i dzielę się nimi z innymi. To, co powiedziałaś, jest fundamentalne. Tylko jak mamy przejść w szkole kurs emocji, skoro mówienie o nich jest na przykład niepatriotyczne? Niepoprawne? Nieeleganckie? Choć jestem katoliczką, to nie leżę krzyżem w kościele i nigdy też nie miałam ślubu kościelnego. Mimo wszystko uważam, że Pan Bóg, jak już przyjdzie co do czego, to mi swoją ocenę wystawi, a na razie mnie obserwuje. Tymczasem ciągle słyszę: „Nie jesteś patriotką, nie jesteś katoliczką, nie je-

steś człowiekiem, nie masz prawa, nie możesz, nie powinnaś”.

Dam ci przykład – *Mały Książę*. Zastanawiam się, dlaczego dzieci w szkole nie rozmawiają o tym, co czuł Kapitan, przy którym umierał Mały Książę? Co czuł chłopiec, który samotnie oglądał świat, kochał Różę, patrzył na Pijaka, Króla, Latarnika, Bankiera czy Geografa. Dlaczego o tym się z dziećmi nie rozmawia? Dlaczego nie tłumaczy się im, że złość jest w porządku, że strach może być dobry, jeśli przed czymś ostrzega? Impuls do rozmowy o dużych, poważnych sprawach.

Pamiętasz książkę *Chłopcy z placu broni*?

Oczywiście.

Trzeba więc budować pokolenie, które nie będzie się bało otworzyć drzwi i wyjść z domu. Trzeba rozmawiać, pokazywać świat, przekonywać, że ten „Inny” od Kapuścińskiego jest dobry. Spójrzmy na problem rasizmu w Stanach. To porażające rzeczy. Porażające. Chciałabym jeszcze coś powiedzieć o LGBT. Nigdy nie miałam z tym żadnego problemu. Jestem wdzięczna losowi za to, że miałam takich rodziców w tamtych innych czasach. Przyjaźnili się z gejami, nie robili w swoim życiu przestrzeni wolnych od „Innych”…

Wtedy to nie było oczywiste.

Ktoś znowu coś przeoczył dzisiaj. Nie ma sensu straszyć młodych ludzi LGBT, skoro każdy z nich dzisiaj ma kumpelkę lesbijkę, kumpla geja. Bo młodzież wtedy myśli: „Chwileczkę, oni mówią o Franku. Oni mówią o Zosi. A co im przeszkadzają Jurek z Wojtkiem?”. Moi bardzo skądinąd tolerancyjni znajomi z Niemiec mówią: „Wiesz, Malu, niech to się nazywa, jak chce, ale jesteśmy za tym, żeby

słowem »małżeństwo« nazywać kobietę i mężczyznę”. Chodzi o samą definicję, a nie o fakt społeczny.

Lubisz jasne definicje?

Gdybym była gejem czy lesbijką, to zwisałoby mi kompletnie, jak nazwie mój związek jakiś urzędnik. Kiedyś w moim programie *Gorączka* w TVP2 wystąpił Lech Kaczyński, który był wtedy prezydentem Warszawy. Drugim rozmówcą był Maciej Zień. Siedzieli w studiu razem. Lech Kaczyński słuchał z uwagą o problemach, z jakimi mierzy się środowisko gejowskie – że nie mogą dostać informacji o stanie zdrowia swojego partnera, kiedy ten jest w szpitalu itd. Nie wiem, czy udawał, ale słuchał. Nie było w nim żadnej agresji. I o tym powinniśmy opowiadać: że świat jest po prostu piękny dlatego, że jest tak różny. Wieszanie tęczowych flag na kościołach odbieram jako akt desperacji, który jednak w żadnym razie nie obraża mojego katolicyzmu.

Przypominają mi się słowa niezwykłego, tragicznie zmarłego Jana Lityńskiego: „Kiedy czytam pełne oburzenia wypowiedzi, że wieszanie tęczowych flag to obraza uczuć religijnych, profanacja, to ogarnia mnie strach. Nie chodzi o to, czy mnie się podoba, czy nie. Protesty nie mają się podobać. Protesty mają zwracać uwagę”. Wracając do pandemii – myślisz, że wrócą jeszcze normalne czasy? I jeszcze jedno: normalne, czyli jakie?

Nigdy. To jest moja odpowiedź. No chyba że kiedyś covid okaże się po prostu grypą i szybko zapomnimy o tym doświadczeniu. Ale jestem pewna, że do życia wielu ludzi nigdy nie wróci normalność. Spójrz na to, co się dzieje i działo w Brazylii. Nie możemy żegnać bliskich, którzy umierają. Robimy to przez komórki trzymane przy łóżku umierającego przez lekarzy, pielęgniarki. Jak zatem życie ma być takie samo? Ciągle wracam do twoich tragicznych

doświadczeń, bo nie da się od tego uciec. Ty swojemu życiu starasz się nadać tyle normalności, ile się da. Muszę przyznać, że chciałabym być twoim dzieckiem. To, ile czasu poświęcasz swojemu synowi, jest imponujące. Tak pozytywnie. Bo nic nie ma za darmo.

Cudowna inwestycja, najlepsza, jaką robię w życiu.

Tak. Zwłaszcza że przecież mówi się, że synów rodzi się dla świata, a córki dla siebie. Ile twój syn ma lat?

Dwanaście. Jaki będzie świat, w którym on będzie dorastał? Świat w maseczkach i rękawiczkach?

Nie. Obejrzałaś film Davida Attenborough na Netflixie?

Nie, jeszcze nie. Mam to na swojej liście.

Ten film najlepiej pokazuje, co zrobiliśmy ze światem. Tego nie da się już naprawić. W każdym razie życie ludzi, którzy zostali dotknięci covidem, nie będzie już takie samo. Czyli w sumie nas wszystkich. Podobnie jak życie ludzi, którzy stracili bliskich w Smoleńsku. Tego nie wymażesz. To jest coś, co zostaje w twoim psychicznym DNA. Zastanawiam się, kiedy covid mnie dopadnie. Oby jak najpóźniej i najłagodniej. Ale czy ja mam dzisiaj pewność, że on mnie nie dopadnie? Nie, nie mam takiej pewności. Pracuję teraz nad takim projektem, który został wstrzymany z wiadomych powodów, w którym pojawia się pytanie: co pani widzi za oknem? Odpowiadam: widzę świat podczas pandemii. Jaki to świat? Groźny. Z zaburzonym poczuciem bezpieczeństwa. Z tysiącem pytań, na które nie znamy odpowiedzi, poza tą jedną: że już nic nie będzie takie samo. I pada pytanie: to co z tym zrobić? Właśnie. Wracam do emocji, o których mówiłyśmy. Przetrwają ci, dla których ograniczenia są wyzwaniem, którzy mogą nas wspierać swoim autorytetem, którzy mimo wszystko będą szukali

światełek w tunelu, by wyciągnąć nas z tego wszystkiego. Czyli autorytety. Powiedz mi, kto jest teraz autorytetem w naszym kraju?

Mogę wymienić kilku lekarzy, profesorów. Ale takiego, który łączyłby wszystkich – brak.

Mieliśmy prezydenta noblistę, przywódcę „Solidarności". Wiadomo, co się z nim stało. Mieliśmy papieża Polaka, przybysza z dalekiego kraju. Wiadomo, co się za chwilę prawdopodobnie wydarzy, nie unikniemy tego. Mamy noblistkę, która może się podobać albo może się nie podobać, ale nie znam innego kraju na świecie, który zrobiłby tyle, żeby jego noblistka została tak zdeprecjonowana. Na szczęście nie została.

Zastanawiałaś się, dlaczego tak się stało z Olgą Tokarczuk?

No?

Dlatego, że miała odwagę opowiedzieć się po jednej ze stron.

Podsunęłaś mi odpowiedź. Wiesz, na czym teraz będzie polegać siła każdego z nas? Na posiadaniu własnego zdania, definiowaniu własnego strachu i własnych potrzeb. Też mam takie spostrzeżenie jak ty, że wokół mnie jest jeszcze za wiele kółek graniastych. Wiesz, że jestem autorką hasła „Siła jest kobietą"?

Wiem.

Nie zastrzegłam go. Ale jeśli każda kobieta znajdzie w sobie tę lwicę, to damy radę. Najpierw z samymi sobą, a potem ze światem. Lubimy efektowne gesty, zostawiamy talerz dla niespodziewanego gościa w Wigilię. A czy otworzymy dziś temu nieznajomemu drzwi?

Widziałam taki eksperyment w jednej z telewizji, to było jeszcze przed pandemią. W wigilijną noc odwiedzał różne domy czło-

wiek biednie ubrany. Prosił o talerz zupy. Zatrzaskiwano mu drzwi przed nosem. Chociaż każdy miał przygotowany talerz na stole.

Wystarczy w tym momencie powiedzieć „sprawdzam”, prawda? Jestem bardzo tolerancyjna, ale uważam na przykład, że za dużo jest programów, w których jacyś nieznani sobie ludzie gdzieś jadą, dobierają się w pary, kopulują. Na naszych oczach. To jest do wyrzygania. Z tego nic nie zbudujesz. Z tego nic nie będzie. Za dużo mamy takich bodźców. Całkiem niedawno czytałam o badaniach, z pewnością amerykańskich, na podstawie których stwierdzono, że ludzie niedługo nie będą potrafili zbudować zdania podrzędnie złożonego w mowie. Będziemy się posługiwać emotką. A ja mam w nosie emotkę, chcę, żeby facet mi napisał: „I love you, baby”, a nie wysyłał mi emotkę.

Ludzie często teraz opisują siebie właśnie emotkami – wszystko możesz nimi wyrazić: że lubisz jeździć na nartach, lubisz kwiatki, grasz w tenisa.

To niech będzie, że ja jestem najstarszym człowiekiem na świecie i ucieszy mnie, jak ktoś mi po prostu napisze: „Fajnie mi się jeździ na nartach”. Może to zrobić w wolnej chwili. Ale nie chcę żadnych emotek. Chyba że się jedzie na salę operacyjną, to rozumiem. Wtedy trzeba pisać skrótowo. Lubię zdanie, że: „To, co było, jest już nie do odwrócenia, ale to, co będzie, jest nam absolutnie nieznane”. Tyle że to, co się dzieje teraz z nami, jest tym nieznanym. Musimy to przeżyć, zmierzyć się z tym. Przyszłość? Może na razie w planach sobie odpuścić? Jadę do swoich przyjaciół pod Warszawę i nagle widzę samolot na niebie. I jestem poruszona, bo ich tak teraz niewiele. Zauważyłam, że ja dzisiaj, kiedy coś gotowałam, to już nie wyrzucałam wszystkiego jak leci, „bo niedobre, bo został tylko kawa-

łek, bo już nie mam na to ochoty”. Już tak nie robię. Moja babcia opowiadała, że przed wojną robiło się znak krzyża na chlebie, całowało się go, a wyrzucenie kromki chleba w moim domu było czymś absolutnie nagannym.

Moja babcia też tak uważała.

Koronawirus może rzeczywiście miałby sens, gdyby się okazało, że ktoś go sobie wymyślił, żeby w ten sposób nas czegoś nauczyć. Są przecież takie teorie, że wirus powstał, bo jest nas za dużo na świecie. Najpierw się wziąć za starych, a potem za młodych. Tylko że to byłby bardzo okrutny i zbrodniczy „projekt”.

Taki darwinowski dobór naturalny.

Gdybyśmy chcieli nadać temu jakieś znaczenie, dodać do tego jakąś metafizykę, to może covid pojawił się po to, żebyśmy się opamiętali. Tylko jak ja mam się opamiętać, gdy w Meksyku dziewczynka umiera na covid albo w Polsce młody, silny mężczyzna? Jak palimy światełka za wszystkich zmarłych, to zawsze w coś wierzymy. Trzeba w coś wierzyć, żeby nie oszaleć. Wiesz, wczoraj wyszłam z domu bez maseczki. Pierwszy raz zapomniałam. Przypomniałam sobie na moment, jak wygląda twarz w lustrze. Pomyślałam też firmach kosmetycznych, które produkują szminki. Kiedy kobiety zaczną malować usta w domu? Może już to robią? Myślę, że najważniejsze jest teraz to, co powiedziałaś, żeby rozmawiać z ludźmi o emocjach, żeby ich wzmocnić. W końcu to one czynią z nas ludzi, prawda? Tworzymy wtedy łańcuch, który ma indywidualną i jedyną w swoim wyrazie urodę, ale jest silny jak my wszyscy razem.

DOROTA GAWRYLUK

DZIENNIKARKA, SZEFOWA PIONU INFORMACJI
I PUBLICYSTYKI TELEWIZJI POLSAT

JOANNA RACEWICZ: COVID-19 zmienił w jakiś sposób media i newsy?

DOROTA GAWRYLUK: Na pewno wiele się zmieniło od strony technicznej, choćby sposób komunikowania się i łączenia z gośćmi. Nie możemy zapraszać rozmówców do studia, z oczywistych powodów, o wiele trudniej jest nam teraz przeprowadzić debatę, a także wszelkiego rodzaju dyskusje, ponieważ nie widzimy rozmówców, oni z kolei nie widzą twarzy prowadzącego, więc nie wiedzą, czy mówią na przykład za długo czy za krótko. To prowadzi do różnego rodzaju komplikacji. Za tym wszystkim stoi właśnie covid.

To fach, w którym wartością są nie tylko obiektywizm, uczciwość, ale też szybkość. Czy to wciąż obowiązuje? Czy – w kwestii pandemii, w której tle jest śmierć – media wciąż się ścigają? Kto pierwszy? Kto pokaże więcej?

O ile nastąpiła zmiana w sposobie komunikacji, o tyle – jak mi się wydaje – jakość mediów pozostała taka sama. Nie sądzę, żeby covid jakoś przewartościował naszą pracę, nadal w ten sam sposób podchodzimy do rzeczywistości – jeśli oczywiście można sobie pozwolić na takie uogólnienie i duży kwantyfikator. Jestem ze starej, dobrej szkoły tego zawodu. News jest newsem, bez względu na to, czy dotyczy covidu, polityki, sądowego wyroku, protestu na ulicy czy innych spraw. Oczywiście ciągle pojawiają się liczby. Informowanie o nich jest ważne, ale też – będę szczera – bardzo proste, zwyczajne. Nie nastąpiła jednak w mediach żadna zmiana jakościowa. Może poza tą, że zaczęliśmy do-

ceniać – jeszcze bardziej doceniać – relacje Polaków mieszkających poza granicami kraju. Tym razem wynikało to z konieczności, bo pandemia zatrzymała w domach wszystkich naszych reporterów. Nie mogliśmy wysłać nikogo do Chin, na północ Włoch ani w najdalsze zakątki Hiszpanii. Relacje naszych rodaków były bezcenne. Byli na miejscu zdarzeń, świetnie znali język, mieli i mają kontakt z rodowitymi mieszkańcami kraju. Dlaczego nie mielibyśmy wykorzystywać ich wiedzy, doświadczenia ani spojrzenia z ludzkiej, zwyczajnej, praktycznej perspektywy?

Do tego nagle się okazało, że zapewnienie programowi relacji z drugiego końca świata nie jest już takim problemem. Bezcenny okazywał się notes z numerami do znajomych, którzy wybrali życie gdzieś daleko i akurat znali kogoś, kto zna kogoś, kto jest wirusologiem w południowej Szkocji. A wracając do studia – czy brakuje ci czasów sprzed pandemii? Kiedy można było spojrzeć rozmówcy w oczy, a nie via Skype, i być pewną, że temperatura rozmowy będzie dużo wyższa?

Tak, brakuje mi. Tęsknię zwłaszcza za kontaktem bezpośrednim. Ja w ogóle lubię rozmowy z ludźmi, wszystko jedno, czy to są politycy czy eksperci. Lubię też mieć możliwość dotknięcia gościa, złapania go za rękę albo wywarcia na niego nacisku niewerbalnego, jak na przykład posłania mu wyraźniejszego karcącego spojrzenia albo takiego, które mówi, że gość musi już przerwać. Bez takich gestów dyskusja i przekaz są absolutnie spłycone. Jest to na pewno duży problem. Sama doskonale wiesz, że w rozmowie – także studyjnej – w obecności kamer – wiele dzieje się między ludźmi w sferze pozajęzykowej. Często powtarzam zdanie, argument, że obraz znaczy więcej niż tysiąc słów. Tak też jest w wymianie zdań i myśli. Polityk może do perfekcji opanować sztukę argumentacji, ale przecież żaden

z nich nie jest aktorem. I dlatego od razu widać kto – jak to się ładnie nazywa – mija się z prawdą.

Koronawirus w Polsce miał dotychczas co najmniej dwie bardzo wyraźne fale – wiosenną i jesienno-zimową. Pomiędzy było letnie odprężenie… Czy widzisz istotne różnice w zachowaniu i reakcjach ludzi i mediów?

Raczej nie. Oczywiście podczas pierwszej fali towarzyszyła nam niepewność, taka czysto ludzka, nie wiedzieliśmy, jak długo to potrwa, co się jeszcze wydarzy. Mam wrażenie, że byliśmy wtedy wyjątkowo zdyscyplinowani. Zamknęliśmy się w domach, próbowaliśmy opanować strach i oswoić nową rzeczywistość. Zawodowo był to dla mnie czas wielkiej próby i ogromnej odpowiedzialności – nie tylko za pracę, przekaz, który dostawali widzowie, ale też za spokój i zdrowie mojego zespołu. Bezpieczeństwo wymagało podzielenia się na grupy, które nie mogły mieć ze sobą kontaktu. Nie byliśmy na to przygotowani. Pamiętam szczyt emocji graniczący z paniką, gdy – niepewni jutra – ruszyliśmy robić zapasy… Kasze, makarony, ten słynny papier toaletowy… Zdążyliśmy się już jednak przyzwyczaić do obecności wirusa. Poza tym wiosną zeszłego roku mieliśmy mnóstwo nierozstrzygniętych kwestii, jak na przykład noszenie maseczek. Pamiętam, że sama zakładałam maseczkę w studiu, żeby pokazać innym, że trzeba ją nosić. Wtedy to było dość nowatorskie podejście. Teraz już nie ma prawie żadnych wątpliwości, oczywiście oprócz jednostkowych przypadków, że trzeba je nosić. Ponadto nie znaliśmy odpowiedzi na wiele pytań, na przykład jak długo po chorobie należy się izolować. Podczas drugiej fali pojawiły się jednak inne problemy, jak choćby długość izolacji. Problemy są teraz zupełnie inne, ale wynika to raczej z faktu, że ta druga fala jest chyba bardziej oswojona. Za-

częliśmy się już chyba trochę przyzwyczajać do takiego trybu życia. Trudno mi się oprzeć wrażeniu, że człowiek jest w stanie dopasować się do każdej sytuacji, gdy priorytetem jest przetrwanie.

Od lat pracujesz w mediach. Zastanawiam się, czy kiedy patrzysz na tak przejmujące zdjęcia jak te z wiosny ubiegłego roku – z Chin, a potem północnych Włoch czy jesienne – z Rio de Janeiro czy Nowego Jorku – czujesz, że cierpnie ci skóra? Czy widok pełnych po brzegi szpitali i masowych grobów jeszcze robi wrażenie? Czy oglądanie tego w nieskończoność sprawia, że trzeba się na to uodpornić, żeby przetrwać?

Nie. Nie można się uodpornić na obrazy cierpienia i śmierci, a przynajmniej ja nie mogę, choć pewnie to zależy od wrażliwości człowieka. Wydaje mi się, że łatwiej jest osobom, które są trochę mniej podatne na takie rzeczy. Oczywiście nie oznacza to, że są z tego powodu gorsze, tylko po prostu inaczej reagują. Każdy ma jakiś swój próg wytrzymałości i sposób radzenia sobie z takimi sprawami, swoją granicę. Ja akurat jestem bardzo wrażliwa i wolę takich obrazów nie oglądać. Nie chcę też zasypywać nimi widzów Polsatu ani Polsat News. To nasza zasada, ale też zasada obowiązująca w mediach. Tu zresztą przebiega jedna z granic pomiędzy zawodowym, odpowiedzialnym dziennikarstwem a dziennikarstwem tabloidowym. Na pewno da się wypracować strategie radzenia sobie z trudnymi tematami, ale nie można się na nie uodpornić. Takie zdjęcia jak te z Włoch dzisiaj też się pojawiają. Co prawda jest ich mniej, bo świat nauczył się już żyć z pandemią i naprawił pewne mechanizmy. Niektóre kraje nie dopuszczą do tego, by ludzie znów umierali na ulicach.

Ryszard Kapuściński powiedział kiedyś, że reporter przestaje być reporterem, kiedy widok głodnego dziecka przestaje poru-

szać w nim czułą strunę. A czy zdarzyło ci się cenzurować zdjęcia? Nie pokazywać w serwisach tych najbardziej drastycznych?

Tak, choć nie nazwałabym tego cenzurą. Po prostu prawo zabrania pokazywania ludzi z bliska. Poza tym uważam, że takie epatowanie nikomu nie służy i nie jest potrzebne. Unikamy zdjęć robionych z bliska cierpiącym osobom. To nie jest nasz typ wrażliwości. W Polsacie tego nie robimy. My nie musimy pokazywać ciał porzuconych w kostnicach czy chowanych w masowych grobach, by się upewnić, że nasz widz zrozumie znaczenie przekazu.

Był taki moment, kiedy w Polsce wiele osób negowało istnienie koronawirusa. W sieci pojawiła się lawina fake newsów o wirusie sterowanym przez „rząd światowy" i laboratoriach, które pracują nad kolejnymi mutacjami… Czy nawet wtedy nie korciło cię, żeby te właśnie mocne zdjęcia pokazać i sprawić, by niedowiarkom i płaskoziemcom otworzyły się oczy?

Wydaje mi się, że na naszą wyobraźnię najbardziej działają konkretne przykłady i to, co mówią ozdrowieńcy. Wybierałam więc historie o konkretnych ludziach, którzy byli zdrowi, młodzi, myśleli, że ich to ominie. A już najbardziej przemawiały do sceptyków przykłady osób, które właśnie nie wierzyły w istnienie covidu, ale nagle zachorowały.

A wracając do „pokusy" pokazywania drastycznych zdjęć…

Nie korciło mnie. Wydawało mi się, że są inne narzędzia, których można użyć, żeby przekonać nieprzekonanych. Zresztą nie chcieliśmy też nikomu na siłę nic perswadować. Stracilibyśmy wtedy wiarygodność. Rzetelnie przekazywaliśmy informacje i pokazywaliśmy prawdziwą rzeczywistość, jak na przykład historię Marka Posobkiewicza, lekarza, byłego Głównego Inspektora Sanitarnego, który z łóżka szpitalnego opowiadał, jak ciężką chorobą jest ko-

ronawirus. Mówił, że przyszedł pewnego dnia na dyżur, źle się poczuł i już musiał zostać. Jego świadectwo – człowieka niezwykle świadomego zagrożenia, apelującego o przestrzeganie zasady DDM (dystans, dezynfekcja, maseczka) – leżącego w szpitalnym łóżku z aparaturą medyczną ułatwiającą oddychanie – był niezwykle wiarygodny i poruszający. Uznałam, że nic innego nie jest potrzebne, żeby powiedzieć – tak, koronawirus istnieje i może dopaść każdego. Wielu ludzi uważało, że to tylko taka grypa, więc każdy człowiek, który opowiadał, że to jednak coś więcej, przekonywał sceptyków.

Przypomniało mi się spotkanie doktora Marka Posobkiewicza z Edytą Górniak w „Gościu Wydarzeń", które poprowadził Bogdan Rymanowski. Doświadczony covidem lekarz i gwiazda, której relacja w social mediach przejdzie do historii. Makiaweliczne zestawienie gości…

Marek Posobkiewicz, nie dość, że jest specjalistą, to – jak już zaznaczyłyśmy – sam ciężko przeszedł chorobę. I zobacz, nie miał żadnego problemu z tym, żeby spotkać się z Edytą Górniak i opowiedzieć właśnie jej o swoich przeżyciach. Spokojnie, cierpliwie i bez odrobiny wywyższania się. Wiele osób w Polsce ma problem z tym, żeby się z kimś spotkać i porozmawiać. To mnie zawsze dziwi. A mnie się wydaje, że dopóki można rozmawiać, można kogoś przekonać właśnie taką rzetelnością i uczciwością. Zawsze warto podejmować próbę.

Potrafiłabyś powiedzieć, jaka jest opinia Edyty Górniak o koronawirusie? W słynnym nagraniu (czy live) powiedziała, że pacjentami w szpitalach są statyści, a potem przekonywała, że nic takiego nie stwierdziła. Ja się pogubiłam.

Hmmmm. Może zmieniła zdanie. W programie Edyta mówiła, że zdarza jej się zmieniać zdanie pod wpływem infor-

macji, które dostaje. Poza tym chodzi też o to, że czasem bywa niezrozumiana właściwie, co przecież zdarza się każdemu z nas. Nie ukrywajmy, wszyscy mamy czasem problem z tym, że coś mówimy, a ktoś tego nie zrozumie. Nie zawsze inni wychwycą właśnie to, co chcieliśmy przekazać. Wydaje mi się, że tutaj też mogło coś nie zagrać w komunikacji. Ja zwykle zakładam dobrą wolę innych ludzi i nie doszukuję się niczego złego w tym, co mówią. A jeśli ktoś twierdzi: „To nie jest tak, jak to napisałam", to ja to rozumiem tak, że ta osoba albo się wycofuje, albo po prostu napisała nie to, co chciała. Czyli zakładam dobrą wolę.

Zakładasz też „dobrą wolę" u polityków? Poradzili sobie z sytuacją? O Polakach mówi się – oczywiście trochę generalizując – że potrafią się połączyć, jeśli mają przed sobą wroga, albo wydarzenie fundamentalne dla emocji zbiorowej. Covid to jedno i drugie. Masz poczucie, że stanęli w jednym szeregu i wycelowali armaty we właściwą stronę?

Nie oczekuję tego, by oni stanęli w jednym szeregu. Dlatego też nie jestem rozczarowana tym, że pojawiają się różne głosy. Widzę jednak jednoczenie się społeczeństwa w tych trudnych czasach i chęć pomagania osobom słabszym czy starszym. Dzięki covidowi na nowo odkryliśmy solidarność. A jeśli chodzi o polityków, to jest jak jest. Ciągle trwa walka polityczna o przejęcie władzy, i to się nie zmieni. Trudno zatem oczekiwać, żeby nagle pojawiły się jakaś wspólna walka, granie do jednej bramki czy chwalenie nawzajem. Nie łudziłam się nawet, że tak będzie. Musiałaby wybuchnąć wojna, żeby wszyscy stanęli z bronią w ręku w jednym szeregu. Wtedy to mogłoby się wydarzyć, choć podejrzewam, że i tak nie byłoby jedności, a jedynie kłótnie o to, której broni użyć – czy karabinu maszynowego czy automatyczego.

Wobec covidu politycy przyjęli narrację wojenną. Zawsze się to sprawdza i zawsze budzi złowieszcze skojarzenia. Jest świetna, żeby budzić strach, a to już potężne socjotechniczne narzędzie władzy.

Jeśli wszystko dzieje się tak jak teraz, to znaczy, gdy mamy sytuację walki politycznej, to jest przejaw demokracji. To dość normalne, że opozycja krytykuje rządzących, a rządzący starają się pokazać, że robią, co w ich mocy.

Czy uwierzyłaś, gdy latem ogłoszono sukces i powiedziano nam, że mamy już chorobę za sobą i że jest już bezpiecznie?

Latem wszyscy zachowywaliśmy się normalnie, czyli jeździliśmy na wakacje. W tym momencie rzeczywiście pandemii – jak się wydawało – już nie było, a na pewno znacznie zelżała, bo gdyby była w takim natężeniu jak dawniej, to pewnie byśmy ani nie podróżowali, ani się nie spotykali. Pamiętasz te obrazki z plaży?

Ba, pewnie.

Wszyscy chcieliśmy normalnie żyć. Po miesiącach stłamszenia i zamknięcia taki oddech, choć krótki – był potrzebny. A i wybory były wtedy – z mojego punktu widzenia – bezpieczne, więc nie widzę tutaj kłamstwa. Jeżeli mogę mieć coś do zarzucenia, to można było dodać, że wróg się czai i może w każdej chwili znów zaatakować. Tylko że nikt do dzisiaj w kwestii covidu nie jest w stanie powiedzieć nic pewnego. Raz słyszymy, że minęła pierwsza fala, potem, że jest druga i nawet już trzecia. Nikt nie wie nic o cykliczności tej choroby ani o jej mutacjach. Nie ma żadnych pewnych rzeczy. W wakacje zachorowań było zdecydowanie mniej niż wiosną, więc odetchnęliśmy z ulgą, pożyliśmy sobie trochę. Oczywiście przyszła druga i trzecia fala, jak się spodziewaliśmy. Ja nie kierowałam się tym, co mówili politycy. Tak jak wszyscy, sugerowałam się wtedy

tym, jaka jest liczba zachorowań, i miałam, albo chciałam mieć, nadzieję, że to być może koniec pandemii.

A jak jest z dziennikarzami? Wykonywanie tego zawodu to ogromna odpowiedzialność za słowo, za komunikat. W mediach społecznościowych pojawiło się wiele stron, które – być może na fali tych politycznych zapewnień – krzyczało: „Przestańcie nas straszyć".

Zawsze tak będzie, że jako dziennikarze będziemy na celowniku. Nie spodziewam się, że przestaniemy być krytykowani. Zwłaszcza przy tak dużej odpowiedzialności za słowo. Wiadomo, że często nie jesteśmy w stanie sprostać oczekiwaniom, bo w grę wchodzi tempo pracy. Dlatego nie przejmuję się za bardzo krytyką i nie wierzę w schyłek dziennikarstwa. Nie zapominajmy, że reporterzy przekazują informacje, które zbierają na przykład z sanepidów. Znajdzie się oczywiście spora grupa osób twierdzących, że istnieje jakaś spiskowa teoria dziejów, o której nikt nie chce mówić. Według takich ludzi dziennikarze dostają codziennie na biurko przekazy dnia od jakichś tajnych organizacji z kosmosu i działają pod dyktando albo Brukseli, albo Moskwy, to zależy od wersji. Ponieważ informacje, do których jako dziennikarze mamy dostęp, są publiczne, każdy może je zweryfikować. Myślę, że niewiele osób po sprawdzeniu naszych źródeł stwierdzi, że jesteśmy niewiarygodni. Wydaje mi się, że nie zaliczyliśmy żadnej wpadki, która zmusiłaby mnie do jakiejś autorefleksji i zastanowienia się nad kondycją naszego zawodu. Jest jak jest.

Jak w takim razie weryfikować informacje? Wracam do zalewu fałszywych informacji w Internecie, do sensacji, że szczepionka przeciw koronawirusowi zmienia kod DNA albo zawiera chipy prosto od Billa Gatesa.

To nie są informacje, tylko opinie, a z nimi się nigdy nie wygra. Do informacji należą: skład szczepionki, jej pochodzenie, producent oraz to, jak ją testowano, jak reagują osoby, które już ją przyjęły. To też wszystko, co wiemy o szczepionkach przeciwko COVID-19. Jako dziennikarze nie wiemy nic więcej. Możemy przekazywać ludziom tylko to, co mówią eksperci. Oczywiście ktoś zaraz powie, że ci eksperci też wyrażają swoje opinie. My podajemy fakty. Ja nawet nie próbuję być wyrocznią w tych kwestiach, wręcz przeciwnie. Chcę przekazać ludziom jak najwięcej informacji, by każdy mógł sobie wyrobić opinię. Dlatego zawsze zapraszamy liczących się ekspertów, ludzi cieszących się autorytetem, żeby u źródła spytać o stan faktyczny. Daleka jestem od ferowania wyroków przez mniej czy bardziej „niezależnych” dziennikarzy, bo ich zadaniem jest gromadzenie informacji oraz przekazywanie ich w możliwie obiektywny sposób.

A jednak czas strachu i niepewności sprawił, że ludzie częściej i chętniej sięgają po social media, w których roi się od teorii spiskowych. Obie możemy podać przykłady co najmniej kilku „specjalistek” i „specjalistów”, którzy jak z rękawa sypali przedziwnymi teoriami, zyskując spore grono „wyznawców”. Jak to wytłumaczyć? To informacja dla dziennikarzy o jakości ich przekazu czy raczej dowód na kondycję odbiorców mediów?

Badania CBOS-u dotyczące wiarygodności pokazują, że nastąpił absolutny wzrost wiarygodności mediów. Siedemdziesiąt procent badanych ocenia Polsat jako wiarygodną stację. Przed pandemią procent ten nie był aż tak duży. Oglądalność naszej konkurencji nie rosła tak szybko jak Polsatu News, ale to już nie nasz problem. Patrzę jednak na nas jako na źródło rzetelnych informacji oddających różne obawy i różne opinie, bo nie udajemy, że ich nie ma.

A co z fake newsami? To plaga, szczególnie na Twitterze. Dlatego też serwis w pewnym momencie nakładał swego rodzaju cenzurę. Myślisz, że taki ogólny dostęp do informacji to coś złego?

Według mnie powinno się blokować wyłącznie treści, które są obraźliwe, przekraczają pewne granice, są nieakceptowalne i po prostu podpadają pod paragrafy. Blokowałabym tylko te, które są niebezpieczne.

A co jeśli prezydent Stanów Zjednoczonych pisze w mediach społecznościowych, że COVID-19 to jest łagodna grypka? Albo że wybory zostały sfałszowane i zrobi wszystko, żeby wrócić i wymierzyć sprawiedliwość? Po tych wpisach zablokowane było nawet oficjalne konto prezydenta i konto Białego Domu.

Kiedy serwisy wprowadzają cenzurę, posuwają się za daleko i to może być problem dla społeczeństwa, które może stwierdzić, że w takim razie demokracja nie istnieje, skoro nie można wyrazić swojego zdania.

Wtedy właśnie może rodzi się myśl, że jeżeli ci z Doliny Krzemowej albo, ci źli od Gatesa coś blokują, to znaczy, że jest w tym ziarno prawdy.

Chodzi o podejście. Jest ono złe, bo do niczego nie prowadzi. Wystarczy przecież, że pod takim wpisem pojawi się mnóstwo odpowiedzi ekspertów albo osób, które przeszły chorobę, wtedy ma miejsce prawdziwa dyskusja. A Donald Trump może uważać, co chce. Kiedyś ktoś w Polsce powiedział, że koronawirus to lekka choroba. Siostry zakonne, które opiekowały się chorymi leżącymi w domu pomocy społecznej, zaprosiły tę osobę, żeby przyszła im pomóc, skoro się nie boi i uważa, że to jest niegroźna choroba. No i gadanie się skończyło. To wystarczyło.

To jest chyba jedna z lepszych metod.

Oczywiście. To lepszy sposób niż blokowanie w Internecie.

Czy jako kobieta i matka bałaś się koronawirusa? Kiedy pierwszy raz pomyślałaś, że mamy do czynienia z dużym niebezpieczeństwem?

Nie przypominam sobie, żeby był taki moment, w którym się przestraszyłam. Oczywiście, jest to bardzo groźna choroba, a przecież ogólnie boimy się chorób. Ten wirus bardzo szybko się rozprzestrzenia i trzeba uważać na każdym kroku, co wywołuje strach. Ja natomiast staram się nie bać w życiu, bo wiem, że to nie prowadzi do niczego dobrego i może paraliżować. Trzeba być po prostu odpowiedzialnym. Gdybym miała inne podejście, musiałabym się codziennie bać, a ja wolę po prostu zachowywać się racjonalnie, dbać o siebie i podchodzić do życia i innych ludzi pozytywnie, bo wiem, jak ważne jest nasze nastawienie.

Tylko – kiedy strach i niepewność biorą górę – trudno o pozytywne nastawienie… Stąd przecież puste półki w sklepach, kiedy znikały makarony, kasze, środki czystości. Zastanawiam się, czy taka racjonalna i mocno stąpająca po ziemi osoba jak ty też uległa temu szaleństwu? Czy wtedy zrobiłaś zapas papieru toaletowego?

Wykorzystałam ten moment do kupienia kaszy gryczanej, ponieważ miałam mocne postanowienie, że będę jeść więcej kaszy, żeby trzymać wagę. Z każdym rokiem jest coraz trudniej, a ja nie wyobrażam sobie, że mogłabym ważyć więcej, więc uznałam, że kasza to jest bardzo dobry pomysł, bo jest zdrowa. Pomyślałam też, że jeśli kupię jej więcej, to będę zmuszona do zjedzenia tego zapasu. Miałam nadzieję, że polubię kaszę gryczaną.

Udało się?

Nie, bo wolę warzywa i właściwie one mi wystarczają. Nie lubię kasz, ale wiadomo, warzyw nie da się kupić na zapas, trzeba ciągle kupować świeże. Kiedy jednak dopada mnie wielki głód, to kasza zawsze jest w domu. Na pewno jem jej teraz więcej.

Dystans, dezynfekcja, maseczka. Często posługujemy się skrótem DDM, żeby te trzy rzeczy zapadły ludziom w pamięć. Co myślisz o tych, którzy uznali, że noszenie maseczki to naruszenie ich przestrzeni i wolności?

Dla mnie noszenie maseczki to kwestia elementarnego szacunku dla innych ludzi. Jak się okazuje, kilka razy spotkałam się z osobami zakażonymi i właśnie dzięki temu, że one nosiły maseczkę, ja się nie zaraziłam i wielu innych, którzy też mieli styczność z chorymi. To naprawdę działa. To jest właśnie ten elementarny szacunek. Powiem tak: bardzo by mnie ucieszyło, gdybyśmy po tej pandemii nauczyli się, że jak ktoś ma grypę, kaszel i koniecznie musi wyjść z domu, to żeby zachowywał dystans i był ostrożny. Dla mnie jest to niebywałe, że ludzie kiedyś tak lekkomyślnie podchodzili do losu drugiego człowieka i nie zwracali na to uwagi. Przecież nie można na kogoś kaszleć i kichać! Zawsze było tak, że ludzie przychodzili z grypą czy z gorączką do pracy. Rozumiem, że ktoś nie może opuścić ani jednego dnia, ale może czymś się zasłonić albo po prostu nie kichać na wszystkich. Jeśli sami mamy jakikolwiek problem ze zdrowiem, to starajmy się, żeby ktoś inny przez nas tego problemu nie miał. Mam nadzieję, że po koronawirusie ludzie zaczną zwracać na to szczególną uwagę. COVID-19 to w tej kwestii lekcja dla nas wszystkich. Dlatego też nie akceptuję nienoszenia maseczki. Dla mnie każda wolność ma swoje granice. Nie ma czegoś takiego jak „pełna wolność”. Granicą każdej wolności jest

dobro drugiego człowieka. To jest odpowiedź na pytanie, czy ktoś ma prawo nie nosić maseczki, bo to go ogranicza. Dla dobra drugiego człowieka powinien ją włożyć, nawet jeśli uważa, że to bez sensu.

A czy zgłosisz się na szczepienie, czy poczekasz na kompleksowe wyniki badań szczepionki?

Muszę poczekać na swoją kolej.

Wciąż słyszymy od epidemiologów, że jak się wyszczepimy, to być może już będzie normalnie. Myślisz, że to w ogóle możliwe, żebyśmy wrócili do tego, co było?

Tak, myślę, że szybko o tym zapomnimy, jeśli oczywiście akcja szczepień się uda. Wtedy koronawirus przestanie być tak zjadliwy i nie będzie się tak szybko rozprzestrzeniał. Wydaje mi się, że ludzie chcą wrócić do normalności. Znów będą się cieszyć, wyjeżdżać, wychodzić, siedzieć w restauracjach, kontaktować się z innymi, bo im teraz tego brakuje. Nie docenialiśmy tych prostych rzeczy, które mieliśmy – mogliśmy sobie pójść na kawę, poplotkować z koleżankami, spotkać się, nawet posiedzieć w kawiarni, poobserwować innych ludzi przechadzających się bez maseczek. Mogliśmy nawet się do kogoś przytulić bez żadnych obaw.

Czyli wszystko się dzieje w życiu po coś? Doświadczamy pandemii, żeby docenić rzeczy proste, które były dla nas wcześniej bez znaczenia?

Ja bym się tak daleko nie posuwała, bo tak naprawdę nie wiem, po co powstał covid. Natomiast uważam, że z każdej sytuacji trzeba wyciągnąć jakieś wnioski – dla siebie, dla innych. Jeśli można wyciągnąć z tej sytuacji jakieś pozytywy, to super. Ważne, żeby to się nie zdarzyło na darmo, żeby nie było zupełnie pozbawione sensu. Każda sytu-

acja rodzi jakieś dobro, więc tutaj też można się go doszukiwać.

Też się staram. Staram się na przykład doszukać dobrych stron zdalnego nauczania. I mi nie wychodzi. Dzieci godzinami siedzące przed komputerami, kłopoty z łącznością, prezentacje, w których słychać co drugie słowo, izolacja i brak kontaktu z rówieśnikami, wreszcie dramatyczne dane Banku Światowego, że poziom wiedzy młodych ludzi z pandemicznego rocznika to ledwie 30 procent tego, co przyswoili rok wcześniej.

Z tego też trzeba wyciągać wnioski. Oczywiście, każdy ma swoje przemyślenia. Wszystko, co opisujesz, jest prawdą, tylko – czy jest jakiś inny sposób? Inna metoda? Ja na przykład chciałabym wrócić do poranków, kiedy się śpieszę i odwożę dziecko do szkoły. Choć to zawsze była mordęga, trzeba było wstać, zrobić śniadanie, stanąć na baczność i jechać. A teraz chciałabym zapakować Marysię do samochodu i zawieźć ją do szkoły. Tęsknię za sytuacją, która wydawała mi się męcząca. Dzisiaj to sprawiłoby mi radość. Dla dzieci lockdown to też jest nowe doświadczenie. Choć wiemy, jak duże korzyści płyną z socjalizacji, zżycia się z innymi ludźmi, z nauczycielami, kontaktu bezpośredniego, to kiedy obserwuję zdalne lekcje Marysi, też poznaję jej koleżanki, panią, przysłuchuję się lekcjom, widzę, jak wiele dobrej energii nauczycielka wkłada w to, co robi, a także to, jak bardzo nauczyciele muszą się starać, żeby panować nad dziećmi. Mają szalenie trudny zawód i nie wszyscy rodzice zdawali sobie z tego sprawę. Dopiero jak się patrzy na lekcje zdalne i na zachowanie dzieci, to można docenić tę pracę. Doceniliśmy starania lekarzy, pielęgniarek, ratowników, prawda? To też jest jakiś plus, którego w innej sytuacji byśmy nie dostrzegli. Psioczyli-

śmy na innych, a tu proszę, ile osób potrafi stanąć na wysokości zadania. Niesamowite.

Czy przychyliłabyś się do opinii rodziców, że należałoby podarować dzieciom ten rok? Żeby dać sobie spokój z edukacją, bo to fikcja. Może ten czas jest nam dany właśnie po to, żeby pogadać z dzieciakami o emocjach, na nowo nawiązać relacje, przestać się spieszyć, odstawić komputery, które stały się jedynym źródłem kontaktu ze światem, na rzecz kontaktu bezpośredniego, bliskości w rodzinie.

Nie, dlatego że zdalna edukacja to też edukacja. To po prostu kilka godzin dziennie. Pandemiczna konieczność. Przecież dzieci nie są zajęte przez cały dzień, a rodzice muszą pracować, świat nie może się po prostu zatrzymać. Trzeba się dostosować do trudnych warunków i skupić się bardziej na nauce. Program musi zostać zrealizowany. Nasze relacje z dziećmi i bliskimi to też jest temat, który powinniśmy poddać refleksji. Każde czasy mają swoje trudne momenty. W PRL-u dzieci nosiły klucze na szyi, prawda? I trzeba było jakoś żyć.

Wtedy się mówiło, że dzieci i ryby głosu nie mają. My jesteśmy z tego pokolenia.

Tak. I czy jesteśmy złym pokoleniem? Czegoś nam brakowało? Czy rodzice się z nami wtedy bawili? Wyobrażasz sobie swoich rodziców bawiących się z tobą lalkami?

No niezupełnie… A jeśli w ogóle – to sporadycznie.

Dlatego też się dziwię, że dzisiaj niektórzy niby-znawcy tematu twierdzą, że bawienie się z dziećmi to jest jakaś metoda. Może nie trzeba się z nimi bawić, może trzeba rozmawiać, może wystarczą po prostu kontakt, zainteresowanie i miłość. Ludzie ją różnie okazują, wiadomo. Nie wydaje mi się, żeby nasze pokolenie było stracone, a z pewno-

ścią mieliśmy rodziców, którzy byli bardzo zapracowani i skoncentrowani na zdobywaniu mięsa na kotlety.

Zdarzyło ci się zastępować na przykład panią od polskiego albo od matematyki i odrabiać z Marysią lekcje?

Nikogo nie zastępowałam. Lubię odrabiać lekcje z Marysią, bo na poziomie trzeciej klasy jeszcze jestem w stanie to robić. Potem pewnie będzie gorzej. Teraz fakt, że coś wiem, naprawdę sprawia mi radość. Jak potrafię rozwiązać zadanie z matematyki, to czuję się świetnie.

Nie chcę cię straszyć, ale matematyka w siódmej klasie już nie jest taka prosta. My mamy korepetycje.

To już przeszłam z synem, który twierdził, że nie jest w stanie nauczyć się matematyki, a skończył politechnikę, gdzie matematyka była podstawowym przedmiotem. Wcześniej przekonywał mnie, płacząc, że ten przedmiot nie jest dla niego.

To jakoś pocieszające… Jest nadzieja.

Jest nadzieja, tylko nie można dać sobie wmówić, że dziecko nie ma jakichś umiejętności. Nie ma takich dzieci, które nie mają umiejętności. Z zadaniami matematycznymi jest tak, że trzeba po prostu siedzieć i je rozwiązywać.

Co zostanie w pamięci po ponad roku od momentu, kiedy się dowiedzieliśmy, że wirus zaatakował Wuhan? Świat będzie inny? Uważniejszy?

Nie wiem. Pewnie zostaną nam te obrazki chodzenia w maskach, brak możliwości spotykania się – takie bardzo nieprzyjemne sytuacje właśnie związane z tym, że nie możemy się kontaktować. Pewnie taka niepewność co do losów świata, bo pandemia to w nas zakłóciła. Jeśli ktokolwiek miał taką pewność, bo ja nigdy do takich osób nie należałam. Wystarczy trochę poczytać o historii albo posłu-

chać. Żyliśmy w czasach bez wielkich kryzysów, choć jakieś zawsze były, na przykład finansowe, ale nie mogą się one równać z tymi, które znamy z historii. Myślę, że wiele osób uważało, to jest świat dany na zawsze, rzeczywistość bez większych problemów czy wstrząsów. Kiedy się okazało, jak to wszystko jest kruche, osoby te musiały się bardzo zdziwić. To, co z nami na pewno zostanie, to właśnie poczucie niepewności.

Nasze ego i poczucie sprawczości dostały bolesną nauczkę?

Zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie chciał być Bogiem. Wydaje mu się, że będzie rozstrzygał losy świata, wejdzie w kompetencje Boga. W tej kwestii pewnie niewiele się zmieni. Człowiek jest tak skonstruowany – długo myśli, że śmierć go nie dotyczy. Kiedy obserwuję ludzi, odnoszę wrażenie, że często uważają się za nieśmiertelnych. Może więc pandemia pokaże – czarno na białym, że jest inaczej, że śmierć może być bardzo blisko – wśród przyjaciół, rodziny, i nie zależy od statusu materialnego ani tego, czego kto dokonał w życiu.

Pandemia to bardzo, ale to bardzo demokratyczne doświadczenie.

Demokratyczne, to prawda, ale – jeśli pytasz o wnioski – to jest bardzo indywidualna sprawa. Ja mówię tylko o wnioskach niszczących siły człowieka jako takiego: jego potęgę, aspiracje, plany rozwoju. Natomiast jeśli chodzi o jednostkowe wnioski, to ja mam bardzo pozytywne nastawienie. Jestem gotowa bronić tezy, że pandemia pokazała istnienie solidarności, chęci pomocy. Często w *Wydarzeniach* mówimy o takich przypadkach. Mamy teraz do czynienia z mnóstwem oznak solidarności i umiejętności zadbania o innych ludzi. Wreszcie zobaczyliśmy, jak wiele starszych osób przebywa w domach opieki i czeka na kontakt. Pew-

nie musi tak być, że myślimy o sobie lepiej, niż powinniśmy, żeby móc się rozwijać. Gdyby człowiek miał świadomość swojej kruchości czy bylejakości intelektualnej, to musiałby się po prostu zapłakać. Na szczęście nasza samoobrona polega na tym, że wolimy myśleć o sobie dobrze. Nie jest to jakiś pesymistyczny wniosek.

Pewnie częścią tej samoobrony jest drugi człowiek, bliskość, dotyk, choćby gest uściśnięcia ręki… Robert Rutkowski, z którym rozmowa też znajdzie się w tej książce – mówi, ile radości sprawiło mu uściskanie się z pacjentem, kiedy obaj powiedzieli sobie, że mają przeciwciała, bo są ozdrowieńcami. Prosta rzecz urasta do rangi symbolu… Tak jak dziwne święta Bożego Narodzenia, kiedy obowiązywały ograniczenia i apele – nie urządzajcie tłumnych Wigilii…

W te święta było z pewnością mniej osób. Zwykle gromadziło się w naszym domu kilka pokoleń. Brakowało mi też możliwości uczestniczenia w uroczystościach kościelnych. Nawet bardzo. Tłum podczas pasterki był zawsze czymś bardzo pozytywnym. Tymczasem nie ma już tej energii czy wspólnej modlitwy. To moje doświadczenia.

Siostra elżbietanka z Domu Pokoju w Betlejem, z którą rozmawiałam w tym czasie, opisywała przejmujący widok Bazyliki Narodzenia Pańskiego, gdzie zwykle o tej porze były tłumy pielgrzymów czekających na moment dotknięcia czternastoramiennej gwiazdy w Grocie Narodzenia. A teraz nie było nikogo oprócz mieszkańców Betlejem z odpowiednim dokumentem, bo służby legitymowały każdego. Przejmująca jest cisza tego czasu. Kiedy to wszystko minie?

Chyba nie będzie już spokoju. Na pewno będziemy wyczuleni na informacje dotyczące chorób i wszelkiego rodzaju plag. To z pewnością.

PAWEŁ GRZESIOWSKI

LEKARZ PEDIATRA, EKSPERT W DZIEDZINIE IMMUNOLOGII, PROFILAKTYKI I TERAPII ZAKAŻEŃ

JOANNA RACEWICZ: Panie doktorze, jak doszło do globalnej pandemii?

PAWEŁ GRZESIOWSKI: Gdy pierwszy raz usłyszałem, że coś zaczyna się dziać w Chinach, pomyślałem, że to kolejny wirus, jakich na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat, czyli od czasu, kiedy zajmuję się chorobami zakaźnymi, było co najmniej kilka. Jako lekarz śledzę takie informacje w publikacjach medycznych na bieżąco, one czasami przebijają się także do mediów masowych, ale rzadko trafiają na czołówki głównych wydań wiadomości i większość społeczeństwa nie ma świadomości, że pojawiło się nowe zagrożenie. Życie takiego newsa jest krótkie, o wirusie mówi się najwyżej kilka tygodni, a potem temat po prostu przestaje być gorący i schodzi z afisza. Tak było chociażby w przypadku wirusów ptasiej grypy, Zachodniego Nilu, zika czy ebola.

Tak, co chwilę pojawia się nowy temat, stary traci na atrakcyjności, jego żywotność w mediach jest ograniczona.

Pierwsze informacje, że w Chinach odnotowano wystąpienie nowego wirusa powodującego zapalenie płuc, pojawiły się w portalach i źródłach epidemiologicznych jakoś pod koniec grudnia 2019 roku. To były skąpe wzmianki i wtedy absolutnie nikt nie miał jeszcze świadomości, że ten wirus może się rozsiać po całym świecie. Pod koniec stycznia, kiedy zdiagnozowano go już poza Chinami, zaczęto traktować sprawę poważniej, opublikowano pierwsze obszerniejsze dane na ten temat. I wtedy nie miałem już wątpliwo-

ści, zresztą pisałem o tym w mediach społecznościowych, że wirus wymknął się spod kontroli w Wuhanie i dzięki globalnemu transportowi i turystyce został przeniesiony na inne kontynenty. Dzisiaj wiemy to już prawie na pewno, że w połowie 2019 roku dotarł do Ameryki Północnej i Europy, ale oficjalnie pierwsze przypadki wykryto w styczniu 2020 roku. Tak więc pierwsza myśl, że to może być poważny światowy problem, pojawiła się w drugiej połowie stycznia.

Pamiętam pana wpisy, panie doktorze, pierwsze wypowiedzi, tweety, był pan wtedy w kontrze do wielu specjalistów, także lekarzy oraz Głównego Inspektoratu Sanitarnego, którzy powtarzali, że nowy wirus to niegroźna grypka, nic takiego, nie ma co panikować, nasze normy bezpieczeństwa, normy sanitarne i system medyczny są absolutnie na to przygotowane. Jak pan się wtedy czuł?

Opowiem pani coś, co być może nie powinno się znaleźć w książce, ale odzwierciedli sytuację, która wtedy miała miejsce. Mam wielu znajomych na niższych szczeblach w urzędach państwowych, współpracujemy od lat. Robimy razem mnóstwo bardzo fajnych projektów dotyczących zakażeń i szczepień, dlatego – gdy ta cała sytuacja z wirusem zaczęła się rozkręcać – zadzwoniłem i spytałem, czy mają już opracowane procedury dotyczące wirusa z Wuhanu – tak wtedy go określaliśmy. W odpowiedzi usłyszałem: „Ale jaki wirus, jaki Wuhan, o co chodzi?”. Ja na to: „Przecież jest nowy wirus, powstał już raport ECDC – Europejskiego Centrum ds. Zapobiegania i Kontroli Chorób”. Poprosili: „To prześlij, co masz, bo u nas nic się nie dzieje. Nikt nic nie mówi”. I właśnie ten telefon i ta rozmowa spowodowały, że zaświtało mi w głowie, że jesteśmy całkowicie nieprzygotowani i brakuje nam wiedzy. I że tę wiedzę

natychmiast trzeba gromadzić, analizować i przekazywać dalej. Przesłałem dokumentację, którą zgromadziłem. I tak zaczęła się moja aktywność w propagowaniu wiedzy o pandemii, wtedy nie wiedziałem, że stanie się to moim nowym zadaniem na wiele miesięcy.

Oczywiście nie twierdzę, że przygotowania do walki z wirusem rozpoczęły się w urzędach państwowych dopiero w wyniku mojego działania, chcę tylko wykazać, że tamta rozmowa dobrze obrazuje stan zaskoczenia w naszym regionie, ponieważ wirus był przedstawiany jako coś azjatyckiego, bardzo, bardzo odległego, nieistotnego dla nas, jako jakaś lokalna historia, która nam nie zagraża. W tym duchu wypowiadali się i minister zdrowia, i Główny Inspektorat Sanitarny.

Parafrazując: powiedz mi, jak zareagowałeś na COVID-19, a powiem ci, jak się przygotowałeś...

Od lat współpracuję z różnymi urzędami w obszarze zdrowia publicznego, z pracownikami różnych szczebli – powiatowych, wojewódzkich i centralnego. Dobrze znam mechanizmy ich działania. Wiem, że często największa świadomość różnych zagadnień epidemiologicznych jest często „na dole”, wśród osób, które na co dzień mają kontakt z medycyną, epidemiologią. W urzędach centralnych ich kierownictwo to nierzadko politycy bez szerokiej wiedzy i doświadczenia, którymi dysponują ludzie odpowiedzialni za codzienne monitorowanie. W Polsce funkcjonuje komórka do kontaktu z Europejskim Systemem Wczesnego Ostrzegania, czyli z EWS, w ramach Europejskiego Systemu Stabilności. Jej pracownicy otrzymują powiadomienia drogą elektroniczną, gdy dzieje się coś niepokojącego w dziedzinie zdrowia publicznego. Ale ani Unia Europejska, ani reszta świata nie spodziewała się takiego obrotu

sprawy. Nikt nie był gotowy. Pierwszy oficjalny dokument ECDC powstał bodajże 9 stycznia 2020 roku, wspomniano w nim o 59 przypadkach zapalenia płuc w Wuhanie, ale uznano prawdopodobieństwo zawleczenia wirusa do UE za niskie, mimo że są trzy lotniska w UE, które mają bezpośrednie połączenia lotnicze z Wuhanem, ponieważ – jak twierdziły władze chińskie – nic nie wskazywało na przenoszenie się wirusa z człowieka na człowieka. To potwierdza moją tezę, że nikt nie podejrzewał, że wirus opuści Chiny i rozprzestrzeni się tak szybko.

A Światowa Organizacja Zdrowia ogłosiła stan pandemii mniej więcej w połowie marca 2020 roku!

Dokładnie 11 marca.

Właśnie. Gdy wirus rozszalał się już na dobre. Ale skąd on się w zasadzie wziął? Pod koniec minionego roku António Guterres, sekretarz generalny ONZ, wygłosił „orędzie o stanie planety”, w którym posunął się do stwierdzenia, że koronawirus jest wytworem kancerogennej działalności człowieka, który niszczy środowisko naturalne i poprzez zmiany klimatyczne przyczynia się do rozprzestrzeniania się odzwierzęcych chorób zakaźnych. Nie wspominał o domysłach dotyczących wypuszczenia SARS-CoV-2 z chińskiego laboratorium, świadomie lub przypadkiem, nie mówił też o słynnym targu w Wuhanie, gdzie sprzedaje się mięso nietoperzy. A jaka jest pana teoria, panie doktorze. Skąd wzięła się ta zaraza?

Moim zdaniem ten wirus pojawił się w taki sam sposób jak i wcześniejsze epidemie. Dlaczego miałoby być inaczej? Przecież SARS czy MERS pochodziły dokładnie z tych samych regionów. Te epidemie wybuchły w prowincji Guangdong, ponieważ tam właśnie znajdują się wielkie jaskinie, w których żyją nietoperze, a ich organizmy są pełne różnych wirusów. Przypomnę, że nietoperz to latający ssak,

który ma specyficzny układ immunologiczny umożliwiający, w zależności od regionu, przeżycie takim wirusom, jak m.in. wścieklizna, ebola, zika, żółta febra, Marburg, koronawirus. Mieszkający w pobliżu ludzie chodzą do grot na polowania, odławiają nietoperze, oprawiają je i przygotowują z nich różne produkty, a potem jadą na targ, aby to wszystko sprzedać. Pojawienie się COVID-19 zbiegło się z powrotem do Polski moich przyjaciół, którzy cztery lata mieszkali niedaleko Wuhanu. I opowiadali mi rzeczy niezmiernie dla nas egzotyczne o tym, co w Chinach robi się z tych wszystkich dzikich zwierząt – miejscowi żyją wśród nich, nie jest więc niczym niezwykłym, że się od nich też zarażają.

To dlaczego świat nic z tym nie robi, skoro wiemy, że istnieje takie miejsce na Ziemi, które jest wylęgarnią różnych groźnych epidemii?

Ależ robi, przecież w Wuhanie działa największe laboratorium wirusologiczne w tej części świata, które zostało zbudowane właśnie po wybuchu epidemii SARS-CoV-1 i MERS, czyli świat zainwestował w monitorowanie sytuacji, ale nie jest w stanie zmienić trybu życia lokalnej ludności. To laboratorium zostało wyposażone, już nie pamiętam, czy przez Francuzów czy przez Amerykanów, więc oni mają tam taką bazę wczesnego ostrzegania. Jednak nie każdy wirus oznacza epidemię. Żeby takie zdarzenie doszło do skutku, jednocześnie musi zaistnieć kilka sprzyjających okoliczności. I to się zdarzyło akurat tym razem. Po pierwsze musi powstać nowy mutant. Po drugie musi on posiadać konkretne cechy epidemiczne, czyli nie może być zbyt zjadliwy, dzięki czemu może się podszywać na przykład pod grypę i zostać zidentyfikowany z opóźnieniem, kiedy ktoś wreszcie się zorientuje, że to jednak nie

jest zwykła grypa. Tego właśnie dotyczyły pierwsze raporty z prowincji Guangdong i miasta Wuhan z listopada 2019 roku, a być może nawet jeszcze z października – że pojawiła się niezmiernie ciężka postać zapalenia płuc. Ale trwał akurat środek sezonu grypy, więc można było spokojnie pomylić je z grypą. Do tego jeszcze mieliśmy określoną porę roku, szczególny moment – koniec roku, czas wolny, wakacyjny w Chinach. Chińczycy mogli podróżować, byli bardzo aktywni, mobilni, i to wszystko razem dopiero zaowocowało pandemią – Chińczycy i turyści z innych krajów po prostu rozwieźli wirusa w swoich organizmach po całym świecie.

Na tę sytuację nałożyły się także obchody chińskiego Nowego Roku, ale wydaje mi się, że znaczenie miał też czynnik polityczny. Gdy prześledzi pan, panie doktorze, kalendarz z tamtego czasu, to od razu pan zauważy, że pierwsze przypadki choroby pojawiły się na początku listopada, a władze Chin poinformowały Światową Organizację Zdrowia o tym, że dzieje się coś złego, w grudniu. Wuhan odcięto od świata dopiero 30 grudnia. Dużo za późno.

Tak, to kolejny, czwarty czynnik, czyli dodatkowy element układanki. Wydarzyło się to w Chinach, a nie – na przykład – w Szwajcarii, gdzie prawdopodobnie po zdiagnozowaniu pierwszego przypadku podniesiono by alarm. Natomiast w Chinach żyje tyle osób, że dostrzeżenie w ogóle jakiegoś procesu chorobowego wśród tych mas i jeszcze zwrócenie uwagi, że to są jakieś nietypowe przypadki, wymaga naprawdę dużej czujności i ta czujność pojawiła się wśród pojedynczych lekarzy, ale nie na poziomie całego systemu ochrony zdrowia Chin. To było nawet szeroko komentowane w mediach, bo jeden z tych lekarzy, który sygnalizował problem na wczesnym etapie, młody okulista, był prześla-

dowany przez władze, więc opóźnienie w podejmowaniu dalszych działań wynikało także z lokalnych uwarunkowań politycznych. Myślę zresztą, że chodzi też o to, że generalnie wszędzie na świecie urzędnicy nie lubią problemów. Urzędnicy chcą ich uniknąć szczególnie w końcówce roku, bo zaraz święta, więc po co robić zamęt jakimiś przypadkami, skoro nawet nie wiadomo, czym one w ogóle są. Wydaje mi się, że dokładnie tak samo działa to w innych krajach, choćby i w Polsce – lepiej nie generować niepotrzebnego szumu, bo urząd najbardziej cierpi, kiedy robi się zamieszanie.

A pamięta pan ten pierwszy strach, który padł na Polskę, pierwszy przypadek, pacjenta zero w Lubuskiem, potem zamknięte szkoły, pierwszy lockdown, wykupywane masowo kasze, makarony, papier toaletowy, takie niebywałe sceny w sklepach. Pan ulegał tym emocjom, czy patrzył z dystansem?

Pamiętam ten nastrój bardzo dobrze i bałem się tak samo jak wszyscy, a może i bardziej, bo miałem większą świadomość biologiczną, zresztą wystarczyło przeczytać pierwsze doniesienia o liczbie zgonów w Chinach i zdać sobie sprawę, że śmiertelność może być na poziomie 10–15 procent, aby wpaść w panikę. Bardzo dobrze pamiętam pierwsze raporty, które donosiły, że w płucach chorych pojawiają się krew i skrzepy i nie ma jak uratować pacjenta. Więc – powiem szczerze – byłem przerażony, ale nie tym, że zabraknie nam papieru toaletowego, i jakoś nie stałem w kolejkach po ten papier, a tym, co się stanie, jeśli ten wirus rzeczywiście się rozprzestrzeni. I autentycznie bałem się o bezpieczeństwo swoje, swojej rodziny i najbliższych, ponieważ miałem już świadomość, że ten wirus bardzo łatwo się przenosi. Na początku nie było to takie oczywiste, Chińczycy zaprzeczali, że przenosi się z człowieka

na człowieka, ale szybko się okazało, że wirus przenosi się drogą kropelkową, no i wtedy już było wiadomo, że czeka nas powtórka z pandemii świńskiej grypy.

Świńską grypę też dobrze pamiętałem, bo byłem wtedy już w pełni aktywny zawodowo i pandemia z 2009 roku, która zaskoczyła mnie w czasie jakiejś konferencji we Francji, w czerwcu, to był wstrząs dla świata. Wirus miał dziewięćdziesięciosiedmioprocentową zgodność z grypą hiszpanką, co w zasadzie oznaczało początek katastrofy, która prawie sto lat wcześniej pochłonęła 50–100 milionów ludzkich istnień. Gdy człowiek ma świadomość takich medycznych konsekwencji dla ludzkości, już nie tylko dla pojedynczych osób, to boi się inaczej. Tak boimy się my, lekarze, bo rozumiemy, co może się stać z naszymi bliskimi, z populacją ludzi, z systemem ochrony zdrowia, i ta masowość przeraża.

W przypadku wirusa z Wuhanu negatywne emocje były podkręcane dramatycznymi materiałami prasowymi z Azji. Wywlekanie ludzi z domów, zwłoki leżące na ulicach i tym podobne obrazy budowały coraz większe napięcie, chociaż czułem, że jestem na to trochę uodporniony, bo wiem, jak takie newsy się tworzy. Jednak wszystko to nie pomagało nam wtedy i psuło atmosferę. Oczywiście media rządzą się swoimi prawami, ale takim doniesieniom powinien towarzyszyć także wyważony komentarz i ta sytuacja dała początek mojej misji komentowania rzeczywistości na chłodno. Żeby odrzucić emocje i pokazywać, jak sprawy naprawdę się mają. Jak wyglądają statystyki, jak wygląda realna umieralność, która potem na szczęście bardzo, bardzo się zmniejszyła. Na początku panował chaos i informacyjny, i w opiece medycznej w Chinach, wiemy, jak to przebiegało.

Mówi pan o tych dramatycznych obrazach z Chin, a ja sobie przypominam sceny z Wenecji czy Bergamo, one były już znacznie bliższe geograficznie. Znajdowały się właściwie na wyciągnięcie ręki, rozegrały się zaraz po sezonie narciarskim w Polsce, który mnóstwo ludzi spędziło w Alpach włoskich i przywiozło koronawirusa – jak pan to określił – w swoich organizmach. Ale chciałabym jeszcze na chwilę zatrzymać się przy tym strachu. Czy pana strach o to, co się wydarzy, to był taki globalny strach, czy bardziej o swoich bliskich. Czy przed każdym wyjściem z domu, na przykład po bułki do sklepu, zapalało się panu czerwone światło w głowie i kazał pan wkładać bliskim specjalne ochraniacze i tym podobne rzeczy?

Najgorszy wydaje mi się strach, z którym nic nie można zrobić. Jestem człowiekiem czynu i dla mnie ten lęk okazał się motywatorem do różnych działań, chociażby do przygotowania maseczek, których wtedy nie było na rynku. Szyliśmy je z młodszym synem i pokazywaliśmy w telewizji i w Internecie, jak ich prawidłowo używać.

Tak, pamiętam, jak pan tłumaczył na przykładzie aerozolu, w jaki sposób wirus przenika przez poszczególne warstwy maseczki i jak powinna wyglądać taka, która dobrze chroni…

No właśnie, w mojej głowie pojawiła się od razu taka myśl, taka trochę misyjna, że po pierwsze trzeba informować, a po drugie szukać konkretnych rozwiązań. Bo ludzie umieją sobie radzić w sytuacjach kryzysowych, tylko trzeba im pokazać, co i jak zrobić. Jestem takim trochę norowcem, czyli podobnie jak jamnik lubię szukać w norach różnych rzeczy, i wyciągam z literatury mnóstwo danych, których wiele osób nie zauważa. Gdy nagle pojawiły się informacje, że na wirusa z Wuhanu działają leki stosowane w leczeniu malarii oraz HIV, to oczywiście pierwsza myśl była taka, że trzeba te preparaty zdobyć. Trzymać je

w domu, żeby zabezpieczyć siebie, najbliższych i ewentualnie ludzi, którzy będą ich potrzebowali. Niestety po weryfikacji się okazywało, że te leki nie działają. To ślepa uliczka, jeśli nie ma badań klinicznych, pułapka, w którą wpadały kolejne „cudowne” leki na koronawirusa. Ale już w lutym miałem także dodatkowe pulsoksymetry, wcześniej używałem tych urządzeń w gabinecie, gdy pacjenci mieli jakieś problemy oddechowe. Ale jak się okazało, że pierwszym objawem uszkodzenia płuc w tej chorobie jest spadek saturacji, to po prostu kupiłem trzy czy cztery pulsoksymetry i jeden dałem rodzinie, drugi trzymałem w domu, a trzeci nosiłem zawsze przy sobie. Jeździłem wtedy dosyć często na konsultacje do różnych miast w Polsce i miałem kiedyś taką sytuację, że w pociągu zasłabła pasażerka. Wyciągnąłem pulsoksymetr, stetoskop i udzieliłem jej pomocy. Nie wiem, czy to był covid, natomiast w tamtej chwili zdałem sobie sprawę, że jeśli istnieje coś, co pomoże walczyć z tym wirusem, to trzeba to zdobyć i mówić o tym publicznie. To było zresztą takie permanentne wyzwanie, bo co chwilę się okazywało, że środki, które na początku miały działać, potem się wykruszały, różne eksperymenty i testy kończyły się fiaskiem, więc pojawiła się też frustracja, że właściwie nie mamy nic, czym moglibyśmy tego wirusa zwalczyć, w związku z tym pozostaje nam tylko ochrona mechaniczna, czyli maseczki. U nas w domu nigdy ich nie brakowało i to nie dlatego, że wynosiłem je ze szpitala, tylko wręcz przeciwnie, szyliśmy je sami, a jak maseczki pojawiły się w hurtowniach, to kupiliśmy spory zapas i czekają poupychane w szufladach maski chirurgiczne albo FFP2, bo moja żona także pracuje wśród ludzi, więc musi mieć profesjonalną ochronę, a nie bawełnianą szmatkę. Jak dziś oceniam, było to bardzo skuteczne, bo nikt z naszej rodziny bliższej ani dalszej nie

uległ zakażeniu, mimo że mieliśmy kontakty z osobami, które potem okazały się chore.

No i zaczęła się misja edukacyjna. Organizowałem webinaria, mówiłem na temat covidu wszędzie tam, gdzie ktoś chciał słuchać. To mój wkład w walkę z pandemią w Polsce. Pierwszy wykład wygłosiłem 3 lutego 2020 roku w Centrum Medycznym Kształcenia Podyplomowego, czyli na uczelni dla lekarzy po dyplomie, i przyszli pracownicy naukowi, słuchali o nowym wirusie z otwartymi ustami. Nie opowiadałem żadnych rewelacji, po prostu zrobiłem przegląd literatury, ale to było tak nowe dla wszystkich, że potem kierownik zakładu zaproponował, żeby zamieścić treść wykładu na stronie internetowej, aby wszyscy mogli się zapoznać ze stanem wiedzy, bo to było takie pierwsze podsumowanie sytuacji. Na zakończenie swojego wystąpienia podkreśliłem, że tyle wiem na dziś. Natomiast jutro wszystko może się zmienić. Przekonywałem, że pandemia wymaga pokory i wielkiej gotowości do zmiany poglądów, bo tak naprawdę na naszych oczach rodzi się nowa choroba, nowy patogen o nowych właściwościach i w danej chwili nic nie można o nim powiedzieć na pewno. A przy okazji tej rozmowy przejrzałem tę prezentację – na dwadzieścia pięć slajdów sprzed ponad roku dołożyłbym dziesięć, ale wyrzuciłbym tylko trzy, bo reszta jest jak najbardziej aktualna. To ważne także dla mnie, że intuicja zawodowa mnie nie zawiodła.

Czy koronawirus rzeczywiście nauczył nas pokory?

To się okaże, zweryfikuje to kolejne podobne doświadczenie. Jak na razie nie widać tej nauki, bo kolejne fale epidemiczne wciąż zaskakują. O tym, czy wyciągnęliśmy właściwe wnioski, dowiemy się w przyszłości. Ale wydaje mi się, że osoby, które teraz mają powyżej dziesiątego roku życia,

rozumieją, co się dzieje, i w przyszłości będą pamiętały o pandemii, ona zostanie w naszej świadomości. Tak myślę, gdy obserwuję moich nastoletnich synów. To trauma, którą będziemy przepracowywać przez lata. Pokolenie moich rodziców przeżyło drugą wojnę światową, wielką biedę po wojnie, i oni nigdy tego nie zapomnieli. Zawsze mi powtarzali, że musi być na czarną godzinę jakiś pieniądz, musi być jakiś zapas mąki, gdyby przyszła bieda, więc gdy umarli, to te zapasy myśmy wyciągali z różnych szafek i zakamarków. Moje pokolenie miało stan wojenny i nigdy tego nie zapomnimy, zawsze pozostanie trauma tamtych lat. Stąd wnioskuję, że i oni już tego doświadczenia nie zapomną, chociaż świat pędzi ku katastrofie i wiele jeszcze może się wydarzyć.

Moja babcia nosiła w kieszeni okruszki chleba. Taka pamiątka po obozie.

No tak. Po obozie, po głodzie, po zagrożeniu życia. Oczywiście nie można porównywać wojny do wirusa, ale typ doświadczenia wydaje się podobny. Czyli poczucie totalnego zagrożenia. Utrata stabilności, świadomość, że nic nie jest na zawsze. Mogą się nie odbyć olimpiady, może nie być rodzinnych świąt, ktoś nie pójdzie do kościoła w niedzielę, choć mu się to wydaje niemożliwe, chyba że ciężko zachoruje itp., itd. Runęło wszystko, co uważaliśmy za niezmienne. Nic nie jest pewnikiem, pandemia wywróciła wszystko do góry nogami i zamiast normalnie funkcjonować, siedzimy miesiące w domu w izolacji. A czy można zamknąć sklepy? Można. Można zamknąć stadiony? Też można. Jeśli komuś się wydawało, że nikt nie odważy się zamknąć szkół, kościołów czy innych instytucji, to był w błędzie. A przestrzeń powietrzna? Mój kolega jest kontrolerem lotów na Okęciu i stwierdził: „Słuchaj, nie ma ta-

kiej opcji, żeby dało się wstrzymać ruch lotniczy". I co? Okazało się, że to też można zrobić.

Ano właśnie. Pokora. Do tego zmierzam, bo proszę spojrzeć... Jest jakaś przedziwna prawidłowość, że ci wszyscy, którzy mówili, że ten nowy wirus to właściwie delikatna grypka – prezydent Brazylii Jair Bolsonaro, premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson i prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump – zostali dotknięci koronawirusem. Dwóch pierwszych to doświadczenie nauczyło pokory. Trzeciego nie.

No tak, ale to wynika z tego, że wszyscy mamy wątpliwości, czy Donald Trump w ogóle zachorował. Czy nie była to zagrywka przedwyborcza.

Fakt. Wyjątkowo szybko został wyleczony.

Być może się mylę, ale to była tak przedziwna sytuacja… Z drugiej strony u prezydenta USA zastosowano wszelkie możliwe terapie, włącznie z przetoczeniem przeciwciał w pierwszych dniach choroby. Jeśli przeciwciała zastosuje się na wczesnym etapie choroby, to praktycznie momentalnie zdrowiejemy, więc to byłoby wytłumaczenie, można by uwierzyć w tę historię, że Trump źle się poczuł, miał dwa dni gorszego samopoczucia, dostał przeciwciała i choroba natychmiast się wycofała. Zresztą powtarzam to cały czas, że potrzebujemy skutecznych leków do domowej terapii przedszpitalnej, bo wtedy będziemy w stanie zabić wirusa i uniknąć powikłań. Gdy mija pierwszy tydzień choroby, wirus często jest już nieobecny, a burza zapalna z zakrzepicą trwa. I jej się nie powstrzyma. Nie działają na nią ani surowica ozdrowieńców, ani jedyny lek przeciwwirusowy – remdesivir, bo wirusa już nie ma. Musimy wtedy walczyć z zupełnie innym procesem, więc gdyby ktoś dostał przeciwciała w trzeciej dobie zakażenia w domu, to być może zatrzymalibyśmy postęp choroby.

Tylko że takie leki podaje się niestety dożylnie, czyli musi się to odbyć w szpitalu albo po domach musi jeździć ekipa podająca leki dożylnie. Mankamentem obecnej terapii jest to, że doustnego leku przeciwwirusowego potrzebujemy w pierwszych trzech dobach choroby, a podaje się go za późno. Ale można sobie wyobrazić takie centra wlewów dożylnych jak stacje dializ czy ośrodki dziennej chemioterapii – chory przychodzi, dostaje wlew leku dożylnie i wraca do domu – czemu nie – to tylko kwestia wyobraźni i logistyki.

Czy koronawirus zmienił zawartość pańskiej apteczki domowej?

Oczywiście. Leki, które zdobyłem na początku pandemii, pewnie się przeterminują. To są pochodne chlorochiny. Inne leki na szczęście oddałem, bo te preparaty stosuje się w terapii HIV, a współpracuję z ośrodkiem testowania i opieki nad pacjentami z tą chorobą, więc po prostu przekazałem medykamenty, które w pewnym momencie kupiłem, myśląc, że będą skuteczne. Na stałe w apteczce mam dexametazon, aspirynę i ibuprofen, wszystkie te leki, które są potrzebne w ostrej fazie COVID-19 – wiem, że gdyby cokolwiek zaczęło się dziać, zresztą taka sytuacja już miała miejsce, to dam je choremu. Mam też oczywiście szybkie testy, ponieważ pracuję w przychodni i testujemy pacjentów, więc poza PCR-em właściwie jestem niezależny, mogę w każdej chwili przetestować dowolną osobę. No i są pulsoksymetry, które już nie raz były pożyczane chorym do domu. Tlen również znajduje się w przychodni z racji wykonywania szczepień, więc gdyby coś się zadziało, rodzina czy znajomi mogą zadzwonić, uzyskają pomoc – to też jest ważny element w tej pandemii, bo tworzy się taka sieć pomocowa, asekuracji. Ludzie wiedzą, że mają do kogo się zgłosić, kto powie, co robić. Ot, choćby taka

sytuacja. Rozmawiałem z zaprzyjaźnionym pacjentem i on w pewnej chwili spytał mnie, kiedy należy się zgłosić do szpitala. Odpowiedziałem, że w momencie, gdy poczuje się niepewnie, kiedy będzie mu duszno, gdy dojdzie do łazienki, powinien zadzwonić po karetkę. I za dwie godziny był już w szpitalu i przeżył. Inny znajomy, który zadzwonił za późno, bał się iść do szpitala, mieszkał w innym mieście, niestety trafił w ciężkim stanie do szpitala i dwa dni później zmarł. Tak to mniej więcej wygląda i mam wyrzuty sumienia, że czasami może nie byłem wystarczająco stanowczy, że nie zachęcałem kogoś, żeby się zdecydował na hospitalizację, ale to jest już bardzo, bardzo osobista, trudna sprawa, bo nigdy nie wiemy, gdzie przebiega ta granica decyzji, czy to ma być moja decyzja czy pacjenta. Jestem raczej zdania, że jeżeli pacjent nie chce, to zmuszanie go nie jest dobre.

Covid weryfikuje naszą rzeczywistość na bardzo wielu polach, w bardzo wielu dziedzinach. Z jednej strony mamy oklaski dla lekarzy, z drugiej strony hejt na bardzo wielu medyków. Z jednej strony są akcje pospolitego ruszenia, korpusy pomocy dla seniorów, czy jak to się tam szumnie nazywa – zresztą, nawiasem mówiąc, dużo podniosłych nazw i haseł powstało przy okazji koronawirusa – a z drugiej strony pojawia się taka podłość, takie ostentacyjne chodzenie bez maseczek po ulicy i sekowanie ludzi, którzy przeszli covid. Czy myśli pan, że koronawirus budzi w nas anioły i demony? Pokazuje nam naszą dobrą stronę lub nasze draństwo?

Tak, napisałem gdzieś na samym początku, że pandemia wywołuje, generuje czy wyzwala w nas najrozmaitsze demony, ale także dobre emocje – powoduje pozytywne i negatywne zjawiska. Towarzyszy jej bardzo szczególny rodzaj odczuwania. Skrajne emocje.

Ten wirus jest takim sprawdzianem tego, co się z nami dzieje. Testuje, co się dzieje ze społeczeństwem, co się dzieje z władzą, jakie są relacje międzyludzkie, zaufanie do siebie, nauki, ekspertów, lekarzy. Widzimy na przykład, jak kompletnie niekompetentni ludzie cały czas kurczowo trzymają się stanowisk kierowniczych, myślę zresztą, że na początku wielu przedstawicieli władzy w różnych krajach miało nadzieję, że na pandemii zdobędzie popularność. I próbowało to robić w tak nieudolny sposób, najpierw bagatelizując sprawę, a potem mówiąc, że wszystko znajduje się pod kontrolą.

Aha.

To wszystko stwarzało takie poczucie, że władza kompletnie nie ma pojęcia, o co chodzi. Błądzi po omacku i do tego stopnia jest oderwana od rzeczywistości, że nie potrafi zrozumieć podstawowych zależności w epidemiologii. Moim zdaniem wirus to bezwzględny test dojrzałości społeczeństw. Jeśli przedstawiciele władzy zaufali ekspertom, to musieli przełknąć gorzką pigułkę, że sobie sami nie poradzą, że sytuacja jest groźna i wymyka się spod kontroli. Myślę, że to najgorsza opcja, gdy osoby sprawujące władzę uważają, że jeżeli przekażą społeczeństwu złe wiadomości, to społeczeństwo ich zniszczy. I odbierze im władzę. Dlatego na przykład Boris Johnson wolał żartować, opowiadać, że wprowadzenie lockdownu nie ma najmniejszego sensu, wszystko będzie dobrze. Po czym zachorował i po tym doświadczeniu swoim i swojego kraju całkowicie zmienił front, Wielka Brytania jako pierwsza na świecie zaczęła szczepienia. I skończyło się bagatelizowanie. Myślę, że to jest właśnie kluczowy moment weryfikacji tego, jaka wśród rządzących jest świadomość procesów, które mogą się rozwijać, a których oni kompletnie nie ogarniają.

Człowiek, który nic nie rozumie, nie powinien podejmować decyzji. Powinien wziąć sobie do pomocy specjalistów, którzy rozumieją. Brak takiego podejścia spowodował tragedie w wielu krajach, na przykład we Francji, Włoszech czy w Hiszpanii, gdzie początkowo nie posłuchano tamtejszych ekspertów.

A gdyby miał pan stworzyć katalog błędów popełnionych podczas zarządzania pandemią w Polsce i na świecie, to co by się znalazło na takiej liście?

Myślę, że pierwszym błędem jest negowanie nauki i danych epidemiologicznych. Myślę, że dokładnie tak postąpili na początku Chińczycy. To trochę jak historia w filmie katastroficznym. Pojawia się człowiek, który ostrzega, że będzie trzęsienie ziemi, ale nikt mu nie wierzy, nikt nie reaguje, nikt nie chce zarządzić ewakuacji, zostaje zignorowany. A potem następuje katastrofa i giną miliony ludzi.

Przecież słońce świeci, na Phuket świeci słońce, nic złego się nie dzieje, wszyscy są na plaży…

No właśnie. No właśnie. Podobnie miała się sprawa z tsunami na Oceanie Indyjskim w 2004 roku. Czy ktoś, kto przynosi złą nowinę, a jest ekspertem, powinien być przeganiany tylko dlatego, że mówi bolesną prawdę i burzy nasz spokój? W urzędach najgorszą rzeczą jest zamieszanie. Gdy potrzeba szybkich, nagłych interwencji, to wielu urzędników odsuwa od siebie te tematy i woli je przemilczeć, niż uruchomić jakiś proces, który spowoduje zniszczenie istniejącego porządku i wymusi konieczność zorganizowania ewakuacji czy czegoś w tym rodzaju. To moim zdaniem grzech główny. Taka niefrasobliwość w rozmowach z naukowcami i ekspertami całe życie zajmującymi się danym tematem. I niesłuchanie ich prognoz. Inną sprawą jest – jak to powiedzieć, żeby nikogo nie obrazić – takie

wąskie pasmo widzenia świata. Widzę to, co widzę i co potrafię jakoś opisać. Natomiast w momencie, gdy ktoś przychodzi do mnie i opisuje coś, czego nie znam, nie słucham go. To znaczy, żebyśmy dobrze się zrozumieli, tu nie chodzi o głupotę, tylko o nieumiejętność szerszego spojrzenia na sprawę i brak otwartości na kwestie, których się nie rozumie. Jeżeli w takiej sytuacji osoba decyzyjna charakteryzuje się wąskimi horyzontami myślowymi, to oczywiście musi to pogrążyć obszar, którym zarządza…

Psychologowie nazywają to zjawisko nieumiejętnością wyjścia ze strefy komfortu.

Okej. Mniejsza o nazwę, ale chodzi mi o to, że ta strefa komfortu nie jest tylko strefą komfortu „nicnierobienia”, lecz strefa takiego postrzegania świata, że możliwe jest tylko to, co mnie się wydaje możliwe. A skoro pandemia wydaje mi się niemożliwa, to jej po prostu nie ma. Czyli to coś więcej niż tylko strefa komfortu – zawężony obszar postrzegania świata.

Takie myślenie: stłukę termometr, to nie będę miał temperatury, tak?

Tak, ale to już jest skutek. Skoro nie dopuszczam możliwości wystąpienia pandemii, to wywalam epidemiologów, każę im milczeć, nie chcę niczego wiedzieć, nie potrzebuję danych, bo one są przecież niewiarygodne. Zatrudniam sztab PR-owców i zaczynam montować całą obronę przed tym światem, przekonuję, że nie ma co panikować, przecież nic się nie dzieje, w innych krajach też nikt nic nie robi, więc dlaczego my mielibyśmy być pierwsi itd. Potem nadbudowuje się całą logikę tego „nicnierobienia” i uzasadnienie, dlaczego nic się nie robi. Powiem szczerze, że pierwsza myśl, że ten wirus może okazać się naprawdę bardzo niebezpieczny, zaświtała mi już na początku lutego

2020 roku. Uważałem, że trzeba szykować szpitale tymczasowe, jednoimienne, ponieważ już wtedy było wiadomo, jak sytuacja wygląda w Chinach. Zabrakło łóżek w tradycyjnych szpitalach, brakowało tlenu, respiratorów, skończyły się miejsca i zakażonych nie było gdzie leczyć. Na początku lutego, jeżeli dobrze pamiętam, śmiertelność liczyliśmy nie z powodu covidu, tylko z powodu braku możliwości udzielenia chorym pomocy. I to były takie pierwsze sygnały. Potrzebowaliśmy specjalnej przestrzeni dla zakażonych, ale nikt tego nie słuchał. Nikt. Kompletnie.

Czy decyzja o lockdownie, w tym o zamknięciu szkół, została – pana zdaniem – podjęta za późno?

Nie, uważam, że lockdown został ogłoszony w odpowiednim momencie. Pamiętam rozmowy z innymi specjalistami à propos lockdownu. To był w Polsce czas, kiedy jeszcze słuchano epidemiologów, i to tych z wieloletnim stażem, często już na emeryturze, którzy pamiętali poprzednie epidemie. Wypowiadała się wtedy m.in. profesor Danuta Naruszewicz, która pamiętała ospę prawdziwą. I pojawiły się sugestie, że jeżeli chcemy powstrzymać pandemię, to trzeba ogłosić całkowitą blokadę. Proszę zwrócić uwagę, że mieliśmy swego rodzaju szczęście – przed nami wirus rozszalał się we Włoszech i widzieliśmy, co tam się działo. Mieliśmy czas, żeby tego 14 marca ogłosić lockdown. Włosi nie mieli tyle szczęścia. W Europie Zachodniej pierwsze przypadki epidemii pojawiły się miesiąc wcześniej niż u nas i u nich wirus już zbierał żniwo. Natomiast my mieliśmy czas na działanie, jeszcze wtedy Ministerstwo Zdrowia słuchało opinii ekspertów, także tych z GIS-u. Lockdown w Polsce został ogłoszony absolutnie we właściwym momencie. Wszyscy zostali w domach i do tego stopnia za-

blokowaliśmy covid, że w zasadzie nie mieliśmy pierwszej fali. To było coś niebywałego. Ludzie się wspierali. Nastąpiła niebywała aktywacja wszystkich osób dobrej woli, dzięki czemu na chwilę wygraliśmy z wirusem. Odnieśliśmy małe zwycięstwo. Tylko, ponieważ zachorowało tak mało osób i tak niewiele zmarło, wszyscy zaczęli mówić, że ta choroba tak naprawdę nie istnieje. Co to za wirus? Gdzie on jest? Pojawiły się twierdzenia, że Polacy są odporni, że chroni nas szczepionka przeciwko gruźlicy, że w ogóle Polacy to taki naród „wybrany", odporny na tego wirusa. I efekty lockdownu szybko zostały całkowicie zaprzepaszczone w kolejnych miesiącach – od maja do września nie zrobiono nic, aby przygotować się do jesiennej fali, którą zapowiadaliśmy. Odblokowano wszystko, zajęto się wyborami i szykowaniem dzieci do szkoły.

Premier przekonywał, że najgorsze już za nami i można spokojnie iść na wybory, bo wybory są bezpieczniejsze niż pójście do sklepu albo na pocztę.

Tak, ale to był skutek. Znowu. Premier powiedział to w maju, prawda? Kiedy już konsumowaliśmy sukces wczesnego lockdownu. Gdybyśmy wtedy wytrwali dłużej tak jak na przykład Finowie, którzy też wprowadzili całkowity lockdown i nie odpuścili tak szybko... Do wakacji i w wakacje utrzymali te same zalecenia. Mniej kontaktów międzyludzkich, mniej przemieszczania się, mniej imprez, i im się udało. W tej chwili przeszli drugą falę bez tragedii, a my pozwoliliśmy wirusowi zrobić w Polsce to, co wirus zrobił we Włoszech w marcu. I dlatego mieliśmy nasze Bergamo pół roku później, a nie w marcu, bo wtedy schowaliśmy się w domach. Posłuchaliśmy ostrzeżenia o tsunami i zdążyliśmy uciec. I to było fantastyczne, ale jednocześnie stało się początkiem dramatu. Zjedliśmy własny ogon,

stając się de facto ofiarami własnego sukcesu. Tak skutecznie powstrzymaliśmy wirusa, że ludzie przestali się go bać, władza zapomniała o całej prewencji, no i we wrześniu wybuchło to, co wybuchło.

Jak wyglądały pana wakacje Anno Domini 2020?

W zasadzie bardzo dobrze. Zaplanowaliśmy wyjazdy w kwietniu i gdy lockdown został zniesiony, to mieliśmy już poumawiane kwatery prywatne. Wynajęliśmy na tydzień przyczepę na Helu, zrezygnowaliśmy z wszelkich wyjazdów zbiorowych. Syn wybrał się na obóz konny w miejsce, w które jeździ od lat, znamy tamtejszych gospodarzy. Tym razem była tam mniejsza liczba dzieci i przestrzegano reżimu sanitarnego, nikt nie zachorował, więc mieliśmy normalne wakacje, a pod koniec lata pojechaliśmy na tydzień w Bieszczady, wynajęliśmy kwaterę, w której byliśmy sami i wędrowaliśmy ścieżkami w poprzek głównych szlaków, nie spotykając całymi dniami nikogo. Spędziliśmy lato w odosobnieniu, ale wszystkie zaplanowane wyjazdy się udały, odwiedziliśmy i góry, i morze, i dzieci miały aktywny wypoczynek, nie odczuły braku wakacji, a jednocześnie nie naraziliśmy zdrowia na szwank.

Nie wyobrażam sobie pana za parawanem na plaży albo na przykład na Jarmarku Dominikańskim, choć sama, tak nawiasem mówiąc, byłam zupełnie przypadkowo w Gdańsku tego lata.

Na jarmarku nie, ale za parawanem jak najbardziej. Jeździmy na Hel w takie miejsce, gdzie właściwie nie ma ludzi. Jeśli zna pani półwysep, to kojarzy Chałupy – mieszkamy na czwartym kempingu, plaża znajduje się po drugiej stronie torów i naprawdę trudno nie znaleźć tam kawałka

piasku odległego od innego kocyka i parawanu o kilkadziesiąt metrów. Tak że nie było problemu.

Panie doktorze, ruszyła – znowu szumne hasło – narodowa akcja szczepień. Kilka tysięcy punktów szczepień, milion szczepień tygodniowo. Pan wątpi, że to się uda.

Tak, sądzę, że raczej milion miesięcznie[*].

Nie, panie doktorze, zapowiadano milion tygodniowo. Sto dwadzieścia szczepień tygodniowo miał zrobić każdy punkt. Sprawdziłam to.

Te liczby są jak z kosmosu, to po prostu na razie całkowicie wyssane z palca szacunki ludzi, którzy siedzą za biurkiem i robią sobie takie teoretyczne wyliczenia. Bardzo się tego boję, ponieważ od początku pandemii urzędnicy w Polsce wykazali się ogromnym brakiem wyczucia czy nawet instynktu samozachowawczego. Zrozumiałbym sytuację, w której urzędnicy konsultowaliby swoje decyzje z ekspertami, słuchali ich, a w przypadku gdyby specjaliści mieli odmienne od nich zdanie, to robili, co uważają. Natomiast u nas w zasadzie od początku nie słucha się specjalistów. Po prostu zatyka się uszy. Pojawiły się nawet takie opinie, że ekspertów się nie zatrudnia, bo nie chcą robić tego, co chce władza. Bo liczą się przede wszystkim PR, wizerunek i kolejne wybory. Skoro tak to wygląda, to jeżeli teraz będziemy organizować szczepienia bez udziału wakcynologów, ludzi, którzy na co dzień tym się zajmują i się na tym znają, to szczepienia zrobią wielką klapę. Nie miejmy złudzeń. Już ogłoszenie konkursu, czyli – jak ja to nazywam – castingu na narodowe kombinaty szczepień, to katastrofa. To mogłoby być nawet śmieszne, gdyby nie było tragiczne. Bo żądanie wykonania stu dwudziestu iniekcji tygodniowo od punktu szczepień, który ma jeszcze inne zobowiązania wobec pacjentów, jest nierealne. Ja

szczepię od trzydziestu lat i nie jestem w stanie zaszczepić siłami swoich pracowników tylu osób tygodniowo. No nie ma żadnych szans. Po prostu. A jeśli dołożymy do tego jeszcze mobilne szczepienia, czyli że muszę wysłać pielęgniarkę lub lekarza do pacjenta do domu, i oni znikną na półtorej godziny z przychodni, żeby podać jedną dawkę, notabene szczepionki, która występuje w opakowaniach pięciodawkowych... Swoją drogą jestem ciekaw, jak to zostanie rozwiązane…

Pojawia się problem z przechowywaniem leku…

No oczywiście. Takie szczepienie to bardzo skomplikowany proces od strony technicznej, o czym się w ogóle nie mówi. Wszystko zostawia się w strefie niedopowiedzeń, że szpital albo punkt szczepień w przychodni medycyny rodzinnej jakoś to ogarnie, a jednocześnie organizuje się nabór do Narodowego Programu Szczepień, w którym medycy będą stali przy taśmie po dwanaście godzin na dobę, żeby każdy zespół zaszczepił osiemnastu pacjentów dziennie, aby wyrobić normę tych stu dwudziestu szczepień tygodniowo – przy założeniu, że będą pracować od poniedziałku do niedzieli. Bardzo chciałbym to zobaczyć. Nie zgadzam się z takim podejściem, protestuję, wiele punktów w małych przychodniach nie zgłosi się do tego konkursu, ja także, mimo że bardzo chciałbym szczepić. To dla mnie osobista porażka, bo gdy znajdę się poza tym systemem, to będę czuł się tak, jakbym trzydzieści lat uczył się wakcynologii, żeby w końcu całą swoją wiedzę i doświadczenie zawodowe w walce z pandemią wyrzucić do śmieci.

A czy to znaczy, że jeżeli pan się nie zgłosi, to pan nie będzie mógł szczepić? To tak ma działać?

Tak. Tylko ten, kto przejdzie przez to konkursowe sito, otrzyma szczepionki.

Rozumiem. Trudno w to uwierzyć, panie doktorze. Też patrzę na ten pomysł, bo Brytyjczycy zaczynają szczepić już teraz, w przyszłym tygodniu. Tworzą wielkie centra szczepień, na przykład stadion w Bristolu ma pełnić taką funkcję. Niemcy chcą w tym celu wykorzystać berlińskie lotnisko Tempelhof, a Kanadyjczycy do obsługi programu szczepień wyznaczyli generała, który dowodził siłami NATO w Iraku. A u nas?

A u nas ta sama polityka co w przypadku pacjentów chorych na koronawirusa. Niech pani zobaczy, co się porobiło. Władze przerzuciły odpowiedzialność za leczenie pacjentów chorych na covid na placówki powiatowe czy wojewódzkie, przekształcając je oczywiście przymusowo w szpitale covidowe lub oddziały covidowe. I w programie szczepień dzieje się dokładnie to samo. Czyli mamy brak zarządzania kryzysowego, centralizację dostaw szczepionek, ręczne sterowanie magazynem, a jednocześnie brak dużych punktów szczepień czynnych 24 godziny na dobę, po to, żeby uniknąć… nie wiem czego. Wszyscy wiemy, że rozproszenie sił i środków zawsze daje straty. To oczywiste i gdyby ktokolwiek chociaż odrobinę zastanowił się nad zarządzaniem kryzysowym, to by pomyślał, że jednak koncentracja sił i środków jest tutaj najważniejsza. Być może te sto dwadzieścia szczepień tygodniowo to jest jakaś taka nieudolna próba koncentracji, ale ona kompletnie nie wypali. Do tego konkursu, naboru do Narodowego Programu Szczepień, staną prawdopodobnie głównie przychodnie komercyjne, które dysponują dużymi budynkami i mają jakieś rezerwy personelu, boję się że będzie handel pacjentami, bo za każde szczepienie punkt szczepień otrzymuje sześćdziesiąt kilka złotych. W warunkach kon-

kursu widnieje jeszcze jeden ciekawy punkt, że jak ktoś ma podpisaną umowę z NFZ-em na inne świadczenia, to ma te świadczenia dalej realizować, czyli nie robić szczepień kosztem innych pacjentów.

Inaczej mówiąc, trzeba zorganizować dodatkowy personel, który zajmie się tylko szczepieniami. Bo nikt nie trzyma zapasowych lekarzy czy pielęgniarek, którzy na co dzień nie mają nic do roboty, więc jeśli zatrudniam, powiedzmy, trzech pediatrów, to każdy z nich podpisał umowę z NFZ-em na dwa tysiące świadczeń dla dwóch tysięcy pacjentów – świadczeń podstawowej opieki zdrowotnej. Jeżeli przekieruję jednego pediatrę do szczepień, to on już nie będzie się w stanie opiekować swoimi podstawowymi pacjentami. Czyli jednak nie spełnię wymogów umowy z NFZ-em. W związku z tym, moim zdaniem, ten konkurs promuje placówki, które de facto znajdują się poza systemem lecznictwa w Polsce i nie mają kontraktów z NFZ-em.

A pan sam się zaszczepi? Zaszczepi pan swoją rodzinę?

Oczywiście. Ja nie tylko mówię, co mówię, ale…

Ale robię, co mówię.

Wierzę w to i to robię. Podobnie postąpiłem podczas epidemii świńskiej grypy. Pamięta pani, że Polska nie miała szczepionki przeciwko tej chorobie? Nie sprowadziliśmy jej. A moja rodzina została zaszczepiona, i moi najbliżsi. Jeszcze wtedy żyli moi rodzice.

Osobą decyzyjną była wtedy Ewa Kopacz, prawda?

Tak, tak, zresztą z powodu jej decyzji straciłem wtedy pracę. Walczyłem o tę szczepionkę, żeby było chociaż parę milionów dawek.

Historia lubi się powtarzać.

Tak. Mimo że to inna władza, to mechanizm działania pozostał ten sam. Władza nie znosi innych poglądów niż te, które sama sobie wykreowała, które są dla niej wygodne, więc mamy teraz powtórkę z historii. Ale dlaczego o tym wspominam. Sprowadziliśmy wtedy dla siebie szczepionkę z Węgier, tam ją produkowano. Moi znajomi, którzy mieszkają na Węgrzech, po prostu zorganizowali nam lek, dostępny w tamtejszych aptekach. Przekazali go przez zaprzyjaźnioną stewardesę i myśmy wszyscy się zaszczepili. Moja żona była wówczas w ciąży, w środku epidemii świńskiej grypy, bo Staś urodził się 7 marca 2010 roku. Miałem świadomość, że ta choroba zabija kobiety ciężarne, i nie darowałbym sobie, gdyby moja żona zmarła czy miała powikłania, a ja miałbym dostęp do szczepionki i z niej nie skorzystał. I tak samo jest teraz. Mam poczucie, że gdyby była jakakolwiek możliwość zdobycia tej szczepionki komercyjnie, to już bym ją podał wszystkim chętnym.

Panie doktorze, myśli pan, że jest szansa, na powrót do dawnego życia? Ludzie o tym marzą, składają sobie teraz takie życzenia świąteczne i noworoczne – żeby wrócić do normalnych czasów. Normalnych, czyli do jakich? Czy czeka nas jeszcze świat bez covidu, czy już nic nie będzie takie jak dawniej?

Nie będzie, co najmniej przez kilka najbliższych lat. Nie będzie jak dawniej, dopóki nie uzyskamy przewagi nad COVID-19. A przewagę nad nim uzyskamy, gdy będziemy mieli lek do wczesnej terapii domowej albo gdy będzie naprawdę powszechnie zaszczepiona populacja, albo opracujemy inne skuteczne środki prewencyjne. Czyli będziemy mogli przyjmować coś, co zablokuje rozwój wirusa zaraz po jego wejściu do naszego organizmu. Testuje się w tej chwili takie preparaty, które być może zahamują namnażanie koronawirusa, najnowszy jest testowany na fretkach

i rokuje nadzieje. Trwają także prace nad środkami donosowymi mającymi blokować rozwój choroby, więc myślę, że rok 2021 stanie się takim momentem przełomowym – pojawi się mnóstwo prototypowych leków, które do tej pory nie przebiły się do produkcji, ponieważ w pierwszej kolejności zajęto się finansowaniem szczepionki. Uważam, że szczepionka nie rozwiąże do końca obecnego problemu, nie zapobiegnie kolejnym falom choroby. Będą one słabsze, ale będą, ponieważ nie wszyscy się zaszczepią, nie wszyscy jednocześnie, no i nie u wszystkich wytworzy się odporność poszczepienna. Szczególnie może to dotyczyć osób najbardziej zagrożonych, czyli powyżej sześćdziesiątego piątego roku życia. Tu mamy zawsze pewne obawy, czy organizm seniora wytworzy tak skutecznie odporność jak organizm młodszy. Dodatkowo, pamiętajmy, że wirus się zmienia, cały czas powstają nowe warianty, nie wiemy czym się to skończy, bo jeśli powstanie nowy wariant uciekający naszej odporności, to wszystko zacznie się od nowa.

A więc pojawia się wiele znaków zapytania i dlatego uważam, że 2021 rok nie będzie jeszcze normalnym rokiem. Znajomi, którzy organizują imprezy masowe, pytali mnie, czy mogą na maj rezerwować sale konferencje w hotelach – odradziłem. Powiedziałem, że na ich miejscu myślałbym raczej o jesieni, a nawet dopiero o końcówce roku.

Czyli będziemy nosić maseczki do sylwestra 2021 roku?

Myślę, że tak. Wypowiedzi niektórych przedstawicieli władzy, że koniec pandemii nastąpi w maju, nie mają pokrycia w faktach. Boję się takiego nieuzasadnionego optymizmu, bo może przynieść więcej szkód niż korzyści.

Minister zdrowia stwierdził, że pokonamy wirusa do wakacji. Jak tylko się wyszczepimy.

Powiem szczerze. Gdybym był premierem, to po takiej wypowiedzi wyrzuciłbym go z roboty. No sorry.

Minister zdrowia powiedział, że już wygraliśmy, panie doktorze.

No cóż. Możemy się założyć. Chciałbym przegrać.

Panie doktorze, ogromnie dziękuję za rozmowę.

Ja także. Dziękuję przepięknie.

---

[*] Do końca marca 2021 roku podano 6 milionów dawek, co daje średnio 75 tysięcy iniekcji dziennie, czyli około 2 milionów miesięcznie.

ANITA LIPNICKA

PIOSENKARKA, AUTORKA TEKSTÓW

JOANNA RACEWICZ: Anita, ile koncertów musiałaś odwołać, ile razy przekładałaś świętowanie jubileuszu ćwierćwiecza na scenie, ile planów zrujnował ci covid?

ANITA LIPNICKA: Nawet nie jestem w stanie tego policzyć, bo zaplanowane koncerty były przekładane po kilka razy, już się zgubiłam. Niektóre z nich odwołano, inne czekają, by móc się odbyć w bliżej nieokreślonej przyszłości. Tak sobie policzyłam ostatnio z ciekawości, że w ostatnich latach grałam średnio po 50–65 koncertów rocznie, zaś od początku pandemii, czyli od marca 2020 roku aż do teraz, pojawiłam się na scenie z moim zespołem jedynie cztery razy. To spora różnica, prawda?

To bardziej lekcja pokory, zawieszenie czy może czas, który został nam dany po coś?

Próbuję to sobie jakoś tłumaczyć, znajdować w tym sens. Dla mnie to nauczka, że nic nie jest nam dane raz na zawsze, że nie można brać niczego za pewnik. Robimy plany, a potem życie je weryfikuje. Czasem bardzo gwałtownie, jak w covidzie. Zawód, jaki wykonuję, opiera się na byciu w nieustannym ruchu, na spotkaniach z ludźmi, na cyrkulacji energii między mną a odbiorcami mojej muzyki. To jest przecież cały sens kreacji – to magiczne sprzężenie między sceną a widownią. A w tej chwili tego nie ma – przepływ energii został przerwany. Bęc i nagle koniec, pustka. Która z kolei nie działa stymulująco i blokuje nasze siły twórcze. Rozmawiam z innymi muzykami i wielu z nich ma podobne odczucia: że trudno się zebrać, znaleźć

motywację do tworzenia. Niby czasu mamy teraz dużo, ale jest on bardzo jałowy.

Co pomyślałaś, gdy pierwszy raz ogłoszono: „Zamykamy szkoły, teatry, kina, galerie, proszę unikać wychodzenia z domu”? Co czułaś, gdy patrzyłaś na opustoszałe ulice jak z horroru?

Początkowo nawet się ucieszyłam z tego niespodziewanego zatrzymania świata w biegu. Przyglądałam się wszystkiemu z zaciekawieniem. Chodziłam do opustoszałych centrów handlowych po produkty spożywcze, patrzyłam na te wszystkie wystawy zamkniętych sklepów, pełne plastiku, błyskotek, ciuchów na wieszakach, bez których nagle przyszło nam się obchodzić, i nachodziła mnie perwersyjna refleksja: „Dobrze nam tak! Może wreszcie nauczymy się, co jest w życiu ważne? Może przyszła pora uświadomić sobie, że toniemy w odmętach niezdrowej obfitości, której nie jesteśmy już nawet w stanie skonsumować. A w istocie tak niewiele nam potrzeba do szczęścia”. Wydawało mi się, że to dobrze, że ludzie zostali zmuszeni do zostania w domach, by przyjrzeć się bliżej samym sobie, swoim relacjom z bliskimi. I choć wieści zewsząd nie były optymistyczne, w tych pierwszych dniach ani przez chwilę nie przypuszczałam, że sprawy przyjmą tak drastyczny obrót. I że to zatrzymanie będzie trwało tak długo i przyniesie takie spustoszenie. Mój optymizm stopniowo zmienił się w niecierpliwość. Potem w zwykłe ludzkie rozżalenie.

Czego brakowało ci najbardziej?

Ludzi, podróży, życia towarzyskiego w przestrzeni publicznej. Zawsze czerpałam inspiracje ze spotkań w realu, twarzą w twarz, a nie on-line czy na Facebooku. Jestem pod tym względem niereformowalna. Ciężko mi się przestawić na funkcjonowanie w Internecie. A to tam przeniosło się teraz życie. Zwłaszcza życie artystów. Oczywiście istnieją

wspaniali twórcy, którzy świetnie sobie poradzili w pandemii, wykorzystując do komunikacji media społecznościowe. Ja natomiast należę do osób, które potrzebują działać w grupie, na żywo. Muzyka jest dla mnie formą dialogu. Nie umiem jakoś uzewnętrzniać się przed kamerką komputera. Poza tym na niczym nie gram wystarczająco dobrze, by samodzielnie urządzać domowe koncerty. Nawet gdy komponuję przy użyciu gitary czy fortepianu, to absolutnie nie czuję się muzykiem. Nie mam też przydomowego studia nagrań jak niektórzy. Zawsze brakowało mi piątej klepki, jeśli chodzi o nowe technologie! W domu funkcjonuję jako mama i żona, te role w nim odgrywam. Artystką od zawsze bywałam poza domem. W podróży, w studiu nagrań, podczas twórczych sesji z zespołem, naszych wspólnych wyjazdów, koncertów. I wszystko to nagle zniknęło. Teraz czuję się jak ptak ze związanymi skrzydłami.

I co z tym robisz? Ty, delikatna i eteryczna? Jest w tobie zgoda na rzeczywistość i czekanie na lepsze czasy? Czy może masz ochotę uderzyć pięścią w stół i krzyknąć: „Niech ten koszmar wreszcie się skończy”. Która Anita bierze górę?

Zdecydowanie ta druga. Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, że nie ja jedna znalazłam się w tej wyjątkowej sytuacji, wszyscy tkwimy w tym po uszy i każdy próbuje jakoś sobie radzić. Nie mam na nią wpływu. I to mnie najbardziej frustruje. Należę do osób, które z zasady lubią brać życie w swoje ręce. A teraz ono niejako nie zależy do końca ode mnie. Jubileusz, który został zaplanowany na ten rok, świętowanie, które miało być pięknym zwieńczeniem dwudziestu pięciu lat bycia na scenie, nie wypaliło. Czuję niemoc. Jednego dnia uważam, że ten cały lockdown nie ma sensu, że powinniśmy wyjść, żyć normalnie, kto się zarazi, to się zarazi, kto umrze, to umrze, trudno, ale żyjmy

po prostu! Takie mam dni. Po czym wraca myślenie typu zachowawczego, że należy się dostosować, najlepiej zamknąć wszystkie granice, globalnie, na całym świecie, i urządzić jednoczesną miesięczną kwarantannę dla wszystkich. Może wtedy wyszlibyśmy z tego obronną ręką? Gdy czytam wiadomości, to mam wrażenie, że tak naprawdę nawet rządzący są bezradni, wszyscy improwizują. Trudno oprzeć się wrażeniu, że nikt nie ma planu na wyjście z tej sytuacji, niektórzy wręcz ją wykorzystują do załatwiania własnych interesów. Większość decyzji rządu dotyczących obostrzeń po prostu trąci absurdem, gospodarka się zapada. Pojawia się pytanie: gdzie jest cel, i czy w tym przypadku faktycznie uświęca środki, czy jest wart ceny, jaką wszyscy teraz płacimy? Nawet jeśli ustrzeżemy się przed wirusem i tak wszyscy chorujemy na covid. Każdy w inny sposób.

Wyobrażam sobie twoją szafę pełną zapomnianych, niepotrzebnych teraz scenicznych ciuchów…

Często przed nią staję.

Wiesz, co najlepiej teraz się sprzedaje? Dresy. Nie potrzebujemy eleganckich, wyjściowych ubrań. Projektanci, których specjalnością były rzeczy na duże wyjścia – przerzucili się albo na szycie maseczek, albo właśnie na dresy. To też znak naszych czasów.

Bo nie ma dokąd pójść. Nawet sylwestra, jak większość osób, spędziliśmy z mężem i córką w domu. Postanowiłam jednak ładnie się ubrać, żeby chociaż w ten sposób podkreślić wyjątkowość tego wieczoru.

Były cekiny?

Cekinów nie było, ale włożyłam długą suknię od znanego projektanta, umalowałam się starannie, czerwoną szminką

pociągnęłam usta, ułożyłam włosy, miałam potrzebę, żeby się zmobilizować, ale faktycznie, tak jak mówisz, nie spotykamy się z nikim, nigdzie nie wychodzimy, to wkładamy dresy. Ostatnio pisałam nawet o tym na Facebooku, że coraz częściej uprawiam w domu piżama party, co trwa do południa. Albo właśnie takie pospolite dresiarstwo niemające nic wspólnego z uprawianiem sportu.

I tak od marca?

Pamiętam, że na początku pandemii miałam mnóstwo energii. Chodziłam „nielegalnie” na ćwiczenia z trenerem do jakiejś wynajętej salki. Cieszyłam się, że jest trochę czasu, można się wreszcie ogarnąć, zrobić coś dobrego i pożytecznego dla ciała i ducha. Razem z mężem zabraliśmy się ostro do urządzania nowego mieszkania, bo nagle był na to czas. Przez moment miałam poczucie, że góry mogę przenosić! Ale w ostatnich miesiącach siły witalne mnie opuściły i nie uprawiam obecnie już żadnych sportów. Oklapł też mój entuzjazm do gotowania. Początkowo miałam potrzebę podróżowania zmysłem smaku w różne zakątki świata, skoro inaczej się nie da, co dzień serwowałam nowe egzotyczne potrawy. Już nie serwuję. Nie chce mi się. Mnóstwo książek stoi na półkach, przeczytałam dwie od jesieni. Po postu nie jestem w stanie skupić się dłużej na czymkolwiek. Jakby wyssało ze mnie całą energię. Dom, do którego zawsze kochałam wracać, stał się więzieniem. Jak nigdy wcześniej zazdroszczę ludziom, którzy mają pracę zorganizowaną w taki sposób, że muszą wyjść codziennie, choćby do biura. Dla nas, ludzi wolnych zawodów, którzy nagle zostali pozbawieni wykonywania ich w pełnym wymiarze, życie w warunkach pandemii stało się monotonne, w dodatku pełne napięć i niepokoju o jutro.

Niejeden psycholog zacząłby podejrzewać, że twój opis może służyć za ilustrację klasycznych stanów depresyjnych. Siedzenie na kanapie, nieumiejętność podjęcia działania, brak inwencji… Ktoś, kto tego nie przeżył – nie zrozumie… Ktoś, kogo to nie dotyczy, poradziłby pewnie: wstań z kanapy, weź się w garść, zamień dresy na „normalne" ubranie i do roboty…

Dokładnie tak jest. Wydaje mi się, że wiele osób nie radzi sobie psychicznie w obecnym położeniu. Gwałtowne obniżenie nastroju jest raczej normalne w moim środowisku w kontekście tego, co się dzieje dookoła. To naprawdę nie wynika z lenistwa, tylko z poczucia bezsensu. Gdy rozmawiam z niektórymi muzykami, zwierzają się, że nawet nie otwierają futerałów z instrumentami. Bo po co, skoro nie ma dla kogo grać? Wystarczy sobie wyobrazić, co czułby piekarz, gdyby okazało się, że odtąd nikt już nie będzie jadł chleba. Że nagle to, czym zajmował się na co dzień, z czego czerpał nie tylko korzyści finansowe, ale także satysfakcję, stało się nikomu niepotrzebne. Bo o to tutaj chodzi, o ten aspekt niewymierny. To wielki cios dla poczucia własnej wartości, kiedy to, co robisz, staje się nagle bezużyteczne. A co, jeśli świat się do tego przyzwyczai? Co, jeśli tak już zostanie, przecież wirus może mutować w nieskończoność albo przyjdzie następny i faktycznie całe życie przeniesie się do Internetu i show-biznes na trwałe zmieni swoje oblicze?

To apokaliptyczna wizja.

Bardzo bym chciała, żeby wszystko się odmieniło, ale początkowa wiara, że to kwestia miesięcy, zgasła. Najpierw liczono, że lockdown potrwa kilka tygodni. Dzieci się cieszyły, że nie pójdą do szkoły. A teraz nawet dzieci mają już dość. Naprawdę robi mi się smutno, gdy myślę, jak wygląda ich życie. Moja córka poszła w tym roku do liceum i li-

czyła, że pozna nowe osoby i będzie miała szansę nawiązać bliskie relacje z rówieśnikami. Takie bardziej dorosłe. No i co? Nie nawiązuje żadnych, siedzi przed komputerem zamknięta w pokoju. Żal mi teraz tych dzieciaków. Nie są w stanie nigdzie wyjść, zresztą przy tej pogodzie trudno byłoby spotykać się choćby w parku na ławce. A przecież u młodego człowieka to właśnie kontakty z rówieśnikami decydują o rozwoju osobowości, pomagają odkryć samego siebie, swoje potrzeby, pragnienia, oczekiwania.

Zmieniając temat, to ciekawe, że nie dla wszystkich pandemia okazała się przekleństwem. Są osoby, które zdołały dostrzec w niej szansę dla siebie. Każda nieoczekiwana zmiana sytuacji powoduje bowiem, że karty zostają przetasowane, i ci, którzy mają odrobinę sprytu, potrafią to wykorzystać i przekuć w siłę. Zakładają nowe biznesy, wymyślają siebie od nowa. Przyroda nie lubi próżni, każde wolne miejsce natychmiast zapełnia się czymś innym. Teraz jest właśnie czas dla zaradnych i przedsiębiorczych.

Poruszyłaś wiele wątków – dotyczących i młodych ludzi, i interesów. Zacznijmy od młodych i od badań, które pokazują, że to właśnie oni wyjątkowo dotkliwie odczuwają czas pandemii i izolacji. Dorośli nie zawsze się na nich skupiają zajęci walką o byt i troską o bezpieczeństwo. Raport o stanie zdrowia psychicznego młodzieży brzmi już nie jak alarm, ale jak potężny dzwon na trwogę… Mamy czterystu pięćdziesięciu psychiatrów dziecięcych na cały kraj. Dwa tysiące prób samobójczych każdego roku.

To porażające niewyobrażalnie… Oczywiście od razu myślę o mojej Poli… jest nastolatką, to trudny wiek. Rozmawiamy cały czas, chociażby z tego powodu, że wszyscy jesteśmy teraz skazani na własne towarzystwo. W naszym domu pojawił się jeszcze dodatkowy czynnik potęgujący

poczucie bezradności i przygnębienia. Jesteśmy rodziną patchworkową, mój mąż Mark jest Brytyjczykiem, ma dwójkę dzieci z poprzedniego związku, które mieszkają w Anglii. I jak tak dalej pójdzie, to już rok nie będziemy ich widzieć z powodu covidowych komplikacji. Wcześniej bywały u nas podczas każdej przerwy w szkole, na święta i w wakacje. Nie jest łatwo spędzać Boże Narodzenie, widząc twarze najbliższych jedynie na ekranie telefonu. Prezenty gwiazdkowe do tej pory nierozpakowane leżą w szafie. Na Wyspach szaleje wiele odmian koronawirusa, sytuacja wygląda jeszcze gorzej, bo ich lockdown ma bardziej drastyczny przebieg niż u nas. I to, co się dzieje w głowach dzieci męża teraz po długich miesiącach nieopuszczania domu, a także niewidzenia się z własnym ojcem, jest pewnie czymś, co naznaczy je na resztę życia.

Dla młodych ludzi to będzie doświadczenie pokoleniowe. Od lat powtarzaliśmy im, że są generacją nieograniczonych możliwości, że świat stoi przed nimi otworem. A teraz nasze słowa można wyrzucić do kosza.

Zauważam, że znajomi, którzy mają małe dzieci, lepiej sobie radzą. Kiedy w domu jest maluch wymagający stałej uwagi, opieki, świat zewnętrzny przestaje mieć aż takie znaczenie. Żyjesz jakby we własnym mikroświecie, kokonie bezpieczeństwa. Pamiętam, jak moja Polcia była malutka, nie obchodziło mnie specjalnie, co się dzieje za oknem, nie czytałam nawet wiadomości. Poza tym dzieciaczek rozsiewa tyle fajnej, radosnej energii. Nastolatki to zupełnie inna historia, potrzebują większego dopingu i wsparcia, zastrzyku energii stymulującej ich myślenie i rozwój, a nagle zostali pozamykani w czterech ścianach, i jak już gdzieś wychodzą, to zamaskowani, pozbawienie możliwości swobodnej ekspresji.

Pamiętam czas, gdy bardzo brakowało mi widoku ludzkich twarzy, mimiki, uśmiechu, który można czytać nie tylko z oczu… Jak czekając na zielone światło, łapczywie przyglądałam się ludziom w samochodach – bo to było jedyne miejsc, w którym można było zdjąć maskę.

Miałam tak samo. Dziwne, prawda? Kiedyś nie zwracałyśmy na to uwagi, a teraz przejawy dawnej codzienności stały się rarytasem. Cieszę się z tego, że gdy była chwila luzu w pandemii, moja córka poznała chłopaka, przesiadują raz u nas, raz u niego, chroni ich młodzieńcza, pandemiczna miłość. Widzę, jakim są teraz dla siebie wsparciem, jak potrzebują swojej bliskości. Jedno robi pracę domową na swoim komputerze, drugie na swoim. Nawet nie muszą rozmawiać, po prostu cieszą się swoją obecnością, że nie są sami. Pola jest jedynaczką, więc to dla niej ważne. W tym wieku nawet najfajniejsi rodzice nie wystarczą. No niestety to już ten moment, kiedy dziecko mówi: „Mamo, ty nic nie wiesz. Jesteś ze starych czasów". Faktycznie jestem z innych, więc te moje rady nie do końca są trafione. To naturalne, że bardziej potrzebują towarzystwa osób w swoim wieku. Dodatkowym skutkiem ubocznym pandemii w przypadku młodych ludzi będzie wyrwa w edukacji, bo – pomijając te braki towarzyskie – cały system szkoły on-line, umówmy się, jest bardzo niewydolny.

A właśnie, skoro poruszyłaś ten temat, jak oceniasz to nauczanie na ekranie? Szacunki Banku Światowego, ogłoszone w lutym, po roku trwania tego „edukacyjnego eksperymentu", pokazują, że covid spowodował spadek przyrostu wiedzy nawet o 70 procent. To tak, jakby z edukacji zniknął jeden semestr nauki.

Cóż, jak długo można utrzymać skupienie uwagi, siedząc na tym samym krześle i gapiąc się w ten sam ekran przez osiem godzin? A potem dalej siedzisz w tym samym miej-

scu i patrzysz w ten sam monitor, żeby odrobić lekcje. To mało produktywne. Jeśli ktoś ma dużo samozaparcia i determinacji, to może jakoś się w tym odnajdzie, ale wiem, że większość dzieciaków, zwłaszcza młodszych, ma problem z koncentracją przez dłuższy czas. A co z tymi, którzy nie mają nawet odpowiednich warunków w domu, by aktywnie uczestniczyć w zajęciach? Brak dostępu do komputera, Internetu, brak prywatnej przestrzeni. Większość ludzi żyje przecież w maleńkich mieszkaniach. Jeśli w domu jest jeden komputer i troje dzieci, to komu przysługuje pierwszeństwo w nauce? Nawet nie wyobrażam sobie, jak trudne to musi być dla wielu rodzin.

Wielu rodziców decyduje się teraz na „wyjęcie" dzieci z systemu, który i tak nie jest efektywny, i przeniesienie do edukacji domowej. *Homeschooling* robi karierę… Myśleliście o tym?

Dobre pytanie. Nie przyszło mi to do głowy. Być może, gdyby Pola była w podstawówce, to bym rozważyła taki scenariusz, natomiast w liceum jest już tyle przedmiotów, na tak wysokim poziomie, że nie wiem, jak miałoby to wyglądać.

Powiedziałaś, że artyści czują się niepotrzebni, bo są na samym czubku piramidy Maslowa, a w hierarchii potrzeb najpierw trzeba zaspokoić te podstawowe, które decydują o życiu, jak jedzenie czy poczucie bezpieczeństwa. Gorzkie słowa…

Tak, piekarze są ważni. Aptekarze. My jesteśmy takim ekskluzywnym dodatkiem wzbogacającym szarą egzystencję, z pewnością nie jest to nasz czas w tej chwili.

„Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy"?

Prawda. Ruch w naszej branży został zatrzymany, co z kolei powoduje ogólne zubożenie systemu. Padają kluby muzyczne, agencje artystyczne. Nawet jeśli chciałoby się zor-

ganizować coś fajnego, na wszystko są potrzebne pieniądze. Jest ich teraz znacznie mniej.

Dla niektórych były pieniądze od rządu…

O pieniądze można się było ubiegać z ramienia instytucji albo firmy. Nie prywatnie. Były to jednorazowe dotacje na uzasadniony cel, konkretne przedsięwzięcie. Nie wiem, według jakiego klucza podejmowano decyzje, komu przydzielić fundusze. Mój management też aplikował o wsparcie, przedstawił szczegółowy projekt dotyczący rejestracji mojego koncertu w akustycznych aranżacjach, z udziałem muzyków, w przepięknej scenografii. Nie dostaliśmy ani złotówki.

Było uzasadnienie odmowy?

Nie. Nie dostałam żadnego uzasadnienia. A to była jedyna forma wsparcia finansowego, na jaką mogłam liczyć od państwa od początku trwania pandemii. Ponieważ nie jestem nigdzie zatrudniona, nie prowadzę też własnej działalności gospodarczej, w świetle prawa jestem człowiekiem widmo, któremu nie należy się nic z covidowej tarczy ochronnej, mimo że jak wiele innych osób zostałam pozbawiona możliwości wykonywania swojej pracy i czerpania z niej dochodu. Tymczasem rachunki do płacenia co miesiąc nie zmalały. Warto zwrócić uwagę, że sytuacja na rynku muzycznym przez ostatnie lata uległa wielu przemianom. Jedną z nich jest to, że mimo powszechnych wyobrażeń artyści nie żyją już z płyt. Są oczywiście wyjątki, ale ogólnie, w porównaniu do tego, co było kiedyś, płyty sprzedają się dziś marnie. Dla większości muzyków to właśnie koncerty stanowią główne źródło dochodów, zwłaszcza dla tych, którzy nie są twórcami tekstów ani muzyki i nie mogą liczyć na tantiemy z tego tytułu. Tymczasem od marca nagrań nie ma. Dostaliśmy jednorazowe wsparcie

od STOART-u, w jednym miesiącu wpłynęły na konto dwa tysiące złotych, i to wszystko. Widzę po moich kolegach, że są w rozpaczliwym położeniu. Nie wspomnę o technikach, oświetleniowcach, realizatorach dźwięku. To ogromna rzesza osób, które stoją za nami. My jesteśmy w świetle reflektorów, ale w tle działa zespół ludzi, którzy pracują na nasz sukces i na to przepiękne, niepowtarzalne wydarzenie, na które widz kupuje bilet, zasiada w fotelu i czerpie z niego wrażenia. Mnóstwo osób tworzy te emocje, które zostają w nas na zawsze, i teraz te osoby są bez pracy.

Co robią teraz twoi muzycy? Szukają innych zajęć, próbują się przebranżowić?

Mój dźwiękowiec na przykład pracuje na koparce, znajomy perkusista otworzył sklep warzywny on-line, ludzie zmieniają profesje, nie wiem, czy na zawsze czy chwilowo, na pewno z przymusu. Inaczej nie byliby w stanie wyżywić rodzin.

A ty też masz takie desperacki pomysły?

Też zaczęliśmy fantazjować, co by tu robić innego. Ja nie mam głowy do interesów. Mój mąż też nie, ale nie boi się wyzwań. Myśli o otwarciu studia tatuażu, zapalił się do pomysłu i się uczy.

Rozumiem, że pan Gray będzie tatuował.

Artysta może tworzyć dzieła sztuki także i na ludzkiej skórze! Obecnie prace Marka są wystawione w pobliskiej galerii w Centrum Praskim Koneser. Cieszymy się z tego. Ale jego świat pandemia również wywróciła do góry nogami. On niestety też nie piecze chleba, tylko zajmuje się sztukami wizualnymi, na które zapotrzebowanie spadło. Zastanawiamy się więc nad alternatywnymi źródłami dochodu, bo

coś nie widzę szybkiego powrotu do rzeczywistości muzycznej, jaką wszyscy znamy sprzed ery covidu. Z koncertami on-line też nie jest tak łatwo. Ludziom się wydaje, że się zbierzemy z kolegami i siup, zrobimy sobie koncert…

Kupicie kamerkę dobrej jakości i to wystarczy…

Tylko żeby to było dobrej jakości, wszystko musi zostać nagrane osobno na ślady, dobrze nagłośnione, zmiksowane. Realizacja wizualna to też nie jedna kamerka, tylko kilka. Zrobiliśmy na próbę koncert z Johnem Porterem w pandemii, bo pomyśleliśmy, że może to dobra okazja. Nie graliśmy od lat, akurat wypadało czterdziestolecie pracy twórczej Johna na scenie i też miał dalekosiężne i piękne plany związane z jubileuszem, z płytą *Helicopters*. To jego pierwszy album z 1980 roku, chciał wyruszyć z tymi piosenkami w trasę. Nie wyszło. No więc na pociechę postanowiliśmy wystąpić we dwoje on-line. Koncert finalnie okazał się bardzo kosztowny, a produkcja nawet się nie zwróciła. Wyszło na to, że ludzie niechętnie kupują bilety na wirtualne wydarzenia muzyczne, chcą je oglądać za darmo. Zresztą to nie tylko mój problem, bo wielu popularnych artystów także odwołało występy w sieci, nie było na nie aż tylu chętnych, by przedsięwzięcie mogło się wyzerować. Chodzi przecież o pokrycie kosztów honorariów ekipy, zespołu, wynajęcie świateł, sprzętu muzycznego. No więc błędne koło. Nie ma co liczyć na te koncerty. Zastanawiam się, co dalej. Mam ambitny plan, aby w tym roku nagrać płytę. Pewnie wszyscy mają podobny pomysł! Napisałam tymczasem trzy piosenki. To na razie surówki, melodia i tekst wgrane na mój telefon komórkowy…

To są piosenki o pandemii?

Nie, to nie są piosenki covidowe. Wręcz przeciwnie, chciałabym nagrać płytę zagadkową, oniryczną, dzięki której

mogłabym zabrać słuchaczy w świat zupełnie odrealniony, alternatywny, z pogranicza jawy i snu. Marzy mi się album dający taki rodzaj przeżycia, który całkowicie odrywa człowieka od rzeczywistości. Być może ten pomysł wziął się stąd, że sama chciałabym gdzieś odpłynąć i te moje piosenki zmierzają w takim kierunku. Nie, że do przodu, rytmicznie i tańczymy, tylko właśnie do wewnątrz, gdzieś w siebie. Ale nie wiem, jak tam dalej będzie z weną twórczą. Aby napisać te trzy piosenki, musiałam się odciąć, wyjechać samotnie na wieś. Nie robiłam prania, zakupów, zmywania, tylko jadłam cokolwiek i starałam się coś stworzyć. Dla mnie pisanie to proces bardzo intymny. I tej intymności, przestrzeni tylko dla siebie, też mi w obecnych warunkach brakuje, gdy wszyscy siedzimy sobie w domu na głowie.

Co musiałoby się wydarzyć, żeby do tych trzech napisanych piosenek dołączyło osiem albo dziesięć kolejnych, żeby płyta została zamknięta?

Jak już wspomniałam, jako twórca potrzebuję być w ruchu, aby czerpać z niego inspirację. Jednocześnie jednak, aby osiągnąć skupienie, niejako oddać w formie piosenki to, czym nasiąkam, paradoksalnie muszę się odseparować od świata zewnętrznego, nie tylko mentalnie, ale i fizycznie. Znaleźć swoje ciche miejsce, pogrzebać głęboko w sobie. Przez moment zapomnieć o codziennych obowiązkach, o byciu żoną, córką i mamą. Oddać się tylko jednemu – kreatywnym poszukiwaniom. I ta komunikacja z samą sobą staje się dla mnie coraz trudniejsza w obecnych warunkach. Nie wiem, może uda mi się wypracować jakiś inny sposób, inną drogę, by obudzić w sobie pokłady uśpionego potencjału. Liczę na to.

Są tacy, którzy podróżują samochodem, zamiast samolotem, sprawdzając aktualne mapy krajowych obostrzeń. Są tacy, którzy jakoś się umościli w rocznym już lockdownie. Wspomniałaś na początku naszej rozmowy o robieniu interesów – wiele z nich powstaje z desperacji. Słyszałaś? Ktoś wynajmuje schowek na narty w górskim hotelu za pięćset złotych, a do tego w gratisie dorzuca pokój, albo otwiera siłownię i nazywa ją kościołem zdrowego ciała na przykład.

O rany, to wspaniałe pomysły. Że też mnie takie nie przychodzą do głowy!

Osiemnastego stycznia, kiedy skończyły się ferie, rozpoczęła się akcja takiego obywatelskiego nieposłuszeństwa. Ludzie działają, otwierają restauracje, choć nadal jest to zabronione, robią to, bo mają dosyć czekania, bo nie łapią się na żadne tarcze…

No tak. Podziwiam osoby, o których wspomniałaś. Restauratorzy faktycznie są w fatalnej sytuacji. Mieszkam na Pradze Północ, którą uwielbiam, i ze smutkiem widzę, jak padają kolejne z moich ukochanych knajpek w okolicy...

Działa podziemie restauracyjne?

No właśnie nie za bardzo. Obserwuję raczej coraz więcej zaklejonych witryn sklepowych czy też opuszczonych miejsc, które jeszcze do niedawna tętniły życiem. Na miejscu restauratorów chyba także bym się buntowała i otwierała biznes. Dzisiaj faktycznie wygrywają ci, którzy mają trochę sprytu w stylu Polak potrafi.

Gdy pierwszy raz usłyszałaś o wirusie, który narodził się gdzieś tam w dalekich Chinach na targu z jedzeniem, to pomyślałaś sobie, że sytuacja może być groźna?

Absolutnie nie.

Za daleka sprawa, nic nam nie grozi?

Nie podejrzewałam, że w XXI wieku jakakolwiek choroba może zagrozić gatunkowi ludzkiemu w takim stopniu i sparaliżować cały świat. Przecież latamy w kosmos, klonujemy zwierzęta, to dlaczego mielibyśmy nie poradzić sobie z jakimś wirusem? Gdy dowiedziałam się o tym, byłam z Polą na nartach, mąż do mnie pisał, żebyśmy trzymały się z daleka od ludzi, nie wsiadały do windy z innymi pasażerami.

Byłyście we Włoszech?

W Austrii. Prosił, żebyśmy z nikim nie rozmawiały, omijały z daleka kichających i kaszlących, po prostu siedziały w pokoju albo jeździły na nartach. Ja na to: „O czym ty mówisz, to jakieś bzdury, odmiana grypy po prostu. Jakie zagrożenie?”. No i faktycznie za chwilę nastąpił moment, kiedy wszystko pozamykali. To był luty. Mamy z Polą taki rytuał z tym wyjeżdżaniem na narty. Taka rzecz, która bardzo nas cieszy i łączy. W tym roku nasza tradycja została przerwana. Cóż, podczas tamtego pobytu zbagatelizowałam sprawę i gdy pierwszy koncert po naszym powrocie do Polski został odwołany, to nawet wtedy myślałam sobie, że to raczej nie potrwa długo i zaraz wszystko wróci do normy.

Kiedy zmieniło się twoje myślenie o koronawirusie?

Po kilku tygodniach zdałam sobie sprawę, że sytuacja jest poważna. Już nie pamiętam, czy to było wtedy, gdy w telewizji zaczęły pojawiać się obrazki z opustoszałego chińskiego miasta Wuhan. Czy wtedy, gdy wirus był już w Europie i tak drastycznie doświadczył północne Włochy…

Zdjęcia przepełnionych szpitali i kostnic w Bergamo. Lekarze i pielęgniarki z twarzami poranionymi od masek, ciężarówki

przed szpitalami, bo trumny przestały się mieścić w zwykłych karawanach. Nawet jak to opisuję, mam ciarki na plecach.

Nigdy tego nie zapomnę. Potem latem znów się rozpędziliśmy, łudziliśmy się, że koniec już blisko, że jesień przyniesie powrót do stabilizacji. A teraz kończy się zima i tego powrotu nie ma, jest trudniej niż na początku jesieni, kiedy to jeszcze udało mi się zagrać trzy koncerty. To był wrzesień, kiedy coś tam się ruszyło, a potem znowu lockdown. Obecnie żadne ośrodki kultury nie chcą prowadzić wiążących rozmów, rezerwować terminów z wyprzedzeniem. Jeszcze kilka miesięcy temu mieli odwagę podpisywać umowy, teraz każdy działa ostrożnie, nikt nie wie, czego się spodziewać. To chyba taki najtrudniejszy moment. I widmo trzeciej fali zakażeń przed nami. Ostatnio budzę się w nocy, mam straszne trudności ze spaniem, to już są objawy świadczące o tym, że słabo sobie radzę z sytuacją. Mam napady paniki, boję się o przyszłość, o moich bliskich.

Bo trudno w inny sposób opisać to, w czym bierzemy teraz udział. A w twoim kalendarzu jest jakaś jasna kartka, wizja koncertu, nagrania?

Są dwie daty, w kwietniu i maju, mam nadzieję, że uda nam się wreszcie zagrać na żywo. Choć zdaję sobie sprawę, że te nadzieje mogą okazać się płonne. Jasna kartka? Rany, trzeci raz przekładamy wyjazd do Wenecji, może uda się na moje urodziny w czerwcu? Mieliśmy pojechać tam z okazji urodzin męża w ubiegłym roku, potem na rocznicę ślubu, za każdym razem odwołano loty. To taka miła perspektywa, weekend w innej rzeczywistości. Może wyjdzie? Tyle że teraz nawet nie wiem, czy możemy sobie na ten wyjazd pozwolić. Są inne, ważniejsze potrzeby. No

i wyrzuty sumienia, że człowiek nie zasłużył, bo przecież nie chodzi do pracy.

Wybiegasz czasem myślami w przyszłość? Zastanawiasz się, jak to będzie, gdy to szaleństwo wreszcie się skończy? Co wtedy? Co zrobisz najpierw?

Jak tylko stanie się to możliwe, sprowadzimy tu dzieci Marka i po prostu będziemy razem. Tak często wracam ostatnio myślami do tych wszystkich wakacji, podczas których nasze dzieciaki marudziły, że się nudzą, bo w hotelu nie było wi-fi. A teraz marzymy, żeby właśnie w takiej scenerii znaleźć się całą piątką – jakaś plaża, słońce, oddychanie pełną piersią bez maseczek, proste przyjemności. Na pewno bardzo tęsknię za muzykowaniem, za wspólnym graniem i za towarzystwem. Za spędzaniem czasu z moim zespołem. Mieliśmy taki zwyczaj, że przed każdą trasą czy płytą wyjeżdżaliśmy w góry, rozkładaliśmy sprzęt i graliśmy po prostu, szukając nowych pomysłów, inspiracji. Teraz hotele pozamykane, możliwości ograniczone. W teorii gdzieś tam można by było na siłę coś wymyślić, znaleźć dom, wyjechać, ale taki marazm nas dopadł, że wszyscy zastanawiamy się nad sensownością takich działań.

Mówisz, że popadacie w marazm, że jak nie ma się z kim podzielić muzyką, to granie nie ma sensu. Czy bez widowni muzyka nie jest przyjemnością dla artysty?

Mogę mówić jedynie za siebie, każdy jest inny, potrzebuje innych bodźców, innych warunków do tworzenia. Zapytam cię: czy robisz ze mną ten wywiad, piszesz tę książkę, żeby poszła do szuflady? Czy żeby ktoś ją przeczytał? Pisanie może ci sprawiać przyjemność, jednak dopiero w zetknięciu z odbiorcą ożywa, nabiera realnego sensu. To samo jest z muzyką. Grasz po to, żeby ktoś to usłyszał. Dla mnie nie ma nic piękniejszego niż wspólne granie muzyki

na żywo w czasie rzeczywistym, tu i teraz. To doświadczenie wręcz transcendentalne, świadomość, że bierzesz udział w czymś absolutnie niepowtarzalnym, jesteś jego częścią. Dotykasz instrumentu, stajesz przed mikrofonem i nagle pojawia się zestaw dźwięków, który drugi raz już się nie powtórzy. Każdy koncert jest inny, każdy jest wypadkową energii, która danego wieczoru krąży między nami, artystami, i publicznością. I to są dla mnie czary! Trudno czarować on-line. Artyści, którzy zagrali kilka takich koncertów, mówią, że to jednak nie to samo bez żywego odbiorcy. Mnie zawsze stymulowała myśl, że robię to dla kogoś, nawet na etapie tworzenia piosenki. Gdy ludzie mnie pytają, po co piszę i śpiewam, to zawsze mam jedną odpowiedź: żeby wzruszać i inspirować innych. Bo sama czerpię inspirację i wzruszam się podobnymi spotkaniami. Lubię chodzić na koncerty, lubię oglądać artystów na żywo, to zupełnie inne emocje niż słuchanie ich muzyki w domu. To mnie zawsze bardzo nakręca. Netflix, telewizja, seriale nie zastąpią wyjścia do kina, obejrzenia filmu na dużym ekranie, w totalnym skupieniu. Poza tym to piękny rytuał, z którym wiąże się coś jeszcze – kolacja na mieście czy pójście na wino, jakiś spacer... Albo teatr. No nikt mi nie powie, że woli oglądać go w Internecie i że aktorzy czerpią satysfakcję z grania do pustej widowni.

Który moment podczas tej pandemii był dla ciebie najgorszy?

Właściwie to teraz chyba jest najgorzej. Kiedy już ewidentnie to łudzenie się, że coś zmieni się na lepsze jesienią lub zimą, nie ma racji bytu. Aura za oknem nie pomaga. Pierwszy lockdown dopadł nas wiosną, świat się chociaż zielenił. Obawiam się, że gdy ludzie przeczytają moje słowa, popadną w przygnębienie. Nie potrafię jednak wykrzesać z siebie żadnych cudownych rad, co robić, żeby było

lepiej. Niby wysiłek fizyczny zawsze jest dobry, przyjemna kąpiel czy masaże pomagają. Ja to wszystko w teorii wiem, ale z praktyką bywa inaczej. Więc gadanie, że wystarczy kubek fajnej herbaty albo mądra książka, nad którą aktualnie nie mogę się nawet skupić, nie wydaje mi się uczciwe. Nie widzę siebie wśród osób, które na dobre rozgościły się w mediach społecznościowych, śląc wszystkim uśmiechy, porady duchowe na każdy nowy dzień, zestawy ćwiczeń do wykonania. Są tacy, co pozornie mają się świetnie w tej pandemii, że tylko pozazdrościć.

Myślisz że to takie kreacje? Prawda czasu, prawda ekranu?

Myślę, że mnóstwo w tym ściemy i takiej, już sama nie wiem, desperacji trochę. Żeby pokazać, że jednak mamy się wspaniale, że dobry humor i powodzenie nas nie opuszczają. Żyjemy w czasach, w których z trudem przychodzi nam się przyznawać do porażki, mówić o sobie prawdę. Wolimy raczej roztaczać wokół siebie aurę sukcesu, bo to się podoba, bo to się klika. I przynosi więcej followersów, a przecież dzisiaj to oni są złotem, najmocniejszą walutą.

Jak w jednym z odcinków *Black Mirror*, w którym o twoim miejscu w rankingu i szansach na bycie akceptowanym decyduje liczba lajków, które pasują tylko do wygładzonej rzeczywistości.

Otóż to. Nasza rzeczywistość została jednak ostatnio mocno zweryfikowana, jakby ktoś zdjął zasłonę, pozbawił nas filtrów upiększających codzienność. Tym bardziej zaczęliśmy ją upiększać w mediach społecznościowych.

Stworzyliśmy nierealny świat na własną chyba zgubę i teraz głupio tańczyć do melodii, która już przebrzmiała.

Większość osób odczuwa przymus, by w to brnąć. Czy ta pandemia sprawi, że spokorniejemy? Czy wyciągniemy

z tego doświadczenia jakieś mądre wnioski? Mam spore wątpliwości. Wracając do mediów społecznościowych, to osobiście mam z nimi ostatnio nie lada kłopot. Zawsze bowiem służyły mi głównie do komunikowania światu, co tam u mnie słychać ciekawego – trochę prywatnie, ale przede wszystkim zawodowo. Tymczasem teraz dzieje się bardzo niewiele. Nie wiem, ile jeszcze fotek z psem, mężem czy widoków z dawno odbytych wakacji mogę wrzucać na Facebook czy Instagram. Najchętniej wypisałabym się całkowicie z tego interesu. Z drugiej strony to część mojego kapitału, jako artysta nie mogę sobie pozwolić, by całkiem zniknąć.

To znikanie i pojawianie się to bardzo ciekawa sprawa, bo za każdym razem, gdy kończysz płytę, to gdzieś się chowasz, a potem pojawia się album, a ty razem z nim.

Tak, ciągle powracam, choć tak naprawdę przez ponad dwadzieścia pięć lat nie przestałam nigdy grać, nie zawiesiłam działalności, dosyć regularnie wydawałam płyty. Zawsze w odstępie dwóch, trzech lat pojawiał się jakiś album i prezentowałam coś nowego, ale za każdym razem, gdy tak się działo, słyszałam: „O, jak dobrze, że pani wraca, pani Anito”. Trochę to ironiczne. Nawet w tym trudnym roku wzięłam udział w kilku ciekawych projektach, najbardziej jestem dumna z piosenki *Our Voice/Nasz Głos*, jaką udało mi się stworzyć wraz z amerykańską artystką Moriah Woods od sześciu lat mieszkającą w Polsce. Utwór powstał bardzo spontanicznie, z potrzeby serca, i był naszym protest songiem w kontekście niedawnych wydarzeń w naszym kraju, po fali strajków, jakie przetoczyły się przez ulice po decyzji Trybunału Konstytucyjnego w sprawie zaostrzenia prawa aborcyjnego. Do piosenki powstał poruszający teledysk, w którym wzięło udział wiele znanych

i nieznanych kobiet reprezentujących różne środowiska, różne dziedziny życia. Powiem szczerze, że ogólne nastroje społeczno-polityczne w naszej ojczyźnie dodatkowo potęgują we mnie poczucie beznadziei w tej pandemii. I patrząc na sprawy w szerszym ujęciu, tym bardziej tracę serce do trywialnych wrzutek na media społecznościowe. Po prostu nie weszło mi w nawyk, żeby robić sobie zdjęcie z kubkiem herbaty pod tytułem: „Hejka, kochani, cudnego dzionka życzę".

Nie wierzysz ludziom, którzy mówią, że ten czas jest nam dany po to, żebyśmy docenili małe rzeczy?

No jakoś nie znajduję w tym czasie pocieszenia, zwłaszcza w małych rzeczach. Dni są do siebie takie podobne, zlewają się w jedno. Czasem nie wiadomo, czy jest środa czy niedziela. Kubek herbaty cieszył, gdy wracałam z długiej drogi. Randka z mężem była czymś wyjątkowym, bo widywaliśmy się rzadko. Czas z dziećmi spędzany był produktywnie, w sposób pełnowartościowy, bo był przerwą od pracy. I tak dalej, przykłady można mnożyć w nieskończoność. I czego się teraz uczę? Trudne pytanie. Obawiam się, że niczego. Może po prostu jestem inna? Podobny problem miałam z odpowiedzią na pytania po śmierci taty albo po przebyciu ciężkiej choroby – co wyniosłam z tych doświadczeń? Nasuwają się standardowe odpowiedzi, że życie mamy tylko jedno, że trwa tylko chwilę, więc nie należy go marnować. Skłamałabym jednak, gdybym powiedziała, że te traumatyczne sytuacje sprawiły, że jestem dziś mądrzejsza. Że posiadłam jakąś wiedzę tajemną niedostępną innym. To mit. Podobnie jak szereg innych mitów, na przykład ten, że jak rodzisz dziecko, automatycznie wiesz, co robić, bo jak łaska Boża spływa na ciebie instynkt macierzyński, który ci wszystko podpowie. Nie-

prawda. Czasem nie spływa. Albo mit dotyczący związków, że jak dwoje ludzi stara się wystarczająco mocno, to ogień miłości nigdy nie zgaśnie. Nieprawda. Bywa, że gaśnie. Nie czuję się dobrze w roli coacha, nie mam recepty na fajne, udane życie. Raz jest lepiej, raz gorzej po prostu. Jesteśmy tu po to, aby doświadczać, a nie uciekać przed doświadczeniami albo malować ich zakłamany obraz.

Czego ci teraz brakuje do szczęścia, żebyś rzeczywiście wstała rano, odsłoniła okno i powiedziała: „To będzie wreszcie dobry dzień”.

Ostatnio ucieszyłam się, że spadł śnieg. Radowałam się nim jak dziecko. To była jakaś zaczarowana odmiana, więc może rzeczywiście drobiazgi powodują, że dzień może być jaśniejszy? Myślę, że zwyczajnie jednak potrzebuję powrotu do życia, jakie znam, jakie pamiętam, jakie kochałam i jakie wypracowałam sobie przez lata. Ale na to trzeba poczekać. A jeśli wszystko tak się pozmienia, że nie wrócimy do dawnej normalności, to trzeba będzie jakoś dostosować się do nowej sytuacji, zaakceptować ją i nauczyć się w niej egzystować. Ja tego jeszcze nie zrobiłam, stąd pewno wynika mój wewnętrzny bunt, niezgoda na to wszystko. A może to jest tylko etap, może punkt zwrotny jeszcze przede mną? Każdy z nas ma gdzie indziej ustawiony próg tolerancji na przeciwności losu. Może życie nie doświadczyło mnie dostatecznie, bym doznała jakiegoś nagłego olśnienia? Dam ci znać, jak to nastąpi!

Szczepionka jest dla ciebie nadzieją na powrót do normalności?

Jest nadzieją, bo w czymś tej nadziei trzeba upatrywać. Mimo wszystko liczę, że wkrótce coś się zmieni na lepsze. Z pewnością przyjdzie wiosna!

RAFAŁ OLBIŃSKI

MALARZ, ILUSTRATOR, TWÓRCA PLAKATÓW

JOANNA RACEWICZ: Jak się czuje ozdrowieniec?

RAFAŁ OLBIŃSKI: Czuję się fantastycznie, zwłaszcza że w perspektywie mam wyjazd w tropiki. Zakażenie przeszedłem dość łagodnie, gdybym nie wiedział, że covid szaleje, to prawdopodobnie myślałbym, że mam lekką grypę. Już po wszystkim. Bogna, moja partnerka, zmusiła mnie do różnych badań, żeby płuca sprawdzić, serce, pierwszy raz w życiu przeszedłem taką diagnostykę. Czułem się jak astronauta, który za chwilę leci na Księżyc. Na szczęście wszystko w porządku, podobno jestem uodporniony na trzy miesiące, chociaż ostatnio pojawia się coraz więcej przypadków powtórnego zachorowania. Niewiele na ten temat wiemy, tyle tylko, że norki przenoszą wirusa i umierają. Czyli jest świadomość, że covid zabija małe zwierzątka futerkowe i słynna piątka Kaczyńskiego właśnie dlatego nie przejdzie nawet oficjalnie przez Sejm, ponieważ wszystkie norki wyginą przez covid.

Złośliwy jak zawsze.

Taki typ.

Trzeba przyznać, że miałeś sporo szczęścia, bo ludzie, którzy przechodzą covid, skarżą się na bardzo złe samopoczucie. Jest gorączka, skrócony oddech, węch i smak zanikają, pojawiają się problemy z pamięcią, chorzy się duszą, nie mają siły wstać z łóżka, każdy krok to wysiłek ponad ich możliwości. Dolegliwości potrafią się ciągnąć miesiącami.

Być może też miałem takie objawy, ale ponieważ ostatnio ćwiczę silną wolę, zwalczam swoje wady, na przykład lenistwo, to tego nie odczułem. Gdy rano nie chciało mi się

gimnastykować, bo czułem potworny ból przy każdym ruchu, to zaciskałem zęby, żeby się chociaż przespacerować. I tym podobne. Wiesz, że nie lubię się nad sobą rozczulać, więc nie ma sensu zadawać mi szczegółowych pytań o zdrowie. Przez zwykłą ignorancję myślałem, że mam grypę, i przeszedłem tę chorobę bez zwracania na nią uwagi. Jak każdy głupi miałem szczęście.

Tego nie będę komentowała, jeśli pozwolisz, bo to kokieteria z twojej strony. Liczysz kolejne fale? Ulubiony medialny temat… Gdy porównujesz marcową, wiosenną odsłonę COVID-19, potem jesienno-zimową i wreszcie tę obecną – rok po wybuchu pandemii – widzisz różnice?

Widzę różnicę w swoim własnym podejściu. W marcu wszyscy bali się niewiadomego. Klasyka gatunku i klasyka reakcji. Mało wiedzieliśmy o wirusie i strach był ogromny. Pamiętam, że na ulicy, przy której mieszkam, zaparkowała karetka pogotowia na sygnale, światełka migały, zabrano kogoś z klatki obok, nie wiem, czy z powodu covidu, czy innego schorzenia, ale kolana ugięły się pode mną. Oczywiście strach ma wielkie oczy, od razu przypomniało mi się malarstwo historyczne, sceny przedstawiające zarazę, palenie zwłok na stosach, takie dzieła stanęły mi przed oczami.

***Triumf śmierci* Pietera Bruegla, *Danse macabre* Michaela Wolgemuta…**

Jakbym ponownie uczestniczył w kursie historii sztuki… I jeszcze lekarze w Wenecji chodzący w maskach z dziobami, palone kadzidełka, żeby coś zdezynfekować. Ikonografia, którą znamy z historii, powodowała, że strach rósł.

To pierwsza faza. Późną wiosną i latem nastąpił odpoczynek i już się więcej na ten temat w zasadzie nie mówiło. Już nam się wydawało, że załatwiliśmy sprawę, jedna

z najważniejszych osób w państwie stwierdziła, że naprawdę już po wszystkim, że staruchy w moim wieku mogą bezpiecznie iść głosować, tak że spokojnie zagłosowałem, niestety nie na tego kandydata, który wygrał, no ale trudno. Odbiłem to sobie, bo głosowałem także w Stanach Zjednoczonych podczas niedawnych wyborów, ponieważ mogę głosować tu i tam, i tym razem kandydat, na którego postawiłem, zwyciężył.

Jest jakaś równowaga w osobistym rachunku. A teraz? Minęła druga, jesienna fala, jakby spokojniejsza od tej pierwszej, jakby oswojona, rozpoznana. Wróg wciąż był niewidzialny, ale mieliśmy wrażenie, że już trochę go rozumiemy, trochę znamy. No i szczepionki, które obiecywały wysoką skuteczność…

Tak, teraz wiemy o wirusie więcej. Szczepionki bardzo pomogły starszym osobom, staliśmy się forpocztą szczepionkowego „dziobania”…

…zaraz po medykach i prokuratorach…

Jestem pozytywnie zaskoczony, że medycy na pierwszym miejscu. Spodziewałem się, że ten przywilej najpierw otrzymają raczej trzy grupy na „p”: politycy, prokuratorzy i policjanci, czyli nasza nowa elita. Przyznam jednak, że szczepienie policjantów miałoby sens, ponieważ przy pałowaniu kobiet przynajmniej by nie zarażali.

A teraz znów pojawiają się przerażające dane dotyczące umieralności, jesteśmy w niechlubnej czołówce europejskiej, jeśli chodzi o przeklętą statystykę. Wychodzą na jaw różne rzeczy o naszej niedofinansowanej służbie zdrowia i to są konsekwencje – te zgony po trzysta osób dziennie w proporcji do liczby zakażeń to naprawdę dużo. Trochę mniej niż w państwach takich jak Stany Zjednoczone, które pandemię przechodziły bardzo dramatycznie, ale uważam, że w tej chwili dramat rozgrywa się i u nas. I nie

mówi się na ten temat za wiele, a to powinien być taki nie dzwonek, tylko już dzwon alarmowy, że nadciąga katastrofa w służbie zdrowia. Owszem, mamy łóżka, piękny stadion, chorzy mogą pograć w piłkę nożną, ale brakuje lekarzy, którzy by tam leczyli. Coś zostało przeoczone i przespane – pandemia przychodziła kilka razy, ostrzegała, a ci, którzy powinni zrozumieć zagrożenie – byli nie tam, gdzie należy. Nie znam się na mechanizmach zawiadujących służbą zdrowia, ale – czy przeprowadzono szkolenia z obsługi respiratorów dla personelu niższego szczebla? Czy zachęcano lekarzy, żeby podejmowali się pracy ponad siły?

Były dodatki, nawet wyższe pensje. Pamiętam, że wojewoda kujawsko-pomorski ogłosił nabór dla lekarzy, obiecując podwojenie wynagrodzeń, ale zabrakło chętnych. To straszny czas dla lekarzy, pielęgniarek, ratowników. Znam wielu i wiem, że pracują, „jadąc na oparach”… Czy ty – król dystansu – ulegałeś wzmożonym emocjom, kiedy Polacy wychodzili na balkony, żeby klaskać służbie zdrowia?

Tu, gdzie mieszkam, czyli na Starym Mieście, nie ma balkonów, dookoła tylko emeryci oraz turyści. Turystów zabrakło, więc po zmroku w oknach paliło się jedno, czasem dwa światła. Kamienice, które kupiono na wynajem, stały puste. Wymarła okolica. Stare Miasto było wyludnione przez dwa, trzy tygodnie pierwszego lockdownu i to robiło niesamowite wrażenie. Czułem się jak w surrealistycznym film, jak bohater niedobrego, męczącego snu. A czy ulegałem emocjom? Nie. Ten nasz hurrapatriotyzm został mi obrzydzony w ostatnich latach. Mam wyłącznie złe skojarzenia. Natomiast zawsze czułem się polskim patriotą w Stanach Zjednoczonych, walczyłem o nasze dobre imię, starałem się być dobrym Polakiem, którego chwalą, który godnie reprezentuje swój kraj. Polska to byłem ja. Jestem

fajnym facetem, kulturalnym, dżentelmenem, mam pojęcie o świecie, wiem więcej niż przeciętny człowiek, to dobrze świadczy o Polsce. To mój patriotyzm. Ale to, co w tej chwili dzieje się u nas, z patriotyzmem niestety nie ma za wiele wspólnego. Przypomina mi się przy okazji piękne powiedzenie Samuela Johnsona, że patriotyzm jest ostatnim schronieniem szubrawców. Jak słucham przemówień w Sejmie i pada patriotyczne słowo, to natychmiast myślę o Samuelu Johnsonie. Nie czułem tych wszystkich patriotycznych emocji. Może gdybym mieszkał w bloku, a obok przechodziłyby pielęgniarki czy lekarze, to bym puścił im optymistyczną melodię Mozarta, a może lepiej Chopina. Chociaż to właściwie pół-Francuz. Prawdziwy Polak to prawdopodobnie Penderecki.

Ostatnio Szwajcarzy stwierdzili, że niewykluczone, że Chopin był gejem, więc kto wie, może zaczniemy obalać jego pomniki... Przepraszam, ponury żart. To chyba zaraźliwe… Ale wracając do covidu. Gdy patrzysz na wirusa jak na doświadczenie społeczne, eksperyment na żywym organizmie, w którym bierzemy udział – czy masz wrażenie, że po roku już się w nim – to nie najlepsze słowo – „umościliśmy”?

Pamiętasz słynne słowa Stefana Kisielewskiego: „To, że jesteśmy w dupie, to jasne. Problem w tym, że zaczynamy się w niej urządzać”. Oddają, co myślę na ten temat. Część ludzi nosi maski, część nie nosi. Wydaje mi się, że to test, jak dojrzałym społeczeństwem jesteśmy. Zdyscyplinowanym? Dbającym o dobro innych? To manifestacja naszych cnót obywatelskich. I to się nie najlepiej sprawdza. Funkcjonuje, o dziwo, w miastach. Słabo w bastionach suwerena, który nie nosi masek.

Ale bardzo często maska na twarzy „suwerena”, jak go nazywasz, jest traktowana jak swego rodzaju kaganiec. Gdy za-

mieszczam zdjęcia w masce w mediach społecznościowych, to natychmiast mam ileś komentarzy, że ktoś nie nosi i to stanowi przejaw jego wolności osobistej. Wolność dla wielu znaczy brak maseczki.

To jest polska tradycja, wolność znaczy warcholstwo. Liberum veto, moja miedza, moja zagroda, itd. Wolność dla tych mniej wyrobionych politycznie to wybór między kiełbasą a karkówką. A wolność nie na tym polega. Tylko że o tym nie mówi się w polskich szkołach. W wielu domach także nie. Wolność to przede wszystkim odpowiedzialność – czy jesteś odpowiedzialny za siebie i za innych, czy nie jesteś. Nawet jeśli nie boisz się covidu i masz go w nosie – pomyśl, że mijany na ulicy człowiek może myśleć inaczej, może mieć chorego ojca lub matkę, sam cierpieć na brak odporności...

W dobrze ci znanych Stanach Zjednoczonych wolność w rozumieniu: koronawirus to grypka i nic nam nie zrobi – była znakiem firmowym byłego prezydenta. Trump nie nosił maseczki prawie wcale, choć dostał srogą lekcję od covidu. Niedawno wyszła książka Boba Woodwarda *Gniew*. Trump już wiosną 2020 roku miał się zwierzyć temu wspaniałemu weteranowi amerykańskiego dziennnikarswa, że „celowo bagatelizował zagrożenie, żeby nie siać paniki”.

Może właśnie przez to jego bagatelizowanie koronawirus zabrał pół miliona istnień... Porażające. Czytałem gdzieś ostatnio, że co piąty udokumentowany przypadek śmierci z powodu koronawirusa ma miejsce w Stanach Zjednoczonych, w największym mocarstwie na świecie... Mnie to zwala z nóg. Elektorat Trumpa to ludzie niewykształceni, z prowincjonalnych miasteczek czy wiosek. Nie są świadomi tej odpowiedzialności, jaką ponoszą jako obywatele. Wolność w ich mniemaniu polega na podjęciu decyzji, czy

ustrzelimy dzisiaj jelenia czy dzika. Mamy prawo do posiadania broni, każdy może sobie kupić czołg lub bazookę, to ta wolność. Wyborcy Trumpa w Ameryce to bardzo upośledzone mentalnie grupy społeczne – niezależnie od tego, z jakich środowisk pochodzą. Bardzo się cieszę, że przegrali.

Przegrali, ale nie chcieli się z tym pogodzić. Co pomyślałeś, gdy zobaczyłeś zdjęcia przedstawiające szturm na Kapitol? To byli ludzie, którzy uwierzyli, że wybory zostały ukradzione, że jedynym prawowitym prezydentem jest nowojorski milioner, że tylko on znów uczyni Amerykę wielką i tylko on może stworzyć tarczę przeciwko pandemii.

Widziałem wywiady z tymi ludźmi. Reprezentują przerażający poziom ignorancji. Byli święcie przekonani, że ratują Amerykę przed szatańskim spiskiem Joe Bidena, sowieckiego agenta, który chce wprowadzić rządy jak w Wenezueli czy na Kubie i oczywiście został opłacony przez Hugo Chaveza – mimo że ten przecież dawno już nie żyje.

Wśród tłumu tych patetycznych debili pojawił się też polski akcent. Nasz rodak, prawdopodobnie z chicagowskiego Jackowa, prężył dumnie piwny brzuch w koszulce z Orłem Białym. Zastanawia mnie fenomen uwielbienia Trumpa przez Polaków. Przypuszczam, że zanim został prezydentem, nawet nie wiedział, gdzie leży Polska. Jedyny epizod w jego biznesowym życiorysie związany z Polakami to proces sądowy po tym, jak do rozbiórki jednego ze swoich budynków na Manhattanie zatrudnił za grosze nielegalnych imigrantów z naszego pięknego kraju, i oczywiście nie chciał im zapłacić.

Och, przepraszam, byłbym zapomniał o wzruszającej przyjaźni z osobnikiem pełniącym funkcję prezydenta Rzeczypospolitej… Panowie nie mogą bez siebie żyć.

Gdy w Ameryce zaczynała się kampania wyborcza, covid zebrał już żniwo w liczbie ponad stu dwudziestu tysięcy ofiar śmiertelnych. To więcej niż łączny bilans ofiar wojen w Wietnamie, Afganistanie i Iraku. Myślisz, że tamtejsi wyborcy, na przykład z Teksasu, tego nie wiedzieli?

Oni nie czytają opiniotwórczych gazet jak „Washington Post", „New York Times" czy „Los Angeles Times". Nie mają pojęcia, kim jest Woodward i czego dokonał. Czytają prawicowe gazetki, które podsycane przez propagandę publikują te wszystkie teorie spiskowe. Podobnie jak u nas. Żyją w swoim równoległym świecie i guzik ich obchodzi, co się naprawdę dzieje. I oczywiście uważają, że to ich adwersarze są w błędzie. Czerpią wiedzę tylko z jednego źródła. Podobnie działali mistrzowie populizmu tacy jak Mussolini czy Hitler. Doskonale manipulowali symbolami i mitami. Trump fantastycznie wpisywał się w ten schemat. Na szczęście w Ameryce nastąpił cud i planowany przez faszystę zamach stanu się nie udał. Osiemdziesiąt milionów rozsądnych Amerykanów zdecydowało, że nie chce takiego przywódcy. U nas niestety nie wyszło. Zresztą nasi mistrzowie populizmu to tacy partacze, własnych symboli nie wymyślili, tylko zapożyczają istniejące, na przykład symbol Polski Walczącej.

Ostatnio sporo mówiło się o tym, że błyskawica wykorzystana przez Strajk Kobiet to runiczny symbol faszystowski.

Kobiety fantastycznie to rozegrały. Symbole i mity jednoczą grupy społeczne. Błyskawica jest genialna i się sprawdza. Pojawia się na torbach czy maseczkach, w oknach domów, na szybach samochodów. Taka manifestacja przekonań to akt odwagi.

Wróćmy jeszcze na chwilę do atrybutów wolności – myślisz, że noszenie maseczki lub jej brak może być symbolem przynależ-

ności do określonej grupy ideowej?

Tak, tylko w przypadku pandemii inne emocje odgrywają rolę, chodzi o poczucie bezpieczeństwa. W takiej sytuacji często to rozum podsuwa rozwiązania. W polityce nie ma rozumu, tam rządzą uczucia. Ale pomysł, żeby jednoczyć grupy, używając symboli, wydaje mi się bardzo dobry. Z takiego rozwiązania próbował skorzystać prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski, który zaproponował, żeby z okazji Światowego Dnia Autyzmu ubrać się na niebiesko. To był właśnie początek takiego myślenia. Szkoda, że opozycja nie stworzyła jednoczącego wokół niej symbolu.

A jeśli chodzi o maseczkę, która też – na zawsze – stanie się znakiem tego koszmarnego roku – w Stanach Zjednoczonych na pewno stanowi to jakiś przekaz. Na przykład wyznawca Trumpa z Kansas nie będzie miał maski na twarzy, bo nie wierzy w sensowność jej noszenia. Pójdzie do coffee shopu po kawę, sprzedawca poprosi, żeby ją włożył – i się wkurzy, i rozwali sklep.

U nas też to się zdarzało. Pamiętasz pana, który pobił sprzedawczynię, bo ta nie chciała mu sprzedać piwa, dopóki nie włoży maseczki?

No tak. To jest w pewnym sensie taki test na inteligencję.

Kiedy pierwszy raz usłyszałeś o wirusie SARS-CoV-2, który zaatakował w Chinach i doprowadził do izolacji jedenastomilionowego miasta Wuhan, myślałeś, że ta zaraza przyjdzie do nas? Czy uważałeś, że to daleko, więc nic nam nie grozi?

Przemawia do mnie piękne rosyjskie powiedzenie „pożywiom uwidim”. Nie wpadam natychmiast w histerię. Przetrawiam raczej wiadomości, jestem trochę stoikiem, który trzyma się z boku, obserwatorem, a nie zaangażowanym emocjonalnie uczestnikiem. Od razu szukam podobieństw w historii i gdy dowiedziałem się o wirusie w Chinach, to

przypomniałem sobie epidemię czarnej ospy, cholery czy czarnej śmierci, czyli dżumy, która wybuchła we Włoszech w 1347 roku i zdziesiątkowała Europę w XIV wieku.

Mało kto wie, że dżuma, która nawiedziła Polskę w latach sześćdziesiątych XVIII wieku, spowodowała wprowadzenie przez Austrię i Prusy kordonu sanitarnego na granicach Rzeczypospolitej, czyli de facto aneksję obszarów przygranicznych. Stało się to preludium do pierwszego rozbioru Polski...

Zaraza zabiła również naszego wieszcza narodowego, tego od „Litwo, ojczyzno moja...". Gdyby został na Litwie, pewnie by przeżył, ale poniosło go aż do Konstantynopola i... „reszta jest milczeniem".

Daleko sięgasz, myślałam, że powiesz o roku 2002 i wirusie SARS – który też został późno wykryty i opanował Azję, o roku 2009 i epidemii świńskiej grypy, albo MERS z 2012 roku, który z Arabii Saudyjskiej rozprzestrzenił się na Bliski Wschód.

SARS-CoV-1 czy ebola nie miały takiej siły rażenia. Myślę o czymś, co zdziesiątkowało ludzkość na skalę masową.

To w takim razie grypa hiszpanka tuż po pierwszej wojnie światowej.

Wtedy społeczeństwo nie reagowało tak, jak powinno, ponieważ zostało wymęczone czteroletnim koszmarem na światową skalę. Panował bałagan, dokonywano nowych podziałów terytorialnych, wyznaczano nowe granice, ludzie byli totalnie zajęci czymś innym. A poza tym ta rzeź pierwszej wojny światowej uodporniła ludzi na śmierć i grypa nie robiła już takiego wrażenia. Dlatego właśnie pomyślałem o tej czarnej ospie, dżumie, potem o zarazie w Londynie z 1603 roku i następnie z 1665 roku. I jeszcze sobie pomyślałem, że podczas takiej zarazy powstawały rewelacyjne dzieła. Ludzie mieli czas na refleksję i na ro-

bienie różnych rzeczy. Boccaccio stał się dzięki temu prekursorem renesansu. Wcześniej kultura w średniowieczu obracała się wokół Kościoła, a Boccaccio pokazał w *Dekameronie*, że może być tematyka miłosna i erotyczna. Fantastyczne to było. To samo zresztą w Anglii – na początku XVII wieku zamknięto teatr z powodu epidemii, Szekspir nie miał nic do roboty, to napisał *Króla Leara*. Kiedy z powodu wielkiej zarazy Uniwersytet Cambridge został zamknięty w 1665 roku, Izaak Newton, który tam wykładał, wyjechał na wieś do swojej ciotki. Któregoś dnia, obserwując z nudów jabłonkę w ogrodzie, odkrył prawo powszechnego ciążenia, czyli grawitację.

A co zrobił Rafał Olbiński podczas lockdownu?

Zasuwałem cały czas i – prawdę mówiąc – miałem najlepszy jakościowo, ilościowo i finansowo rok w życiu. Ponieważ siedziałem zamknięty w czterech ścianach, musiałem pracować. I pracowałem, pracowałem i pracowałem. Nie miałem żadnych innych pokus, żeby wyjść, bo co niby miałbym tam robić? Poza tym ze względu na wiek znalazłem się w grupie największego ryzyka, więc nie bardzo miałem wybór. I to był naprawdę fantastycznie twórczy okres dla mnie. Uświadomiłem sobie czarno na białym, jak wiele czasu marnujemy na pozorne życie, na nic nieznaczące rozmowy, na wychodzenie „na kawę”, z którego nic nie wynika. Skupiłem się na projektowaniu, rysowaniu, pisaniu i jestem z siebie pioruńsko dumny.

Czy covid był inspiracją?

Żadną. Nie czerpię inspiracji z aktualnych wydarzeń typu: Amerykanie spuszczają bombę na Hiroszimę, to ja natychmiast muszę to namalować jak Picasso *Guernicę*. Nie. Sztuka jest dla mnie raczej ucieczką, parasolem nad życiem, kołem ratunkowym w tym oceanie gówna, w którym

teraz się znaleźliśmy. To, co sobie maluję, jest przyjazne, sympatyczne, tam ludzie są tacy, jakimi chciałbym ich widzieć. Kobiety okazują się piękne i mądre, mężczyźni grzeczni i mili, uczucia szczere i niewymuszone. To dla mnie ucieczka w wyidealizowaną przestrzeń, „paradise lost". No i maluję sobie ten raj utracony.

Świat nie jest niestety tak piękny jak na twoich obrazach i plakatach. Czy myślisz, że lockdown, pandemia, wszystko to, co teraz przeżywamy, wyzwala w ludziach dobro, czy raczej robi z nich szubrawców?

W takiej ekstremalnej sytuacji świat się polaryzuje. Ludzie przestają być obojętni, albo stają się szubrawcami, albo ludźmi bardzo dobrymi. Poświęcają się. Jak lekarze, którzy pracują na cztery zmiany na okrągło. Albo postępują jak prymityw, który zdejmuje maskę i kicha na wszystkich, niczym się nie przejmując. Ta pandemia to jest właśnie taki test na człowieczeństwo w pewnym sensie. Test na związki rodzinne czy przyjacielskie. To też się testuje. Byłem bardzo wzruszony, że moja córka dzwoniła do mnie codziennie z Nowego Jorku i pytała, jak się czuję. Bo przed covidem nie robiła tego tak często.

Nie dzwoniła?

Rzadko, czasem wysłała e-maila, a teraz regularnie telefonowała. Można uznać, że covid to też sprawdzian dla relacji międzyludzkich i wewnątrzrodzinnych, tak jak wojna stanowi w pewnym sensie test na bohaterów. Jak u nas podczas drugiej wojny światowej: dwa procent społeczeństwa poświęciło się walce, większość starała się w jakiś sposób prześlizgnąć, a z 30 procent wyszli szubrawcy. Jeśli wierzyć, że wszystko dzieje się w życiu po coś i ma swój wyższy plan – to mogę się pochwalić, że postanowiłem nauczyć się francuskiego i przeczytać *Kandyda* Woltera

w oryginale. I właśnie teraz czytam tę powiastkę filozoficzną. Występuje w niej filozof Pangloss, bardzo ciekawa postać.

Nauczyciel Kandyda i wyznawca leibnizowskiej filozofii optymizmu i przekonania, że żyjemy właśnie w najlepszym ze światów. A ja myślałam, że czytasz teraz raczej *Dżumę* w oryginale.

Kandyd ma też swoją porcję tragedii, genialna książka, naprawdę fantastyczna. Jest tam ten wspomniany filozof Pangloss, który twierdzi, że wszystko ma swój cel, powód, wszystko zostało stworzone dla lepszego efektu, jego tezę można streścić jako wszystko dobre, co się dobrze kończy. Mniej więcej tak. Co pewien czas Kandyd cytuje Panglossa, wierzy, że wszystkie nieszczęścia, jakie na niego spadają, na pewno doprowadzą do jakiegoś dobrego końca. *Kandyd* to – słusznie zauważasz – trochę satyra na modną w owym czasie filozofię optymizmu Leibniza. W każdym razie bardzo zabawny utwór. Po lekturze i ja wierzę w to, że wszystko prowadzi do jakiegoś szczęśliwego finału.

Tylko że Kandyd, po serii przygód i doświadczeń – stawia całkiem inną tezę.

Czy ja wiem? Zależy, jak spojrzeć na ten jego finałowy przekaz. Czy ten dobry koniec będzie taki, że na świecie zostanie parę milionów mądrych ludzi, a resztę zdziesiątkuje covid, tego nie wiem. To już inna kwestia. Czy przeżyją najbardziej do tego predestynowani, czy społeczeństwa zdyscyplinowane takie jak w Chinach, Tajwanie lub Japonii, czy może jednak społeczeństwa, nazwijmy je, chaotyczne, bałaganiarskie, jak na przykład Amerykanie i Polacy.

Mówisz o darwinowskim doborze naturalnym na globalną skalę, to zbieżne z teoriami spiskowymi mówiącymi, że covid został

wypuszczony z laboratorium, żeby wyeliminować słabsze jednostki na świecie. Żeby wyciąć w pień chorych, starszych, umierających.

To są po prostu prawa natury i raczej nie mamy na nie wpływu. W tej chwili czuję się stoikiem, jestem ciekaw, jaki będzie rezultat tego wszystkiego. Patrzę na naszą nową rzeczywistość z punktu widzenia obserwatora, a nie zaangażowanego animatora czy aktora czynnie uczestniczącego w dramacie, który rozgrywa się na naszych oczach. Jestem w szczęśliwej sytuacji i nie narzekam. Z daleka widzi się lepiej.

Ale też zacierają się kontury i umykają szczegóły. Potrafisz wejść jak Napoleon na wzgórze i patrzeć z założonymi rękami na to, co się dzieje na dole? A tam na dole rozgrywają się w tym czasie sceny makabryczne jak na obrazach Bruegla?

Absolutnie tak. Z jednej strony to przywilej wieku, w pewnym momencie emocje opadają i na wszystko zaczyna się patrzeć z dystansu. Z drugiej strony może to być wpływ fantastycznych ludzi, twórców i filozofów, z którymi ostatnio obcowałem – Symonidesa, Platona i Plutarcha.

Masz naprawdę niezwykłych znajomych i świetne lektury.

Wiem. Po prostu ich lubię. Poza tym mam już swoje lata. Ktoś kiedyś powiedział, że studiowanie filozofii to przygotowanie się na śmierć. Właściwie wszystko już było w historii, historia weryfikuje teraz w pewnym sensie nasze chaotyczne, emocjonalne działania – kto choć trochę poznał i zrozumiał świat na przestrzeni dziejów, ten wie, że nonsensem jest podejmować pewne działania, bo ktoś kiedyś już tego próbował i wiadomo, jak to się skończyło. Wystarczy zaczerpnąć z mądrości dawnych pokoleń.

Twierdzisz, że niezależnie od tego, co zrobimy, czy karnie i odpowiedzialnie się zaszczepimy czy nie, czy będziemy przestrzegać zaleceń sanitarnych czy nie, to gdzieś jakiś wielki scenariusz został już napisany i niewiele można na to poradzić. Pobrzmiewa w tym jakiś rodzaj determinizmu, mam rację?

Scenariusz się pisze. Nawiązywałem do historii, która na pewno stanowi antidotum na współczesną arogancję polityków czy naukowców, bo w zasadzie wszystko już kiedyś było. Może w innych dekoracjach i kostiumach, ale sens zdarzeń pozostał taki sam. Przerobiliśmy już kiedyś taki scenariusz jako ludzkość. I znów go przerabiamy. Gdy znajdzie się paralelę w tym wszystkim, to człowiek uspokaja się wewnętrznie. Najłatwiej przewidywać efekty, bo one już kiedyś nastąpiły. Podobne mechanizmy doszły niegdyś do głosu.

Do czego w takim razie zmierzamy w tej pandemii, gdy porównujesz ją z innymi zdarzeniami?

Na pewno do kontrolowania sytuacji, bo przecież Pasteur wymyślił szczepionkę po coś. Jej opracowanie to konsekwencja poszukiwania naukowych rozwiązań. I teraz część ludzkości także wierzy w geniusz ludzkiego mózgu, że wymyślone wakcyny działają. O to jestem spokojny. Pytanie, jakie będą ofiary po drodze. To już inna sprawa. Oczywiście to zależy też od nas. Ale wierzę w to, jestem optymistą, że pandemia Anno Domini 2020–2021 to w jakimś stopniu następny krok na drodze naszej ewolucji. Ta ewolucja może zahaczyć także w pewnym sensie o sztuczną inteligencję, możemy obudzić się za, powiedzmy, sto lat jako pół-maszyny i pół-ludzie, na których ten wirus nie będzie już działać.

Jak w dawnych wizjach Lema… Dobrze, że powiedziałeś „część ludzkości” wierzy w szczepionki, bo druga część twierdzi –

a usłyszałam tę szatańską teorię z ust paru przyzwoicie wykształconych osób, że szczepionka będzie zawierać nanochipy, które sprawią, że staniemy się sterowalni z zewnątrz – trochę tak jak w filmie *Wojna robotów*.

W takie rzeczy nie wierzę, bo nie wierzę w istnienie grup ludzi typu mędrcy Wschodu czy Syjonu, którzy się zbierają, aby kontrolować świat. To nigdzie nie zostało potwierdzone w historii, do której tyle razy tutaj się odniosłem. Historia uczy nas, że to wszystko bzdura, tak więc nie przypuszczam, żeby nagle w jakimś bunkrze pohitlerowskim gdzieś w Alpach zebrało się gremium najmądrzejszych, najbogatszych ludzi na świecie i kombinowało, jakby tu nas załatwić. To totalny nonsens. Widzisz tę scenę? Jakaś szemrana grupa, rząd światowy, która knuje, jak zdziesiątkować ludzkość i zrobić miejsce na swoją armię.

Zaszczepisz się?

Tak, zaszczepię się, ponieważ statystycznie wychodzi, że szczepionki pomagają. Nie mam żadnych obaw, że ktoś wsadzi mi jakiś chip, chociaż bardzo bym chciał mieć coś takiego w mózgu, żebym mógł na przykład mówić płynnie w różnych językach. Jeśli coś takiego wymyślą, to z chęcią sobie to wszczepię w głowę.

Ja też się na to piszę. Fantastyczna sprawa. Było ci żal kolegów artystów, którym pozamykano teatry, muzea, domy kultury, galerie, wszelakie miejsca spotkań z kulturą?

Ależ oczywiście, że tak. Mam mnóstwo przyjaciół artystów i cały czas staram się wierzyć, że to kwestia roku, może półtora, i że na pewno przetrwają. Na podobnej zasadzie artystów było też żal w czasie wojny, ona trwała pięć lat, teraz będzie krócej, więc na pewno przetrzymają, a ludzie kreatywni wykorzystają ten czas na to, żeby w tych ekstremalnych warunkach stworzyć coś fajnego, bo trudne wa-

runki sprzyjają kreatywności. Wydaje mi się, że część kreatywnych osób z tego środowiska wykombinuje coś, na co normalnie nie mieliby czasu, gdyby pracowali tak z dnia na dzień, rutynowo. To moim zdaniem pozytywna strona lockdownu. Negatywnych oczywiście też znajdzie się sporo, na szczęście nie żyjemy w kraju, gdzie panuje głód, że nie ma co włożyć do garnka, artyści przeżyją dzięki pomocy przyjaciół czy rodziny, a jeżeli chodzi o sprawy zawodowe, to część z nich na pewno na tym skorzysta.

Przypomina mi się opowieść znajomej aktorki, na czym polegała kreatywność w stanie wojennym. Ty tego nie pamiętasz, bo mieszkałeś wtedy w Nowym Jorku, ale w Polsce artyści, którzy z różnych, wiadomych, względów nie chcieli i nie mogli występować na przykład w Telewizji Polskiej, chwytali się najróżniejszych zajęć. Ktoś był hydraulikiem, ktoś inny rozwozicielem mleka, kierowcą, murarzem. Wielu w nich odczuwało żal.

Prawdziwy artysta sprzedaje siebie, jeżeli ma inne doświadczenia, inne doznania spowodowane obiektywną sytuacją, jak choćby stanem wojennym czy pandemią, to to doświadczenie powinno go wzbogacać. Każde nowe doświadczenie powinno tak działać na twórcę. A wracając jeszcze na chwilę do zmiany profesji. Idziesz do restauracji w Nowym Jorku, serwuje kelner, który jest aktorem. Nie wygrał castingu i nie ma innej roboty. Całe Los Angeles tak wygląda. Kelnerki i kelnerzy czekają tam na swoją wielką szansę, a w międzyczasie robią to, co robią. Tak jak nasi rodzimi artyści w latach osiemdziesiątych i teraz. Tylko u nas artyści byli w tamtych czasach, w komunizmie, traktowani trochę jak święte krowy, więc trudniej było im zejść z piedestału i zacząć rozwozić na przykład mleko.

Olbiński nazywa artystów świętymi krowami. Tak mam to napisać? Czy będziesz to autoryzować i zmieniać?

Moim zdaniem nie ma w tym nic pejoratywnego, to po prostu stwierdzenie pewnego faktu z historii. Artyści przyzwyczaili się do ówczesnej sytuacji i spodziewali się od systemu, że system wszystko za nich załatwi. Trzydzieści trzy lata mieszkałem w Nowym Jorku i tam system niczego nie załatwiał. Musiałeś sobie sam radzić i budować swoją pozycję. Naprawdę. Dlatego takich fantastycznych aktorów mają w Stanach Zjednoczonych czy w Anglii. Bo nie dostają stypendiów, grantów i śmantów. To zdeterminowani ludzie, którzy w dzień pracują na przykład w restauracji, a wieczorem czy w nocy idą na próby albo castingi.

Mam na myśli czasy komunizmu, kiedy dorastałem. Wtedy wszyscy dostawali z przydziału mieszkania, nikt nawet nie pytał, czy popierasz system czy nie. Bo wszyscy wtedy go popierali. Gdy teraz słyszę, że na przykład Jan Pietrzak walczył z komunizmem, to ręce mi opadają. W tamtych czasach sporo moich kolegów, nie będę wymieniał nazwisk, przyjechało do Stanów Zjednoczonych zrobić karierę i spodziewali się, że tam wszyscy na nich czekają i amerykański system da im tak samo, jak dawał system komunistyczny w Polsce. Że natychmiast będą przez społeczeństwo amerykańskie rozpieszczani. A tam gówno. Radź sobie sam. Proszę bardzo. I mało tego. To, co zrobiłeś wczoraj, totalnie się nie liczy. Liczy się to, co zrobiłeś dzisiaj. To twoja wizytówka. A że wczoraj czy przedwczoraj odniosłeś gdzieś jakiś sukces, to nikogo w Stanach nie interesuje. Trzeba tu i teraz pokazać, że potrafi się coś zrobić lepiej od innych. Najlepiej.

Jesteś tak dobry jak twój ostatni spektakl, jak twój ostatni obraz.

Absolutnie tak.

A co sądzisz o tej awanturze z dofinansowaniem artystów?

Jeżeli państwo ma na to pieniądze z naszych podatków w budżecie, to jestem na tak.

Czytałeś listę beneficjentów?

Tak, pieniądze dostał na przykład Zenek Martyniuk, Chopin naszych czasów… Uważam, że o tym, komu dać dofinansowanie, powinno decydować jakieś niezależne gremium totalnie niezwiązane z polityką, ponieważ to są pieniądze nie polityków, tylko podatników. Jeżeli już mówimy o podziałach w polskiej rzeczywistości, to większe podatki na pewno płacą ludzie, którzy nie są entuzjastami tego rządu. Wydaje mi się, że na tym polega nieporozumienie. To nie jest nagroda za, powiedzmy, uległość wobec władzy czy patriotyczną postawę, tylko pomoc społeczna dla artystów. Według jakiego klucza jej udzielać? Nie wiem. Podzielić, każdemu dać pięćset złotych? Na pewno to uczciwsze, niż jednemu zaoferować pół miliona, a drugiemu nic. Wśród wybranych więcej było ludzi rozrywki niż sztuki, a to różnica. To dwa różne światy.

Dziękuję ci bardzo.

Nie rozumiem, dlaczego przedstawiciele rozrywki, te supergwiazdy, które świetnie sobie teraz radzą, mają dostawać zapomogę? Wsparcie powinni otrzymać ci, którzy stracili źródła dochodu. Ludzie, którzy nie są gwiazdami, a którzy pracują dla tych supergwiazd. Czyli przenoszą dekoracje, pitolą na skrzypkach na drugim planie. Oni powinni dostawać zapomogi, bo oni po prostu nie mają teraz z czego żyć.

Dostałeś dofinansowanie?

Nawet nie prosiłem. No coś ty. Uspokój się. To ja mogę kogoś wesprzeć. Jeżeli ktoś potrzebuje, to proszę bardzo. Pomogę z chęcią. Nigdy w życiu nie ubiegałem się o jakiekol-

wiek granty, stypendia czy dofinansowania. Nie. Być może moje cyniczne podejście do wszystkiego wynika z tego, że nigdy w życiu nie korzystałem z pomocy społecznej. Nie wiem, na czym polegało ubieganie się o takie fundusze, choć czasami by się przydały, czasem potrzebowałem. Pamiętam, jak pierwszy raz pojechałem do Paryża, to szukałem pieniędzy na ulicy – byłem tak biedny, że spałem na skwerku przy katedrze Notre Dame przez trzy noce. Ale znalazłem potem pracę w hotelu jako nocny recepcjonista i jakoś poszło.

Wyobrażasz sobie czas, gdy już będzie „po wszystkim”? Kiedy wirus osłabnie, osiągniemy odporność populacyjną, będzie można podróżować, wypić kawę, zjeść obiad w restauracji, dzieci wrócą do szkół, a ludzie zaczną chodzić bez maseczek? Czy w ogóle powróci „jak dawniej”? Wyobrażasz sobie kolejne święta w izolacji?

Myślę, że przed nami taki czas przeczekania. Czy kolejne święta, które co roku odbębniamy, będą miały tę samą wagę co wcześniej, to zależy oczywiście od poszczególnych osób. Już teraz wiemy, że kolejna Wielkanoc, taka z naszej polskiej ludowej tradycji, gdzie zjeżdżały się całe rodziny, na pewno się nie odbędzie. Mam nadzieję, że ludzie odzyskali trochę rozsądku po doświadczeniach z weselami, które skończyły się zachorowaniem i często śmiercią osób powyżej pięćdziesiątego roku życia, biorących udział w tych imprezach. Mam nadzieję, że dadzą sobie w święta spokój. Choć nie jestem w tym względzie wielkim optymistą. Myślę, że część społeczeństwa na pewno nie zachowa ostrożności i obawiam się, że wynikiem tych świąt może być czwarta fala zachorowań, która znowu spowoduje wzrost wskaźników umieralności. To taka moja smutna refleksja na ten temat. A jak się do tego dorzuci,

że jesteśmy najbardziej zasmrodzonym krajem w Europie, gdzie smog, który atakuje płuca, powoduje śmierć około czterdziestu pięciu tysięcy osób rocznie, i dołoży jeszcze covid, który też atakuje płuca, no to wychodzi niezła mieszanka. Nie wiem, czy powinienem wrócić do kraju w styczniu, czy przedłużyć swój pobyt w tropikach.

Będziesz na Martynice?

Tak, na Karaibach. Tam tak pięknie…

Gdy słuchasz ludzi, którzy mówią, że tęsknią za normalnością i chcieliby, żeby było jak dawniej, to myślisz, że jeszcze będzie jakieś „jak dawniej”?

Oczywiście, że tak. Uważam, że tego też uczy nas historia. Będzie jak dawniej. Minęła zaraza we Włoszech czy w Anglii, ludzie wrócili do starych zwyczajów. Przeminęła hiszpanka, wszystko było po staremu. Teraz trwa wojna, która przetacza się nad nami bez huku armat. Przetrwamy i potem będzie po wojnie, i znów wrócimy do dawnego życia. Gdy ogląda się relacje z Chin czy Japonii, to tam wszystko wróciło do normy, ludzie chodzą bez maseczek, kawiarnie i restauracje są pełne, wszystko jest tak jak dawniej. Normalnie. U nas będzie tak samo, tylko nie wiadomo, ile po drodze covid pochłonie ofiar. Społeczeństwo prawdopodobnie stanie się zdrowsze, uodporni się, bo wytworzy się ta zbiorowa odporność, która – jak twierdzą naukowcy – ma sens. Część ludzi umrze, w większości na inne choroby, na które i tak prawdopodobnie by umarli, tylko później – być może te wszystkie choroby wynikające ze złego trybu życia, ze złej diety staną się sygnałem alarmowym, żeby jednak zmienić swój stosunek do swojego zdrowia, czyli przestać się obżerać gównianym jedzeniem, przestać żreć cukier, opijać się piwem itd., a zacząć ćwiczyć. Wydaje mi się, że ta umieralność to test, jak ludzie zachowywali

się wcześniej. Te wszystkie choroby współistniejące zdradzają, że nie dbali specjalnie o siebie. To też świadczy o służbie zdrowia oczywiście. Czyli z jednej strony to test na służbę zdrowia – co trzeba zrobić, żeby służba zdrowia była wydajniejsza, bardziej racjonalna. Z drugiej strony powinno nas to nauczyć prewencji, czyli zdrowego trybu życia. Powinniśmy też przestać zadymiać i zatruwać powietrze, żeby ludzie mniej chorowali. Zdajemy sobie z tego sprawę, tylko nikt o tym teraz nie mówi, bo wszyscy skoncentrowali się na tej małej kuleczce z bąblami – no ładny ten wirusik, mały drań, który wszystko rozwala.

Mały drań nauczy pokory?

Przypuszczam, że już nas nauczył. Świadczy o tym ten wielki strach, który na nas padł po wybuchu pandemii. Uważam też, że to fantastyczne i optymistyczne, jak ta cała sytuacja zdopingowała naukowców do tego, żeby opracować szczepionkę. Szczepionkę, nad którą kiedyś pracowano dziesiątki lat i potem długo testowano, a teraz tak się spięli, że proszę bardzo. To cudowne w ludzkości, prawda? Wydaje mi się, że większość ludzi, to znaczy myślącą większość, covid na pewno nauczył pokory. Myśląca mniejszość zawsze tę pokorę miała w sobie, a bezmyślna większość przyjmie to, co jej się powie w mediach albo co ksiądz ogłosi z ambony – bo oni po prostu w ogóle nic nie myślą, nie wyciągają wniosków i niczego się nie uczą. Tak że nie zajmujmy się tymi ludźmi, którzy nie myślą. Pytasz, czy wirus nauczy nas pokory? Jakiej pokory?

ROBERT RUTKOWSKI

PSYCHOTERAPEUTA UZALEŻNIEŃ, WYKŁADOWCA

JOANNA RACEWICZ: Udało się uniknąć covidu?

ROBERT RUTKOWSKI: Niestety nie. Nie pamiętam dokładnie, ile czasu minęło od naszej ostatniej rozmowy, ale już jestem po covidzie. Poszerzyłem swoją wiedzę na temat tej choroby, ponieważ do niedawna byłem jeszcze przekonany, że na koronawirusa albo się umiera, spędziwszy dwa tygodnie w szpitalu, albo przechodzi się go bezobjawowo. Mam zatem doświadczenie, które zyskałem zupełnie przypadkiem. Polecam wszystkim moim pacjentom, żeby robili sobie przy okazji innych badań pakiet covidowy. Ja co rok robię sobie taki przegląd, więc w grudniu postanowiłem też za jednym zamachem zrobić test na przeciwciała. Okazało się, że je mam. Jest ich co prawda mało, ale wystarczą, żeby mnie chronić. W zeszłym roku był jeden taki dzień, który z pewnością był tym dniem, kiedy przez dwanaście godzin miałem potworne dreszcze. Zmyliło mnie to, że nie miałem kaszlu. Teraz wiem, że to był covid.

Miał pan smak i węch?

Rano jeszcze tak. Później się skupiłem na dreszczach i na bardzo nieprzyjemnym symptomie, jakim była gorączka – trzydzieści osiem i pół. Ogólnie byłem dość osłabiony. Sądziłem, że właśnie zaczął się u mnie covid. Poprosiłem swoją asystentkę, żeby odwoływała wszystkich pacjentów. Następnego dnia była sobota, więc umówiłem się z nią, że zadzwonię i powiem, jak się sprawa ma. Szczerze mówiąc, zacząłem już pakować do torby piżamę, książki, power banki. Taką mam procedurę, bo przez całą pandemię pracuję z ludźmi. Nie mogę być tylko on-line. Moi pacjenci

potrzebowali kontaktu z żywym człowiekiem bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Wszystko więc zależało od tego, jak się będę czuł następnego dnia. Wziąłem na noc cztery aspiryny i byłem pewien, że mam covid i że w sobotę będę musiał załatwić wszystkie sprawy. Kiedy jednak rano się obudziłem – o dziwo – miałem temperaturę trzydzieści sześć i siedem.

Jakieś cudowne ozdrowienie? Jak to możliwe, że covid trwał u pana tylko jeden dzień?

Jestem nietypowym przypadkiem. Następnego dnia byłem rześki jak nigdy, bo przespałem dwanaście albo trzynaście godzin, w ogóle byłem wypoczęty, zrelaksowany, odetchnąłem, a ponieważ codziennie jeżdżę na skuterze, to stwierdziłem, że złapałem zwykłe przeziębienie z jakąś chwilową gorączką. To było dziwne doświadczenie. Pierwszy raz w życiu chorowałem jeden dzień, trochę mnie gardło bolało. Nie miałem żadnego kaszlu, więc nawet sobie nie zrobiłem testu. Machnąłem na to ręką, wsiadłem na skuter, pojechałem na bazarek zrobić zakupy, oczywiście w maseczce, w rękawiczkach. Minęły dwa miesiące, przyszedł grudzień, wtedy się dowiedziałem, że mam przeciwciała. Covid miał więc u mnie bardzo łagodny przebieg.

Szczęściarz…

Mój kolega lekarz powiedział, że muszę mieć bardzo silny organizm. To też brzmi całkiem pokrzepiająco. Zatem wracając do pani pierwszego pytania, czy chorowałem na covid, tak chorowałem. Mam jeszcze przeciwciała, a jestem też już po pierwszej dawce szczepionki.

Czy – kiedy dotknie się tego drania, choć przez chwilę – zmienia się to, jak się postrzega pandemię? Inaczej czyta się i ogląda serwisy informacyjne?

Zdecydowanie. Osobista relacja z covidem wywraca wszystko. Odpowiem tak: napięcie mięśni, będące jakby konsekwencją zwiększonego stanu czuwania, podwyższonej czujności, jest w dłuższej perspektywie klasyfikowane przez psychologów jako stres długotrwały. I ja już zacząłem odczuwać symptomy tego stresu długotrwałego, odnotowując spadek energii, sił witalnych. Jako psychoterapeuta troszkę się na tym znam. Jestem też dość aktywny, więc dzięki sportowi radziłem sobie przez ostatni rok dużo lepiej niż ludzie skazani wyłącznie na chodzenie na spacery, bieganie czy gimnastykowanie się w domu. Było mi zatem łatwiej. Miałem jednak wyraźne oznaki spadku nastroju, gorzej spałem, co było wyrazem empatii i współodczuwania.

Tak opisuje ostatni rok wielu moich rozmówców.

Wyobrażałem sobie, że tak się czują ci ludzie, którzy nie mają takiego warsztatu, jakim ja dysponuję, i muszą na przykład siedzieć cały czas w domowych biurach. Ja za wszelką cenę chciałem utrzymać funkcjonowanie gabinetu, żeby do niego jeździć, również dla siebie samego. Mogłem po prostu pracować w gabinecie w swoim mieszkaniu, ale celowo tego nie robiłem, bo to burzyło mój rytm. Wyjście z domu do pracy jest ważnym znacznikiem. Teraz głównie omawiam z moimi klientami, którzy pracują w domowych biurach, kwestię higieny. Zacząłem więc inaczej postrzegać pandemię, kiedy uświadomiłem sobie, jakie potworne konsekwencje psychiczne ona ze sobą niesie, a także kiedy w październiku przyjąłem dawkę szczepionki przeciwko pneumokokom.

Pneumokoki? A nie na grypę?

To jest dość istotna sprawa. Moi pacjenci są rozsiani po całym świecie, mam kontakt z lekarzami w Niemczech, Po-

lakami, którzy tam pracują i nie radzą sobie z emocjami, bo są przyciśnięci przez różnego rodzaju trudności. Bardzo często są to ludzie prowadzący swoje własne praktyki medyczne w Niemczech. Gdy we wrześniu dowiedziałem się, że Niemcy szczepią wszystkich swoich obywateli powyżej sześćdziesiątego roku życia przeciwko pneumokokom, to mi to dało do myślenia. Można mieć różne opinie o Niemcach, ale z pewnością nie da się im odmówić pragmatyzmu. Kiedy zweryfikowałem informację, że Angela Merkel się zaszczepiła przeciwko pneumokokom, to zacząłem to analizować. Zdziwiło mnie, że w polskich mediach niewiele się o tym mówi. Nie natknąłem się też na oficjalne zdanie lekarzy, którzy by do tego szczepienia zachęcali, nie było żadnej kampanii społecznej. Ja jednak postanowiłem to zrobić. Żeby było jasne, nie jestem ani proszczepionkowcem, ani antyszczepionkowcem. W dorosłym życiu pierwszy raz zaszczepiłem się właśnie w październiku przeciwko pneumokokom. Nigdy nie szczepiłem się przeciwko grypie – tak między nami. Ale jestem człowiekiem nauki. Ufam nauce. Pomyślałem sobie więc, że jeżeli można się zaszczepić przeciwko pneumokokom i to się sprawdza, to tak zrobię. Wcześniej kwestiami szczepionek interesowałem się tylko jako rodzic, na przykład dwa lata wcześniej, kiedy szczepiliśmy naszego małego synka, Rafała, właśnie przeciwko pneumokokom. Ta szczepionka chroni nas przed wszystkimi powikłaniami pogrypowymi i pocovidowymi, co jest bardzo ważne. Krótko mówiąc, ludzie, którzy by byli zaszczepieni, przeszliby covid, ale wirus nie zaatakowałby ich płuc i by nie umierali. Ciągle dowiaduję się od moich pacjentów, jak ich rodzice ciężko przechodzą covid. Wczoraj ojciec mojego klienta zmarł właśnie na zapalenie płuc, dzisiaj miałem telefon od mojej klientki z Poznania, która pytała, płacząc, co robić, bo jej

matka umiera na zapalenie płuc w szpitalu. Oczywiście, ci ludzie nie byli szczepieni przeciwko pneumokokom. Mój stosunek do pandemii zmienił się więc w październiku, kiedy przyjąłem tę szczepionkę.

Ulga? Właśnie wtedy? A ja byłam pewna, że po przechorowaniu…

Dokładnie, ulga. Właśnie po szczepionce. Poczułem wtedy, jak ze mnie schodzi napięcie. Wiedziałem, że nadal mogę zachorować na covid, ale nie bałem się, że umrę. W takich sytuacjach włącza się atawizm, pierwotny instynkt. Wszyscy próbujemy się zabezpieczyć przed śmiercią. Kiedy jest się medykiem, nie można uciec, bo ludzie potrzebują lekarzy. To też jest temat do głębszej refleksji, dlaczego wielu lekarzy tak się pochowało, odbierając sobie całkowicie możliwość kontaktu z pacjentem.

Jest pan przeciwnikiem telemedycyny?

To może za mocne słowo, rozumiem, że w wielu wypadkach to konieczność, a nawet wygoda dla obu stron. Nie trzeba siedzieć w kolejce, jeśli potrzebna jest tylko recepta… Ale brak spotkania, kontaktu, dotyku jest niezwykle bolesny dla pacjentów, którzy potrzebują rozmowy. A spotkanie on-line niestety nie wszystkim wystarcza.

Rozmawiałam z pracownikami DPS-ów, z opiekunami osób starszych, wreszcie właśnie z nimi – z seniorami – przepraszam, nie lubię tego słowa… I cały czas powtarza się myśl, że spojrzenie w oczy, łagodny dotyk, choćby potrzymanie za rękę – znaczy więcej niż najlepsze lekarstwo i najbardziej nowoczesna terapia.

W wielu amerykańskich szpitalach położniczych jest bardzo szczególna „usługa”. Kiedy kobieta rodzi i nie ma przy niej ojca dziecka – z różnych powodów – można poprosić o wsparcie tak zwanego „przytulacza”. Mają takich ludzi

na etatach. Jego zadaniem jest przytulenie maleństwa tak, żeby poczuło trzydzieści sześć i sześć… Żaden nawiew, lampa ani inkubator tego nie zrobią. Widzi pani? Jesteśmy tacy sami, od kołyski, od łożyska – z wiekiem się marszczymy, stajemy się mądrzejsi albo głupsi – to zależy… ale zawsze potrzebujemy oksytocyny. Żadna filozofia, prawda? Oksytocyna, genialny hormon szczęścia, cząstka prospołeczna, bez której nie istnieją bliskość i wsparcie. Proszę zauważyć – wszystkie grupy terapeutyczne, w których można stanąć w kręgu i wziąć się za ręce – robią dla uczestników o niebo więcej niż hermetyczne, covidowe spotkania na zoomach czy skype'ach.

Podanie ręki na znak pokoju albo powitanie – proste gesty, których brakuje jak wody na pustyni..

A no właśnie… Mam honor i zaszczyt przyjaźnić się z profesorem Krzysztofem Bieleckim, znakomitym i doświadczonym chirurgiem. On jest nadzwyczajny z bardzo wielu powodów, o czym dokładnie wiem, bo wielu jego pacjentów potrzebujących pomocy trafia do mnie. Uwielbiam opowiadane przez nich historie o profesorze, który następnego dnia po operacji, nawet bardzo ciężkiej i skomplikowanej – przychodzi na oddział, siada przy łóżku chorego, bierze za rękę i potrafi siedzieć bez słowa długi czas. Zawsze będzie mi się z tym kojarzyć. Profesor, który na chwilę zdejmuje uniform boga, schodzi ze swojego Olimpu i zamienia się w jedno wielkie czucie. Jest takie ważne słowo – adherencja – termin z fizyki i biologii służący do opisania nadciśnienia tętniczego – stosuje się też w terapii. Gdy pacjent ufa lekarzowi – jest większa szansa, że leczenie będzie udane.

Czy pan jako pracownik ochrony zdrowia był w grupie zero?

Opowiem trochę o tym, bo to dość ciekawe doświadczenie. Po pierwsze, ja w ogóle nie wiedziałem, że jestem w grupie zero. Owszem, mówiło się o szczepieniu medyków, więc także o psychoterapeutach, ale na początku nie pomyślałem, że to będzie także mnie obejmować. Nie miałem też zbyt dużo czasu, żeby szukać informacji. Przyznam, że ta szczepionka przeciwko pneumokokom troszkę mnie uspokoiła. Ale napisał do mnie mój kolega, który również jest psychoterapeutą, z pytaniem, czy się zapisałem. Ja mówię: ale na co? No na szczepienie. Zdziwiłem się, że w ogóle mogę to zrobić. Dopiero wtedy dotarłem do źródeł i okazało się, że psychoterapeuci, dentyści, fizjoterapeuci, dietetycy również należą do grupy zero i mogą się szczepić wcześniej. Nie miałem zatem żadnych wątpliwości. Zapisałem się na stronie rządowej i cierpliwie czekałem na swoją kolejkę.

Jak się pan czuł zaraz po szczepieniu? Ozdrowieńcowi jest łatwiej?

Zawsze czeka się na NOP, czyli niepożądany odczyn poszczepienny. Po szczepieniu przeciwko pneumokokom uważałem, że jestem czysty i nie mam żadnych alergicznych odczynów, nic niepokojącego się nie wydarzyło. Powiem wprost, że też kierowała mną po prostu ciekawość. Niektórzy mówili, że oni nie będą brać udziału w eksperymencie, a ja się cieszę, że się zaszczepiłem. Nie mam żadnych obaw „genetycznych” ani innych wątpliwości. Mówi się na przykład o wpływie szczepionki przeciw koronawirusowi na płodność w przyszłości. Mężczyzna po pięćdziesiątce, który już swoje zwojował w kwestiach prokreacji, może się już tym nie przejmować. Choć oczywiście rozumiem też młodych mężczyzn, którzy się tym martwią, bo

na ten temat mało się mówi. W ogóle ta komunikacja jest zadziwiająca. I bardzo zła.

Brakuje kampanii informacyjnej?

W ogóle jej nie ma. Ja jako człowiek, który każde spotkanie on-line odbywa w innym miejscu na świecie (potrafię być jednego dnia o siódmej rano w Sydney, a później o czternastej w Stanach, w międzyczasie odwiedzam Oslo albo Berlin), dowiaduję się od ludzi z różnych krajów, że bałagan jest wszędzie taki sam. Brak informacji, ludziom trudno się w tym wszystkim odnaleźć, dzięki Bogu, że mamy dziennikarzy. Rzetelnych dziennikarzy, którzy udzielają informacji. Ja o pneumokokach dowiedziałem się więcej nie z periodyków medycznych, ale właśnie dzięki artykułom na różnych zweryfikowanych i sprawdzonych portalach.

Mówi pan o obawach dotyczących szczepionek, o ludziach, którzy odrzucają branie udziału w – jak to nazywają – „eksperymencie". Czy rozumie pan strach i niepewność, z których rodzą się teorie spiskowe – te o chipach i Billu Gatesie – albo obawy – kto właściwie bierze odpowiedzialność za długofalowe skutki uboczne: producent, jak uważają lekarze, czy państwo, jak twierdzi resort zdrowia.

Ja ich absolutnie rozumiem. Ludzie są w tej sytuacji trochę bezradni. W dodatku nie wszyscy dysponują odpowiednimi narzędziami, by zdobyć rzetelne informacje. Ja jestem człowiekiem, który lubi wiedzieć. Nigdy nie opieram się na jednym źródle informacji. Zanim przekażę coś do przestrzeni publicznej, sprawdzam to w innym źródle. Nie mogę sobie pozwolić na pomyłkę, bo za bardzo ryzykuję. Wrzucając na Facebooka jakiś link, biorę za to odpowiedzialność. Jeśli okaże się to bzdurą, nie będę mógł powiedzieć, że o tym nie wiedziałem. Ja to firmuję swoją

twarzą, podpisuję się pod tym swoim nazwiskiem i jestem współodpowiedzialny za rozpowszechnianie treści. Wolę nie umieścić czegoś, jeżeli nie zostało sprawdzone. Wracając do skutków ubocznych, to trudno się dziwić, że ludzie mają wątpliwości, jeżeli ulotka do szczepionki ma grubość książki. Próbowałem przeczytać także tę dołączoną do szczepionki przeciw pneumokokom. To samo. Książka. A przecież jest to szczepionka stosowana od wielu lat. Ktoś, kto będzie chciał znaleźć informacje na temat komplikacji wynikających z zażywania witaminy C czy aspiryny, również napotka opasłe opracowania. Za mało mamy rzetelnych informacji udostępnianych przez autorytety. Nie przez terapeutę, który przekazuje swoje opinie i jest jakby pasem transmisyjnym mającym kontakt z mniej lub bardziej wyedukowanymi lekarzami. Brakuje nam także lekarzy, którzy dostarczają nam dobrych wiadomości. Mój klient – Polak, który mieszka w Stanach, jest kardiologiem i prowadzi swoją klinikę – powiedział mi, że szczepionka przeciw koronawirusowi jest najnowocześniejszą szczepionką na świecie. Nigdy jeszcze takiej nie było. Jest opracowywana od 2005 roku.

To prawda, laboratoria pracowały nad technologią mRNA od dawna. Pandemia przyspieszyła prace do tego stopnia, że w niecały rok gotowe były dwa preparaty. Pfizer i Moderna.

Sam przyjąłem Pfizera, więc interesowałem się tą szczepionką i trochę o niej poczytałem. Wiedziałem, że to ona miała być pierwsza. Prace nad nią trwają od czasów epidemii SARS i MERS. Nie można więc powiedzieć, że jest to nowa szczepionka. Opracowywano ją od bardzo dawna, natomiast wyciągnięto ją z zamrażarki jesienią 2019 roku. A już w lutym 2020 roku ruszyły badania kliniczne na populacji. Czterdzieści siedem tysięcy ludzi dostało tę szcze-

pionkę. A mnie do niej przekonał fakt, że nie zdarzyło się jeszcze w historii nauki, żeby badać tego typu produkty na ludziach chorych. Była cała masa ludzi chorych na AIDS. Bo to nawet nie jest HIV. HIV to jest wirus, natomiast AIDS to choroba. Jakby normalnie mają te wszystkie symptomy ciężkiej choroby śmiertelnej i badano również chorych na raka. To mnie trochę przekonało. Nie mówię, że jestem zaślepiony i ufam koncernom w stu procentach, ale wolę zaryzykować, niż żyć dalej w tym napięciu, które towarzyszyło mi w 2020 roku.

Z czym teraz do pana przychodzą pacjenci? Ludzie sukcesu, dla których świat był otwartą księgą i nagle zatrzasnął się na głucho, a oni dostali porządnie w zęby?

Właśnie nie. To jest ciekawostka.

Nie dostali?

Nie jest to takie jednoznaczne, ponieważ pandemia przypomina trochę sytuację wojenną.

Wojna – ulubiona retoryka polityków, wygodne narzędzie do zarządzania strachem.

To prawda, ale ja tu użyję jej nie do moderowania strachem, tylko do opisu sytuacji, do jej „oswojenia”. Bo na wojnie ludzie umierają, choć z innych powodów. Część sobie zupełnie nie radzi. Inni zamykają interesy. Ale jest też cała masa ludzi, którym się powiodło w różnych dziedzinach.

Jak Jeff Bezos, który zbił majątek na covidzie.

Jak również pewna polska firma, której zamówienia na całą Europę wzrosły stukrotnie. I to nie jest wyjątek. Mnóstwo ludzi się wzbogaciło podczas pandemii. Mam jednak klienta, który siedział w moim gabinecie troszkę pogubiony, ponieważ ten sukces biznesowy go trochę przygniótł.

Posługując się dalej retoryką wojenną: na wojnie świetnie się zarabia. Prawidłowość znana od pokoleń. Nie chcę mówić o szmalcownictwie, bo to wyjątkowo podłe konotacje… Czy pana klient miał rozterki etyczne?

Nie. Rozterki zdarzają się nieczęsto i nie bez powodu mówi się, że biznes nie lubi sentymentów, mazgajstwa i wyrzutów sumienia. To nie znaczy, że takie osoby nie są poddawane presji. Ulegamy pewnym stereotypom i przeświadczeniu, że sukces dostarcza pozytywnych emocji, że osiągnięcie celu i znalezienie się na życiowym szczycie to tylko dobre konotacje. Błąd. Utarło się, że wsparcia potrzebują tylko ci, którzy spadają – z wysokiego albo nieco niższego konia. Też kulą w płot. Jedni i drudzy potrzebują pomocy. Wygrani i przegrani.

Uważam, że w przypadku mojego klienta to w pełni zasłużony sukces. Kupowanie taniej i sprzedawanie drożej jest normalne. Na tym się opiera handel. On wykorzystał – mówiąc w pewnym uproszczeniu – ten właśnie mechanizm. Dodajmy – w rozsądnych granicach.

Pamięta pan początek zarazy? Szybujące ceny jednorazowych maseczek, które kosztowały grosze, a jednego dnia wywindowały się na dziesięć złotych za sztukę?

Ja się już pogubiłem w rachunkach, bo zawsze byłem kiepski z matematyki. Ale jeżeli się kupowało maseczkę za dziesięć groszy, a później mój pacjent kupował ją za dziesięć złotych, to kupując sto maseczek, wydawał tysiąc złotych. To się w głowie nie mieści. Ja w ogóle uważam, że takie przebicia, takie kanty powinny być karane. Natomiast ten mój pacjent był bardzo bogaty, sporo zarobił w tej swojej branży. Warto jednak wspomnieć, że taki sukces odbija się na ludzkiej psychice, a ta ilość pieniędzy często wpływa na to, że ludzie zbyt intensywnie sięgają po różne-

go rodzaju lekarstwa, legalne i nielegalne, próbując złagodzić napięcie. Bo sukces to też napięcie. To nie tylko benefity. Kiedyś pisałem poradnik dla totalizatora i miałem okazję spotkać ludzi, którzy wygrali nagle gigantyczne pieniądze i zgłupieli. Padali na łopatki. Ich rodziny i firmy się rozsypywały. Nie udźwignęli sukcesu.

To jest jeszcze jeden dowód, że psychoterapeuci będą potrzebni zawsze – w zdrowiu i chorobie, na fali i pod nią… Świetnie pan zainwestował (śmiech).

Po prostu potrzebujemy człowieka. Mierzymy się teraz z ogólnym deficytem człowieka. Podzielę się z panią takim osobistym spostrzeżeniem. Kiedy dowiedziałem się, że przechorowałem covid i mam przeciwciała, uświadomiłem sobie, że mogę podać komuś rękę w gabinecie. Powiem szczerze, że zapamiętam ten dzień na długo. Powiedziałem wtedy pacjentowi, z którym miałem spotkanie, że chorowałem na covid. Powiedziałem to z radością. „Mam przeciwciała". Zapytałem pacjenta, czy zgodzi się na uścisk dłoni. A na to: „Panie Robercie, marzyłem o tym. Też jestem po covidzie, uściskajmy się". Myśmy padli sobie w ramiona. To jest niesamowite, bo nie tylko pacjenci są spragnieni bliskości z drugim człowiekiem, lecz także terapeuci.

Amerykańska psychoterapeutka Virginia Satir twierdzi, że człowiek potrzebuje czterech przytuleń dziennie, żeby przeżyć, ośmiu, żeby zachować zdrowie i dwunastu, żeby się rozwijać. Efektowna teza. Tylko jak żyć bez bliskości, w izolacji, z podawanym łokciem zamiast dłoni?

Mogę jedynie zaproponować stosowanie zasady, że jesteśmy tam, gdzie nasze myśli. Tak działa mózg. Jeżeli sobie coś wyobrażamy albo intensywnie o tym myślimy, to tam się znajdujemy. Nasze ciało tam podąża. Dlatego warto

mieć marzenia. Jeżeli sobie wyobrażamy coś ładnego, miłego, sympatycznego, to nasze ciało od razu się relaksuje, odpręża. A więc jeśli nie mamy bliskości, to wyobrażajmy ją sobie. Po prostu planujmy ją. Myślmy o wspólnych wypadach. Chodzi o to, żeby być bardziej uważnym. O tym była mowa przed pandemią. Mówiłem klientom: planujcie sobie urlopy z dużym wyprzedzeniem, wracając z Zakopanego zimą, myślcie o wyjeździe nad morze, który będzie za pół roku. Planowanie ma sens, bo też porządkuje głowę. I jest najlepszym sposobem na radzenie sobie z brakiem bliskości. Zakładam, że zadając pytanie, myślała pani głównie o singlach.

O nich przede wszystkim. Ale także o tych, którzy boją się bliskości, nawet we własnej rodzinie, we własnym domu. Znam takie osoby…

Zacznijmy od singli. Rozmawialiśmy też kiedyś przed pandemią, że oni mają gorzej. Rozpatrujemy to także pod kątem różnie rozumianej wolności. Wielu moich pacjentów, którzy nie mają rodziny, nie mają się do kogo przytulić i wyjątkowo pragną tej bliskości. I oni oczywiście będą chętniej dostrzegać pozytywy wynikające z faktu, że nikt im nie zabiera kołdry, nie muszą czekać w kolejce do łazienki. Jest mnóstwo uciążliwości, które są wpisane w posiadanie rodziny. Ja jestem po rozwodzie, po którym miałem dziesięć lat takiej pełnej wolności. Zanim poznałem moją obecną żonę, miałem dziurę, która dla wielu mężczyzn byłaby marzeniem. Byłem dojrzały, po przejściach. Jakoś mi się też udawało być w bliskiej relacji z kobietami. I powiem pani, że po dziesięciu latach takiego życia miałem serdecznie dość. To była katorga. Udręka. Zacytuję słowa japońskiego poety, Ryūnosuke Akutagawy: „Wolność

jest jak powietrze na szczycie góry. I jedno, i drugie – nie do zniesienia dla słabych”.

Wspaniałe. Tylko – co z tą bliskością?

Instytucja rodziny troszkę zyska na tym, co się teraz dzieje, ponieważ ludzie są spragnieni bliskości i kontaktu. Ja nie mówię tylko o relacjach mąż – żona, kochanek – kochanka, chłopak – dziewczyna. Mam na myśli też dalszą rodzinę. Polecam moim pacjentom, żeby teraz sobie przypomnieli, kto jest jeszcze wokół nich. Bo przecież mamy wujków, ciotki, braci ciotecznych czy kuzynki. Siedzi przed panią dotknięty niesamowicie ciężką chorobą facet, którego choroba brzmi „jedynak”. Kiedy jest się jedynakiem w okresie nastolęctwa, to człowiek myśli, że to cudowne nie mieć żadnego konkurenta. „Nie muszę się do michy spieszyć, zabawki tylko dla mnie”. Ale gdy okazuje się, że okrada mnie przyjaciel, ktoś, komu bezgranicznie ufałem, to mój świat popada w ruinę. Mój przyjaciel Jacek Santorski powiedział mi: „Robert, jesteś ofiarą poszukiwania brata”. Co to oznacza? To, że szukamy kogoś, komu możemy w pełni zaufać. Ta bliskość, oksytocyna, która jest tym neurohormonem, takim naprawdę orgastycznym, to jedna sprawa. Typowo medyczna. Ale tu chodzi o zaufanie. Kochamy ufać. Dlaczego teraz korzystam z usług pani, która sprzedaje mieszkanie po mojej mamie? Domykam teraz przeszłość – w końcu, jak już pani kiedyś to mówiłem, gdy zgadaliśmy się à propos nieruchomości. Przez rok nie mogłem wejść do mieszkania zmarłej mamy, bo czułem, jakbym się dusił. Składało się na to kilka rzeczy: tęsknota za matką, wspomnienia o relacjach rodziców, mojej burzliwej młodości w tym mieszkaniu. Teraz czuję ulgę i przechodzę ze spokojem etap przygotowywania tego miejsca do sprzedaży. Pozbywam się tego mieszkania, krótko mó-

wiąc. Zamykam przeszłość. Odczuwam już tylko podniecenie przed sfinalizowaniem tej transakcji. To mieszkanie sprzedaje w moim imieniu osoba, której na oczy nie widziałem. Jest to ktoś, kogo poleciła mi pewna pani, której zaufałem i się przekonałem, że jest aniołem. Wcześniej pomogła mi spełnić moje marzenia, dlatego teraz zaufałem osobie, którą ona mi poleciła. To jest właśnie zmniejszenie poziomu lęku.

Czy po tym wszystkim, co się wydarzyło w 2020 roku, oswoiliśmy lęk, nauczyliśmy się żyć z tym – znów retoryka wojenna – wrogiem?

Tak. Nauczyliśmy się żyć z koronawirusem, co najlepiej widać na bazarkach. Jestem z pokolenia, które pamięta Sarajewo, czasy wojny bałkańskiej. Już jako dorosły mężczyzna śledziłem tę sytuację dość uważnie, moją pasją wtedy było krótkofalarstwo. Łączyłem się z ludźmi ukrywającymi się przed bombardowaniem w piwnicach. Nigdy nie byłem na wojnie, ale słuchałem głosu człowieka, któremu grozi śmierć. To jest niesamowite przeżycie. Czemu Sarajewo mi się przypomniało? Bo my teraz funkcjonujemy podobnie – oswoiliśmy wroga, część z nas zrobiła to przez wyparcie, oczywiście. Inni jeszcze nie zachorowali na koronawirusa, więc twierdzą, że nie ma pandemii.

Wypieranie, ostentacyjne nienoszenie maseczek, to też oswajanie strachu?

Ależ oczywiście. Próba bagatelizowania zagrożenia, machanie ręką, autoperswazja, że „nic się nie dzieje” – to klasyczny mechanizm w psychologii. Te teorie spiskowe są również elementem oswajania. Podobnie jak zaprzyjaźnianie się z okupantem. Byli przecież ludzie, którzy się zaprzyjaźniali z Niemcami i twierdzili, że jest wszystko w porządku, bo to ci piękni mężczyźni w świetnie skrojonych

mundurach przynieśli cywilizację do tego zapyziałego kraju nad Wisłą. Ci ludzie też oswajali swoje lęki, kolaborując czy robiąc rzeczy podłe głównie po to, żeby nie odczuwać strachu, żeby zyskać polisę ubezpieczeniową na życie. Wydawało im się wtedy, że nie zginą, jeżeli będą z ówczesnym reżimem współpracować.

To ciekawe, że wyparcie jest też elementem oswajania. Bo byłam przekonana, że wyparcie, jeśli jest jakimś elementem, to raczej takiej strategii strusiowego chowania głowy w piasek.

Oswajanie być może nie jest najlepszym słowem. To jest ucieczka albo raczej jakaś forma eskapizmu. Samo oswajanie oznacza wysiłek. To jest odcięcie. Oswajanie to proces, który wymaga pewnej pracy, którą musimy wykonać. A ludzie niestety są leniwi, dlatego spotykamy tych, którzy nic nie widzą, nie słyszą, nie mówią. Udają, albo sami siebie przekonują, że pandemia to mit, chorzy na oddziałach to statyści, a zdjęcia pustych ulic to fotomontaż.

To ci bez maseczek?

To są ci bez maseczek albo ci, którzy mają maseczkę na brodzie, żeby nie nosić, ale też nie dostać mandatu. To też doskonale pokazuje polaryzację. Ja w gabinecie miałem na przykład człowieka, który wręcz wchodził w awantury w sklepach z tego powodu. To był wyborca jednej z opcji politycznych, która się ostentacyjnie obnosiła z negacją, co jest w mojej ocenie działaniem antyspołecznym. Dlatego ci ludzie bardzo dużo stracili, nie zdając sobie z tego sprawy. Zresztą niektórzy przedstawiciele tej formacji również ciężko chorowali na covid. Naprawdę nie życzę nikomu tego doświadczenia, lepiej być mądrym przed szkodą niż po szkodzie.

Umie pan wyjaśnić ciąg myślowy, który prowadzi do przekonania, że nakaz noszenia maseczek to zamach na wolność?

To już nawet nie jest uproszczenie, ale prymitywne potraktowanie maseczki jako kagańca. Taka retoryka jest szkodliwa społecznie. Azjaci są tego najlepszym przykładem. Oni są bardzo prospołeczni, noszą maseczki od dziesiątków lat, nie z powodu pandemii, ale z powodu smogu. Albo choćby drobnego przeziębienia czy kataru. I jakoś nie wymierają masowo. Nie znam badań, które mówiłyby, że Azjaci wymierają przez noszenie maseczek. Dyskusje akademickie prowadzone na Facebooku o skuteczności maseczek to próby oswajania tego problemu przez wyparcie. Natomiast oswajanie problemu jest wtedy, gdy osiemdziesięcioletni staruszek, trzęsąc się, nie może nie iść do sklepu, bo żona mu umarła, synowie są w Stanach, a on nie ma żadnej zorganizowanej pomocy. Po prostu musi iść do sklepu. Byłem świadkiem takiej sceny, kiedy ten staruszek po prostu szedł, rozglądając się i zatrzymując się, jak ludzie go mijali. To było w zeszłym roku. Obserwowałem tego człowieka przez chwilę i w końcu podszedłem do niego zamaskowany, oczywiście trzymając dystans, i zapytałem, czy mogę mu jakoś pomóc. Do tej pory, jak o tym mówię, nie mogę się pozbyć emocji, dlatego że ten mężczyzna spojrzał na mnie tak błagalnym wzrokiem, a był w wieku mojego nieżyjącego już ojca, za którym do tej pory tęsknię, i powiedział: „Ja się boję”. Dreszcz przeszywa człowieka. Dlatego tłumaczę mojemu klientowi, który nie chce nosić maseczki, bo to „narusza jego wolność”, czym jest empatia. Pomyśl sobie o człowieku, który się boi. Zakładając sobie na chwilę tę szmatę na buzię, możesz czynić dobro. Ciebie od tego nie ubędzie, a ktoś inny poczuje ulgę.

Nie wiem, czy takie generalizacje są uprawnione, ale czy pana zdaniem covid w jakimś sensie nauczył nas empatii, wrażliwości, czułości, o której Olga Tokarczuk mówiła – tuż przed zarazą – w wykładzie noblowskim? Czy raczej tkwimy w punkcie wyjścia?

Za wcześnie, żeby odpowiedzieć na to pytanie. Chętnie odpowiem na nie za dwa lata, jak będzie nam dane się znać, a mam wielką nadzieję, że tak będzie. Pani Joanno, niech pani pamięta, że my nadal uczestniczymy w wielkim społecznym eksperymencie. On nadal trwa. Wszyscy jesteśmy aktorami. Ja też się boję. Mam żonę, małego synka, kredyt hipoteczny i marzę o tym, żeby zapewnić byt mojej rodzinie, bo fakty są proste: odejdę wcześniej niż oni. I choć mam odpowiednie narzędzia, znam techniki, którymi dzielę się z pacjentami w gabinecie, to też najzwyczajniej w świecie się boję. Nie chciałbym się bać. Natomiast wiem jedno: że odcinając się od normalnego życia, możemy na tym stracić więcej, niż przełamując te swoje lęki. Do tej pory spotykam się on-line z pacjentami, którzy boją się wyjść z domu. Tak bardzo boją się śmierci.

I co im pan mówi?

Szukamy razem motywacji. Wygląda to podobnie do pracy z lękami czy fobiami. Powoli się na nie wystawiamy. Kiedyś sam byłem swoim pacjentem – wyleczyłem się z klaustrofobii. Miałem ją przez wiele lat.

Zamykał się pan w windzie?

Ja nie byłem w stanie nią pojechać. Jak odwiedzałem kolegę na dziesiątym piętrze, to musiałem wejść po schodach. Nie było innej opcji. To była trauma z dzieciństwa, bo kiedyś niechcący zamknąłem się w małym pomieszczeniu. Miałem problem nawet, żeby polecieć samolotem, ponieważ ta tuba aluminiowa przed wejściem na pokład źle na

mnie działała. Teraz już mogę latać bez problemu. A wie pani, co rozpoczęło przemianę? Konieczność wykonania rezonansu magnetycznego. Może ze trzy razy w życiu miałem to badanie. W dodatku kiedyś nie było gruszeczki, poduszeczki i słuchawek na uszach, bo teraz rezonans to jest komfort. Leci muzyczka, człowiek sobie leży, nie słychać w ogóle tego łupania. Kiedy kilkanaście lat temu miałem robiony rezonans, to po prostu leżałem, powieki mnie bolały od zaciskania, bo sobie wmówiłem, że nie mogę otworzyć oczu. Wykorzystywałem też wtedy wszystkie patenty, jakie są możliwe, żeby przekierować strumień świadomości. Udało się. Zrobiłem to w pół godziny i od tamtej pory obniżył się poziom lęku. I tak kolejny raz, i kolejny. Jeśli chodzi o lęki, to nigdy nie robimy nic na siłę. Stopniowo wystawiamy się na działanie bodźca, który powoli zaczyna być coraz mniej dokuczliwy.

Wrócę na chwilę do tego, co powiedział pan przed chwilą – o wielkim eksperymencie społecznym. Mówi o nim wielu moich rozmówców, też używają tego określenia, a Tomek Sobierajski, socjolog, powiada: to nie do końca jest eksperyment, bo to zakłada istnienie obserwatora, eksperymentatora, narzędzi i obiektu obserwacji i zawsze można go przerwać. W tym wypadku to niemożliwe…

To nie znaczy, że nie można być jednocześnie twórcą i tworzywem – że zacytuję słynny motyw z *Rejsu* Marka Piwowskiego. W naszej sytuacji na tym właśnie polega kluczowy problem. Bierzemy udział w czymś, co dzieje się na naszych oczach, nie znamy wniosków końcowych i może dopiero przyszłe pokolenia będą mogły to spójnie opisać. Do opisu potrzebne są dystans, oddalenie, wreszcie ktoś, kto naciśnie przycisk „off”. Brakuje nam demiurga. Zupełnie tak samo, jak go nie ma w sytuacji, z którą mierzę się jako

terapeuta – gdy siada przede mną człowiek podejmujący eksperyment z narkotykami. Też jest twórcą i tworzywem, obserwatorem i podmiotem obserwacji. Nie twierdzę, że to jest dobre. Ale w obu przypadkach piekielnie brakuje kogoś, kto trzymałby tę sytuację w ryzach…

Pytając o oswajanie pandemii, pytam też o doświadczenie, które wpakowaliśmy wszyscy do plecaka z napisem covid. Pamięta pan początek pandemii? Przerażenie, niepewność, milion pytań…

Pamiętam doskonale, jak na początku pandemii byliśmy tak wszyscy wystraszeni, że jak zdarzyło się nam dotknąć klamki, to już można się było żegnać z rodziną. Rękawiczki, maseczki. Pamiętam, że wtedy dla mnie wyjście do śmietnika…

Było jak na koniec świata.

Mówiłem do żony: „Kochanie, idę wyrzucić śmieci”. Tymczasem czułem się, jakbym mówił: „Kochanie, postaram się wrócić, ale nie mogę ci tego obiecać” (śmiech). Widzi pani, co my teraz robimy? Śmiejemy się.

Wtedy nie było nam do śmiechu. Dziś jest. To jakiś postęp.

Oczywiście. Oswajamy to, bo śmiech jest wręcz niezbędny, jak wentyl bezpieczeństwa. Już wiemy, że te wszystkie powierzchnie nie do końca są takie toksyczne, jak na początku myśleliśmy. Mamy świadomość, że koronawirus nie spada z drzew jak dojrzałe jabłka. Mam przed oczami scenę z Sarajewa, kiedy ludzie szli po wodę i musieli przejść przez ulicę. Przechodzili na drugą stronę pod ostrzałem snajperów z pobliskich wzgórz. Obok jechał opancerzony transporter, osłaniając ich. I wydawać by się mogło, że ci ludzie szli skuleni, wystraszeni, łypiący na lewo i prawo.

Nie. Pamiętam tę scenę z jakiegoś dokumentalnego filmu. Wie pani, co robili?

Byli wyprostowani? Szli i śpiewali?

Nie. Rozmawiali ze sobą. Tak po prostu. Jakby nigdy nic. Gestykulowali, uśmiechali się, jak w normalnym życiu. Nie uważam, żeby porównanie pandemii do czasów wojny było przesadzone, bo podczas okupacji ludzie też chodzili na potańcówki. Też się zakochiwali w sobie, kochali się, tęsknili, pisali wiersze. Nie myśleli tylko o tym, że za chwilę lufa karabinu, kolba i Pawiak. Teraz też mamy pewnego rodzaju ryzyko. Ten czas jest zatem może nie formalnie, ale jednak czasem wojny, takiej emocjonalnej, psychicznej. My toczymy ciągłą walkę, bijemy się sami z sobą. To jest nasza wojna.

Mówił pan o przykładach z czasów naszego pierwszego zderzenia z pandemią. Czy porównuje pan czasem pierwszą falę i drugą? I nasze nastawienie do tych obu sytuacji?

Tak. De facto lato uratowało nam życie. Wakacje były wspaniałe. Mogliśmy się zregenerować.

Tłumy na Monciaku i podczas Jarmarku Dominikańskiego w Gdańsku. Człowiek na człowieku. Ludzie kupowali bursztyny, chusty, obwarzanki. Jeden obok drugiego. Bez dystansu, dezynfekcji, maseczek… I to nam „uratowało życie”? Takie rdzenne nasze „ahoj, przygodo”?

Z epidemicznego punktu widzenia było to bardzo, bardzo ryzykowne, a nawet niebezpieczne. Byłem wtedy na Monciaku, więc też to widziałem. Chyba jako jedyni mieliśmy maseczki, to taka ciekawostka. Nawet zrobiłem zdjęcie pokazujące tę kompletną beztroskę. Więc – z medycznego punktu widzenia – katastrofa. Psychologicznie ludzie się jednak zregenerowali, jakby odtajali. I weszli w kolejną in-

tensywną falę trochę wypoczęci, z innym nastawieniem. A teraz oby do wiosny. Obyśmy wytrwali.

Ludzie sobie teraz życzą, żeby było jak dawniej. To myśli pan, że to w ogóle możliwe?

Mam nadzieję, że nie będzie jak dawniej. Dlatego, że dla mnie to jest audyt. Po kryzysach, po wielkich potknięciach, po życiowych dramatach następuje progres. Jak spłonie las, to na jego miejscu rośnie dużo żywsza zieleń. Kiedy zabliźni się rana – skóra w tym miejscu jest mocniejsza i grubsza. Bardzo liczę na to, że jednak większość ludzi wyciągnie wnioski. Nie mam złudzeń, że wszyscy. Nie muszę daleko szukać, jestem najlepszym przykładem. Wiem jedno: moją największą wartością jest czas. Zresztą już to dawno wiedziałem. Wygaszam swoje dodatkowe aktywności, których miałem bez liku. Życie jest za krótkie, żeby się spieszyć. Powiem na koniec jeszcze jedno, często przed pandemią spotykaliśmy się z taką sentencją: czas to pieniądz. Mam nadzieję, że pandemia to troszkę zmieni. Od dawna kieruję się maksymą, że czas to miłość. I życzyłbym sobie, by inni także wzięli ją sobie do serca.

JACEK SANTORSKI

PSYCHOLOG BIZNESU, WYKŁADOWCA, MENTOR, DORADCA PRZEDSIĘBIORCÓW, WYDAWCA

JOANNA RACEWICZ: Co było najpierw? Gorączka? Kaszel? Utrata węchu i smaku?

JACEK SANTORSKI: Najpierw był bardzo silny katar, myślałem, że może dopadło mnie jakieś uczulenie. Zaraz potem dołączyło zmęczenie. Kalendarz miałem wypełniony po brzegi, ale przeprosiłem klientów i przerwałem pracę. To dla wszystkich było dziwne, bo chyba nigdy wcześniej nic takiego mi się nie przydarzyło.

Następnie nagle w wyleczonym już po rozwarstwieniu siatkówki oku pojawił się bardzo silny wysięk. Praktycznie przestałem widzieć. Pojechałem na test, żeby się upewnić, że nie narażę mojej ulubionej okulistki. No i się okazało, że mam covid i już do niej nie poszedłem na wizytę. Nie miałem wysokiej gorączki ani utraty smaku i węchu, za to pojawiło się uczucie goryczy w ustach… i jeszcze kilka niespodzianek przez parę dni. W sumie chorowałem dwa tygodnie – czułem się, jakby ktoś odłączył mnie od prądu. Bez siły... A pani?

Dziękuję, wciąż jestem przed… Pandemia na razie „smaga” mnie technicznie, ale tu na szczęście z pomocą przychodzi młodsze pokolenie. Nie mam wątpliwości, że żyjemy w czasach odwróconych ról i coraz częściej przekonuję się o tym także podczas pracy nad tą książką. Gdyby nie mój dwunastoletni syn…

Ja to nazywam *junior mentoring*.

Brzmi jak oksymoron, a to szczera prawda. Uczymy się od dzieci, a nie one od nas. Przynajmniej w sferze technicznej.

Dzieci czują się ważne, potrzebne, okazują nam swoją wspaniałomyślność, cierpliwość do naszego debilizmu informatycznego, digitalnego. Oni są digital native. Analogicznie do native speaker, po prostu. Moja trzyletnia wnuczka zamówiła trzy Ubery. Jedyny problem, że aż trzy, ale reszta wyszła jej znakomicie. Działała intuicyjnie i wiedziała, jak to zrobić.

Ano właśnie. A wracając do tematu naszej rozmowy… Czy na kozetce u psychologa biznesu siadają teraz wielcy pokonani przez covid? Zazwyczaj stali na wzgórzach i dowodzili armiami, byli wielcy i niepokonani. Czy ma pan takie wrażenie, że przychodzą teraz do pana z jakimś rodzajem pokory wobec tego, nad czym nie mają władzy?

Myślę, że w obecnej sytuacji w obszarze biznesu, przywództwa i zarządzania świat bardzo się polaryzuje. Na co dzień nie pracuję ze zrozpaczonymi przedsiębiorcami, a z osobami, które notują... siedemdziesięcioprocentowy wzrost zysków. I ci przedsiębiorcy nagle odkrywają, że dziś w biznesie zaczyna się liczyć romantyczne przesłanie, że najważniejszy jest człowiek. Oni się nie boją, bo działają w tych branżach, które w czasach pandemii uczyniły ich wybranymi, albo mieli po prostu dostateczną antykruchość, żeby przetrwać tę nawałnicę. Autorem tego pojęcia jest profesor Nassim Nicholas Taleb, twórca koncepcji czarnego łabędzia. Taleb twierdzi, że istnieją osoby prawie zupełnie nieodporne na katastrofy i kryzysy, które cechuje taka wręcz nadmierna podatność na ich wpływ, a na drugim biegunie znajdują się ci, którzy wykazują antykruchość. Ta antykruchość może polegać na przykład na tym, że posiada się odpowiednie poduszki finansowe, choćby kupione wcześniej nieruchomości, które można spieniężyć

i mieć zabezpieczenie, gdy w obliczu kryzysu wszystko się wali w prowadzonym biznesie.

Szczęściarze, którzy mogli sobie na to pozwolić.

Fakt. Choć to może nie tyle funkcja szczęścia, ile umiejętności przewidywania nieprzewidywanego. Ci przedsiębiorcy czy menadżerowie, z którymi pracuję, którzy mają taką właśnie antykruchość, zarządzają branżami, które okazały się jak gdyby preferowane w tej dziwnej i chaotycznej sytuacji pandemii. Dlatego strach czy niepokój ich nie dotyczą, oni wykazują troskę. Troszczą się o swoich ludzi, niekoniecznie dlatego, że nagle otworzyły się ich empatyczne serca. Zdają sobie po prostu sprawę, że jeżeli mają ludzi o bardzo wysokim poziomie niepokoju przed zakażeniem, podatnych na stres spowodowany ekspozycją na ciągle dezorientujące media i informacje, oraz przytłoczonych sytuacją wynikającą z konieczności przestawienia sposobu pracy z dnia na dzień, najpierw z działań realnych na zdalne, teraz ze zdalnych na hybrydowe, a w przyszłości może na jeszcze inne, to o tych ludzi trzeba zadbać, bo inaczej nie będą w stanie dobrze wykonywać swoich obowiązków zawodowych.

To już przestrzeń sztuki zarządzania – nie przepadam za tym określeniem – „zasobami ludzkimi”.

Nie ma innego. Weźmy na przykład firmę, która działa w branży medycznej i jest producentem leków i środków sprzyjających zdrowiu, ma hurtownie i apteki. Rozmawiałem z tymi, którzy pracują tam na zapleczu, jak mają dalej funkcjonować, bo to ich życie, czują się związani z miejscem, ale z drugiej strony jest zagrożenie. Jak prowadząc aptekę, utulić płaczącą siedemdziesięciodziewięcioletnią panią, żeby z jednej strony zachować standardy odległości fizycznej, a z drugiej strony zlikwidować ten dystans psy-

chiczny i emocjonalny? To są obecne dylematy, nagle pojawia się wiele nowych problemów związanych z ludźmi – z ich lękiem albo z morale zespołów albo z ich plastycznością w dostosowywaniu się do zmiennej sytuacji. Spotykam się z tymi, którzy mimo trudnej sytuacji wiele osiągnęli, i trafiają do mnie też ci, którzy są zrozpaczeni. Jedna z takich osób napisała do mnie, że nastąpiła katastrofa. I w obliczu dramatu czuje też rodzaj gniewu, bo na coś się nastawiła, robiła wszystko, czego ją uczyłem, i zbankrutowała.

To brzmi jak pretensja? Jak żal?

To sytuacja jak w filmie *Dekalog* Krzysztofa Kieślowskiego. W jednym z odcinków naukowiec, który wierzył w obliczenia, wysyła swojego syna na ślizgawkę, na zamarznięte jeziorko, i jednak lód, który zgodnie z prawidłami matematycznymi miał wytrzymać, pęka…

***Dekalog* pierwsza część. Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną.**

A tym bogiem okazał się racjonalizm. Jest w filmie taka scena, w której ten zrozpaczony, ale też wściekły, zdruzgotany ojciec idzie do kościoła i przewraca ołtarz. Podobne emocje towarzyszyły mojemu przedsiębiorcy i traktuję ze zrozumieniem jego zachowanie. Wprawdzie moja akademia jest tak trochę wygodnie usytuowana, bo mówimy, że uczymy tych, którzy umieją zarabiać pieniądze – uczymy ich zarabiać je godziwie. Tych, którzy umieją zarabiać pieniądze, uczymy, jak tworzyć zdrowe firmy, jak budować moralne jutro, jak dbać o sukcesy, bo jesteśmy Akademią Psychologii Przywództwa. Ale to nie znaczy, że pretensja tego przedsiębiorcy jest nieuzasadniona. Chcę go wziąć pod swoje skrzydła, bo tego teraz wszyscy się uczymy, żeby zaopiekować się człowiekiem z jego niepokojem,

z jego stresem, z jego być może nawet regresyjnym zachowaniem – przyjąć go takim, jakim jest. I dopiero w ten sposób, rozpoznając jego gniew i rozpacz, akceptując ten gniew i rozpacz, tak z nim porozmawiać, żeby mu pomóc odreagować bezradność i w tej bezradności szukać jednak jakichś rozwiązań, bo one pewnie gdzieś tam się znajdują, tylko przesłania je ta niemoc.

Dla mnie ten przekaz zabrzmiał jak żal, a trochę jak żądanie reklamacji: wyposażyłeś mnie w narzędzia, które teraz okazały się bezużyteczne.

To jest żądanie akurat nieracjonalne, bo nie prowadzę szkoły biznesu i nie prowadzę kursów niezależności finansowej, tylko Akademię Przywództwa. Nie mniej jednak on formułuje tu pośrednio taką jakby reklamację, a ja go rozumiem. On potrzebuje ukierunkować swoją rozpacz i gniew. I skoro nie ma tego ołtarza, w który mógłby czymś cisnąć, na przykład butem, to Jacek Santorski nadaje się do tego wyśmienicie, więc ciśnie we mnie. I moim zadaniem – i tego uczę w swojej szkole – jest stanąć w tej jego przestrzeni i zwinnie, z gracją złapać ten lecący w moją stronę but.

Złapać czy tak naprawdę uniknąć ciosu?

Złapać, żeby uniknąć ciosu, bo po co mi ten cios? Jeżeli mam mu pomóc, to nie mogę być zdewastowany jego ciosem. Choćby dla niego. Nie mówiąc już o instynkcie przetrwania.

Czy zweryfikował pan swoje metody w tych nowych, nadzwyczaj trudnych czasach?

Tak się złożyło, że tuż przed kryzysem napisałem książkę, która dotyczyła tego, jak z punktu widzenia psychologicznego budowania zdrowych firm i zdrowych relacji wygląa-

dała działalność elit biznesu na przestrzeni ostatnich dwudziestu pięciu lat w Polsce i na świecie. To miało być tylko takie gdybanie na temat, co z tego mogłoby się przydać przywództwu jutra. I nagle się okazało, że w czasie kryzysu ta publikacja stała się podręcznikiem dla moich klientów, z którego przez ostatni rok uczyli się, jak sobie radzić z takimi trudnymi sytuacjami jak pandemia. Bo w tej książce obszerny rozdział poświęciłem zagadnieniu empatycznego przyjmowania człowieka takim, jakim jest. Mowa tam również o jego gniewie, także w stresie, w zmęczeniu. Postuluję, żeby takiemu człowiekowi najpierw okazać zrozumienie, a dopiero potem zaproponować, że jeżeli mam rozwiązać jego problem, to spiszmy kontrakt, w którym doprecyzujemy, czym się będziemy zajmować. Bardzo wiele rzeczy, które pojawiły się w tej książce jako podsumowanie działania elit biznesu, a nawet elitarnych sił specjalnych, do czego też się odwołuję, bo korzystam również z doświadczeń trenerów mentalnych sił specjalnych ze świata, przydało się wszystkim dzisiaj. Po prostu to, co było odkryciem tych elit kiedyś, teraz stało się standardem. Więc w pewnym sensie jest to piękna sytuacja.

To ciekawe, co pan mówi. Wygląda na to, że covid nas wszystkich nobilitował?

W pewnym sensie tak. Pierwszy rozdział mojej książki jest o tym, że amerykańskie podręczniki motywacyjne, właśnie te, w które być może mógłby cisnąć butem ten rozgoryczony przedsiębiorca, z którym jutro się spotykam, mówią: miej wizję. Ona może się narodzić w garażu, piwnicy. Dla jej realizacji ważne jest to, żeby pojawiła się i determinacja. I jeśli ktoś ma jeszcze wiarę, pozytywne nastawienie, to wizja może poprowadzić do tego, że stanie się multimilionerem. Miej wizję. Rzeczywistość ma charakter kwanto-

wy. Przeczytaj książkę. Książkę *Sekret*, wizualizuj. Zobaczymy, jak skończy się jutrzejsze spotkanie z przedsiębiorcą. Będzie pani w podróży, ale zamelduję pani.

Z punktu widzenia fizyki kwantowej skutek wyprzedza przyczynę.

Dokładnie. A ja pisałem w oparciu o analizę elit ostatnich dwudziestu pięciu lat, pierwszy rozdział mojej książki jest, że owszem, wiara tak, lecz zarazem realizm do bólu. Realizm i wiara. Teraz sytuacja jest taka, że…

Realizm i wiara.. to się nie wyklucza?

Chodzi o to, że sednem mojego odkrycia było to, że potrzebne są i wiara, i realizm. Mając tylko wiarę, możesz polecieć gdzieś tak wysoko, że wzlecisz jak Ikar i twoje skrzydła się odkleją. Jeżeli masz tylko realizm, to prawdopodobnie ugrzęźniesz gdzieś w swoich wątpliwościach i się nie odbijesz, nie odważysz, nie podejmiesz ryzyka. Te elity biznesu, które analizowałem, dysponowały i realizmem, i wiarą. Teraz tylko zmienia się kolejność czynników. Bo dzisiaj urealnia nas covid. W związku z tym teraz proponuję: przyjmij urealnienie od covidu i zachowaj wiarę. Dzisiaj przyjmuj całą realność, przyjmuj te wszystkie brutalne fakty, brutalne uwarunkowania, przyjmij je. Nie obrażaj się na nie. Bądź jak admirał James Stockdale.

Ten wysoki rangą wojskowy przez ponad siedem lat przebywał ze swoimi żołnierzami w obozie jenieckim niedaleko Hanoi. Przetrwał tortury Wietnamczyków, choroby, nigdy się nie poddał i nigdy nie utracił wiary w to, że nadejdzie dzień odzyskania wolności. O jego przypadku mówi się paradoks Stockdale’a. Nigdy nie był optymistą, sam siebie określał raczej mianem stoika. Gdy przebywający z nim w niewoli żołnierze chwalili się, że uczestniczyli w kursie pozytywnego myślenia, który pomoże im przetrwać, był

sceptyczny. Widział, że ci, którzy z optymizmem czekali na kolejne Boże Narodzenie czy Święto Dziękczynienia jako moment przełomowy, w którym nadejdzie wyzwolenie, tracili wiarę, załamywali się, gdy to nie następowało, i w rezultacie umierali, nie doczekawszy powrotu do domu. Admirał zachował wiarę, ale potrafił też patrzeć realistycznie i narzucił sobie żelazną dyscyplinę, żeby tak sterować swoim myśleniem, żeby przetrwać.

Stockdale jest bohaterem Stanów Zjednoczonych, ale nie było mu dane zostać wiceprezydentem, choć bardzo tego chciał.

Zabrniemy w dyskusję o amerykańskich kampaniach…

Słusznie. Zatem?

Osoba startująca w biznesie może być zaczadzona w swoich wizjach i wtedy moja książka podpowiada – urealniaj. Masz start-up, to zapytaj dobrego doradcę, jakie może być najsłabsze ogniwo tego start-upu i co by się stało, gdyby się okazało, że to ty nim jesteś. Czyli masz wizję, jesteś w niej zakochany, tylko żeby to nie było zaczadzenie – urealniaj to. W covidzie jest odwrotnie. Życie cię urealnia, a ty nie trać wiary. Bądź liderem, bądź marszandem nadziei w tej rzeczywistości.

No dobrze, ale jak w dobie koronawirusa i lockdownu urealnić na przykład takie sytuacje, że rodzinna restauracja, na którą pracuje kolejne pokolenie, od kilku miesięcy ma kłódkę na drzwiach, a w teatrze od wielu tygodni nie podnoszono kurtyny. Ludzie utracili wpływ na rzeczywistość, tracą grunt pod nogami i stabilny byt.

I to jest właśnie to urealnienie. Weźmy choćby Cirque du Soleil, jedno z największych przedsięwzięć biznesowo-rozrywkowych, które upadło w ostatnim czasie. To także urealnienie. Obecnie nie należy pytać, jak urealnić, bo ureal-

nia nas życie. Pytanie brzmi, jak zachować wiarę w takiej sytuacji.

No to jak zachować wiarę?

Straciłem wszystko i jeszcze zastawiłem wszystko. Natomiast dopóki nie zachoruję, bo przecież mogę i wtedy to zadziała również na mój mózg, to mam szansę przetrwać. Chodzi o to, że straciłem wszystkie pieniądze, będę zadłużony, ale nie straciłem swoich kompetencji. Nie straciłem swojej inteligencji. Powstaje pytanie, w jaki sposób taka osoba może teraz krok po kroku zacząć na nowo coś budować. No bo to ona miała ten kryzys, a nie on ją. I w tym może pomóc doradca albo mentor. Jeśli go nie spotka, to albo spotka kogoś, kto będzie ją pocieszał, albo będzie mówił: „Jakie to straszne, jesteś po prostu w czarnej dziurze, rzeczywistość jest taka niesprawiedliwa”… I to prawda, bo gdyby taki mały albo średni przedsiębiorca żył w Niemczech, gdzie mąż stanu w postaci żony stanu, czyli pani Merkel, tak zarządza, że każdy otrzyma realną tarczę, a nie piarowską i zwodniczą, to nie musiałby się czuć bankrutem, a w Polsce to się właśnie dzieje. I pojawia się kolejne pytanie, czy w związku z tym przedsiębiorca w naszym kraju powinien się obrazić na nieporadność tej grupy polityków, z których rozwiązań przyszło mu czerpać, czy coś może z tym zrobić.

To może inaczej, żeby się nie spierać o realność lub nierealność pomocy – na co ów przedsiębiorca może mieć wpływ?

Byłem w podobnej sytuacji na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy pod wpływem złych inwestycji straciłem pieniądze, ponieważ pojawiły się inflacja i dewaluacja, ale nie miałem o to ani przez chwilę pretensji do Leszka Balcerowicza. Wiem tylko, że chociaż moje dość znane wydawnictwo notowało dwucyfrowy wynik, to było za mało,

żeby spłacić zaciągnięty kredyt. Opowiadałem zresztą o tym i w książce, i w różnych podcastach. Wiedziałem, że mogę dalej brnąć w tę pułapkę kredytową albo oddalić się kawałek i pomyśleć: „Zwaliło się przede mną drzewo, ale jest cały las". I zadać sobie pytanie, w jaki sposób mogę odrobić tę stratę finansową przy mojej wiedzy i doświadczeniu. I wtedy wpadłem na pomysł, że zamiast zajmować się psychoterapią, gdzie po dwudziestu pięciu latach stażu w zawodzie mógłbym komercyjnie dostać, powiedzmy, sto pięćdziesiąt złotych za sesję, mogę zarobić kilkaset złotych za dzień, jeśli przeniosę swoje kompetencje do biznesu. Stworzyłem nową dziedzinę – psychologię biznesu – w której dostawałem tysiąc dolarów za dzień. I wyliczyłem, że jeżeli przepracuję tak sto dni, to zarobię na spłatę kredytu. I pracowałem, mam świadków, pracowałem dzień i noc, dzień i noc, całe dnie, zarabiając po tysiąc dolarów. Znalazłem dźwignię.

I to wszystko bez mentora. A właściwie z mentorem, wewnętrznym.

Nie ukrywam, że wiedza teoretyczna i pewne oddalenie, dystans, mogą pomóc. Dlatego kolejny rozdział mojej książki *„I"/Refleksje o przywództwie jutra* dotyczy właśnie tego, że myślenie biznesowe polega na tym, żeby znaleźć dźwignię. Znaleźć taki sposób, żeby tym samym nakładem pracy uzyskać wielokrotność, lepszy efekt. Mnie jest łatwiej towarzyszyć teraz komuś w problemie, ponieważ sam przeżyłem moment trwogi – chwilę, kiedy mieliśmy z żoną wszystko zastawione. Gdybym był w takim stanie ducha jak mój przedsiębiorca, to mógłbym powiedzieć, że ktoś mnie oszukał. A ja czułem się niewinny. Ale nie pobiegłem do tych, którzy mówili, że Balcerowicz musi odejść, bo Balcerowicz robił wszystko, co było najroztropniejsze

w tamtych czasach na podstawie tego, co wiedzieliśmy o kapitalizmie i liberalno-demokratycznej gospodarce. Gdybym zajmował się chociaż przez chwilę obwinianiem i oskarżaniem kogoś, że jest taka inflacja i taka dewaluacja, że ja uczciwego kredytu dewizowego nie jestem w stanie spłacić, zarabiając w złotówkach, to być może pozostałbym w swoich żalach i poległ. Zamiast tego skupiłem się na tym, na co mogłem mieć wpływ, i szukałem dźwigni. Stała się nią praca taka jak w psychoterapii, ale w biznesie. Tylko musiałem wymyślić na to dla siebie nową nazwę. Nazwałem to psychologią biznesu i zacząłem chodzić do tych, którzy potrzebowali mojej wiedzy psychologicznej w biznesie. I nagle się okazało, że można taki rynek zbudować, że można znaleźć takich przedsiębiorców, którym się przydam. Mariusz Łukasiewicz, któremu spodobała się moja książka *Jak żyć, żeby nie zwariować*, zaprosił mnie do Lucas Banku, potem Eurobanku, i skorzystał z moich pomysłów. Sam był szalonym wizjonerem zatrudniającym nietuzinkowych menadżerów i pracowników i ta mieszanka bywała wybuchowa. Dlatego potrzebował kogoś, kto rozumie psychologię biznesu i potrafi tonować emocje oraz urealniać nawet „dzikie" idee. Przeniosłem się tam i wyszedłem z kłopotów finansowych, choć to nie była kwestia stu dni, tylko dwustu albo i więcej. Z czasem stworzyłem markę i któregoś dnia mogłem skorzystać z kolejnej dźwigni – ktoś ufający mi, ufający w ten biznes, mógł wykupić część mojej marki, aby powstała firma, którą teraz prowadzę. Mam więc za sobą doświadczenie otarcia się o bankructwo i wyjścia z tego, ponieważ znalazłem dźwignię. Nie dałem się zwariować rozpaczy i trwodze, tylko skorzystałem z jej energii, żeby twórczo myśleć.

A teraz przychodzą pana klienci i mówią: „Jacku, pomóż mi znaleźć dźwignię, bo ja sam jej nie widzę". Przychodzą bezsilni, żeby wskazać im miejsce, gdzie mogą tę dźwignię podłożyć?

O tym też im mówię – że odkrywanie dźwigni to jest sztuka. Proszę zwrócić uwagę, ilu profesorów MBA, wybitnych specjalistów strategii biznesowych, dochodzi z czasem do tego, żeby kupić udziały w uczelniach, na których wykładają, i stać się przedsiębiorcami, dostawać wynagrodzenie nie za prowadzenie wykładów i pisanie artykułów, ale żyć z tego, że stworzyli taką dźwignię, że firma pracuje na nich. Tak robią nieliczni. Starałem się ustalić, czy to kwestia poziomu inteligencji czy rodzaju inteligencji.

A może odwagi?

Odwagi na pewno, trzeba mieć odwagę, odwagę myślenia. Trzeba twórczo wpaść na to, co mogłoby się stać tą dźwignią. I mam taką hipotezę, że trzeba mieć do tego jakąś skłonność genetyczną. Istnieją ludzie, którzy wymyślają te dźwignie. Którzy je czują. Mają ducha przedsiębiorczości. A są i tacy, którzy dźwigni nie czują. Całe życie zarabiają coraz więcej albo coraz mniej, pracując coraz więcej albo coraz mniej, ale nie przez dźwignię. Natomiast jeżeli ktoś przyjdzie do mnie teraz w tej rozpaczy, bo znalazł się w sytuacji, w której nie jest w stanie wymyślić tej dźwigni, to tak poszerzę jego świadomość, żebyśmy się przyjrzeli wszystkim możliwym dźwigniom, na które ktoś wpadł w ostatnim czasie.

To taka instrukcja, jak się nie dać pandemii.

Można tak to nazwać. W naszej Akademii Przywództwa było dwóch przedsiębiorców, którzy mieli biznes w obszarze bardzo dotkniętym kryzysem, ponieważ karmili ludzi. Prowadzili stołówki w różnych zakładach pracy, w różnych instytucjach, i nagle wszystkie zostały zamknięte. Jeden

z nich się poddał, a drugi zebrał współpracowników, siedzieli kilka dni i pracowali dzień i noc nad tym, co zrobić z tym, że mają potencjał, mają kompetencje, tylko nie wiedzą, jak z nich skorzystać, żeby nadążyć za zmianami w otaczającym ich świecie. I wpadli na pomysł, że z produktów spożywczych mogą tworzyć coś w rodzaju klocków Lego, wejść z realu do digitalu, opracować receptury, jak te „klockowe" produkty łączyć i sprzedawać zestawy śniadaniowe czy obiadowe złożone z dowolnie wybranych „klocków", które dostarczą pod drzwi ludziom siedzącym w domach, na przykład na zdalnej pracy, i niemającym czasu na wymyślanie potraw i gotowanie. Pomysł chwycił i odbili się od dna. Znaleźli dźwignię. Szukali jej razem i odnieśli sukces, choć wydawało się, że nie ma dla nich żadnej nadziei.

Chce pan powiedzieć, że upadek setek firm – to ich własna wina?

Osobie, która dziś przyjdzie do mnie w potrzebie, mogę powiedzieć, że z różnych badań wynika, że człowiek w stresie niestety ma skłonność do szukania winnych na zewnątrz, do uciekania w tłum i do sięgania po konserwatywne rozwiązania zamiast twórczych. I teraz trzeba te ograniczenia, te schematy działania w stresie zamienić na filary, o których wspomina Moss Kanter w książce o dobrych i złych passach. Zamiast szukać odpowiedzialności na zewnątrz, trzeba jej szukać w sobie, pytać, co z obecnej sytuacji wynika, czego mogę nauczyć się. Zamiast się izolować, lepiej wyjść do ludzi i nawiązać z nimi relację. Oczywiście rozumiem tę potrzebę wycofania, bo sam w trudnych chwilach się izoluję, zamykam w kokonie i na przykład wolę spać w śpiworze niż pod kołdrą. Ale potem wychodzę z niego i spotykam się z drugim człowiekiem.

I należy dążyć do rozwiązań twórczych i nietypowych, dokładnie tak, jak pani powiedziała, odważnych.

A czy nie jest tak, że w stresie wolimy rozwiązania stare, sprawdzone? Takie, które kiedyś działały w myśl zasady „lepsze jest wrogiem dobrego”?

Gdy jutro przyjdzie do mnie ten załamany przedsiębiorca, postaram się stworzyć mu przestrzeń. W moim gabinecie jest wiele okien, bo ten gabinet jest narzędziem terapeutycznym. Ten, kto tu wchodzi, zaczyna się rozglądać i dostrzega ładny, rozległy widok za oknami. Ma on spowodować, że ktoś poszerzy perspektywę, pomimo że w stresie pojawia się skłonność do jej zawężenia. W stanie recesji gospodarczej występuje regresja mentalna i emocjonalna i człowiek podlega skąpstwu poznawczemu, szuka tylko jednej drogi, jednego rozwiązania, jednego schematu, najczęściej stereotypowego. A tu ma możliwość otworzyć umysł twórczo. Nie wiem, czy pomogę mojemu gościowi, ale postaram się – korzystając z mojego doświadczenia – aby przetrwał ten trudny moment, zrobił jeden krok, a potem nastąpi jakiś zbieg okoliczności, bo w biznesie zawsze los odgrywa rolę. Można pomóc sobie w ten sposób, że dzisiaj nie popełnię seppuku, tylko poczekam do jutra.

Odroczenie wyroku to już jest coś. A pan – autorytet, wykładowca, osoba, która ma w małym palcu te wszystkie narzędzia, książki, które pan napisał, książki, które pan przeczytał – czy pan wpadł w pułapkę wąskiego myślenia podczas pandemii, pierwszego i drugiego lockdownu. Czy pan też wszedł w tę kolejnę?

W takie pułapki wpadłem na początku lat dziewięćdziesiątych.

W 2020 czy 2021 roku już nie?

Teraz przyjąłem rzeczywistość do wiadomości. Okazało się, że mam dwa strumienie przychodów. Jednym z nich są wystąpienia konferencyjne moje i moich partnerów. Przez ładnych parę lat stanowiły źródło solidnych zarobków. I to z dnia na dzień zostało utrącone. Drugim sposobem zarobkowania jest Akademia Psychologii Przywództwa. Rok w rok prowadzimy kurs oparty na dźwigniach, pracują tam wybitni psychologowie biznesu, a ja jestem w tej chwili bardziej aranżerem i daję markę. Prowadzę cztery, pięć wykładów, które przynoszą mojej firmie przychód taki jak dwadzieścia czy czterdzieści standardowych wystąpień. Z jednej strony wiedziałem, że muszę ściągnąć cugle, zredukować koszty działalności eventowej, konferencyjnej, bo z tego nie będzie teraz zysku. Oczywiście z czasem pojawi się przychód digitalny, ponieważ ruszy sprzedaż webinarów. Webinar kosztuje mniej wysiłku, ale też odbiorca płaci za niego mniej, więc zarobek w firmie jest mniejszy, bo wynagrodzenie za moje wystąpienie webinarowe jest około trzech razy niższe niż na żywo na konferencji. Z drugiej strony pracuję ze studia, praca mnie nie męczy, nie muszę podróżować, co też pozwala mi zachować więcej sił. Moim absolutnym priorytetem w pandemii stało się przetrwanie Akademii Psychologii Przywództwa. I tu pojawiła się trudność, ponieważ akademia opiera się na podobnych zasadach jak psychoterapia, po prostu musi się realizować w realu. Na szczęście tworzą ją wspaniali ludzie, z którymi współdziałam od kilkunastu lat. Udało im się, choć na wiosnę mieliśmy stu dwudziestu studentów, przestawić jednak na pracę w digitalu.

Pana przyjaciel, Robert Rutkowski, pracuje wyłącznie w realu.

Robert zajmuje się uzależnieniami. Tam sednem problemu jest atrofia woli – możliwe, że tego problemu nie da się le-

czyć zdalnie. Samopoznanie, samorefleksja, inspiracje, które są przedmiotem zarówno psychoterapii, jak i treningu, w akademii da się zrobić zdalnie. To się wydawało pawie niemożliwe, ale jednak, korzystając z Zooma, zaczęliśmy się spotykać, odwiedzać w pokojach, inscenizować różne sytuacje. Potem wspólnie je analizowaliśmy. Choć mieliśmy obawy i momenty zwątpienia, że trzeba będzie wszystko zawiesić, oddać kursantom pieniądze, to jednak „dowieźliśmy" ich do końca roku akademickiego. Potem we wrześniu pojawił się taki moment, że spotkaliśmy się ze studentami w realu – to była taka dogrywka. Po czym zaczęliśmy rekrutację na kolejny rok, nie mogąc obiecać, że poprowadzimy naukę w realu, raczej spodziewaliśmy się spotkań w rzeczywistości wirtualnej. I jednak znaleźliśmy chętnych osiemdziesięciu studentów, a to wystarczy, żeby akademia przetrwała. Przekonał ich argument, że wszyscy musimy się dziś uczyć przywództwa właśnie w takich warunkach, bo tak teraz wygląda życie na świecie. A jeżeli w marcu czy kwietniu wyjdziemy z lockdownu, to naukę stacjonarną będziemy kontynuowali nie w salach Szkoły Biznesu Politechniki Warszawskiej, tylko w dużym hotelu, gdzie będzie możliwość zachowania reżimu sanitarnego. Założymy maseczki, wstawimy urządzenia filtrujące powietrze, każdy z nas, trenerów, wykona test na obecność covid tuż przed zajęciami, a gdyby ktoś z nas zachorował, nawet ja, znajdą się godni następcy, którzy poprowadzą zajęcia. I tak długo będziemy robić webinaria, aż przyjdzie czas, że wszystko wróci do realu. Jeśli nie wiosną, jak zapowiadają, to latem; jeśli nie latem, to we wrześniu. Bardzo redukując wszelkie wydatki oraz przekierowując współpracowników w inne obszary, istotnie zmniejszyłem koszty utrzymania akademii i przy obecnej liczbie kursantów powinniśmy przetrwać.

Czy to przekierowanie oznacza zwolnienie z pracy?

Trzy z czterech osób znalazły pracę równie dobrą albo lepiej płatną niż u mnie, a jedna zdecydowała, że ten czas spędzi w domu z uwagi na dwójkę małych dzieci. Zredukowałem część biura powiązanego z organizacją konferencji, a część powiązaną z akademią doinwestowałem, żeby tu była motywacja, żeby przetrzymać. I na razie stan finansowy i perspektywy naszej firmy są takie, że do końca tej edycji na pewno przetrwamy, i to nie jako przegrani. Powstaje pytanie, jak się przygotować do kolejnej edycji, co zrobić, żeby podreperować budżet. W tym celu wróciłem do tego, czego nie robiłem już od kilku lat, przestałem być tylko architektem tego wszystkiego, i codziennie pracuję z ludźmi. Nagle architekt stał się budowniczym. Na szczęście los jest dla mnie łaskawy, prowadzę higieniczny tryb życia, geny mam dobre i dość energii, żeby dzień w dzień działać trochę tak jak te kilkanaście lat temu, kiedy każdego dnia też bezpośrednio pracowałem z klientami, a nie tylko byłem architektem i właścicielem.

Zmiany wymagają dojrzałości, gotowości i narzędzi, które mentor ma w małym palcu.

W jednym z rozdziałów mojej książki postuluję: integruj architekta z budowniczym. Budowniczy utyka w operacjach. Wizja architekta bez implementacji to halucynacja. Pojawia się kwestia, znów poprzez to „i”, jak integrować perspektywy i architekta, i budowniczego w organizacji.

Cytuję: „Nie zapominaj marzyć i urealniaj”.

Dokładnie tak. I znowu ma być i jedno, i drugie. Znów integracja, znów otwarty umysł, który scala pozorne przeciwieństwa.

A bierze pan, pod uwagę opcję, że czegoś w tym rysunku architektonicznym nie przewidział?

Ależ oczywiście. Profesor Krzysztof Obłój, autorytet w dziedzinie strategii biznesowych, którego co roku zapraszam do naszej Akademii Psychologii Przywództwa na wykład, mówi, że w świetle wszelkich badań i studiów jakiekolwiek predykcje na temat trendów w biznesie, trendów finansowych czy rynkowych dają 50 procent prawdopodobieństwa sukcesu. Najlepsza możliwa strategia daje 50 procent prawdopodobieństwa realizacji, więc to, co mówię, też daje 50 procent, a druga połowa to coś nieprzewidywalnego. To, co potrafię przewidzieć – i to już finał mojej książki, o której wciąż tu opowiadam, za co przepraszam – to to, że jedyną rzeczą, jakiej jako lider mogę być w dzisiejszych czasach pewny, jest stwierdzenie: nie wiem. I paradoksalnie dzięki temu staję się wiarygodny. Anders Tegnell, główny epidemiolog Szwecji, stwierdził jakiś czas temu, że ciągle wielu rzeczy o koronawirusie nie wiemy. I on jest bardziej wiarygodny niż politycy nieepidemiolodzy, którzy ogłaszają początek pandemii i koniec pandemii i wszystko wiedzą.

Tegnell przez wielu epidemiologów był odsądzany od czci i wiary, bo szwedzki model walki z pandemią przypominał formułę „maszeruj albo giń” albo „kto przeżyje, to przeżyje”. Szwecja nie miała twardego lockdownu.

Szwedzki epidemiolog być może się mylił, ale szczerze dzielił się tym, co wie i czego nie wie, przyznawał się do błędów. Zachował *integrity* i – paradoksalnie dzięki temu – swoją wiarygodność. Kluczowe dla mnie jest to, że daję sobie prawo wielu rzeczy nie wiedzieć, ale jedną rzecz wiem na pewno. Wiem, jakimi wartościami się kieruję. I ludzie, którzy ze mną pracują, też to wiedzą. I ludzie, z którymi

się rozstałem, też wiedzieli. I są mi wdzięczni i szanują mnie, i jesteśmy w kontakcie. Bo wśród tych wartości na pierwszym miejscu znajduje się odpowiedzialność, a na drugim szacunek.

Mówi pan o wartościach, a czy wśród towarzyszących panu emocji jest strach albo niepewność?

Ależ oczywiście. Mówię: witaj strachu, witaj niepewności. Te emocje są. Ale dzięki świadomemu oddychaniu, otwartości umysłu, poczuciu wsparcia w najbliższych, dobrych relacjach miłosnych i przyjacielskich mogę zadbać o jedno – żeby mój strach nie zamienił się w lęk. Czyli strach przyjmuję, ale nie pozwalam, aby stał się lękiem.

Gdzie przebiega granica między strachem a lękiem?

Różnica jest taka, że strach wiąże się z realnym zagrożeniem. Gdyby nagle mój kolega zajmujący się cybersecurity przysłał mi SMS-a, że w moim laptopie zainstalowano urządzenie, które za chwilę wywoła eksplozję, albo że panią prześwietlą, albo że mnie prześwietlą, to poczułbym strach przed realnym zagrożeniem. Ale gdyby tylko powiedział, że coś takiego może się zdarzyć, to byłyby lęki. Przyjmuję strach, jednak nie pozwalam mu zamienić się w lęk. Lęk to coś niespecyficznego. Gdyby tu wszedł niedźwiedź albo terrorysta, to się przestraszę, ale na szczęście wiem od antyterrorystów, jak się tym strachem nie kierować, żebym to ja go miał, a nie on mnie. Natomiast chodzi o to, żeby te emocje nie zamieniły się w lęk. Gdybym budził się z lęku o czwartej rano przez kilka dni, to zadzwoniłbym do doktora Michała Skalskiego, naszego nadwornego psychiatry, i poprosił go, żeby dał mi lekarstwo, które pozwoli mi przerwać błędne koło strachu. Być może wziąłbym wtedy xanax. Zmierzam do tego, że chciałbym

panować nad swoimi emocjami, a nie, żeby to one kierowały mną. To jest sedno sprawy także w pandemii.

Brzmi racjonalnie, gorzej u wielu z realizacją.

Chciałbym, żeby to jasno wybrzmiało. Pani mnie pyta, jak sobie radzę. Moje rady nie podpasują wszystkim. Bo przeczuwam, że ten *new normal* będzie taki, że umiejętności komandosów okażą się niezbędne wszystkim żołnierzom. Zresztą wiem, że wiele armii na świecie pracuje nad tym, aby przebudowywać swoje struktury w taki sposób, żeby składały się z wielokrotności oddziałów sił specjalnych. A nie działały jak regularne armie. Coś takiego czeka nas także w biznesie. Mamy się stać konstelacjami oddziałów sił specjalnych. Taki będzie *new normal*. Tego się teraz uczymy, jesteśmy na poligonie, który okazał się jednocześnie kawałkiem życia, bo niektóre pociski, które tu spadają, są realne. Bo niektórzy z nas giną przecież. Znajdujemy się w takiej sytuacji, że prawie codziennie ktoś z moich znajomych umiera.

Komandosi mówią, że trzeba wyrobić w sobie coś takiego jak „pamięć mięśniowa". Niezależnie od pory dnia i sytuacji – w kompletnie ciemnym pokoju potrafią załadować karabin, trafić w cel.

Dokładnie. Wypracowali to podczas tysięcy godzin treningu na poligonie, a potem w realu.

Tylko jak to ich doświadczenie przełożyć na naszą codzienność?

Mają za sobą mnóstwo godzin treningu, dlatego proponuję ich doświadczenie rozumieć metaforycznie. Nie proponuję światu czegoś nierealnego. Proponuję: zostać na resztę życia, jeśli przetrwasz, komandosem życia.

No właśnie. Mówi pan, że czeka nas przyszłość, w której powinniśmy mieć kompetencje komandosów, ale co to tak naprawdę oznacza dla człowieka, który wychodzi na ulicę, ma maseczkę, rękawiczki i w każdej chwili może zostać zakażony?

To oznacza, że nie rezygnuję z opcji samoświadomości i autorefleksji. To oznacza, że nie rezygnuję z opcji przytomności i roztropności. To oznacza, że nie rezygnuję z opcji odpowiadania na sytuacje, zamiast reagowania na nie. Im bardziej jestem zmęczony, zestresowany, niewyspany, tym większe niebezpieczeństwo, że będę reagował impulsywnie. I niepotrzebnie do czegoś lub do kogoś się zbliżę. Niepotrzebnie zrobię jakiś gest, niepotrzebnie włożę sobie w oko palec, który przedtem trzymałem na jakiejś poręczy, więc moja wskazówka brzmi – za wszelką cenę dbaj o dobry sen. Chirurdzy powiadają, że najlepiej skierować pacjenta nie do jakiegoś profesora czy docenta, tylko do tego lekarza, który jest wyspany. Dbajmy o to, żebyśmy się wysypiali. Bo wtedy będziemy bardziej przytomni. Będzie większa szansa, że będziemy pracowali roztropnie. Że będziemy odpowiadali na trudną sytuację, zamiast reagować impulsywnie. Banalne?

Wcale nie.

Ale jeszcze raz chcę podkreślić, że nie ogłaszam poppsychologicznej popnauki dla wszystkich, którzy mają przetrwać. Wspominam tylko jako ciekawostkę, jak działają elity, jak działają elitarne siły specjalne. Nie mam złotych rad dla wszystkich. Ubolewam. Nie mam. Gdybym takowe posiadał, to bym jak Jacek Walkiewicz pewnie notował pięć milionów wyświetleń. Moje wystąpienia mają dwadzieścia tysięcy wyświetleń. Nie mam wskazówek dla wszystkich. Szczerze, z pokorą informuję. Mam wskazówki dla elit i dla tych, którzy chcą nimi zostać.

Mamy nadzwyczajną sytuację, wiele osób porównuje ją – oczywiście przy zachowaniu wszelkich różnic – do wojny. Wtedy też żyli ludzie, którzy robili interesy, bogacili się. Nie mówię o szmalcownikach, tylko o tych potrafiących w sytuacji kryzysowej odnieść sukces. Czy widzi pan teraz obszar do zagospodarowania przez osobę, która ma ambicję zrobienia biznesu, a jednocześnie chciałaby kierować się szlachetnością i nie wykraczać poza własny dekalog?

Pojawia się pytanie, co znajduje się w tym dekalogu. Profesor Lena Kolarska-Bobińska, posłanka do Parlamentu Europejskiego, jako socjolożka zajmowała się stereotypami. Z jej badań, które przez kilkanaście lat prowadziła nad stereotypami w przedsiębiorczości, wynikało, że jeszcze dziesięć lat temu 85 procent Polaków uważało, że przedsiębiorcy to przewalacze. Co ciekawe, 45 procentom respondentów nie przeszkadzało jednocześnie odpowiedzieć twierdząco na pytanie, czy chcieliby, aby ich dziecko zostało przedsiębiorcą.

Literatura opisała taki przypadek w tak zwanej filozofii Kalego – jak Kalemu ukraść – źle, ale jak Kali ukraść – całkiem w porządku.

Jeżeli mój dekalog mówi, że przedsiębiorca to przewalacz, to tenże dekalog nie pozwoli mi być teraz przedsiębiorczym. Natomiast jeżeli dojdę do wniosku, że mogę dokonać takich inwestycji, w których pojawi się wspomniana magia „i”, dzięki którym zrobię coś rozsądnego i potrzebnego ludziom, dostarczę nowych rozwiązań higienicznych czy nowych rozwiązań kształtujących odporność, czy nowych rozwiązań monitorujących sen, żebym po obudzeniu o czwartej rano mógł dalej spać, to to wydaje się w porządku. Jeżeli dzięki temu zarobię godziwe pieniądze, a potem wymyślę dźwignię, dzięki której w moim imieniu

będzie działało sto osób, a ja zyskam nadwyżki, to potem będę mógł decydować, co z tymi nadwyżkami zrobię. Prawdopodobnie ktoś, kto jutro będzie chciał prowadzić biznes zgodnie z dekalogiem, weźmie też udział w jednym z niebywałych odkryć dotyczących kapitalizmu.

Kapitalizm w pandemii jest inny niż ten przed jej wybuchem?

To nie jest jedyny trend w biznesie, bo – jak mówiłem na początku – istnieje polaryzacja i pewne rozwiązania przedsiębiorców, kapitalistów się cofają, ulegają regresji. O tym dzisiaj nie mówimy. Natomiast generalnie rok przed covidem Amerykańska Rada Biznesu, taki Round Table, gdzie zasiada dwustu najwybitniejszych amerykańskich CEO, zorganizowała kilkudniową konferencję, na zakończenie której ogłosiła, że trendy w biznesie wskazują, że w najbliższej dekadzie tak zwany kapitalizm shareholders, kapitalizm właścicieli i akcjonariuszy, będzie się zmieniał w kapitalizm stakeholders. Co to znaczy? Że pracownicy, klienci, dostawcy i sąsiedzi staną się dużo ważniejsi w swoich potrzebach, prawach i wartościach. I nie znaczy to, że powstaną Turkusowe Kluby Przedsiębiorców Społecznych, w których właściciele pozbędą się wszystkiego, co zarobili, podzielą się tym z ludźmi, ale że ten podział, ta dystrybucja zarówno wkładów, jak i korzyści, będzie inaczej przebiegała. I na okładkach czołowych tygodników, choćby magazynu „Time”, pojawiły się przed covidem tytuły *Goodbye shakeholders capitalism*.

To wyglądało na mrzonkę.

A potem przyszedł covid i się okazało, że profesor Bill George z Harvardu, którego wypowiedzi pilnie śledzę – on się zajmuje autentycznym przywództwem, tak jak my tutaj w Polsce – latem 2020 roku opublikował badania, w których co roku ci sami top menadżerowie amerykańscy wpi-

sywali, jakie ryzyko widzą dla swojego biznesu i jaką rangę nadają poszczególnym zagrożeniom. Do wiosny 2020 roku gros tych zagrożeń było powiązanych z zasobami materialnymi, przepływami tych zasobów, zabezpieczeniem przed stratą, przed bankructwem, a w marcu i kwietniu 2020 roku prawie wszyscy najwyższy poziom ryzyka powiązali z zasobami ludzkimi – troską o zdrowie człowieka, jego morale, organizację jego pracy, w sytuacji gdy wszyscy zostali rozsiani po domach czy mieszkaniach zamienionych niespodziewanie na home office. Nagle się okazało, że człowiek stał się naprawdę ważny także dla kapitalisty.

Iluminacja, jakby powiedział ktoś złośliwy.

Również w badaniu przeprowadzonym przez firmę McKinsey wśród menadżerów wysokiego szczebla jasno widać, że szefowie skupili się na potrzebach swoich pracowników, odwiedzają ich w wirtualnej rzeczywistości przy użyciu odpowiednich programów komputerowych, choćby Zooma czy Slacka, „podróżując" w ten sposób między oddziałami swoich firm i prywatnymi mieszkaniami, aby być dla podwładnych – uwaga – marszandami nadziei. Już Napoleon głosił tę tezę, że prawdziwe przywództwo jest marszandem nadziei. Jeden z menadżerów biorących udział w badaniu zwrócił uwagę na jeszcze jeden ciekawy aspekt obecnej rzeczywistości. Zauważył, że ci, którzy do tej pory tworzyli tak zwane *to do list* – listy priorytetów do zrobienia danego dnia – zaczęli spisywać *to be list* – listy, gdzie będą i jak będą. Tak się to teraz zmienia. *New normal* oznacza kapitalizm, który będzie dysponował i *to do list*, i *to be list*, więc – wracając po długiej dygresji do pani pytania – jeżeli tak pojmiemy kapitalizm, to może ktoś przeanalizuje swój dekalog i zdecyduje się w zgodzie z nim lub

pomimo wszystko zostać przedsiębiorcą w nowej rzeczywistości.

Myśli pan, że *new normal* zostanie z nami już na zawsze?

Jestem realistą. Zdaję sobie sprawę, że natura ludzka jest taka, żeby tam, gdzie to możliwe, powrócić w pewnym sensie do starych nawyków, na stare śmieci. Niestety. Natomiast pozostaną pewne rozwiązania dotyczące sposobu pracy. Docenienia tego, jakie znaczenie mają kontakty społeczne. Trzeba było je stracić na taką skalę, żeby sobie uświadomić, jak są istotne. Na przykład istnieje coś, co w firmie określa się mianem aktywności fatycznej. W anglosaskiej literaturze korporacyjnej, w anegdotach, pojawia się tak zwany kawowy Joe. Ktoś, kto jeszcze pije kawę w biurowej kafejce, gdy koledzy od dawna siedzą już przy „exelach". Jeden z pracowników mówi do dyrektora: „Trzeba mu podarować T-shirt z napisem »Jestem kosztem«. Niech to będzie dla niego ostrzeżenie, że wkrótce się z nim rozstaniemy". I nagle się okazuje, że ten „kawowy Joe" ze swoimi nieformalnymi kontaktami oraz ta kafejka, kuchenka czy palarnia w biurze stają się czymś nieodzownym do budowania dobrych relacji międzyludzkich, które z kolei pomagają przy realizacji firmowych projektów.

Skoro tak, to muszę przyznać, że coraz bardziej tęsknię za figurą „kawowego Joe"…

Ja też. W tej chwili szuka się nowych technologii, które przy koniecznym oddzieleniu fizycznym pozwolą nam nie odczuwać oddzielenia społecznego. Takie programy jak choćby Zoom, z którego w tej chwili korzystamy, pozwalają pokazywać też kuluary. Webinary czy zdalne konferencje mają wartość dodaną, ponieważ pokazują nie tylko twarze ludzi, którzy się wypowiadają, ale również to, co

się dzieje w kuluarach. To, co można sobie półformalnie czy nieformalnie przekazać i pokazać zdalnie. I na pewno nie jest to strata czasu, bo te kuluarowe kontakty zaprocentują, gdy już wyjdziemy z rzeczywistości wirtualnej i znów spotkamy się w realnej. Antropolodzy nazwali to zjawisko aspektem aktywności fatycznej w pracy. Więc za jakiś czas wrócimy do starych przyzwyczajeń, ale pewne rzeczy z *new normal* zostaną z nami na dłużej.

Funkcja fatyczna istnieje także w języku, orientuje go na podtrzymanie kontaktu. Niezastąpione „co u ciebie", „jak mnie słychać", „halo"… Niby wata słowna, a jak tu bez niej żyć? Z punktu widzenia logiki komunikacji zbędna.

No właśnie.

Ale z drugiej strony urocza i taka budująca porozumienie. Czy jest coś, poza „kawowym Joe" rzecz jasna, za czym pan tęskni?

Tęsknię za „kawowym Joe", tęsknię za kafejkami na Saskiej Kępie, z którymi każdego dnia wiązały się pewne rytuały. Rano, gdy szedłem pobiegać, wpadałem wypić kawę, żeby podnieść ciśnienie. Jak wracałem po bieganiu, lubiłem wejść po kanapkę, żeby trochę białka dorzucić. Teraz mogę dostać coś przez szybę na wynos, ale to nie to samo, bo przecież przez maskę nie da się jeść czy pić… Jakiś czas temu na jednej z kawiarenek pojawił się plakat. Dostrzegłem go, gdy przed siódmą rano biegłem do parku. Było tam napisane: „Jedno latte, proszę. Za wszelką cenę. Bo oszaleję". I tak to wisiało na tej kawiarni przez kilka dni. Nikt tego nie zrywał, wszyscy to rozumieli. Czyli pojawiła się empatia. Tęsknię za rozmaitymi spotkaniami w różnych sytuacjach. Niby jestem introwertykiem. Jak mam odpocząć, jak gdzieś tam sobie biegam codziennie, zawsze wolę sam niż z kimś, w domu też istnieje taka kameralność introwertywna. Dobrze się czuję, przemawiając

na scenie, ale po wystąpieniu zawsze największym wyzwaniem było dla mnie to, że prezes i zarząd prosili mnie na jakąś kolację, a ja już chciałem się wycofać. Chciałem iść do siebie. Gdy ta cała pandemia się skończy, w życiu już się nie wycofam z tego typu imprezy, pójdę na każdą kolację. Aż czuję wzruszenie. Okazuje się, że u człowieka głodzonego fizycznie i u tego pozbawionego kontaktu z innymi ludźmi zostają pobudzone te same struktury w mózgu, a one znajdują się blisko ośrodka bólu, i jeżeli są dłużej pobudzane, to uruchamiają procesy immunologiczne i zaczynamy chorować. Po prostu jesteśmy głodomorami kontaktu społecznego. Dzisiaj to już na pewno wiadomo. Jest to i zbadane, i doświadczane. Więc ja też nim jestem i tęsknię za kafejkami, w których mogłem się spotkać z tymi, z którymi zawsze się spotykałem, gdy szedłem biegać do parku. Teraz tylko się mijamy na ścieżkach. Ale biegamy o tej samej porze, żeby chociaż zobaczyć się z daleka. To także rodzaj tęsknoty.

A gdy to wszystko się skończy, to czy zostanie w nas taka czułość dla drobnych rzeczy, których wcześniej nie dostrzegaliśmy?

Ona ma szansę zostać. Jestem realistą. Nie idealizuję nas, ludzi, ani naszej natury. Żeby zmiana została wprowadzona, musi być tak zwany basen przyciągania. Atraktor zmiany i basen przyciągania. Jeżeli robię postanowienie noworoczne, że nie będzie codziennie piwa lub wina z żółtym serem i telewizją, to mogę sobie to głęboko postanowić, mogę nawet kanapę, telewizor i lodówkę jakoś przestawić, wynieść coś do drugiego pokoju, ale wytrzymam w tym postanowieniu najwyżej do Trzech Króli i stare nawyki wrócą. Bo będę zbyt zmęczony, żeby sięgnąć po coś innego niż wino i ser, albo przyjdzie miły sąsiad i z tej oka-

zji sięgnę po to wino i ser. Chyba że tego samego wieczoru, kiedy odreagowuję w ten sposób, zorientuję się, że ktoś z mojego sąsiedztwa właśnie wychodzi pospacerować czy pobiegać, albo akurat wyprowadza psa, i mogę się dołączyć. Powstanie nowy rytuał, że o tej porze wychodzę i w ramach tego rytuału z kimś gdzieś podążam i coś robię. To się właśnie nazywa basenem przyciągania. Jeżeli zamienię stary nawyk na basen przyciągania, to basen się utrwali. Więc jeżeli stworzymy takie zwyczaje, w których wspomniana przez panią czułość będzie się mogła objawiać, manifestować i materializować, to ona zostanie. Jeżeli tych basenów przyciągania nie stworzymy, to czułość nie zostanie. Dlatego w naszej Akademii Przywództwa liderzy uczą się, jak sprzyjać powstawaniu takich basenów przyciągania. Na pewno jednym z basenów przyciągania stanie się rytuał „kawowego Joe”.

ANDRZEJ SEWERYN

AKTOR, REŻYSER, DYREKTOR TEATRU POLSKIEGO W WARSZAWIE

ANDRZEJ SEWERYN: Może opowiem, co się działo w teatrze przez te… właściwie to już rok…

JOANNA RACEWICZ: **No właśnie, jak to jest stanąć na scenie przed pustą widownią i czekać na moment, kiedy wreszcie będzie można szeroko otworzyć drzwi i zaprosić publiczność do teatru? Jakie uczucia temu towarzyszą? Oczekiwanie? Bezsilność? Rezygnacja? Tyle miesięcy teatralnej posuchy… Jak to jest nie móc zagrać Szekspirowskiego Leara, Molierowskiego Arnolfa albo Beckettowskiego Hamma?**

Wie pani, moja sytuacja nie jest reprezentatywna dla środowiska aktorskiego.

Dlaczego?

Jestem dyrektorem Teatru Polskiego, mam etat, intensywnie pracuję w filmie. Natomiast wynagrodzenia aktorów występujących tylko na deskach teatru nie pozwalają bezstresowo żyć im i ich rodzinom, przyszłość nie jawi się w różowych barwach. Zresztą nie myślę tylko o aktorach mojego zespołu, ale o wszystkich ludziach teatru, w tym o tych, którzy nie pracują na etatach i od wielu, wielu miesięcy znajdują się w bardzo trudnej sytuacji. To charakteryzatorki, reżyserzy, scenografowie, oświetleniowcy, kompozytorzy, autorzy kostiumów, choreografowie itd. Ogromna grupa ludzi. W tej sytuacji nie mam prawa narzekać, że teraz mój potencjał aktorski czy dyrektorski nie został w pełni wykorzystany.

A zakłada pan jako dyrektor, że pewnego dnia może stanąć przed koniecznością powiedzenia komuś, że nie ma dla niego

miejsca, przestrzeni, pieniędzy i szans? Że trzeba ciąć koszty w teatrze?

Właśnie w tych dniach wraz z dyrektorem Januszem Majcherkiem i dyrektorem Markiem Szyjko skierowaliśmy list do zespołu Teatru Polskiego, w którym zobowiązujemy się do najdalej posuniętej walki o obronę stanowisk pracy, o obronę etatów.

Słowa, słowa, słowa. Usiłowanie nie gwarantuje sukcesu.

To moja odpowiedź na pani pytanie, a znaczy ona właśnie tyle, że zrobimy, co w ludzkiej mocy, żeby obronić teatr. Czy nasze siły wystarczą, to już inna kwestia.

Myśli pan, że podcinanie skrzydeł kulturze, w tym zamykanie teatrów, można było rozegrać inaczej?

Ma pani na myśli moment, kiedy wszystkie sceny zostały zamknięte bodaj 12 marca zeszłego roku?

Jestem ciekawa, co pan zapisał w swoim „main Kampf" pod tą datą?

Przerwane próby *M.G*. Po kilku tygodniach podjąłem decyzję, żeby jak najszybciej wypuścić nasz zespół techniczny, administracyjny i aktorski na urlopy, żeby ich średnia urlopowa nie była obciążona dwoma, trzema miesiącami bez pracy. Niektórzy z nas sądzili, że ten koszmar potrwa chwilę, że się wyciszy, uspokoi, że wirus odpuści albo świat wymyśli sposób, żeby wrócić w stare, dobrze znane koleiny. Pamiętam strach, niepokój, ale też wielką nadzieję, że to chwilowe. O, naiwności… Chciałaby pani zobaczyć mój kalendarz? (Andrzej Seweryn pokazuje zeszyt pełen skreśleń). Oto obraz, który, jak to się mówi, znaczy więcej niż tysiąc słów. Krecha za krechą, spektakle, spotkania, o, tu próba skreślona. Wszystko poszło do kosza. Wszystko. Gruby marker albo szybki ruch długopisem…

Ach… Uświadomiła mi pani właśnie, że kiedyś to będzie moja pamiątka po tym niesamowitym czasie. Żyję już tyle lat, pamiętam wiele, ale żadnej sytuacji, która jak taran przeszłaby przez cały świat. Przez biednych i bogatych. Walec równy, „demokratyczny”, bezlitosny i bezwzględny… Teatr na tym tracił, kino na tym traciło, rodzina… Jednocześnie wielu bogatych jeszcze bardziej się wzbogaciło. Ponure żniwo, straszny czas. To właśnie pandemia.

Tak. Ten zeszyt robi niesamowite wrażenie.

Sam w tej chwili spojrzałem na te notatki, jakbym nie był ich autorem. Ale wróćmy do pani pytania. Zgubiłem się.

Pytałam o pusty teatr. Teatr, w którym nie ma życia.

Podstawowym problemem w tej chwili nie jest problem naszego pragnienia obecności na scenie, duchowego dialogu z publicznością itd. To w obecnych czasach w pewnym sensie luksus. Dziś chodzi o przetrwanie. Moim podstawowym zadaniem jako dyrektora teatru stało się zapewnienie pracownikom Teatru Polskiego środków do życia. Jak to robić, kiedy nie gramy?

Szekspirowskie „oto jest pytanie”…

Przede wszystkim, jeśli to możliwe, nie należy przerywać pracy, a więc prób, po to, aby po ponownym otwarciu teatrów dla publiczności być gotowym do nowych premier. W Polskim w czasie pandemii przygotowaliśmy trzy premiery! Pokazaliśmy publiczności tylko jedną. Były to *Trzy wysokie kobiety* Edwarda Albeego na Scenie Kameralnej.

Potem zrobiliście on-line premierę *Baby-Dziwo* Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej w reżyserii Ewy Domańskiej – to sztuka o dyktatorce Validzie Vranie, która bierze naród za mordę, a naród poddaje się bez szemrania, bo zniewolenie wcale nie jest takie złe… To komentarz do otaczającej nas rzeczywistości?

Przedstawienie wzbudziło duże zainteresowanie. Mieliśmy ponad tysiąc sześćset wejść, co oznacza nawet sześć tysięcy widzów. Scenicznej premiery *Baby-Dziwo*, która miała się odbyć w połowie stycznia, jak wiadomo, nie było, bo teatry wciąż zamknięte. Nie jest nam dany los galerii sztuki czy galerii handlowych.

Brzmi jak żal…

To nie żal, to smutna konstatacja.

A co z planowaną na luty premierą *M.G.* Pawła Demirskiego w reżyserii Moniki Strzępki?

Spektakl inspirowany postacią pani Magdy Gessler miał mieć premierę 19 grudnia, potem 5 lutego, ale wiemy, że się nie odbędzie, i w związku z tym najprawdopodobniej znów zrobimy premierę on-line dla wąskiego grona widzów, po to, żeby skończyć pracę i być gotowym do premiery w realu, kiedy teatry zostaną otwarte dla publiczności. Generalnie rzecz biorąc, już od marca robimy to, co robią wszystkie teatry.

Czyli?

Kombinujemy. Ćwiczymy, próbujemy i gramy on-line. Reżyserowane przeze mnie *Śluby panieńskie* były wiosną 2020 roku jedną z pierwszych prób odnalezienia się w nowej rzeczywistości w polskim teatrze. Prowadziłem próby i nagranie ze świetlicy na wsi, gdzie wtedy przebywałem. Sołtys dał mi do niej klucze, bo tam łapałem lepszy Internet niż w domu, ale za to strasznie tam marzłem.

Warunki polowe. Umie już pan pracować w takiej przedziwnej sytuacji, gdy nie widzi się całej sceny i wszystkich aktorów, tylko zarysy postaci w kafelkach na małym ekranie?

To, przy całej swojej ułomności i trudnościach, okazało się wspaniałym doświadczeniem. Dla mnie, dla zespołu, dla

nas wszystkich. Dla pana sołtysa też. Stęskniliśmy się za sobą, za pozorami normalności, nawet za takim kontaktem, który realizuje założenia reżimu sanitarnego. Byliśmy przekonani, że widz tego potrzebuje. Nas potrzebuje. Kontaktu z nami, ze sztuką i właśnie z taką sztuką. Stąd wybór tekstu starego, mądrego Fredry, tekstu, który przenosi do świata, który już nie istnieje i którego teraz szczególnie brakuje. Oczywiście pojawiły się kłopoty techniczne: czy się połączę z Internetem, czy się nie połączę, czy dźwięk będzie wystarczająco dobry itp. Na ekranie widziałem aktorów, którzy grali scenę… powiedzmy Klara z Anielą. Obie wiedziały, że mają patrzeć do góry, ale po wejściu Pani Dobrójskiej powinny spojrzeć w dół, żeby widz nie odczuł, że sześć osób gra ze sobą, choć ich obok siebie nie ma.

Gdzie byli wtedy aktorzy?

W swoich domach.

To niebywałe.

Tak. W swoich domach. Nie pamiętam daty, choć raczej w tych sprawach jestem skrupulatny…

To było 21 kwietnia 2020 roku. Miesiąc po teatralnym lockdownie.

To jedno z pierwszych przedstawień, taka inicjatywa serca. Performatywne czytanie ponadczasowej komedii romantycznej, w której nie ma covidowych zagrożeń. Potem sięgaliśmy do naszych archiwów. A są one dość bogate. Od początku mojej dyrekcji, od ponad dziesięciu lat, nagrywamy wszystkie spektakle, wydarzenia, „Salony Poezji”, spektakle z cyklu „Czytamy w Polskim”. Mamy nagranego *Króla Leara*, *Guliwera*, *Pinokia*, *Irydiona*. Cały czas staram się, żeby każdy aktor wszedł, jak to się mówi, „na scenę”,

czyli zagrał on-line przynajmniej dwa razy w miesiącu. Nie jest to łatwe z punktu widzenia organizacji pracy, logistyki. Łapię się na tym, że w covidzie myślę bardziej jak strażak gaszący pożar, a nie jak artysta kreujący teatr. W chwili, kiedy rozmawiamy, nagrywamy program na 29 stycznia, związany z rocznicą inauguracji Teatru Polskiego.

Dwudziestego dziewiątego stycznia 1913 roku Arnold Szyfman pokazał *Irydiona* Zygmunta Krasińskiego.

A u nas od dekady 29 stycznia, w rocznicę otwarcia Teatru Polskiego, ma miejsce premiera. Tym razem w sto ósmą rocznicę powstania teatru zorganizowaliśmy wieczór poświęcony Arnoldowi Szyfmanowi. Zaczyna się układanka i taniec na linie: co zrobić, żeby każdy z aktorów w naszym zespole choć raz zaistniał, choć raz wszedł na scenę.

Potem w „Salonie Poezji" pokażemy teksty Sławomira Mrożka z cyklu „Czekoladki dla prezesa". To przy okazji matematyka, bo zespół liczy trzydzieści dwie osoby, więc sześćdziesiąt cztery nagrania muszą zostać skompilowane i zmontowane, trzeba dodać muzykę, napisy itd., a robią to dwie – trzy osoby. To bardzo ciężka praca. Nazywamy to Salonami Poezji, ale nie zawsze jest poezja, czasem na przykład Mrożek czy różne sztuki teatralne, których w innych warunkach byśmy być może nie pokazali, ale naszym obowiązkiem jest przypominanie bogactwa literatury polskiej. Choćby *Wilki w nocy* Tadeusza Rittnera. Dzisiaj tej sztuki prawdopodobnie już by się nie zagrało, może za jakiś czas, ten język jest zupełnie niezwykły. Zostawmy to.

A skąd się wzięły Sewernocki?

To był pomysł mojej żony, Kasi. Nagrałem około siedemdziesięciu wieczorów i puszczałem to o dziewiętnastej, w porze, w której kiedyś nadawano *Dobranockę* dla dzieci.

W zamyśle to miały być bajki dla dzieci. Okazało się jednak, że i dorośli chętnie słuchali. Widzi pani, tak mam, że lubię i cenię niezwykle teksty ponadczasowe, utwory klasyczne, więc wybierałem Brzechwę, Tuwima, księdza Twardowskiego i Andersena. Któregoś dnia zadzwonili do mnie przyjaciele i powiedzieli: „To najspokojniejsze pięć minut w ciągu dnia, bo wtedy dzieci cię słuchają, a my możemy odpocząć". To wielki komplement. *Sewernocki* były moją odpowiedzią na pandemię wiosną 2020 roku, gdy wszyscy siedzieliśmy pozamykani w czterech ścianach, ulice opustoszały i nigdzie nie wolno było wychodzić.

Zdjęcia wyludnionych ulic staną się znakiem rozpoznawczym tamtego czasu. Przeniesienie życia w sferę on-line też. W sieci zaroiło się wtedy od wirtualnych spotkań, rozmów, live'ów, od czytających wiersze i bajki. Sama to robiłam, z ogromną zresztą przyjemnością, z grupą fantastycznych ludzi „skrzykniętych" przez Joasię Koroniewską pod szyldem Instanocka… Swoje motywacje znam, chcę spytać o pańskie. Czy to tęsknota za sceną, czy potrzeba zapełnienia pustki, ciszy?

O ego chodziło w najmniejszym stopniu. Muszę przyznać, że nagrywanie *Sewernocek* to była ciężka robota. Znaleźć teksty, nagrać je, wysłać Internetem z wioski, gdzie nie było zasięgu. Ech… Śmieszne, ale żeby się udało, musiałem stawać przy domu wójta, pod oknem jego gabinetu, bo tam łapałem najlepszy zasięg.

Był taki moment, kiedy sieć w ogóle osłabła, bo wszyscy siedzieliśmy w necie, to była jedyna szansa na kontakt z drugim człowiekiem.

Otóż to. Działalność on-line w Teatrze Polskim stała się odpowiedzią na zapotrzebowanie społeczne. Tak to się nazywa i nie ma co się tego wstydzić lub o tym milczeć.

W telewizji publicznej mówią na to misja.

Wolałbym nie powtarzać niczego za telewizją zwaną publiczną, ponieważ to nie moja telewizja. Ich język nie jest moim językiem. Proszę mnie o to nie pytać, nie chcę się brzydko wyrażać.

Szkoda, ale skoro pan nalega…

Nalegam. Ta praca była również związana z sytuacją aktorów, z ich sytuacją finansową, z faktem, że nie grają, krótko mówiąc, że nie dostają pieniędzy za przedstawienia. Jako dyrektor zamieniłem się w buchaltera i strażnika stojącego na straży status quo w zespole.

Bezsilność? Złość? A może lekcja pokory?

Ma Pani rację, przede wszystkim lekcja pokory. No i bezsilność. Oczywiście. Nie oceniam decyzji władz w sprawie pandemii. Nie jestem wirusologiem, strategiem ani specem od zarządzania kryzysem. Wszyscy znaleźliśmy się w nowej, nieznanej dotąd sytuacji. Oczywiście, jeśli premier mówi, że już się skończyło, bo chodzi o frekwencję w wyborach, to czuję się poirytowany, bo to szyte grubymi nićmi. Mówię o decyzjach typu zamykanie restauracji, teatrów, siłowni, szkół. Nie znam się na tym. Ale jeżeli epidemiolodzy mówią: włóż maskę, nie wychodź z domu, to wolę posłuchać naukowca. Bardziej niż polityka. Często myślę o Francji, którą trochę znam, tam sytuacja ludzi naszego zawodu jest jeszcze tragiczniejsza.

Tam nie ma etatowych teatrów.

Prócz Comédie Française. Tam wszyscy ludzie mojego fachu znaleźli się na bezrobociu!

I ludzie sceny zaczęli szukać innych zajęć. Słyszał pan takie historie? Ktoś zakłada restaurację z daniami na wynos, ktoś zajmuje się dowozem, ktoś jest kurierem. Jako żywo przypomina

to sceny ze stanu wojennego, choć wtedy brak pracy wynikał z innych powodów, jak pan świetnie pamięta. Ale wtedy aktorzy też zajmowali się czymś, co było obce ich profesji. Taki sposób na przeżycie, chwytanie się brzytwy.

Tak, odnoszę wrażenie graniczące z pewnością, że świat, a więc my, byliśmy na początku zeszłego roku, przed pandemią, głęboko przekonani, że jutro będzie albo lepsze albo przynajmniej takie samo jak dziś. Tak się jednak nie stało. Świat, natura, ludzie zgotowali coś, co nas zaskoczyło i co nam uzmysłowiło, że jesteśmy jedną wioską. Że to, co się dzieje na przykład w Nowej Zelandii, może za dwa tygodnie wpłynąć w sposób niezwykle dramatyczny na mnie oddalonego o tysiące kilometrów od Wellington. Zastanawiam się, skąd się wtedy brała w nas bezczelna myśl, że nie ma powodu, żeby się przygotować na gorsze. I się nie przygotowaliśmy.

Co uśpiło czujność?

Nasza naiwność. A ta naiwność została uśpiona błyskotkami kapitalizmu. Błyskotkami, że jesteśmy tacy wspaniali, latamy w kosmos, mamy superszybkie samochody, nowe fantastyczne adidasy, fajne rowery, bajery, w pół godziny można się dostać do Portugalii, a może nawet na Księżyc… Można kupić dom na drugim końcu świata i tylko pieniądz stanowi ograniczenie. A właściwie też nie, bo istnieją banki, kredyty i inne rozwiązania. Zachłysnęliśmy się wszystko-mocą. A do tego to głupie myślenie, że wszystko takie tanie, na wyciągnięcie ręki, dostępne dla każdego, ach, jak miło żyć w takim świecie. I jeszcze mamy dobre restauracje w Warszawie, koncerty gwiazd jak w Albert Hall, premiery dokładnie wtedy, kiedy w Hollywood, ot, globalna wioska. Oczywiście miliony z nas żyją z tego, co zarobią. Po prostu. I jak to się mówi, trzymają ledwie do pierw-

szego. Nie zrobili zapasów i teraz są w dramatycznej sytuacji. Nie zaoszczędzili na czarną godzinę. Nie mieli takiej opcji. To zrozumiałe i należy się im pomoc. Ze strony państwa lub organizacji społecznych. Ale czy ci, co mogli się przygotować, zrobili to?

To prawda. Chociaż lepiej nie używać argumentów z gatunku „było się ubezpieczać", bo to potrafi się ciągnąć za człowiekiem latami.

Chodzi mi o postawę duchową całego świata, o przekonanie, że gorzej być nie może, bo jesteśmy genialni, bośmy stworzyli przepiękny świat, samochody są elektryczne i nawet można nimi nie kierować, bo same jeżdżą… A tu nagle wybucha pożar w Australii…

Nie lubi pan takich „snów o potędze"?

Coś nam umknęło. Przeoczyliśmy wiele sytuacji, gdy świat wołał o ratunek, gdy nas ostrzegał. Płonęły lasy Amazonii, busz w Australii, wody Morza Śródziemnego zalewały Wenecję, Ziemia tonęła i tonie pod zwałami śmieci, giną gatunki zwierząt, a my co? Nic! A przecież jest napisane: „Nie znasz dnia ani godziny". Nasz byt jest niepewny, wszystko się może zdarzyć. Ale myśmy uważali to za coś teoretycznego.

Gdyby na początku zeszłego roku usłyszał pan, że świat struchleje ze strachu, że na ulicę będzie można wyjść tylko w maseczce, że przestaną latać samoloty, a pana kalendarz zostanie tak pokreślony, to pewnie by pan nie uwierzył.

Śmiałbym się z tej osoby. Spytałbym ją: „Jak to sobie wyobrażasz? Z jakiego powodu świat miałby się zatrzymać?". Ona na to: „To wirus". Odpowiedziałbym jej: „Nie wygłupiaj się. Skoro gdzieś tam szaleje wirus, to trzeba go tam opanować". Jak wielu byłem głupcem i naiwniakiem.

Kiedy przyszła myśl, że może być inaczej?

Raczej wcześniej niż później. Już w marcu mówiłem, że przez rok nie będziemy pracować normalnie. Słyszałem wtedy o zamykaniu oper w Niemczech do pierwszego stycznia. Jak się okazało, pierwszy stycznia nie wystarczył. Mówiłem, że on-line to będzie długotrwałe zjawisko w teatrach na całym świecie. I że w tej sytuacji należy korzystać z komunikacji on-line! Rozwijać naszą wyobraźnię. W innym przypadku on-line stanie się nudny, płaski, jednowymiarowy, bez polotu. Dziś miliony osób działają on-line. Dlatego nieustannie namawiam aktorów do eksperymentów czyniących obrazy bardziej atrakcyjnymi. Przy pomocy naszych rąk, światła, stroju, zmieniającego się głosu, charakteryzacji, tła. To możliwość znalezienia innego „ja" aktorskiego. Trzeba z tego korzystać, a nie narzekać.

Tylko jak grać do małej internetowej kamerki? Jak grać, kiedy nie ma tej reakcji zwrotnej, nie widać twarzy, nie słychać oddechu widowni? Ma pan doświadczenie grania w spektaklu z zamkniętymi oczami – w *Końcówce* Samuela Becketta w reżyserii Antoniego Libery – ale ileż można ich nie otwierać?

Tak, tak. Tylko, że nie chciałbym się wypowiadać jak… młoda taka… jest takie słowo, którego mi w tej chwili brakuje…

Pensjonarka?

Trochę tak, ale jeszcze taka, co to się wzrusza…

Egzaltowana pensjonarka?

Otóż to. Jak młoda egzaltowana aktorka lub aktor. „Boże. Jak mi brakowało widza, jak cierpiałam (lub cierpiałem)!". „Wiesz co, kochana (czy kochany) – to ćwicz dykcję przez ten czas, czytaj i chodź na spacer. Pracuj nad mięśniami, pracuj nad głosem. Doświadczaj. Ucz się na pamięć mono-

logów, Szekspirów, Gogoli, przygotowuj monodramy, wyjdź z pandemii z trzema spektaklami, przestań opowiadać banialuki o cierpieniu, o egzaltacji, bo nie ma widza". Wszyscy mamy pod górkę, ale z tego powinno coś wynikać, a nie tylko skarżenie się. Brak nam tego, co jest naszą codziennością. Ale przecież wiemy, jakie są tego powody! W sierpniu brałem udział w koncercie muzyki Ryszarda Straussa i Andrzeja Twardowskiego, w Filharmonii Narodowej w Warszawie, dyrygował maestro Andrzej Boreyko. Koncert majowy został anulowany z powodu pandemii. W sierpniu filharmonia się otwiera. Gram rolę Narratora. Wchodzę na estradę z maestro, siadam i… nie jestem przyzwyczajony, że widownia jest oświetlona. Naturalnie nie raz brałem już udział w koncertach, więc wiem o tym, to mnie nie zaskakuje, no ale nagle wyraźnie zdaję sobie z tego sprawę, ponieważ w filharmonii jest ponad tysiąc miejsc, a ja widzę tylko około czterdziestu osób na sali, a na drugim koncercie nie więcej niż sześćdziesiąt osób. Zamaskowanych! Nie wiedziałem, czy oni tam spali, czy się cieszyli, czy złościli na wykonawców, czy słuchali muzyki. Dzięki Bogu, na zakończenie oklaskiwali nas, ale owacje kilkudziesięciu słuchaczy to coś szczególnego, no cóż… to było nowe doświadczenie. W pewnym sensie to historyczne wydarzenie w filharmonii.

Te koncerty można było też obejrzeć na platformie streamingowej filharmonii, tam widownia okazała się liczniejsza.

To prawda, natomiast ja miałem tę niezaprzeczalną przyjemność ułomnego, to prawda, ale jednak prawdziwego kontaktu z rzeczywistym, będącym tu i teraz, widzem. Słyszałem brawa, był śmiech, więc robiło się ciepło na sercu. Tak… ten obraz zapamiętam na zawsze. Obraz i mieszane uczucia.

Wcale się nie dziwię. Czy pana myśli wędrują do tego szczęśliwego momentu, kiedy usłyszymy, że rzeczywiście pokonaliśmy wirusa, mamy problem z głowy, wszystko minęło? Czy pan wybiega tak daleko w przyszłość?

Jeśli pani to proponuje, to chętnie pobiegnę z radością w przyszłość. Ale zanim to zrobię, to jeszcze słówko o artystach. Dotąd mówiłem tylko o teatrze, ale nie zapominajmy o muzykach, tych, którzy żyją wyłącznie z koncertów, nie mają etatów, o tysiącach osób organizujących występy artystów wszelkiego rodzaju! Te rzesze ludzi są bez pracy! A przyszłość?! To nie będzie tak, że pewnego dnia powiemy: mamy początek stycznia 2022 roku i wszystko wróciło do normy, sale znów są pełne.

Nie wierzy pan w „stoliczku, nakryj się”?

W ogóle nie wierzę w zaklęcia. Myślę, że może w kwietniu, jeżeli nadejdzie trzecia fala, to wreszcie zacznie wygasać. W maju część społeczeństwa zostanie już uzbrojona. Część. Maleńka. Bo przecież dobrze wiemy, że aby wszyscy chętni zostali zaszczepieni, potrzeba czasu i środków. I wtedy zaczną się otwierać sale koncertowe i teatralne. Ale nie na sto procent. To będzie musiało odbywać się stopniowo. Ciągle będziemy w pandemii. Czyli będzie dopuszczalne dwadzieścia pięć, no może 50 procent widowni. W takich warunkach nie zagramy naszego wielkiego repertuaru: *Króla*, *Króla Leara*, *Guliwera*, *Dziadów* czy *Borysa Godunowa*. Teatr Polski był, jest i będzie miejscem takich produkcji. I temu ma służyć. Jeśli nie w Polskim, to gdzie widz ma obejrzeć takie spektakle? Pieniądze, które są tutaj inwestowane przez Ministerstwo Kultury czy Urząd Marszałkowski, służą finansowaniu wielkich produkcji. Ale na razie nie będziemy ich grać. Na początku widz obejrzy przedstawienia na Scenie Kameralnej.

Dlaczego tak? Już wyjaśniam. Nawet przy pełnej sali, przy sali wypełnionej do ostatniego miejsca, do każdego przedstawienia *Dziadów* musimy dopłacać trzydzieści tysięcy złotych. Skąd mamy je wziąć? W 2019 roku zarobiliśmy na biletach, wynajmach, programach, gadżetach, na wszystkim, co się da, cztery i pół miliona złotych. W pandemicznym roku 2020 niecałe półtora miliona. Straty gigantyczne, ponad trzy miliony złotych. Są tego konsekwencje. Dlatego teatr otworzy się bardzo powoli. Teatr będzie gotów. My będziemy gotowi, ale czy widz także?

Czarnowidztwo? Sądzi pan, że nie będzie wielkiego pospolitego ruszenia na teatry?

Moim zdaniem nie. Część widzów oczywiście do nas przybiegnie, bo są spragnieni teatru w sposób wręcz fizyczny. To młodzi widzowie. W grudniu byłem na zamkniętej premierze przedstawienia w teatrze Polonia.

***Aleja zasłużonych* Jarosława Mikołajewskiego w reżyserii Krystyny Jandy.**

Tak. Ona tam gra, Olgierd Łukaszewicz, Emilia Krakowska, Dorota Landowska, Grzegorz Warchoł. Piękne przedstawienie. Kilka minut po rozpoczęcie spektaklu nachyliłem się do żony i powiedziałem: „Kasiu, teatr to najpiękniejsza sztuka na świecie”. Ale nie wszyscy tak myślą. Czasami to tzw. kulturalny obowiązek. Wie pani, z „kulturalnego obowiązku” można się wypisać na dwa lata. Ale jeżeli z „kulturalnego obowiązku” wypisujesz się na tak długi czas po to, żeby wrócić w trzecim roku do teatru, musisz dokonać pewnego wysiłku. Pewnej pracy. Nie wszyscy będą mieli na to ochotę.

Szykuje się wyzwanie dla tych, którzy układają repertuar. Na pana dyrektorski nos – co wtedy będzie potrzebą widzów? Kla-

syka czy współczesność? Komedia czy dramat? Szekspir czy Twardoch?

W marcu rok temu gadaliśmy o tym z Januszem Majcherkiem. Pandemia zmieniła świat, gospodarkę, podróżowanie, robienie zakupów, wszystko. Natomiast na naszym podwórku, moim zdaniem, nie zmieniła niczego. Wręcz przeciwnie. To, w czym od roku bierzemy udział, dobitnie pokazało, że trzeba grać teksty tak zwane zasadnicze. Podstawowe.

Czyli?

Greków. Nieznanych. Przecież nie mamy o nich pojęcia. To, że ktoś gdzieś wystawił *Antygonę*, nie oznacza, że znamy Greków. Tam są teksty uniwersalne w czasie i przestrzeni. Niezwykłe. Szekspira – tak. Swoją drogą, kiedy oglądam atak ludu amerykańskiego na Kapitol, to myślę, że te sceny zostały opisane w *Henryku IV* i postać Trumpa też… Więc trzeba grać teksty podstawowe. Mamy służyć społeczeństwu, powinniśmy dać mu możliwość poznania tych tekstów, tych pomników teatralnych najważniejszych w historii światowej dramaturgii. Oczywiście nie jesteśmy obojętni na polską rzeczywistość. Pojawiają się wspaniałe sztuki współczesne, ale zdarza się to nieczęsto. W związku z tym proszę nas nie zmuszać do grania średnich sztuk, skoro mamy możliwość grania sztuk genialnych. A komedie? Kiedy mówię „Szekspir”, to nie mam na myśli tylko *Ryszarda III* czy *Makbeta*. Szekspir napisał też genialne komedie. Trzeba je grać. Grecy zresztą to nie tylko Sofokles, Eurypides i Ajschylos. To również Arystofanes, mądry Arystofanes. Podobnie jak Molier. Będziemy grać Moliera.

Co pan pomyślał, kiedy pierwszy raz usłyszał słowo covid. Pamięta pan ten moment?

To było gdzieś pod koniec grudnia 2019 roku. Co pomyślałem? Że to daleka sprawa, jakiś dziwny wirus, który „straszy” w Chinach i pewnie tam zostanie.

Zdmuchnął pan zagrożenie jak pyłek z marynarki?

Niestety. Dziś jesteśmy mądrzejsi o to niezwykłe doświadczenie, wiemy, że COVID-19 był w Europie znacznie wcześniej niż powszechna wiedza o nim. Że ludzie chorowali już we wrześniu 2019 roku. Tak, wtedy byłem pewien, że to nic groźnego.

A pierwszy strach? Pierwszy raz, kiedy ścierpła skóra? To pytanie o emocje.

Tak, tak.

Kiedy pan zrozumiał, że to nie jest coś, co można odłożyć ad acta i uznać, że dalekie Chiny, daleki Wuhan, odległy targ i równie nierealne nietoperze?

W momencie, kiedy została ogłoszona pandemia, gdy zamknięto teatry i wyjechałem na wieś. Odizolowałem się i zdalnie kierowałem teatrem, co było zresztą zaleceniem Urzędu Marszałkowskiego i Ministerstwa Kultury. To było schronienie, próba oddalenia się od niebezpieczeństwa.

I wtedy wydarzyły się *Śluby panieńskie*.

Tak. Wtedy je reżyserowałem.

To wróćmy jeszcze raz do tej chwili z dystansu – co to za doświadczenie siedzieć w tej zimnej świetlicy i „robić teatr” na odległość?

To było fantastyczne!

Fantastyczne, naprawdę?

Oczywiście. Wróćmy do tamtych okoliczności. Wszystko pozamykane. Nic się nie dzieje. Pustka, beznadzieja, trochę radośniejszych myśli, że może to na krótko, ale

wszystko podlane sosem chłodnego przeświadczenia, że trzeba się będzie nauczyć żyć po nowemu, że zaczyna się nowy rozdział i nikt nie wie, jaki będzie finał. Niby resztką sił wierzymy w happy end, a przecież rozsądek mówi, że wszystko może się zdarzyć. Pomieszanie z poplątaniem.

Na zewnątrz wyludnione ulice, sceny, jak z filmu *Jestem legendą* z Willem Smithem.

Otóż to. To była filmowa wersja Nowego Jorku po apokalipsie, a teraz to się naprawdę działo. Na pewno widziała pani puste ulice Nowego Jorku, a ja widziałem również puste ulice Paryża. Tak puste ulice stolicy Francji nie były nigdy. Nigdy! Kiedy w przeszłości w Paryżu szalały pożary czy zaraza, nie było takiej izolacji jak teraz. Więc gdy pracowaliśmy nad *Ślubami panieńskimi,* mieliśmy przekonanie, że to, co robimy, ma sens również dlatego, że zostanie jakiś zapis tej chwili… Pamięć ludzka jest ulotna… A w tym naszym graniu wtedy? Było coś z walki przeciwko losowi, z walki przeciwko pandemii. Było przekonanie, że mimo wszystko możemy coś dać widzowi, że nasi aktorzy mogą pracować, zarobić pieniądze. Poza tym wybór sztuki też nie był przypadkowy. Wydawało mi się, że w tym trudnym czasie uśmiech to coś, co warto zaproponować widzowi. No i te przeciwności losu, kamera nagle się wyłącza. Internet nie działa. Jest zimno. Kochana żona przynosi mi zupę. Montaż był robiony na dystans, w Warszawie. To bardzo trudne. Musiałem to sprawdzać, poprawiać. Wszystko miało taki epicki, „bohaterski” charakter. To była walka z materią, ale widziałem radość aktorów. I kiedy powtarzałem po raz piąty, żeby coś poprawili, zagrali inaczej, włożyli w to więcej uczucia, to moje uwagi spotykały się ze zdumiewającym zrozumieniem. Panowała atmo-

sfera skupienia, święta, czegoś bardzo ważnego. Niezwykłego.

Czas był inny. Wyjątkowy.

To prawda. Aktorzy byli gotowi na wiele, byle działać w grupie, pracować, dawać siebie.

Jak pandemia zmieniła teatr?

Na razie zmieniła w ten sposób, że nie ma teatru dla widzów. Praca na próbach odbywała się cały czas w maskach, ale w pewnym momencie trzeba je zdjąć, bo w maskach nie będziemy przecież potem grali. Od listopada w czasie prób do *M.G.* zorganizowaliśmy cotygodniowe testy. Ta praca była czasami przerywana, musiała być chaotyczna z powodu obecności COVID-19 wśród nas.

Ile osób zachorowało na covid, pamięta pan? Ilu pracowników Polskiego zgłosiło zwolnienie lekarskie?

Wśród aktorów to kilka osób. Najgorzej było teraz w czasie tego ostatniego ataku podczas prób *M.G*. Wcześniej przy pracy nad *Trzema wysokimi kobietami* i *Babą-Dziwo* chyba nikt nie chorował. Za to w niektórych produkcjach filmowych straszne rzeczy się działy. Ja sam jako aktor nie miałem prób w okresie pandemii. Nie mogę powiedzieć, że w oczach partnera widziałem strach, który uniemożliwiał nam pracę.

Piękna scena fabularna by z tego była.

To prawda. Próby w teatrze w czasie pandemii nie są łatwe. Wszyscy uważają, żeby się nie zarazić, energia aktorska jest inna, ludzie rozmawiają o pandemii bez przerwy, myślą o przyszłości, o swych dzieciach, rodzicach, relacje fizyczne między aktorami są inne, relacje z dziećmi też. Wiemy bowiem, że one mogą być siewcami, nosicielami

wirusa. Dzieci, które tulimy z miłości, stają się niebezpieczeństwem.

Świat wywrócił się do góry nogami. Zwykle wyganiałam syna sprzed komputera, ale nagle się okazało, że komputer to jedyne okno na świat, jedyny sposób, żeby pogadał z kolegą, nawet jeśli pretekstem będzie gra. Przed chwilką byliśmy uczniami młodego człowieka, który nam obojgu instalował platformę do komunikacji. Zamieniliśmy się rolami z młodszym pokoleniem. Dla nich świat cyfrowy stał się oczywistością. Dla „starszaków" – niekoniecznie.

Oczywiście, oczywiście… Odwiedziliśmy ostatnio przyjaciół. Ich córka tańczy hip-hop i właśnie wyjechała na obóz sportowy, taneczny. Pytam: „Co to ten hip-hop?". Pokazali, na czym to polega, byłem zachwycony. Znałem ten rodzaj tańca z przerw w meczach koszykówki w NBA. Nie wiedziałem, że tak się nazywa. Okazało się, że polska młodzież jest w tym jedną z najlepszych na świecie.

Świat się zmienia, hip-hop jeszcze nie, ale breakdance będzie dyscypliną olimpijską w 2024 roku.

No proszę. Zobaczyłem, jak te dzieciaki fenomenalnie tańczą, funkcjonują. I zdałem sobie sprawę z tego, że to, co robią, to przywilej wyłącznie ich wieku. Pewne gesty, pozycje są możliwe do wykonania wyłącznie dzięki temu, że ich ciała są mniejsze od naszych, dorosłych. Za dziesięć lat tego nie zatańczą. Patrząc na nich, zrozumiałem, że aby z nimi rozmawiać, aby zapraszać ich do teatru, trzeba to o nich wiedzieć. Na szczęście jestem otwarty na młodych. Bardzo dobrze mi zrobiło poznanie tych cudownych młodych ludzi, ich pasji. I dlatego nie chcę czynić im wyrzutów, że nie chodzą do Polskiego. Zaproponowałem, aby wpadli do nas po treningu.

Zmierzając do klamry. Myśli pan, że bierzemy udział w rodzaju eksperymentu społecznego, po którym będziemy poturbowani, ale mądrzejsi?

Rok temu mówiłem, że pandemia nie zmieni człowieka, że każdy będzie chciał szybciej, więcej, dalej, wyżej. Ale może się myliłem? W każdym razie zmian w ludziach nie dostrzegam… Na razie… Mimo że doświadczamy czegoś…

Czegoś granicznego?

Weźmy przedmioty wokół nas. Przecież połowa z nich okazuje się bezużyteczna, należy się ich pozbyć, a w ogóle nie powinny zostać wyprodukowane. Powstały, ponieważ stworzono w nas potrzebę tych rzeczy, głód ich posiadania, po to tylko, żeby je sprzedać. Więc może ludzie zaczną odrzucać to, co zbędne, bez czego można żyć równie ciekawie. Ale czy do tego potrzebna jest pandemia? W przemyśle natomiast na pewno coś się zmieni. Już się zmieniło. Świat bez Internetu jest dziś niewyobrażalny. I stąd paradoksalnie wielka przyszłość teatru. Mimo mojego sceptycyzmu na temat tempa powrotu do teatru jestem głęboko przekonany, że człowiek będzie miał potrzebę kontaktu z drugim człowiekiem nie tylko w knajpie. Nie tylko na disco. Również w sali teatralnej. Tyle tylko, że to nie stanie się z dnia na dzień jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki…

Wyobrażam sobie taką scenę: ludzie stoją w blokach startowych przed teatrami i przed galeriami handlowymi. Nagle dowiadują się, że mogą zdjąć maseczki, nie zdezynfekować rąk i nie utrzymywać dystansu. Co zrobią? Czy ruszą ławą po materię, czy może jednak poszukają bliskości z drugim człowiekiem? Może zrozumieją taką prostą prawdę, że kontakt twarzą w twarz jest cenniejszy niż cokolwiek innego, co jest nam dane.

Oby miała pani rację. Myślę, że ludzie rzucą się na restauracje, kawiarnie, bankiety, imprezy, koncerty pod gołym niebem itd., a potem powoli też wrócą, mam nadzieję, do teatru. Do tej sztuki. Do mojej ukochanej sztuki.

TOMASZ SOBIERAJSKI

SOCJOLOG, WYKŁADOWCA UNIWERSYTECKI

JOANNA RACEWICZ: Tomku, czy twoim zdaniem w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy świat stał się lepszy, uważniejszy, ostrożniejszy, wrażliwszy i czulszy na małe rzeczy? Odrobiliśmy pracę domową z covidu?

TOMASZ SOBIERAJSKI: To jest bardzo dobre pytanie i bardzo się cieszę, że zaczynasz od czułości. Pamiętasz moment, kiedy mniej więcej rok temu, w grudniu 2019 roku, pani Olga Tokarczuk mówiła tak pięknie o czułości, o empatii, o wspólnocie, o zrozumieniu?

„Czułość jest tą najskromniejszą odmianą miłości". Poruszająca mowa noblowska.

Tak. Wszyscy miło do tego podchodzili, byli poruszeni, ale odniosłem wrażenie, że kompletnie nie rozumieli, co noblistka miała na myśli. Mówiła o tym, jak bardzo jesteśmy zsieciowani. Jak jedna rzecz, która gdzieś jest uruchamiana, decyzja, która zostaje gdzieś podjęta, rozprzestrzenia się i ma wpływ na cały świat. Mówiła o tym w przepiękny sposób, ale mam wrażenie, że my wtedy nic, ale to kompletnie nic z tego nie zrozumieliśmy. I teraz, gdy zadajesz mi to pytanie, rok po przemowie noblowskiej pani Olgi Tokarczuk i po tym, co ostatnio przeszliśmy jako globalna wioska, to widać wyraźnie, jak czymś niewiarygodnym była ta wypowiedź. Ta wspaniała kobieta o wielkiej przenikliwości i przepięknym umyśle podała nam na tacy elementarz wspólnej, globalnej, pokojowej egzystencji, z którego wciąż niewiele się nauczyliśmy.

Pamiętasz ten fragment? „Od jakiegoś momentu w swoim życiu zaczynamy widzieć świat we fragmentach, wszystko osobno,

w kawałkach odległych od siebie niczym galaktyki, a rzeczywistość, w jakiej żyjemy w tym nas upewnia: lekarze leczą nas według specjalności, podatki nie mają związku z odśnieżaniem drogi, którą jeździmy do pracy, obiad nijak się ma do wielkich ferm hodowlanych, a nowa bluzka do obskurnych fabryk gdzieś w Azji. Wszystko jest od siebie oddzielone, żyje osobno, bez związku". Dalej było jeszcze: „Świat umiera, a my nawet tego nie zauważamy". Był 7 grudnia 2019 roku, koronawirus wydawał się dziwną opowieścią z odległej krainy znanej tylko nielicznym.

Dziś te słowa brzmią jak proroctwo. Pani Olga Tokarczuk mówiła nie tylko o tym, jak bardzo jesteśmy od siebie uzależnieni – co pokazała pandemia – ale zwracała uwagę na ważne miejsce czułości, empatii w naszym życiu. Zwróciła również uwagę na „ja", które ona sama nazywa „ja europejskim", czyli poczucie – tak bardzo charakterystyczne dla mieszkańców bogatej Północy – że poza mną nic nie istnieje i nic mnie nie obchodzi. Na taką naszą postawę ma wpływ neoliberalna perspektywa, w której liczy się moja wolność, dążenie do wysokiego poziomu dobrostanu kosztem bliźnich. Na to nakładają się wszelkie pseudopsychologiczne teorie nawołujące nas do tego, żeby zajrzeć w głąb siebie, odnaleźć swoje wewnętrzne dziecko. Myśleć tylko o sobie, spełniać swoje marzenia bez oglądania się na innych. Aż tu nagle w pandemii musieliśmy zrozumieć, że dookoła znajduje się mnóstwo osób, i to, co robimy, oddziałuje nie tylko na najbliższych, ale nawet na tych, których spotykamy w sklepie, mijamy na ulicy – a których często nawet nie zauważamy.

To, że masz maseczkę na twarzy, stanowi element twojej odpowiedzialności za drugiego człowieka, nie tylko za siebie. Pamiętasz ogólnonarodową dyskusję maseczka versus wolność? Porównania do kagańca, rozważania o skuteczności… Nawet leka-

rze twierdzili, że maska ich nie ochroni. Ale przecież nie ich miała chronić, tylko tych, których leczyli czy operowali. To było trudne do pojęcia…

Jeśli miałbym podsumować ostatnie dwanaście miesięcy ze społecznego punktu widzenia, to powiedziałbym, że była to przyspieszona, bardzo bolesna, kosztowna lekcja wspólnotowości. Wcześniej dominowało „ja", natomiast teraz zrozumieliśmy, że istnieje wspólnota – „my". Znajduje to wyraz w badaniach, szczególnie wśród młodych, którzy dopiero wkraczają w dorosłe życie. Naukowcy z Uniwersytetu Harvarda wykazali, że gdy takie osoby myślą o zdrowiu, to rozumieją je w kontekście wspólnotowym. Ich rodzice natomiast postrzegają je na zasadzie „ja choruję, to moja sprawa". A młodzi mają świadomość, że jeśli zachorują, to z tego powodu może zachorować także mnóstwo osób wokół nich. W związku z tym ich choroba nie jest już tylko ich sprawą. To sprawa całej społeczności. I to jest niesamowita zmiana.

To kolejny dowód, że odwracają się pokoleniowe role. Nasze dzieci stają się mistrzami, edukatorami dla starszych. Tak jest w przypadku nowych technologii, tak jest w sferze odpowiedzialności i świadomości. Czy się mylę?

To kwestia perspektywy. Z punktu widzenia starszych pokoleń wszystko powinno być podporządkowane nam. Młodzi wchodzą z perspektywą wspólnotową w dorosłe życie. Nam jest trudniej, bo musimy „złamać" swoje kręgosłupy. Wiemy, co było, co straciliśmy. Gdy zapytasz, o czym marzą dorośli ludzie, to odpowiedzą, że o tym, żeby było tak jak dawniej. Albo żeby było normalnie. Kategoria normalności jest bardzo abstrakcyjna. No bo co to znaczy normalnie? Teraz też jest normalnie. To inny rodzaj normalności. Myślenie o tym, żeby było tak jak dawniej, jest zgub-

ne. Tym bardziej, że analitycy zgadzają się co do tego, że wszystko będzie inaczej. A z jakiego powodu? Z takiego, że nie ma żadnej dziedziny naszego życia, ale to żadnej, której by nie dotknęła pandemia. W dobry czy zły sposób, ale dotknęła każdego elementu naszej egzystencji – na poziomie społecznym, ekonomicznym czy psychologicznym. Każdego.

Każdy potrafi bez większego kłopotu znaleźć ten „zły dotyk" pandemii. Jesteś w stanie pokazać dobre strony koronawirusa?

To bardzo podchwytliwe pytanie, bo czasami – jak sama wiesz – dobre rzeczy są pokłosiem tych złych, które się wydarzyły. Nieoczekiwana, niewygodna dla nas zmiana zmusza nas do innowacyjności. Ten element innowacyjności to jest to, na co bardzo zwraca się teraz uwagę – nagle zostaliśmy zmuszeni do tego, żeby pobudzić wyobraźnię. Rodzice, którzy zostawali z dziećmi w domu, musieli się wykazać kreatywnością, żeby zorganizować im czas i nie zwariować. Ludzie, którzy stracili pracę, musieli wymyślić, jak zarabiać na życie w nowy sposób. Trzeba było opracować nowe sposoby dostarczania rozrywki, spotykania się, działania. Wiem, że sporo osób zwraca – obok innowacyjności – również uwagę na to, że mamy więcej czasu, że zyskało środowisko, bo tyle nie podróżujemy… To akurat mniej do mnie przemawia…

Nie zachwyciły cię zdjęcia delfinów, które wróciły do Canal Grande w Wenecji? Nie poruszyły kangury, które wyszły na ulice w Sydney, a dawno ich tam nie widziano?

To było cudowne przez moment. Można było wyczuć, że planeta po prostu odetchnęła z ulgą. Ale tak bardzo zniszczyliśmy nasz dom, że to, że samoloty nie latają przez chwilę, bo to tylko chwila jednak, niewiele pomoże. Musimy zrobić dużo więcej. Podobnie ma się sprawa z czasem

dla rodziny. Co z tego, że mamy dużo czasu dla bliskich, jeśli w ogóle nie potrafimy z niego skorzystać. Najbardziej zachwyca mnie wspólnotowość, czyli świadomość, że w wielu przypadkach sami jednak nie damy rady, musimy się na kimś oprzeć lub zacząć współpracować. „Ja" możemy schować do kieszeni i przestawić się na „my".

To może być lekcja. Szczególnie wtedy, gdy – przekonani o samowystarczalności – nie umiemy prosić o wsparcie, a wyciągnięcie ręki konotuje się jako słabość, a nie wspólnotowość.

Ta zależność nie powinna nas boleć, tylko powinniśmy z niej korzystać. Podobała mi się potrzeba kontaktu z innymi ludźmi, spotykania z nimi, nawet wirtualnego. To było bardzo ważne. Zachwyciło mnie także niesamowicie coś, co nazywam nawet nie współpracą, tylko hiperwspółpracą. To, co obserwujemy na przykład przy opracowaniu szczepionek. Nikt się nie spodziewał, że zostaną wynalezione tak szybko i w tak wielu krajach. Stało się to możliwe właśnie dzięki hiperwspółpracy koncernów, instytucji i organizacji, które połączyły siły, zaufały sobie. Różni ludzie, firmy, laboratoria, przemysł farmaceutyczny, firmy dystrybucyjne, naukowcy, eksperci – wszyscy zjednoczyli się po to, żeby współpracować. To, co wcześniej wydawało się niemożliwe, nagle stało się realne. Moim zdaniem ta hiperwspółpraca zostanie i mam nadzieję, że przeniesie się też w inne rejony naszego życia po to, żeby pewne dobre dla nas rzeczy działy się dużo szybciej.

A jeśli to nadmierny optymizm?

Uwielbiam być optymistą! Mam świadomość tego, że świat nie zmieni się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ale te przykłady hiperwspółpracy pokazują innym, że warto, że dzięki temu można zyskać więcej i zrobić więcej dobrego dla innych ludzi i dla planety. Mądrzy

to zrozumieją, a głupi… no cóż… oni nawet często nie zauważają, że jest jakiś świat poza nimi samymi.

Chciałabym jeszcze wrócić do wspomnianej przez ciebie Olgi Tokarczuk i jej przemowy noblowskiej z czułością w roli głównej. Zatopiłam się w lekturze jej *Czułego narratora* i przypomniał mi się fragment opisujący indianadżonsyzm, tak to – przepraszam – sprzymiotnikuję, czyli taki przypadek naszego traktowania świata, w którym nie ma szacunku dla odmienności. Trochę jak z filmów o Indiana Jonesie. Niby jesteśmy wrażliwymi podróżnikami, ale gdy wkraczamy w obcy świat, nie mówimy w języku tubylców, nie szanujemy ich zwyczajów. Obserwujemy ich jak zza szyby w autokarze i idziemy dalej. I też brakuje czułości. Czy sądzisz, że lekcja, którą właśnie odbieramy, może to zmienić?

Tu będę jednak realistą, a nie optymistą. Moim zdaniem rozdźwięk pomiędzy bogatą Północą i biednym Południem będzie coraz większy.

Tak jak teraz w Stanach Zjednoczonych? Tak jak po przegranej Trumpa i po wszystkim, co widzieliśmy potem na Kapitolu?

Pojawiają się głosy, że nową normalność trzeba wykorzystać do przebudowania świata, jak chociażby do tego, żeby poradzić sobie z katastrofalną biedą panującą w niektórych regionach świata. Ale w to akurat trudno mi uwierzyć. Mam poczucie, że bogata Północ będzie chciała sobie odbić z nawiązką te dwanaście miesięcy ograniczonej konsumpcji.

Kosztem Południa?

Oczywiście! Bo to wyzysk Południa utrzymuje Północ, w tym nas, Polaków, w dobrobycie. Nie bądźmy hipokrytami, Południe nas, ludzi Zachodu, w ogóle nie obchodzi. Każdy z nas może zrobić sobie ćwiczenie i zapytać siebie,

co wie na temat przebiegu COVID-19 w Afryce albo w Azji. W Tajlandii czy w Indonezji, do których tyle osób lata na wakacje. Nie wiemy nic! Nie mamy zielonego pojęcia. Bo nas to kompletnie nie interesuje. Zajmujemy się tylko sobą tutaj. I o ile wspólnotowość może zadziałać w naszej północnej części świata, o tyle będzie bardzo trudno wciągnąć w krąg tych działań Południe. Tym bardziej, że wiele towarów stanie się reglamentowanych – począwszy od szczepionek, poprzez pracę, skończywszy na dobrach czysto materialnych.

W Stanach po zamieszkach po śmierci George'a Floyda, a potem po przegranej Trumpa w wyborach, przez wszystkie przypadki odmienia się zdanie: „Ameryka jeszcze nigdy nie była tak pęknięta". Ponura wróżba dla świata…

Po pierwsze, podziały społeczne to nic nowego. Na tym bazują teorie konfliktu. Od zawsze po dwóch stronach barykady stali bogaci i biedni, ci z miast i ci ze wsi, wykształceni i niewykształceni. Te podziały możemy mnożyć, bo chyba żaden inny gatunek nie jest w stanie tak deprecjonować swoich przedstawicieli jak człowiek. Po drugie, wracając do twojego pytania o Amerykę… To są krokodyle łzy, które świetnie się sprzedają w mediach. Podgrzewają resentymenty i strach. A tymczasem trzeba było być społecznie ślepym i głuchym, żeby nie dostrzegać, że Stany Zjednoczone są podzielone murami nie do przeskoczenia. Dla mnie, człowieka z do niedawna spokojnego kraju europejskiego, w którym społeczeństwo jest homogeniczne i w dużej mierze równościowe, nie do pomyślenia było, żeby tak segregować ludzi, jak ma to miejsce właśnie w USA. Walka podjazdowa o dominację trwa tam cały czas na różnych polach i ma miejsce codziennie. Ten kraj jest bardzo różnorodny, ale amerykański sen spełnia ci się, je-

śli jesteś młody, zdolny, zdrowy, wykształcony, biały i bogaty. W każdym innym przypadku masz… przerąbane. Jesteśmy bardzo przywiązani do plemion. Przez wiele lat pozwalały nam przeżyć. Jak się okazuje, myślenie plemienne obecnie jedynie nas ogranicza. To, co daje nam przewagę, to współpraca, o której mówiłem wcześniej. W jednej z moich książek profesor Zygmunt Bauman powiedział, że przeskok z plemienia do globalnej wspólnoty wymaga ogromnego wysiłku. A nie wszyscy są na to gotowi.

Rozumiesz mechanizm, który powodował, że z jednej strony ludzie klaskali medykom na balkonach, a z drugiej nie pozwalali swoim pociechom bawić się z dziećmi pielęgniarek i lekarzy na podwórku?

Rozumiem. Ludzie są bardzo różni. W codziennym życiu otaczamy się podobnymi do nas – wyznającymi podobne wartości, mającymi podobne wykształcenie, podobny status materialny. Tak jest po prostu dużo łatwiej. Pragniemy, żeby nasze życie było w miarę przyjemne, dlatego wiążemy się i układamy sobie relacje romantyczne oraz przyjacielskie z takimi jak my. I z tego powodu tracimy czujność i zapominamy, że ludzie bardzo różnie myślą. Jako socjolog mogę i mam obowiązek rozumieć tych, którzy klaskali, jak i tych, którzy się bali – bo te obskuranckie zachowania wobec lekarzy czy pielęgniarek z tej samej klatki schodowej wynikały ze strachu. Ci, którzy klaskali, mogli się poczuć tacy fajni i odsądzali od czci i wiary tych, którzy tego nie robili. Ale może w innej sytuacji tych klaszczących też kiedyś dopadnie strach. I zareagują irracjonalnie. I ktoś inny będzie klaskał, wyśmiewał się z nich i ich potępiał.

Chcesz powiedzieć, że klaskali ci, którzy nie mieszkali w pobliżu lekarzy i pielęgniarek?

Też tak mogło być.

I mogli sobie pozwolić na swobodę w wyrażaniu tego typu emocji. A twój strach? Przestraszyłeś się koronawirusa?

Raczej się go nie bałem. Jestem bardzo odpowiedzialnym człowiekiem, więc jeśli powiedziano mi, że mam trzymać dystans, nosić maseczkę i siedzieć w domu, to oczywiście tak robiłem, ale nie wynikało to z panicznego strachu, tylko z troski o osoby starsze – to był strach o kogoś, a nie o siebie. Bałem się o bliskich, o studentów, o panie w moim osiedlowym sklepie. O osoby, które nie mogły zostać w domu, musiały pracować po to, żebyśmy mogli w miarę normalnie funkcjonować. Moment lekkiej paniki przeżyłem jesienią 2020 roku. Zacząłem chłonąć bardzo dużo informacji z mediów, także na temat szczepionek. Pojawiła się bezsenność, skurcze serca. Musiałem powiedzieć: dość! To nie był strach wywołany koronawirusem jako takim, tylko medialną ustawką, która poprzez strach uzależnia ludzi od siebie, wstrzykując przy okazji marketingowe środki znieczulające skłaniające nas do zakupu tysiąca niepotrzebnych rzeczy.

Skoro mówimy o odpowiedzialności, rozumieniu różnych reakcji, dawkowaniu informacji – czy te sensacyjne, rozpowszechniane w drugim i trzecim obiegu przekazy, że trzeba strzec się szczepionki, bo Bill Gates wszczepi nam chip w głowę i będziemy wszyscy sterowani przez tego „szaleńca z Redmond", wydają ci się szalone?

Moje zadanie polega na tym, żeby starać się zrozumieć ludzi, którzy tak myślą. Szczepionkami i ich postrzeganiem ze społecznego punktu widzenia zajmuję się już od ponad dekady. Istnieje grupa oszołomów, którzy publikują okropne rzeczy, jak choćby mem, który porównywał osoby stojące w kolejce, żeby zapisać się na szczepienia, do osób, które czekały na wejście do komór gazowych.

Ktoś to wrzucił do sieci z okazji rocznicy oswobodzenia obozu Auschwitz-Birkenau.

Takie rzeczy powinny być bezwzględnie ścigane i karane. To niedopuszczalne. Jako potomek rodziny, która już w kolejnym pokoleniu leczy rany po okrucieństwach nazizmu, nie jestem w stanie zrozumieć takiego rodzaju głupoty. Wracając jednak do postaw wobec szczepień… Są osoby, których nie da się przekonać. Trudno. Natomiast istnieje bardzo duża grupa ludzi, którzy wprawdzie nie czują się przekonani, ale nie są „nieprzekonywalni”. Nie mają wiedzy i z tego powodu się boją. Boimy się tego, czego nie znamy. Wokół szczepionek przeciwko SARS-CoV-2 narosło mnóstwo mitów. Z tego powodu nieustannie prowadzę akcję edukacyjną, starając się wytłumaczyć ludziom, że szczepionki ratują życie, a nie je zabierają. Przyznaję, że czasem teorie spiskowe, które narosły wokół szczepionek covidowych, mnie obezwładniają. Ale tylko na chwilę. Potem biorę głęboki wdech i tłumaczę. Ostatnio ukułem nawet takie słowo, które najlepiej określa to, kim jestem. Edukowiec. Powstało przypadkiem w rozmowie na temat objaśniania świata przez naukowców. Z jednej strony jestem naukowcem, a z drugiej edukatorem. Staram się objaśniać świat w sposób zrozumiały dla innych. Zależy mi na tym, żeby się z kimś skomunikować, a nie mu zakomunikować, co jest grzechem powszechnym w świecie naukowym.

Minął rok od pojawienia się koronawirusa w Europie, rocznica zdiagnozowania pierwszego „pacjenta zero” w Polsce. Jak patrzysz na ten „serial”, w którym bierzemy udział – dzielisz go na odcinki? Sezony?

To jest pytanie, czy patrzymy na świat, czy patrzymy na Polskę. Jeśli patrzę na świat, mam na myśli świat zachod-

ni, bo w nim jesteśmy zakotwiczeni, to w tym serialu są głównie dłużyzny. Natomiast jeśli patrzymy na Polskę, to rzeczywiście James Bond wysiada. Przy czym scenarzyści Bonda są profesjonalistami. I nawet jeśli zakręcą fabułę do granic możliwości, to i tak ostatecznie bezpiecznie poprowadzą widza do szczęśliwego końca. Tymczasem nasi scenarzyści wagarowali na warsztatach pisania. I z tego powodu mieszają im się wszystkie gatunki. Mieliśmy horror, kiedy na wiosnę zamknięto wszystko, potem melodramat w okolicach kampanii prezydenckiej. W wakacje uraczyli nas mdłym kinem familijnym, na jesieni zafundowali dramat w stylu nowej fali, a zimą tragikomedię pomyłek. Co jeszcze nas czeka? Kłopot polega na tym, że z tego filmu nie możemy się wypisać. Powiedzieć: dziękuję bardzo, wyłączyć komputer czy telewizor, zrezygnować z roli i wyjść. Jesteśmy aktorami w kiepskim filmie, którego scenariusz powstaje na kolanie, a reżyser ciągle próbuje nam wmówić, że to, co złe, to nie on, tylko jego asystent.

Zmęczenie właśnie sprawia, że aktorzy, których opisujesz, pokazują scenarzystom środkowy palec i postanawiają otwierać restauracje, hotele, kluby fitness nazywać kościołami zdrowego ciała albo na przykład uruchamiać gastronomię pod pretekstem organizowania kursów prawidłowego jedzenia nożem i widelcem. „Narodowe nieposłuszeństwo” zaczęło się 18 stycznia 2021 roku, jak tylko skończyły się przedłużone ogólnokrajowe ferie, w imię totalnego zmęczenia scenariuszem, o którym przed chwilą opowiedziałeś. I z potrzeby ratowania bytu, który nie był dostatecznie wspomagany kolejnymi tarczami.

Jeśli zostaniemy przy metaforze scenariusza, to dobrze wiesz, że w pewnym momencie, kiedy kompletnie pogubimy się w fabule i nie będziemy w stanie udźwignąć naszej roli, to albo przerzucimy się do innego filmu (co w tym wy-

padku może oznaczać emigrację), albo stworzymy własną rzeczywistość. Obecnie wydarzenia są właśnie taką historią obok, tworzenie własnego scenariusza w sytuacji, w której osoby odpowiedzialne za to, żeby zadbać o mnie, o moje życie, o mój dobrostan i o to, jak moje życie ma wyglądać, tego nie robią. W takiej sytuacji ja sam muszę sobie pisać scenariusz. Czasami bardzo ryzykując. I tak właśnie teraz dzieje się w Polsce.

Jeden film, dwie narracje? Alternatywne wersje zdarzeń? Intrygujące, ale w świecie realnym piekielnie ryzykowne…

I niesłychanie niszczące. Dla wszystkich. Straciliśmy zaufanie do reżysera, wykpiwamy scenarzystów. I nawet jeśli oni się zmienią, to jeszcze bardzo długo nie zaufamy tym, którzy przyjdą po nich. Nawet jeśli będą superspecjalistami w swojej dziedzinie.

To film z czarnymi charakterami? Czy z konfliktem szekspirowskim?

Nazwanie polityków czarnymi charakterami byłoby dla nich ogromnym komplementem, ponieważ czarne charaktery to są zazwyczaj bardzo utalentowane postaci. Przebiegłe i niesamowicie inteligentne. A tego niestety nie można powiedzieć o naszych politykach. I nie mam tutaj na myśli tylko jednej opcji politycznej, a wszystkich niepotrafiących odnaleźć się w tej sytuacji i nierozumiejących kwestii wspólnotowości. Wiem, że uogólniając, krzywdzę niektórych polityków. Ale mówię to też po to, żeby te niedobitki inteligentnych zmotywować do działania. Większość polityków nieustannie myśli w kategoriach „ja”, które przestało mieć znaczenie. No a my im odpuściliśmy. Nie jesteśmy w stanie im zaufać, ale jednocześnie nie rozliczamy ich, nie sprawdzamy tego, co robią. Nie pilnujemy, żeby odpowiedzieli za swoje głupie decyzje. Znaleźliśmy

się w bardzo trudnym momencie i nie mamy ani jednej osoby, za którą większość tego społeczeństwa mogłaby pójść. I ani razu nie usłyszeliśmy, że politycy wiedzą, co robią. To znaczy padły takie zapewnienia…

No coś ty, codziennie je słyszymy…

Tylko jakie można mieć zaufanie, kiedy jeden ważny pan zapewniał nas latem, że wirusa już nie ma. A inny, któremu wydaje się, że jest najważniejszy, pochwalił się, że się nie szczepi. I był z tego bardzo dumny.

Chodziło o szczepienie przeciwko grypie.

Wiem, ale to i tak zbyt daleko posunięta… nierozważność. Nawet jeśli jedna osoba z tego powodu zrezygnowała ze szczepienia i zmarła, to jest to ogromna odpowiedzialność. Zostawiając tych panów i ich brak odpowiedzialności za czyny i słowa, chcę podkreślić, że marzy mi się taki rodzaj przywództwa, które sprawdza się w wielu krajach na świecie – nie bazujące na populizmie, tylko na rzeczywistych działaniach. To jest po prostu czysta tęsknota za Jacindą Ardern czy Angelą Merkel (jawna opcja niemiecka), która przez cały czas trwania pandemii bardzo odpowiedzialnie wypowiadała się na ten temat i potrafiła wytłumaczyć społeczeństwu, z jakiego powodu rząd zamyka ludzi w domach na sześć tygodni.

Ostatnio powiedziała, że najgorsze jeszcze przed nami i nawet najwięksi jej wrogowie nie oponowali.

Polityka jest brudną grą, ale też ma swoje reguły. Gdy społeczeństwu coś zagraża, pojawia się naturalne dążenie, by schować się pod skrzydła tych, co mają władzę.

Trudno nie zauważyć czerwonej błyskawicy za twoimi plecami. Co sądzisz o Ogólnopolskim Strajku Kobiet? Czy gdyby pandemia nie nastąpiła, ten głos wybrzmiałby tak mocno?

Od samego początku chodzę na manifestacje. Biorę czynny udział w protestach. Jestem murem za kobietami. To dla mnie oczywiste, bo jestem feministą, synem feministki, partnerem feministki, bratem feministki. Jednak to, co możemy obserwować od wielu już lat w Rosji czy w Turcji, od wielu miesięcy na Białorusi i w innych krajach pod rządami autorytarnymi, pokazuje, że nawet bardzo zmasowane protesty niestety nie przynoszą oczekiwanych rezultatów. Nawet przy bardzo wykrzywionej demokracji albo jak mówią Amerykanie „floating democracy", czyli takiej jak w Polsce, to wybory mają największe znaczenie. Zmiana następuje przy urnie. Z tego powodu mam w sobie nieskrywaną złość, że statystycznie jedna trzecia tych, którzy krzyczą na protestach, nie wzięła udziału w ostatnich wyborach. Czy wezmą w kolejnych? Nie wiem. Może nie wystarczy im zapału. Mówię to, choć bardzo bym chciał, żeby te protesty złamały butę rządzących z niezwykłą zaciętością rozdeptujących fundamenty demokracji. Ale nie mam na to wielkiej nadziei.

Czyli ulica nie obali Putina i nie uwolni Nawalnego, nie zrzuci z tronu Łukaszenki, a u nas dziewczyny powinny porzucić „sny o potędze", bo nie staną się nowym ruchem na miarę „Solidarności". Tak to rozumieć?

Bardzo bym chciał, żeby ulica miała taką siłę torowania zmian, ale najczęściej tego typu działania raczej pomagają utrzymać władzę. Przykładem może być chociażby Francja i protest „żółtych kamizelek", który tak naprawdę umocnił prezydenta Emmanuela Macrona na stanowisku. Niestety protesty, nawet te milionowe, niewiele zmieniają, w społeczeństwie pełnią funkcję wentyli bezpieczeństwa, pozwalają wyładować nagromadzoną złość. Choć przywołana przez ciebie „Solidarność" to był ruch, który wydawał się

niemożliwy, powstał i rozwinął się w skrajnie niesprzyjających warunkach, a pokazał, jak pięknie Polacy potrafią się jednoczyć. Jest światowym ewenementem. Chciałbym, żeby udało się go powtórzyć, i jednocześnie nie zmarnować jego owoców. A co najważniejsze chciałbym, żeby Strajk Kobiet w jak największym stopniu zniwelował różnice w traktowaniu kobiet i mężczyzn w Polsce.

Na ile koronawirus może się stać częścią legendy Strajku Kobiet? Tysiące ludzi wyszły na ulice wbrew zaleceniom dotyczącym reżimu sanitarnego. Po protestach publikowano statystyki mówiące o wzroście liczby zakażeń...

Koronawirus i szczepionka są wykorzystywane bardzo cynicznie, politycznie. Koncentrujemy się na liczbie zachorowań, natomiast umyka codzienna liczba zgonów. W okresie jesienno-zimowym to było nawet pięćset osób dziennie. Oczywiście liczby brzmią abstrakcyjne, więc tych, którzy wzruszają na to ramionami, proszę, żeby sobie wyobrazili, że jednego dnia znikają wszyscy, których poznali bliżej w ciągu swojego życia. Nie ci, których minęli na ulicy, ale rodzina, sąsiedzi, znajomi, koledzy z pracy, kumple ze szkoły, ze studiów. Telefon zostaje wyczyszczony ze wszystkich kontaktów. I to uświadamia, z jakim problemem mamy do czynienia. Manipulowanie tymi statystykami i wykorzystanie procesu szczepień, opóźnianie go, traktuję jako sposób na utrzymanie społeczeństwa w ryzach, element strategii politycznej i gry o władzę.

Wkurzasz się, gdy pod przychodniami widzisz kolejki starszych ludzi, którzy czekają godzinami, by na koniec się dowiedzieć, że na razie szczepionek brak? Masz ochotę uderzyć pięścią w stół, kazać ludziom wracać do domów, czy raczej ogarnia cię współczucie?

To zależy, o co pytasz. Czy chodzi o to, że ci ludzie idą do przychodni i tam stoją w kolejkach i mogą się zakazić, czy o to, że idą na darmo.

Pytam o wszystko. O strategię też. Gdy porównać Izrael i Polskę, nawet szerzej – Europę – w Izraelu to władze odpowiadają za to, żeby zaprosić właściwe osoby na iniekcję. To one ich znajdują i kierują na zastrzyk, biorąc pod uwagę wiek i inne czynniki. A u nas ciężar rejestracji został przerzucony na starszych ludzi. Gdy pytałam o to osoby zawiadujące programem szczepień, proponowały, żeby starsi prosili o pomoc przy rejestracji wnuczka lub kogoś z rodziny. Ale często dla osiemdziesięciolatki czy osiemdziesięciolatka jest to niewykonalne, bo są sami. I co wtedy? Idą w tę kolejkę, bo nie mają innego wyjścia, a na koniec dnia słyszą, żeby zgłosić się w kwietniu, bo szczepionki się skończyły. Dla takiej osoby kwiecień to czasem tak odległa perspektywa jak lot na Księżyc.

Bardzo ładnie to ujęłaś. To doskonały obraz tego, jak system traktuje swoich obywateli. Mamy odwrócenie sytuacji. To nie państwo ułatwia mi życie, tylko ja muszę działać nawet wbrew państwu, żeby móc normalnie funkcjonować. Sukces szczepień w Izraelu wynika po pierwsze z bardzo szeroko zakrojonej kampanii edukacyjnej, której u nas praktycznie nie ma, a po drugie z tego, że stworzono tam system przyjazny pacjentowi. My ciągle startujemy z pozycji osób proszących o jałmużnę, liczących na to, że państwo coś nam da. A przecież państwo to my, więc mówienie, że rząd coś nam dał albo coś nam kupił, jest jakimś oksymoronem. Rząd ma zero pieniędzy. Rząd jako rząd. Po prostu te wszystkie pieniądze są nasze.

Dokładnie tak twierdziła Żelazna Dama, Margaret Thatcher: „Jeśli rząd mówi, że komuś coś da, to znaczy, że zabierze tobie, bo rząd nie ma żadnych własnych pieniędzy, tylko twoje”.

A tymczasem nadal wiele osób jest wdzięcznych premierowi, że znów im coś dał…

Wracając do szczepień – może jakaś akcja promocyjna by się znalazła.... W mediach pełno informacji o kolejnych transzach, właściwościach preparatów itp. Na marginesie – co sądzisz o zamieszaniu wokół szczepień w WUM-ie i o tym, co zyskało miano „afery z celebrytami”?

Twierdząc, że nie przygotowano żadnej akcji promocyjnej, mówię z pespektywy socjologicznej, ponieważ mamy do zaszczepienia bardzo dużą grupę bardzo różnych ludzi, którzy korzystają z różnych mediów i w różnych miejscach zdobywają informacje. Jeśli ktoś korzysta tylko z Internetu, nie ogląda telewizji, nie słucha radia, to nie ma większych szans na pozyskanie rzetelnych danych o programie szczepień, a już na pewno nie na temat, z jakiego powodu warto się zaszczepić. Przy takim ograniczonym zasięgu informacji osoba, która nie wierzy w szczepionki, na pewno nie poczuje się przekonana. Natomiast afera, o którą pytasz, pokazuje, że skrzętnie ją wykorzystano i sztucznie pompowano dla odciągnięcia uwagi opinii publicznej od rzeczywistego problemu, czyli tego, że wciąż nie jesteśmy w wystarczającej liczbie zaszczepieni.

Co cię bardziej zaskoczyło, Tomku, w tej historii – oburzenie ludzi wściekłych na niektórych przedstawicieli środowiska kultury, którzy wzięli pierwszą dawkę bez kolejki, wierząc, że są częścią akcji promocyjnej, czy rozżalenie celebrytów, że zostali – tu cytat z jednej wypowiedzi: „wsadzeni na minę”?

Szczepionki są w tej chwili towarem reglamentowanym. Większość z nas jeszcze pamięta, co to znaczy. Dlatego przy okazji tej afery proponuję kolejne ćwiczenie – zadanie sobie pytania, czy gdyby ktoś do nas zadzwonił i powiedział, że są wolne szczepionki, to odrzucilibyśmy zaprosze-

nie i zaproponowali „swoje miejsce” mieszkającemu po sąsiedzku lekarzowi?

Ćwiczenie, które może doprowadzić do wniosku, jak u Wisławy Szymborskiej: „Tyle wiemy o sobie, ile nas sprawdzono”.

Moje zadanie polega na próbie zrozumienia obu stron – wybranych i czekających na swoją kolej. Na oceny się nie odważę w żadnym przypadku, tym bardziej, że tak naprawdę mało wiemy o tym, jak było naprawdę.

Ale zobacz, ile mechanizmów się uruchomiło. Wspomnienia z dawno i słusznie minionych czasów. Wtedy też byli lepsi i gorsi. My i oni – jak pisała Teresa Torańska. Ci bliżej przywilejów i ci dalej. Jak na to patrzysz jako socjolog?

Jako ludzie nie zmieniamy się tak bardzo. I pewne mechanizmy, resentymenty w nas zostają. To wiąże się z tym, o czym wspomniałem przy okazji mówienia o pogłębieniu się różnic między Północą a Południem. Na pewno będziemy chcieli sobie pewne rzeczy odbić. I nie chodzi tylko o postkomunistyczny bagaż doświadczeń. Zresztą pamiętam taką rozmowę jeszcze ze studiów, kiedy jeden z wykładowców próbował mnie przekonać, że jak minie pokolenie osób, które pamiętają komunizm, to ludzie przestaną zachowywać się w sposób, który określa się jako „anomia sovietica”.

E tam.

Właśnie. Zapomniał o jednej rzeczy, że mamy jeszcze coś takiego, jak kody kulturowe. Że pewne rzeczy są przekazywane przez kulturę. I prawdziwa, duża, społeczna zmiana wymaga bardzo długiego czasu.

Czy to, w czym bierzemy udział, można nazwać eksperymentem społecznym?

Są osoby, które uważają pandemię za rodzaj eksperymentu społecznego. To ryzykowne określenie. Gdyby tak było, to musielibyśmy sięgnąć do jednej z najbardziej zakorzenionych teorii spiskowych, mówiącej o tym, że jest jakiś „rząd światowy", który wszystkim steruje. Obecnie spreparował COVID-19, żeby sprzedać szczepionki i zrobić na nas globalne doświadczenia medyczne. Nawiasem mówiąc, badania pokazały, że osoby, które wierzą w teorię rządu światowego, są dużo spokojniejsze. Mają poczucie, że ktoś jednak nad tym bałaganem panuje i wszystko idzie w zamierzonym przez kogoś kierunku.

Do pewnego stopnia można im zazdrościć.

Pewnie. Ale wracając do twojego pytania… Nie nazwałbym tego, co się teraz dzieje, eksperymentem, bo założenia eksperymentu są takie, że mamy pewne warunki brzegowe, wiemy, kiedy się zaczyna, w którym momencie kończy, możemy go przerwać, gdy coś dzieje się nie tak, no i są osoby, które to kontrolują. Natomiast w wypadku pandemii z kontrolą jest bardzo słabo. Pod każdym względem.

Skąd wzięła się teoria o rządzie światowym i wielkich możnych, którzy pociągają za sznurki?

To – z punktu widzenia socjologa – trochę zamiennik Boga. Nie chcemy być demiurgami własnej rzeczywistości, chcemy, żeby ktoś działał poza nami. Nie może być tak, że po prostu jesteśmy zawieszeni w kosmosie i krążymy bez celu. Muszą istnieć jacyś ludzie, którym na czymś zależy. Wyznawcy tej teorii sądzą, że zależy im na władzy i pieniądzach. No a skoro zależy im, żeby zdobyć więcej pieniędzy, to znaczy, że wszystkich nas nie wybiją, bo będą potrzebowali kogoś, kto te pieniądze zarobi. I jak się spojrzy na to z tej strony, to rzeczywiście daje duże poczucie bezpieczeństwa.

To ma nam dać poczucie bezpieczeństwa, że ktoś trzyma lejce i jednak przeżyjemy?

Niektórym tak. Pamiętaj o tym, że dla wielu osób świat jest zbyt skomplikowany. Chcą żyć swoim życiem i nie rozsupływać każdego zagadnienia. Z lenistwa lub z braku czasu – albo jednego i drugiego. Teorie spiskowe – takie jak ta – sprawiają, że wszystko staje się proste i jasne.

A kiedy już wszystko się skończy – co nam zostanie po pandemii?

Dotykamy ważnej kwestii. Pandemia przyspieszyła wiele procesów – tych związanych z technologią, bo nagle wszyscy potrafią robić spotkania on-line, zakupy w Internecie i płacić bezgotówkowo, oraz tych powiązanych ze zmianą społeczną. W Polsce społecznie szczególnie wyraźnie zaznaczyła się walka z patriarchatem i dziadersi, którym wcześniej wiele słów i działań odpuszczano. To takie farbowane lisy, które wprawdzie uważają, że prawa kobiet są ważne, ale jakoś tak się dzieje, że ciągle inne rzeczy okazują się ważniejsze. Niby solidaryzują się z kobietami, ale jak przychodzi co do czego, to ekspertem staje się mężczyzna. Patriarchat dogorywa, ale jego konwulsje są jeszcze bardzo silne. Widać to było podczas ataków na Kapitol w Waszyngtonie, gdzie poprzebierani w jakieś dziwaczne stroje biali mężczyźni, którymi w tej chwili rządzi kolorowa kobieta, urządzili sobie happening. Zachowali się tak, jak to robią na co dzień. W myśl zasady, że wszystko im wolno. Oni mogą zrobić rozpierduchę, bo kobiety to posprzątają. Patriarchat jest żałosną opowieścią z mchu i paproci. W Polsce ulubieńcy liberalnej części narodu krzywią się na to, że tłum kobiet krzyczy brzydkie słowa. Inni nazywają wystąpienia i postulaty pani Lempart kabaretem. A ja tak marzę, żebyśmy wreszcie, przynajmniej w aspiru-

jącym do elity środowisku naukowo-artystyczno-dziennikarskim, weszli już na wyższy poziom. W tym roku do Złotych Globów nominowano aż trzy reżyserki! A kiedy dziennikarz spytał Daniela Craiga, czy nie czuł się dziwnie, grając w filmie o przygodach Jamesa Bonda, do którego scenariusz napisała kobieta, aktor żachnął się i odpowiedział, że to pytanie jest tak absurdalne, deprecjonujące i nie na miejscu, że nawet nie będzie na nie odpowiadał. A tymczasem „nasi" panowie z elit cały czas nie do końca rozumieją, z jakiego powodu kobiety są tak wkurzone. W XXI wieku obciachem jest nie być feministą.

Panowie spóźnili się na pociąg, który dawno odjechał? Przegapili jakąś ważną lekcję w szkole? Co sprawia, że wciąż wolą nosić rogi bizona i wierzyć, że wybory zostały „ukradzione"?

Tak, lekcję w szkole życia. Wiesz, w jakiś perwersyjny sposób rozgrzeszam tych panów, którzy szturmowali Kapitol. Większość z nich była słabo wykształcona i nieobyta. Poszli za głosem i wezwaniem innych panów, największych strażników patriarchatu. Ogólnoświatowe badania pokazały, że patriarchatu nie podtrzymują niewykształceni mężczyźni z niższych klas – jak lubi sądzić wiele osób. W jego żar dmuchają bogaci, wpływowi, zarządzający mediami, korporacjami i think tankami, dobrze wykształceni biali mężczyźni z silnym resentymentem do kobiet, przez które kiedyś zostali porzuceni. Kiedy przyjrzysz się polskiej rzeczywistości, to znajdziesz takich panów na pęczki. A kiedy ich posłuchasz, zobaczysz, jak trafna jest ta teza.

Koronawirus przyspieszył rozwój technologii, być może pomoże rewolucji społecznej. I już nawet nie chcę cię wciągać w dyskusję o słowie na „w…" z ulicy. Chcę raczej powiedzieć, że wciąż na każdym kroku i w każdej sferze są widoczne ślady trwałej dominacji mężczyzn.

Z tego powodu trzeba bardzo uważać na to, żeby nie zaprzepaścić tego, co wywalczyły sobie kobiety. Smutni panowie w źle skrojonych garniturach już odbierają kobietom godność. Dziadersi zbytnio nie oponują. A kobiety – na co wskazują doświadczenia z podobnych do pandemii globalnych zdarzeń – kryzys dotknie bardziej. W tej chwili to one głównie sprawują opiekę nad chorymi, ale po pandemii to je częściej dotknie bezrobocie. Większość osób, która żyje w skrajnej nędzy, czyli za mniej niż jednego dolara dziennie, to właśnie kobiety. W sytuacji, kiedy musisz walczyć o przetrwanie, dużo trudniej walczyć o swoje prawa.

Czy widzisz już świt zbliżający się po mrocznym czasie, kiedy będzie można odetchnąć z ulgą, że wszystko mamy za sobą? Co przyniesie ten nowy dzień?

Gdybyśmy rozmawiali na początku roku, kiedy ruszał program szczepień, to powiedziałbym ci, że to ten poranek. Natomiast przyglądając się temu, jak to w tej chwili funkcjonuje, biorąc pod uwagę, w jakim to idzie tempie oraz jak groźne są nowe mutacje wirusa, jest mi bardzo trudno dostrzec światło nadziei. Ale żeby nie kończyć tak pesymistycznie, proponuję codziennie przyglądać się temu, co się dzieje, i nawlekać te obserwacje jak koraliki na nitkę, z której będziemy tkać nową pocovidową normalność. Tęsknimy za tym, co było. Gloryfikujemy minione czasy, ale czy rzeczywiście wszystko wtedy było fajne? Może pandemia koronawirusa to nasza szansa na to, żeby zmienić nas i świat na lepsze i w ten sposób przybliżyć ten świt, który na pewno kiedyś nadejdzie. O tym pisała przywołana już przez ciebie pani Wisława Szymborska, że zła godzina, jeśli trwa, to kiedyś w końcu musi minąć.

ADAM SZTABA

MUZYK, KOMPOZYTOR, DYRYGENT

JOANNA RACEWICZ: Zacznijmy od koncertu. Walentynki, godzina 19.30, sala Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach. Tu zwykle pada: „widownia wypełniona do ostatniego miejsca”, ale przecież to nie byłaby prawda, bo reżim sanitarny i zajęte może być tylko co drugie krzesło. Koncert na żywo i on-line. Wielka muzyka filmowa – John Williams, Ennio Morricone, John Barry i Howard Shore. Wychodzisz na estradę, stajesz przed orkiestrą, unosisz batutę i…

ADAM SZTABA: Nim wszedłem na scenę, usłyszałem brawa na wejście muzyków. Po wielu miesiącach zabrzmiały naprawdę szczególnie. A później moje wyjście, spojrzenie na tę niezwykłą salę wypełnioną, zgodnie z aktualnymi zaleceniami, do połowy, co w przypadku tego miejsca oznacza prawie tysiąc osób. Słychać pierwszy dźwięk, dla mnie rozpoczyna się święto, jak zawsze, kiedy mam możliwość poprowadzenia tej szczególnej orkiestry. Tego wieczoru widzów mam nie tylko za plecami, ale też przed sobą. I mógłbym tak być pośród tego brzmienia jak najdłużej, ale w końcu zabrzmiał ostatni takt, usłyszałem owacje, po czym widzowie podnieśli się i bis okazał się nieunikniony. Czułem się szczęśliwy, bo jeszcze kilka dni wcześniej wszyscy byliśmy przekonani, że zagramy przy pustej widowni. Coś, co kiedyś było normalne, dziś staje się świętem. Nie warto zatem się przyzwyczajać, trzeba natomiast celebrować dobre chwile.

Czy koncerty z publicznością były właśnie tym, za czym najbardziej tęskniłeś przez ostatni rok?

Energia spotkania z ludźmi nie ma sobie równej. Kilka razy udało mi się zagrać koncerty on-line, choć nie tylko, bo w październiku, kiedy była lekka odwilż, jeszcze przed tą ciężką jesienią, zagrałem też orkiestrowy koncert w ICE w Krakowie z połową publiczności na sali, więc miałem kontakt ze słuchaczami. Głównie jednak przesiadywałem w pracowni i studiu nagraniowym, a jeśli już pracowałem z większymi zespołami, to oczywiście przy rozmaitych obostrzeniach. Nagrania orkiestrowe w pandemii polegały na tym, że muzycy znajdowali się w różnych pomieszczeniach i widzieli mnie dyrygującego na ekranie. Równie dobrze moglibyśmy siedzieć w innych miastach, więc sytuacja zmuszała nas do nowego rodzaju kreacji. Pandemia dawała niewątpliwie czas na to, żeby się zastanowić, jak tę swoją drogę dalej poprowadzić, czy porywać się na nagranie „płyty życia", skoro pojawił się czas w prezencie, czy skupiać się na przykład na edukacji, tworzyć webinary, pomagać młodym ludziom. Wiedziałem, że najgorsza jest bezczynność. Dla nas, ludzi pasji, muzyka jest sposobem na życie. I jak nagle mamy bez tego funkcjonować? W związku z tym wywiązała się wielka dyskusja, w której wzięli udział rozmaici muzycy, aktorzy i nie tylko. W stanie pandemicznym odbiór społeczny losu artystów był paradoksalnie mało empatyczny, a już ich narzekanie na brak koncertów, spektakli teatralnych, uchodziło za bezczelność.

Tak, też czytałam komentarze z gatunku: „weźcie się chociaż do uczciwej pracy", „biadolą, bo zabrakło na wakacje na Malediwach", „w głowach się poprzewracało". Inne nie nadają się do cytowania.

W istocie my nie możemy powiedzieć, że jest źle, bo nasze życie jest fantastyczne i oderwane od rzeczywistości. Naj-

częstsze komentarze były takie, że artyści powinni w końcu pójść do normalnej pracy. Jak usiądziemy na kasie w sklepie i zaczniemy rozwozić jedzenie, to wtedy poczujemy, co to prawdziwa praca. Bo my przecież nie pracujemy, w każdym razie nawet jeżeli, to jest to bardziej zabawa. A to, że ćwiczymy od piątego roku życia, poświęcamy siedem godzin dziennie kosztem rodziny i przyjaciół, przypłacamy to zdrowiem, inwestujemy ogromne pieniądze w instrumenty, w rozwijanie umiejętności, mało kto widzi. Statystyczny konsument widzi dyrygenta, który wychodzi, kłania się, coś tam gestykuluje – wielka filozofia. Albo piosenkarka, jedna z drugą – weźmie mikrofon, otworzy usta i zgarnia nieadekwatną gażę. Ot, wnikliwe spojrzenie na branżę muzyczną.

Krzywdzące. Niesprawiedliwe. I pełne ignorancji.

Spłycające i krótkowzroczne. Taki jest niestety ogólny odbiór społeczny mojego zawodu. A ci, którzy sugerują jego zmianę, niech wyobrażą sobie, że to nie jest praca, lecz uczucie. My wnosimy w naszą pracę żywe emocje, odczuwanie, wrażliwość. Kiedyś w wywiadzie przytoczyłem historię jednego z muzyków, który z racji pandemii musiał zmienić zawód, poszedł na budowę, rozwoził też pizzę itp. I ktoś skomentował to tymi słowami: „A co, rozwożenie pizzy gorsze? Praca na budowie gorsza?”. Przecież kompletnie nie chodzi o hierarchię zawodów. Tylko o to, że miejsce zdolnych ludzi jest na scenie, w orkiestrze, w teatrze, w studiu nagraniowym. Jak ktoś jest zdolnym lektorem, to jego miejsce jest przed mikrofonem. I o to toczy się cała dyskusja – że przez pandemię możemy stracić wielu utalentowanych ludzi, bo oni zmienią zawody i już nie powrócą. A to będzie strata dla nas wszystkich. Dobra, już nie mówię o pandemii.

Przecież umówiliśmy się na rozmowę o pandemii. I cały czas mam nadzieję, że wciąż znacznie więcej jest ludzi, którzy kochają artystów i którym pandemia uświadomiła, jak bardzo jesteście potrzebni, jak bardzo potraficie trzymać przy życiu, dać zapomnienie, ulgę. Ludzie zamknięci w czterech ścianach słuchali muzyki, oglądali filmy, sięgnęli po czekające w kolejce książki. To było jak zbawienie, jedyna kotwica normalności w nienormalnych czasach.

Tak, pierwsze tygodnie lockdownu były bardzo trudne i faktycznie – muzyka, filmy i książki to był sposób na zajęcie myśli i wypełnienie czasu, który nagle wszyscy dostali w prezencie aż w nadmiarze. W tym ostrym hamowaniu obcowanie z kulturą miało chyba w sobie coś z pozytywnego snobizmu. To był istotnie żywy dowód na to, jak ona jest nam potrzebna na co dzień. W ogóle niezbędna do funkcjonowania. Kultura to wręcz nasza tożsamość. Ona nas buduje jako społeczność, naród. Dlatego artystami powinniśmy się chwalić, bo są naszym dobrem. Tymczasem artyści są dziś często postrzegani jako darmozjady, które zarabiają nieadekwatnie do wysiłku, jaki w swoją pracę wkładają. Wiadomo, że dziś na podstawie zachowania jednostki budujemy opinię na temat większej grupy ludzi, dzieje się tak również w innych branżach, nie tylko artystycznej. Nie zmienia to jednak faktu, że we współczesnych artystach nie widzimy autorytetów godnych naśladowania. Zawód artysty to rodzaj powołania, niezwykle silny imperatyw, by przenosić siebie i ludzi w inny, nieokreślony wymiar, by przekraczać kolejne granice. Czym byłoby życie bez artystów – obcowania z filmem i muzyką? Może i jakoś by się ono toczyło. Można sobie poradzić bez muzyki Chopina czy filmów Felliniego, ale jakież byłoby to miałkie, bez barw, bez emocji, takie żadne. Ludzie sceny to ludzie szczególnie wrażliwi, którzy żeby uprawiać sztu-

kę, muszą odczuwać całym sobą dużo bardziej intensywnie niż przeciętny człowiek. W związku z tym podatni są również na wszelkie krzywdy, różne stany zawieszenia, pandemie. Wtedy rozwijają się nałogi, ponosi się porażki, często rozpadają się rodziny. Tych ludzi trzeba chronić i o nich dbać, nie rugać.

Co pomyślałeś w marcu 2020 roku, kiedy pojawił się w Polsce pierwszy pacjent zero, kiedy usłyszałeś: zamykamy kina, teatry, galerie handlowe, restauracje, lasy?

Chyba podobnie jak wszyscy, myślałem, że to na chwilę, że to się zaraz skończy, że to też może jakiś rodzaj przesady, a potem, jak to chwilę potrwało, to paradoksalnie nawet się ucieszyłem. Ostatnio Michał Dąbrówka, wspaniały perkusista, z którym od lat współpracuję, powiedział mi, że on się ucieszył na pandemię, a raczej stwierdził, że wreszcie odejdą te deadline'y, obowiązki, niektóre niechciane koncerty i będzie mógł się zaszyć w piwnicy i skończyć swoją autorską płytę. A jednak mało komu to się udało. Wielu ludzi nie było w stanie się skupić na nagrywaniu „płyty życia". A przecież moment wydawał się idealny. Tym czasem to te deadline'y, ramy, kalendarze, które kształtują nasze życie, są nam do tego niezbędne. To bardzo ważne wiedzieć, dla kogo, po co, na kiedy mamy coś stworzyć. Niby nie powinno to mieć dla nas znaczenia, bo przecież pracujemy ideowo, wystarczy teraz usiąść do instrumentu i pisać, ale okazało się, że ta sceneria była dla wielu niesprzyjająca. Niektórym udawało się zatapiać w tworzeniu, ale większość jednak miała z tym duże problemy.

Często słyszę o niemocy twórczej w czasach zarazy. Choćby Anita Lipnicka – dwoje artystów w domu i kompletny zastój. Tyle wolnego czasu, tyle przestrzeni na pisanie, tworzenie – a tu

klops. I chyba nie dotyczyło to tylko artystów. Znam wielu, którzy obiecywali sobie: „no, teraz nadrobię czas, skończę książkę, zamknę projekt, będę biegać, zrobię remont albo choć porządek w szafach” – i wszystko rozbijało się o rafę kompletnej niemocy. Gdzie w takim razie jest problem – w kalendarzu, który wyznacza terminy, czy w tym, że twoje myśli są gdzie indziej?

Ludzie różnie funkcjonują. Pojawia się pytanie, co pisać i dla kogo. Po co mam wymyślać tę swoją „płytę życia”, skoro nie będę mógł jej wydać na przykład przez najbliższe trzy lata, bo nie będzie koncertów? To są pytania, które wielu sobie zadawało. I nie wiem do końca, dlaczego lockdown nie okazał się dla wielu artystów produktywny.

Pewnie, że nie wiesz, bo u ciebie było inaczej.

Paradoksalnie okres pandemiczny postrzegam dosyć pozytywnie. Na pewno przewartościowałem kilka spraw, byłem w domu tyle, ile zawsze, bo mam tam swoją pracownię. Trochę częściej widywałem syna, bo przez jakiś czas nie chodził do przedszkola. To było fantastyczne. Dużo jednak pracowałem w studiu nagraniowym i nawet udało mi się zrobić rzeczy zaskakujące mnie samego. Ten okres jakoś dobrze mi zrobił. Nie wiem, czy to kwestia pandemii, czy po prostu przyszedł taki rok, że moje myśli się skumulowały, ale ja nie mam prawa narzekać. Poza tym nie ograniczam swojej pracy wyłącznie do koncertów. W pandemicznym roku brałem udział w nagraniu trzech płyt, stworzyłem kilka rozmaitych webinarów, organizowałem spotkania warsztatowe. Na pewno najtrudniej mieli i mają ludzie, którzy żyją wyłącznie z publicznego śpiewania, grania, występów. Miejmy nadzieję, że niedługo one wrócą – na dobre, a nie na próbę. Ci, którzy potrafią napisać piosenkę albo mają jakiś drugi zawód, inne hobby, znaleźli się w lepszej sytuacji, bo mogli przeskoczyć do czegoś innego.

Ale prawdziwi zapaleńcy, do których należę, skupiają się najczęściej na jednym fachu, bez reszty mu się poświęcają. Ja tak naprawdę nie umiem robić niczego innego i nie chciałbym, bo z pewnością nie byłbym w tym dobry, a ja nie znoszę nie być w czymś dobry. Dlatego muzyka jest moim światem, nie wyobrażam sobie życia bez niej i przekwalifikowania się. Żeby dojść do poziomu, o którym marzę w dziedzinie kompozycji, orkiestracji i dyrygowania, zupełne poświęcenie się jest niezbędne. Dlatego nie wierzę w uprawianie trzech, czterech zawodów naraz, bo uprawia się je wtedy przeciętnie. Mój syn, z tego, co widzę, pewnie też zostanie muzykiem, choć uważam, że w dzisiejszym świecie posiadanie tylko jednego fachu jest ryzykowne. Może jeszcze zapłacę za to wysoką cenę. Na razie jakoś się bronię.

Pandemia nauczyła dywersyfikacji źródeł zarobku? Dywersyfikacji planów na życie?

Tak, oczywiście. Musieliśmy sobie tę rzeczywistość poukładać na nowo. Okazało się, że w naszej branży jest mnóstwo bezradnych ludzi, i nie chodzi wyłącznie o pandemię, ale ogólnie o codzienne funkcjonowanie. Pandemia spowodowała, że trzeba było na przykład postarać się o jakąś dotację ministerialną, napisać skuteczny wniosek, zastanowić się, co można teraz zrobić – zagrać koncert online czy przeprowadzić szkolenie, a może pójść w edukację najmłodszych. Tymczasem wielu artystów nawet nie przystąpiło do składania wniosków. Bo nie dowiedzieli się, nikt im nie powiedział, nie wiedzieli jak. To też pokazuje, że wśród nas jest sporo dzieci we mgle. Jakby faktycznie ci ludzie żyli w zupełnie innym świecie. Pracują nad swoimi utworami, grają koncerty, a jak to wszystko nagle się kończy, są kompletnie bezradni. Mnie bardzo pomogła

moja żona, Agnieszka, która jest też moją menadżerką. Śledziła wszystko to, co było ogłaszane. W miarę możliwości doradzaliśmy też innym. Pamiętam, że wiosną 2020 roku byłem w Katowicach i zagrałem koncert z francuskim akordeonistą Richardem Galliano i fantastyczną Narodową Orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia. Był to mój ostatni koncert przed pierwszym lockdownem, a teraz również z nimi zagrałem swój pierwszy po wielomiesięcznej przerwie koncert z publicznością. Minął dokładnie rok między tymi wydarzeniami. Naprawdę aż boję się myśleć o tych, którzy żyli tylko z pracy koncertowej. Mam nadzieję, że skorzystali z różnych form pomocy, bo były po drodze rozmaite programy ministerialne, ale trzeba było mieć pomysł, mądrze go opisać, być przekonującym, a przede wszystkim umieć funkcjonować on-line. Nie wszyscy artyści mają takie predyspozycje, poza tym nam potrzebna jest publiczność. Niektórzy muzycy nie potrafią śpiewać do ekranu komputera i mnie to zupełnie nie dziwi.

Skoro poruszyłeś temat „płyty życia", to zapytam, czy wzięliście się z Natalią Kukulską za Chopina jeszcze przed pandemią? Płyta *Czułe struny* z muzyką fortepianową opracowaną symfonicznie ukazała się 28 sierpnia. Wpadliście na ten pomysł przed pandemią?

Właściwie tuż przed pandemią, ale tak naprawdę ten pomysł kiełkował w Natalii wiele lat, bo jakiś czas temu zagrała nieduży koncert z triem jazzowym, m.in. ze śp. Jarosławem Śmietaną. To ją tak zainspirowało, że zapragnęła nagrać cały album z muzyką Chopina, do której powstałyby teksty i która zostałaby zorkiestrowana. Otoczyła się fantastycznymi aranżerami, bardzo różnymi.

Krzysztof Herdzin, Nikola Kołodziejczyk, Paweł Tomaszewski, Jan Smoczyński, ty. Pięciu znakomitych kompozytorów i aran-

żerów. Teksty od Gaby Kulki, Bovskiej, Meli Koteluk, Kayah, Natalii Grosiak i Natalii. No i orkiestra marzeń… To się nie mogło nie udać. Ale też wyobrażam sobie, jak trudne muszą być gwałtowne hamowanie i świadomość, że jest gotowa genialna płyta i nie można jej grać na koncertach.

Tylko że w tym przypadku świetnie zapowiadała się już sama praca. Natalia wybrała więc pięciu bardzo różnych aranżerów, głównie jazzowych, oprócz mnie, bo ja nigdy jazzmanem nie byłem i nie będę. Każdy z nas wybrał po dwa utwory i przystąpiliśmy do pracy. Wymarzona sytuacja dla każdego człowieka piszącego na orkiestrę – jedyna w swoim rodzaju orkiestra Sinfonia Varsovia, w studiu nagraniowym zaś najlepszy do tego zadania reżyser dźwięku, Leszek Kamiński, no i sekcja rytmiczna złożona z wybitnych muzyków. Mogę wtedy całą swoją wyobraźnię przelać na papier. Właściwie wszystko mogę. W przypadku obcowania z Chopinem pojawia się podstawowe pytanie, po co jego muzykę pokazywać w innej od oryginalnej postaci? Nie chodziło tylko o to, by Chopina zorkiestrować. Musi być coś więcej, jakiś pomysł przeniesienia romantycznego świata na nowy grunt. Przede wszystkim nie można tej muzyki zepsuć, obniżyć jej rangi. Niektórzy lubią w przypadku opracowań muzyki wielkich kompozytorów używać słowa „profanacja”. Jak ktoś dotyka Niemena, to profanuje jego muzykę, co jest całkiem zabawne, bo Czesław Niemen czy Marek Grechuta uwielbiali, jak młodzi ludzie dotykali ich piosenek. Oczywiście musiało być to pomysłowe i ciekawe. Jednak bardzo cieszyli się, że ich utwory żyją, nawet jak ktoś je zmieniał, ingerował w nie czy szukał własnej wersji. Idąc tym tropem, myślę więc, że Chopin bardzo by się cieszył, że po dwustu latach jego muzyka nadal inspiruje.

U nas Chopin jest monumentalny, ustawiony na cokole, jego „zakon” w ogóle się go nie dotyka, w formie pianistycznej jest fantastyczny, ale skończony.

Pokazanie Chopina w innej odsłonie jest często uznawane za obrażanie wszystkich: samego Chopina, fanów fortepianu, wieloletniej tradycji. A my postąpiliśmy na opak. Ale bez wątpienia to Natalia wykazała się największą odwagą, bo po pierwsze była frontmenką, a po drugie sama porwała się na napisanie połowy tekstów i poprosiła o pomoc tekstową kilka koleżanek po fachu, o których wspomniałaś. To był bardzo odważny ruch, bo powstały teksty do utworów, które nie były w zamierzeniu pieśniami. Chopin przecież ma w swym dorobku pieśni, ale żadnej z nich nie ma na tej płycie. Znajdują się na niej wyłącznie utwory instrumentalne z nowymi tekstami. Cieszę się, że Sinfonia Varsovia, która jest jednak orkiestrą poważną, klasyczną, której przez wiele lat dyrektorował artystycznie maestro Krzysztof Penderecki, odważyła się na taki eksperyment. W końcu jest to wyzwanie również dla muzyków. Takie więc były kulisy. A co z tego wyniknęło?

Błyskawiczna platyna.

I zaskakująco dobry odbiór. Dodam jeszcze, że ja wcale nie byłem taki stuprocentowo przekonany do tego zamysłu. Należę do obu środowisk – i tego rozrywkowego, powiedzmy telewizyjno-show-biznesowego, i tego poważnego, orkiestrowego, więc wiem, jak komentuje się różne sytuacje. Dlatego też bałem się, że porwanie się na to będzie absolutnie karkołomne, że mimo znakomitych aranżerów, orkiestry, pomysł nie obroni się w praktyce. A potem zdałem sobie sprawę, że sam się łapię na stereotypach. Staram się je zwalczać, mówię wszystkim, żeby nie myśleli sztampowo, a sam to robię. Dlatego machnąłem ręką, po-

myślałem: Boże, przecież to jest kombinacja nut. A my robimy z tego jakiś cyrk. Po prostu facet poukładał nuty w taki sposób, że na nas cudownie działają, wywołują szereg emocji, ale to jest tylko muzyka. Tylko muzyka i aż muzyka. Uspokoiłem się więc i przystąpiłem do świadomej ingerencji. Chopinowskiej melodii nie naruszyłem. W całej reszcie zawarłem siebie.

I jak już pokonałeś opory, miałeś frajdę?

Wielką. Zwłaszcza w *Mazurku F-dur*, w którym dołożyłem sekcję rytmiczną, czego Chopin nie mógł znać, dodałem także częste zmiany metrum również na nieparzyste, czego w romantyzmie się nie robiło. Skupiałem się głównie na tym, żeby ukazać Chopina w XXI wieku, ale jednocześnie w kontekście Natalii. Bo przecież pisałem to dla konkretnej osoby. I nie jest to ktoś abstrakcyjny, tylko ktoś, kto już coś nagrał w życiu, ma jakieś odczuwanie, barwę głosu. Na tym też polegała trudność tego zadania, że my jako aranżerzy musieliśmy poprzez muzykę Chopina przedstawić siebie, a jednocześnie musiało to być spójne z odczuwaniem Natalii.

Płyta nagrana, koncerty rozpisane, gotowe plakaty, wielkie sale, reklama i zderzenie ze ścianą. Premierowe „wysłuchanie" płyty odbyło się kameralnie, w jednym z warszawskich klubów w ostrym reżimie sanitarnym.

Był jeszcze koncert w Filharmonii im. Mieczysława Karłowicza w Szczecinie z pełną orkiestrą, bez publiczności. To była oczywiście tylko namiastka radości, którą dał nam odbiór płyty, bo to już było po premierze. Wszyscy aranżerzy stawili się w jednym miejscu i wraz z Natalią stanęli przed tą samą orkiestrą. Zagraliśmy koncert, który został zarejestrowany, można go obejrzeć na YouTubie. To takie drobne pocieszenie w tej sytuacji. Plany mieliśmy ogrom-

ne, ale wszystko trzeba przełożyć na później. Na kiedyś. Pandemia uczy pokory i tego, żeby niczego nie planować. I do niczego się nie przyzwyczajać.

Znasz to powiedzenie – chcesz rozśmieszyć Pana Boga, opowiedz mu o swoich planach?

Mimo to ciągle planuję.

Adamie, wiosna 2020 roku, czas strachu i niepewności, tysiąca pytań i pustych półek w sklepach. Ludzie w otępieniu i szoku. Wyrywają sobie z rąk rękawiczki, maseczki i *Dżumę* Alberta Camusa. W każdym domu newsy bębnią na okrągło. Miotamy się między: „to tylko chwilowe" a „mamy kolejną hiszpankę". Aż pewnego majowego dnia wrzucasz do sieci wspaniałe *Co mi Panie dasz*. I staje się światło. To było objawienie. Słuchałam tego w nieskończoność. Nie tylko ja. I zawsze były ciarki.

Pomysł w ogóle nie był nowy ani odkrywczy. Zadziałał tak mocno i okazał się ważny, bo trafił w moment, kiedy byliśmy już po kilku tygodniach zamknięcia w domach. Ale samo nagrywanie na odległość to nie było nic nowego, zwłaszcza że już wówczas pojawiło się trochę pandemicznych filmów. Myślę, że zadziałała też skala zjawiska. Najpierw myślałem, że zrobię to w towarzystwie profesjonalistów, swoich kolegów z mojej orkiestry albo z różnych orkiestr, a potem stwierdziłem, że musi to być pospolite ruszenie. Napisałem post, udostępniłem nuty, nagranie z metronomem, wytłumaczyłem, co i jak, a młodzi ludzie szybko to pojęli, chociaż nie tylko młodzi, bo grali tam również starsi. Najmłodsza uczestniczka miała dziewięć lat, a najstarszy gitarzysta siedemdziesiąt pięć. Swoją drogą ten emeryt ze Stanów Zjednoczonych nagrał jedną z najlepszych przesterowanych gitar. A potem to już wszystko toczyło się samo.

A ta mała dziewczynka?

To było podwójne nagranie – jej tata grał na basie, a ona na flecie. Zrobili takie rodzinne nagranie w jednym kadrze. Wspaniałe. A idąc od początku – najpierw napisałem nuty oczywiście, czyli własną wersję utworu Beaty Kozidrak, co ciekawe, stworzonego w stanie wojennym, więc w innym szczególnym dla nas czasie. A potem te nuty poszły w świat i żyły własnym życiem. W ciągu sześciu dni, bo tyle czasu dałem na przygotowanie i nagranie utworu, pojawiły się 732 nagrania. Oczywiście w dwa ostatnie dni nastąpił wysyp. Na początku spływało 50 filmów dziennie, a potem nagle 250–300. Okazało się wtedy, że mamy łącznie ponad 400 GB danych do ogarnięcia. Nie od razu wiedzieliśmy, jak się do tego zabrać, jaką obrać koncepcję, jaki komputer to przeliczy itd. Cała masa pytań. Wiedziałem, że będę potrzebował dwóch ludzi, czyli reżysera dźwięku, który zmiksuje całość, oraz reżysera obrazka, który znajdzie pomysł na pokazanie ponad 700 osób w trzy minuty. Zadzwoniłem do Jacka Kościuszki, twórcy nagradzanych klipów czołowych polskich artystów, oraz Leszka Kamińskiego, którego też znamy z wielu ponadczasowych płyt.

I obaj złapali się za głowy…

Tak było, panowie mimo swojego długiego stażu nie wiedzieli, co z tym zrobić. Leszek Kamiński zadał mi pytanie: czy ty chcesz usłyszeć 60 zestawów perkusyjnych jednocześnie, czy jednak w różnych konfiguracjach – ta perkusja z tą basówką, te skrzypce z tą wiolonczelą? Ale w ten sposób nie pokazalibyśmy wszystkiego w trakcie trwania piosenki. Stwierdziliśmy więc, że pokażemy przede wszystkim skalę tego zjawiska. Ale w naszym zawodzie nie robi się takich płyt, w których nagrywa się 60 gitar baso-

wych naraz czy 60 perkusji. Pojawiły się obawy, czy nie zrobi się z tego jakiś bałagan, kompletny chaos brzmieniowy. Ale jak człowiek nie spróbuje, to się nie dowie, więc Leszek Kamiński zaczął metodą prób i błędów nakładać jedną gitarę na drugą, jedną perkusję na kolejną i powoli się w to zagłębiał. Widziałem, że na początku był raczej niechętny, bo on cierpi na wieczny niedoczas, a potem sam zaczął się w to wkręcać i wysyłać SMS-y: „Co mi jeszcze dzisiaj doślesz?”. Ten niezwykły facet, z ogromnym doświadczeniem, nagle zmienił się w pięcioletniego chłopca, który nie może się doczekać efektu. A ja w tym samym czasie zapraszałem gwiazdy do nagrania partii wokalnych. Wokaliści zaśpiewali nie tylko to zdanie czy dwa, które słyszymy na nagraniu, ale całą piosenkę, a ja to później podzieliłem. Gwiazdy w miarę szybko się uporały, natomiast nie wiedziały, że będą śpiewać do ściany 732 instrumentów, ponieważ nagrywały do innego, roboczego podkładu. Z kolei ci wszyscy młodzi ludzie grający na instrumentach nie wiedzieli, że będą akompaniowali Natalii Kukulskiej, Kubie Badachowi i Igorowi Herbutowi.

Premiera w sieci była premierą dla wszystkich?

Tak, wszyscy usiedli 29 kwietnia 2020 roku i o godzinie 20.00 obejrzeli na żywo ten klip. Reakcja była zupełnie zdumiewająca. Okazało się, że ten utwór wzbudził ogromne emocje. Ludzie pisali, że – tak jak ty – mieli dreszcze, nie przespali nocy, słuchali tysiąc razy itd. To było niewiarygodne. Najczęściej w wiadomościach i komentarzach pojawiały się opisy reakcji ciała, dreszczy, dygotu, gęsiej skórki, czegoś, czego nie odczuwali nigdy wcześniej podczas słuchania muzyki. Niezwykłe.

Reakcje ciała są najbardziej prawdziwe, nie sposób tego wymyślić ani zagrać.

Szczerze mówiąc, nigdy nie myślałem o tym wydarzeniu *Co mi Panie dasz* w kategoriach swojego sukcesu. Chciałem raczej pokazać, że kumulacja ludzkich talentów i emocji potrafi mieć niewiarygodną siłę, i co więcej – zadziałać na odległość. Przecież myśmy się nie widzieli, nie znałem tych ludzi, nie widzieli mnie dyrygującego przed sobą, co widzi każda orkiestra na próbie czy koncercie. I mimo wszystko powstała fala uderzeniowa. Nikogo też nie sprawdzałem przy nagrywaniu ani nikogo nie prosiłem o muzyczne poprawki. Wszystko, co zostało nadesłane, weszło do tego nagrania, bo nie mieliśmy serca kogokolwiek wyrzucić. Nawet jak ktoś miał słabsze brzmienie, takie, które może odrobinę brudziło, to okazało się, że w połączeniu z pozostałymi daje pożądany efekt, a przede wszystkim różnorodność.

Ten pomysł zrodził się z potrzeby muzykowania, niezależnie od okoliczności, w jakich się znaleźliśmy. I niezależnie od tego, ile kto ma lat, czy gra w profesjonalnej orkiestrze, czy odkurzył instrument po dziesięciu latach, to wszyscy poczuli, że muzykowanie jest ważne i jest naszym sposobem na życie, jakimś rodzajem komunikatu: „Oto jestem! Zamknęli mnie w domu, ale to nie znaczy, że przestaję muzykować”. Jest jeszcze coś, co było dla mnie ważne – w tym klipie nieznani akompaniują znanym. Wszyscy okazali się równi. Jedni wyśpiewywali teksty, a drudzy wydobywali dźwięki z instrumentów, ale wszyscy byliśmy jednym zespołem, który się nie zna. Okazało się, że to niecodzienne połączenie dało jakąś niewiarygodną lawinę emocji. To było chyba największe zdziwienie, że nagle z nieznanych sobie ludzi można stworzyć orkiestrę, która niesie prawdziwe przeżycia.

To nagranie 732 muzyków na zawsze będzie dla mnie symbolem pierwszych tygodni pandemii, dowodem, jak bardzo mylą się wszyscy, którzy mówią, że liczą się tylko chleb i igrzyska.

Udało nam się wszystkim zrobić coś, co jest dla mnie najcenniejsze w muzyce, czyli być poza modą. Być poza panującymi trendami, bo orkiestra siłą rzeczy zawsze jest i będzie niszowa. Generalnie nie lubię muzycznej mody, kierowania się nią w decyzjach. Bacha ceni się za to, co napisał, a nie za to, że pisał jakąś modną czy niemodną wówczas muzykę. Najbardziej cenię takie wyczyny artystyczne, które są pisane z prawdziwej potrzeby, a nie kalkulacji.

Dzięki tamtemu nagraniu udało wam się zrobić coś niezwykle ważnego. Nagle daliście wszystkim nadzieję. Dzięki wam zabrzmiały słowa, znane na pamięć – jak modlitwa, jak pytanie, W totalnym wyczerpaniu i przerażeniu sprawiliście, że znów chciało się żyć, bo wróciła nadzieja, że można oswoić ten „niepewny czas".

Może rzeczywiście tak się stało. Przypomina mi się wielki mój mistrz, Witold Lutosławski. Co prawda nigdy go nie poznałem, ale jego muzyka, postawa i osobowość są mi do dziś niezwykle bliskie. Jego *III Symfonia*, która miała prawykonanie w 1983 roku, została uznana przez wielu krytyków i melomanów za symfonię „Solidarności", ponieważ powstała w szczególnym czasie i była dość emocjonalna jak na Lutosławskiego. On zaś, z wrodzonym sobie wdziękiem, bo to był wzorcowy dżentelmen, mówił: „Jeżeli państwo tak odczuwają, to jest mi bardzo miło, ale ja nawet przez moment tak nie pomyślałem. Po prostu napisałem muzykę, która mi się podobała, którą chciałem napisać i ubrać ją w taką postać, by niosła emocje, ale nie było tutaj żadnej treści pozamuzycznej". Rzadko kiedy myślę o tym, czy moje dźwięki, które sobie wymyślam – w formie

aranżacji czy kompozycji – przyniosą nadzieję, dodadzą otuchy czy dostarczą jakichś konkretnych emocji. Jeżeli to się udaje, to fantastycznie, bo nie ma muzyki bez emocji, ale nigdy nie myślę o tym w fazie tworzenia. Zresztą w ogóle jestem ostrożny, jeśli chodzi o pozamuzyczne wątki, które tak lubimy snuć wokół różnych utworów. Raczej się skupiam na materii, w której dłubię trochę jak rzeźbiarz, bo to jest rodzaj wchodzenia w materię i przebierania w niej. Kompozycja – jak kiedyś mądrze powiedział Grzegorz Ciechowski – to nie jest sztuka wyboru, to sztuka odrzucania. Zwłaszcza dzisiaj, w XXI wieku, kiedy mamy całą paletę możliwości, z których trzeba wziąć tylko to, to, to i koniec. I to w zupełności wystarczy, żeby stworzyć pełną artystyczną wypowiedź. Tylko musisz wiedzieć, do której półki sięgnąć. A wracając – skoro nasze nagranie oddziałuje, to znaczy, że jest potrzebne. Tak wolę do tego podchodzić. Najbardziej cenię taką sztukę, do której się wraca. Wspomnę po raz kolejny Bacha. Dlaczego do niego wracamy? Bo napisał coś, co nawet dzisiaj, po trzystu latach, na nas działa. Coś nam daje. Istnieje cała masa muzyki, która była w czasie tworzenia bardzo modna i wzbudzała wielkie zainteresowanie, a dziś o niej kompletnie nie pamiętamy. Bliżej mi więc do tego pierwszego rodzaju, ponadczasowego bycia, oddalenia się od dziś. Stworzenie czegoś podyktowanego szczerą potrzebą.

Dlaczego nie ma Beaty Kozidrak?

Beaty Kozidrak nie ma na jej życzenie. Zwróciłem się do jej menadżerki, która odpisała, że Beata była już w tym utworze słyszana wiele razy na rozmaitych festiwalach i płytach, więc stwierdziła, że oddaje miejsce innym. Postawa bardzo dojrzała, ale wielu ludzi o to pyta. Najczęstsza wątpliwość chyba przy tym…

Domyślam się…

…że została pominięta. No więc nie, nie została pominięta. Chyba pierwsze, co zrobiliśmy zaraz po premierze, jak już wiedzieliśmy, jaki jest odzew, to zadzwoniliśmy do siebie i Beata bardzo serdecznie mi podziękowała. Powiedziała, że kompletnie się nie spodziewała, iż można ten utwór ubrać w taką formę, że tylu ludzi może to zagrać i zaśpiewać.

A nie powiedziała: „Adam trochę mi szkoda, trochę żal”?

Nie, tego nie powiedziała, ale bardzo się cieszyła, że utwór cały czas żyje. Myślę, że to jest dla twórcy największa radość, kiedy coś przekroczy próg czasu. Dlatego, że czas jest jedynym sprawiedliwym jurorem. Nawet nie jakiś ludzki autorytet, jeden czy drugi. Najcenniejsze jest, jeśli coś się przebije przez barierę czasu. Utwór, który powstał mniej więcej czterdzieści lat temu, nagle zyskał nowy wymiar. I to też jest dla mnie szczególnie ważne w mojej pracy aranżerskiej, bo tej uprawiam dość sporo, żeby z czegoś, co dobrze znamy, wykrzesać nowe pokłady. Jakieś przestrzenie, których nie dostrzegaliśmy.

Czego dowiedziałeś się o sobie podczas tego pandemicznego, koszmarnego roku?

Muszę się zastanowić, bo to trudne pytanie. Gdybyś mnie spytała o artystów w ogóle – powiedziałbym, że pandemia sprawiła, że są jeszcze bardziej zagubieni. Oni i tak byli zagubieni. Dlatego, że życie artysty to nie tylko świat niezwykłych uniesień, o którym dużo ludzi marzy i myśli, że jest kolorowy, pełen wrażeń, podróży, spotkań z ciekawymi osobami. To także świat wiecznie niepewny. Rozchwiana łódka, którą rzuca na wszystkie strony. O tym mało kto mówi. Co więcej, to świat bardzo nieprzewidywalny, w którym trudno zbudować prawdziwą ostoję i połączyć pracę

z rodziną i normalnym funkcjonowaniem. Byłem na idealnej drodze, żeby zostać pustelnikiem, ale jednak wybrałem rodzinę, bo uważam, że to jest istota życia i że najważniejsze, co po nas zostaje, to dzieci. Żadne dzieła. One nas oczywiście dopełniają, ale największy dar to ludzkie życie, przekazanie genów. Koronawirus sprowadził więc jeszcze większe zagubienie. Jeszcze przed pandemią wiedziałem, że u nas nawet pierwszoligowi artyści mają rozmaite trudności. Żyjemy w małym kraju, mamy mały rynek muzyczny. Status złotej płyty osiąga się w Polsce po sprzedaży piętnastu tysięcy egzemplarzy, a w przypadku muzyki poważnej to pięć tysięcy. A więc gdy w czterdziestomilionowym kraju pięć tysięcy ludzi kupi płytę z muzyką poważną, to z tej okazji organizowany jest bankiet z szampanem, bo to wielki sukces. Płyty niespecjalnie nas zajmują, a streaming ostatecznie uśmiercił fonografię. Poza tym żyjąc w Warszawie, funkcjonujemy w trochę innym świecie, który nie odzwierciedla obrazu reszty kraju. Sam często o tym zapominam, bo chodzę oczywiście w różne miejsca, odwiedzam regularnie filharmonię, chyba najczęściej, i jak widzę pełną salę, to myślę: „Dobrze, idzie świetnie, ludzie przychodzą nawet na trudne utwory, na muzykę współczesną”. Tymczasem tak się dzieje głównie w Warszawie, a poza nią wygląda to zupełnie inaczej. Wracając do twojego pytania: zagubienie wzmogło uczucie niepewności. A jeżeli jeszcze politycy nam w tym „pomogą”, to znaczy wygonią ludzi utalentowanych albo nie dadzą im żadnego wsparcia i stwierdzą, że oni mają sami sobie radzić, to będzie to najgorsze, co nas może spotkać, bo talentu się nie kupi. Talentu nie da się wyprodukować, talent to czyste złoto.

Kto przetrwa?

Ci, którzy mają odpowiednie cechy i talent. Chociaż nie. Często jest tak, że potrafią przetrwać ludzie, którzy mają zmysł organizacyjny, logistyczny i umieją rozmawiać z innymi, nie boją się obcych, nie mają poczucia obciachu, a talent jest na drugim, trzecim albo siódmym miejscu. To tacy ludzie przede wszystkim sobie poradzą, a najbardziej wrażliwi znikną, zmienią zawody, wyprowadzą się. To są takie najczarniejsze scenariusze. Bardzo liczę na poprawę nastrojów społecznych po tym, jak spora część ludzi się zaszczepi, choć ten proces trwa i zajmie jeszcze chwilę.

Mówisz o zagubieniu artystów, ale wciąż nie o sobie, więc powtórzę, Adamie – czego dowiedziałeś się o sobie, o czym wcześniej nie miałeś pojęcia?

Pomijam siebie może dlatego, że w pandemii nie dowiedziałem się o sobie niczego nowego. Priorytety pozostały te same i naprawdę nie zazdroszczę tym, którzy w pandemicznym czasie skazania na siebie, na bycie blisko, zrozumieli, że właściwie od lat nie żyją razem, tylko obok siebie. Ale może w innych okolicznościach nigdy by tego nie zrozumieli.

Najczęstsze życzenie teraz brzmi: „Żeby było, jak dawniej, żeby wszystko wróciło do normy”. Myślisz, że będzie jeszcze powrót do starego świata? Wrócimy w wytarte koleiny? Jaki będzie świat po pandemii?

Mam nadzieję, że świat wróci do jako takiej normy. Myślenie o tym, że życie wróci do zupełnej normalności, takiej, jaką znamy sprzed pandemii, jest jednak utopijne. To niemożliwe. I wiemy to chyba wszyscy, nie tylko ludzie sceny. Wiedzą to politycy, wie to Kościół, który ma nie lada problem, jak wyjść z kryzysu, który w pandemii jest coraz większy. Nie ma powrotu do tego, co było. Trzeba myśleć o nowym życiu w nowej rzeczywistości. Nie wiem, co to

będzie za życie. Czy hybryda funkcjonowania w Internecie i realu będzie obowiązywała już zawsze, czy sale będą wypełnione widownią tylko do połowy? Czy będziemy już zawsze chodzić w maskach? W instytucjach kultury nastąpiło gruntowne przetasowanie budżetowe z racji braku wpływów z biletów. Czy to oznacza upadek części z nich? Totalne wywrócenie. Żyjemy w kraju, w którym kultura nie jest ceniona. Nie wiem, dlaczego. Przecież mamy taką historię, długą tradycję, mamy się kim chwalić. O kim się mówi na świecie w kontekście Polski? O Chopinie, Szymanowskim, Pendereckim, Wajdzie, Lutosławskim, Kilarze, Góreckim, a jak się zastanowimy, co dla kultury robimy, to miny rzedną. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, skoro mamy tyle licznych wzorów do naśladowania, wręcz za miedzą. Pojedźmy do Niemiec i zobaczmy, ile tam jest sal koncertowych i orkiestr. Sto pięćdziesiąt orkiestr państwowych, przy kilkunastu w Polsce. W Niemczech są także big-bandy państwowe światowej sławy, czyli WDR Big Band i NDR Bigband, czego w Polsce w ogóle nie ma. Sprzęt w każdym domu kultury jest sprzętem, który można u nas spotkać w najlepszych salach koncertowych. Niemcy, nawet jeśli się nie ubiorą w garnitur, bo w filharmonii berlińskiej można spotkać ludzi w dresach i w adidasach, to przychodzą tłumnie na koncerty. Nie da się kupić biletu pół roku wcześniej. Taka jest tradycja obcowania z kulturą. Już mam przed oczami internetowy komentarz: nie podoba się, to droga wolna. A nie warto się zastanowić, co można zrobić, żeby było w tej materii lepiej, mądrzej, świadomie, z gustem? Nasi artyści na to w pełni zasługują.

Wiesz, że teraz ktoś zupełnie inny jest nazywany Chopinem naszych czasów.

Jestem daleki od walczenia z disco polo. Moim zdaniem nie jest to temat, który powinien spędzać sen z powiek profesjonalnym muzykom, artystom, ludziom, którzy pracują w filharmoniach. Bo po co zwalczać coś, co ma publiczność? Jak ma publiczność, to niech sobie żyje. Tylko po pierwsze, niech to nie wchodzi do filharmonii, Teatru Wielkiego itd. A niestety, takie sytuacje się zdarzały. Wiem, że to były komercyjne imprezy, ale nie zmienia to faktu, że deski Opery Narodowej z racji rangi i roli tego miejsca w polskiej historii, nie powinny rozbrzmiewać muzyką najniższych lotów. Ale zwalczanie disco polo nie ma sensu, zresztą ono istniało zawsze, tylko w nieco innej formie. Pamiętam, że jako siedmio- czy ośmioletni chłopiec jeździłem na wiejskie imprezy w okolicach rodzinnej wsi mojego taty i słuchałem piosenek, które już wówczas były piosenkami dokładnie takimi, jak dzisiaj wykonują artyści disco polo, tylko wtedy grano je na klarnecie i akordeonie, a dzisiaj gra się je na instrumentach elektronicznych i śpiewa z playbacku. Cały czas to było obecne i będzie. Rozmaite polki najczęściej, oberki, czasem walczyki – wszystko to wywodzi się z kultury ludowej. Refleksja związana z disco polo jest natomiast taka, że mamy bardzo niewielkie wymagania. W przypadku artystów disco polo nie przeszkadza nam playback, czyli jawne oszustwo, to, że ktoś nie umie grać na żadnym instrumencie, pisze grafomańskie teksty. Bardzo niewiele nam trzeba.

Jedna z platform audio zrobiła ostatnio badania i wyszło, że nad Wisłą młodzież słucha głównie polskiego hip-hopu, a starszaki wolą pop, dance i trap. Hitem wszech czasów jest *Shape of You* Eda Sheerana.

W istocie w Polsce od lat mają się dobrze lokalny hip-hop i proste melodie. Trudno o jakiś komentarz, bo każdy gust,

również muzyczny, pozostaje poza sferą dyskusji. Mogę jedynie dopatrywać się powodu. Oba wspomniane muzyczne obszary nie wymagają od słuchacza wielkiego przygotowania czy osłuchania, tym samym są one szczególnie komunikatywne.

Jest taka świetna książka Błażeja Prośniewskiego, co prawda nie o muzyce, ale o architekturze, nazywa się *Gust nasz pospolity*. Świetna analiza gusto polacco ufundowanego na bazylice w Licheniu. I wiesz, co myślę? Że natychmiast odezwą się głosy z dwóch stron – zachwyconych rozmachem i zniesmaczonych kiczem i że mogą pójść ze sobą na noże… W Polsce wyjątkowo łatwo włożyć kij w mrowisko. Pandemia bardzo wyostrzyła podziały, a hejt w sieci stał się gorszy niż kiedykolwiek.

Jest pewien paradoks, że w sytuacji, w której powinniśmy się jednoczyć, my się wzajemnie podpalamy. Frustracja dopadła wszystkich – ludzi, którzy mieli tradycyjną pracę, nawet tych, którzy byli na emeryturze, ludzi, którzy nagle musieli spędzić ze sobą ileś tygodni życia, patrzeć na siebie, choć w normalnej sytuacji byliby w pracy. Nagle okazało się, że nie ma wspólnoty. Wcześniej żyliśmy osobno, a teraz trzeba się jeszcze zająć dzieckiem, bo szkoły i przedszkola są zamknięte. Trzeba coś ugotować. Jest cała masa różnych tematów, ale przede wszystkim chodzi o życie osobno, które wiodło wiele rodzin. To schemat, który od lat funkcjonuje w wielu domach. Praca jest często ucieczką. Bardzo się boję takiej sytuacji, że moja praca nad jakąś dużą produkcją sprawi, że zatracę się i zgubię kontakt ze światem, bliskimi. Mam nadzieję, że do tego nigdy nie dojdzie, choć mój tryb życia jest w niektórych momentach skrajny, bo pracuję mocno nieregularnie.

Hejt. On się bierze tylko i wyłącznie z frustracji i kompleksów. Czy go zaznałem? Zaznałem go wtedy, kiedy ko-

mentowałem, tak jak teraz zresztą, funkcjonowanie artystów w pandemii. To się niektórym bardzo nie podobało, bo przecież nie możemy narzekać, poza tym ja jestem niedobrym przykładem, bo jestem panem z telewizji, w związku z tym, co ja wiem o życiu. Jak ja mam czelność wypowiadać się na temat życia przeciętnego muzyka w Polsce. Na szczęście *Co mi Panie dasz* przyćmiło jakoś te złe emocje i najczęściej dostaję dobre odzewy. Ponieważ pandemia się przeciąga, to są w planie, już mam taką wiedzę, rozmaite akcje, które mają wspierać artystów. Tym razem nie chodzi o dotacje czy jakieś realne wsparcie, a raczej o to, aby przybliżyć społeczeństwu funkcjonowanie artysty, żeby ludzie mieli większą świadomość, że jego praca to nie wyjście na godzinkę na koncert i zgarnięcie za wieczór średniej krajowej, tylko jednak jest to ogromnie żmudny proces rozwoju, który trwa całe dekady. Jestem już wstępnie do takich kampanijnych celów zaproszony i chcę się do nich przyczynić, bo wiem, że tylko nieustanne uświadamianie może coś zmienić.

Jak znosi się zamknięcie w czterech ścianach, gdy i tak te cztery ściany są naturalnym środowiskiem – życia, rodziny i pracy? Czy ty w ogóle zauważyłeś, odnotowałeś to, co dla przyzwyczajonych do wychodzenia z domu było dramatem?

Miałem fazy, rzeczywiście. Na początku nie miało to dla mnie aż takiego znaczenia, ale to się zmieniało. Tak à propos deadline’ów, o których już mówiliśmy. Gdy głowa zaczęła lekko wariować – znajdowaliśmy rozmaite działania, na które nigdy wcześniej nie było czasu – zajęliśmy się na poważnie ogródkiem, posprzątaliśmy garaż. To się oczywiście szybko skończyło. To były substytuty, choć nie tylko, bo człowiek sięgał po jakiś książkowy tytuł, na który nigdy nie było czasu, a zawsze chciał przeczytać. Na początku

myśl o darmowych wakacjach wydawała się wspaniała. Nie spodziewałem się, że będę miał w marcu tyle wolnego czasu. Spotykałem się co jakiś czas, on-line oczywiście, a wcześniej w realu, z moimi kolegami po fachu. Jak mawiamy – najbardziej zajętymi muzykami w kraju.

Czyli?

Wolę pominąć nazwiska, bo to w tej dyskusji mało istotne. Ale dopowiem, że to tylko faceci – taki mieliśmy zamysł od początku, że spotykamy się w męskim gronie i kompletnie nie plotkujemy o kobietach. Rozmawiamy raczej o tym, co nam doskwiera. Dlaczego ja o tym mówię?

Żeby opowiedzieć o izolacji?

Ano tak. Po tym pierwszym miesiącu oni wszyscy zaczęli nagle smutnieć. Jak wszyscy, musieliśmy się uporać z codziennością, dziećmi, które zostały w domu, a przy nich dużo trudniej skupić się na pracy. Poza tym wszystkie cele, płyty, koncerty nagle zaczęto odsuwać. Widziałem, że to było bardzo trudne dla tych ważnych postaci naszego świata muzycznego. Wiem, że obejrzeli całe tony seriali, co na pewno sprawiło im przyjemność, bo wcześniej nie mieli na to czasu, przeczytali dużo książek, to też było fantastyczne, natomiast było w tym niewątpliwie poczucie zagubienia. Znaleźli się w tym moim towarzystwie tacy, którzy bardzo źle znieśli tę sytuację. Nie będę się wdawał w szczegóły, ale to były trudne chwile, na pograniczu depresji czy życia w nałogu. Ale tak jak mówiłem, to są nadwrażliwcy. To ludzie, którzy, żeby móc przelewać swoje emocje na kartki papieru nutowego czy nagrań, muszą mocno odczuwać w życiu. A z nadwrażliwością jest niestety tak, że jest ona bardzo potrzebna w sztuce i bardzo niewskazana w życiu.

Najwięcej pracy po pandemii będą mieli psychoterapeuci, a najbardziej zaludnione będą kozetki w ich gabinetach.

O ile już nie są. Myślę, że ten proces już trwa, ale cały czas próbuję znaleźć odpowiedź na pytanie, jaką cenę my wszyscy za to zapłacimy. Życie w niepewności, brak deadline'u są czymś deprymującym, wręcz abstrakcyjnym. Nie jest mi źle, bo jestem raczej zorganizowany i w swoim kalendarzu elektronicznym wszystko zapisuję w najmniejszych detalach i dzielę kolorami według kategorii. Myślałem, że gorzej będę znosił brak terminów koncertowych, ale jakoś daję sobie bez nich radę. Ale to tylko dlatego, że mam kilka swoich pobocznych działań. A może też dlatego, że mam fantastyczny dom, cudowną żonę i rodzinę – swoją oazę. Niektórzy ludzie tego nie mają albo nie czują, że mają. Albo czują, że to nie to. Nie jest mi źle, ta przerwa dobrze mi zrobiła. Dzięki niej poukładałem sobie pewne sprawy, natomiast już bym chciał wrócić, funkcjonować normalniej, mieć jakąś interakcję z ludźmi.

Robisz już plany na życiu po covidzie? Jesteś ciekawy nowego świata, czy raczej na myśl o nim cierpnie ci skóra?

Wszyscy właściwie zdajemy sobie pytanie, co by było, gdyby wróciły koncerty. Przez cały rok zadawano te pytania. „No nie, to byłby szok w ogóle, Jezu, jak ja marzę, żeby zobaczyć tych ludzi". Bardzo jestem ciekaw, jak zareagują ludzie, którzy będą mogli posłuchać żywej orkiestry, a nie grającej w maskach. Artyści będą co prawda odrobinę od siebie oddaleni, ale właściwie będzie to powrót do tego, co było. Nie będzie się to niczym różniło od koncertu poza tym, że będzie zapełniona połowa widowni. Choć nie miałem jakiejś znaczącej przerwy w występach, to jestem bardzo ciekaw, co poczuję, jak usłyszę nagle brawa, których nie słyszałem przez wiele miesięcy. To są fantastyczne

chwile, które nagle zaczynamy doceniać. Docenianie to w ogóle jeszcze inny temat, o którym tutaj szczegółowo nie opowiem. Ale myślę, że cała masa ludzi podczas lockdownu doceniła rodzinę; przede wszystkim zdała sobie sprawę z tego, co ma albo, niestety, czego nie ma. Oczywiście ukazały się też wtedy wszelkie niedobory czy niedostatki. Maciej Stuhr mówił na początku lockdownu o tym, że spotyka się z dziećmi, nagle ma na to czas, a zawsze był niedoczas. Bardzo docenił te chwile.

Trzeba trzęsienia ziemi, żeby docenić to, co naprawdę w życiu ważne?

Mam podobną refleksję – że czasami muszą nastąpić takie mocne wstrząsy w życiu, bo wtedy wiemy, że musimy otworzyć oczy na naszą codzienność. Może pandemia była po to, żeby dostrzec to, czego w pośpiechu nie sposób zobaczyć. Ale nie wiem, czy to nie jest zbyt optymistyczne spojrzenie. Szukam też dobrych stron pandemii i sam słyszę od ludzi, że ten czas dobrze im zrobił, przewartościował ich życie. Niektórzy na przykład odkurzyli porzucony fakultet. Znam takich ludzi, również artystów, którzy w ostatnim czasie poszukiwali w sobie jakichś nowych możliwości, więc zmuszeni, ale trochę też zainspirowani, nową sytuacją, skręcili w inną stronę. Rozmawiałem niedawno z jedną z wokalistek – śpiewała na co dzień w teatrze, a poszła w zupełnie inną dziedzinę. Zaczęła robić doktorat, została asystentką na uczelni, rozpoczęła pracę naukową. Powiedziała, że muzyka paradoksalnie teraz zyskała w jej życiu, bo nagle przestała być obowiązkiem i stała się pasją. I nagle to jej muzykowanie w czasie pandemii stało się prawdziwsze, bardziej naturalne, wyczekane, dające radość, a nie zmuszające do czegokolwiek. To

jeden z przykładów artystów, których pandemia uskrzydliła.

DOROTA ZAWADZKA

PSYCHOLOŻKA ROZWOJOWA, DORADCZYNI RODZINNA

JOANNA RACEWICZ: Co nam zostanie po zdalnej edukacji? Jakie pokolenie wyjdzie z takiej szkoły?

DOROTA ZAWADZKA: Wydaje mi się, choć oczywiście nie mamy żadnej pewności, że zostanie zaburzone poczucie własnej wartości dzieci i młodzieży oraz ich poczucie bezpieczeństwa. To jest trochę gdybanie na podstawie raportów i tego, co mówią rodzice, co mówią młodzi. Pojawi się jeszcze większe niezrozumienie potrzeb młodych ludzi przez nas, dorosłych, bo choć to wszystko wcześniej też się niestety działo i mieliśmy już doniesienia, że młodzi ludzie są teraz inni niż pięć, dziesięć czy piętnaście lat temu, pandemia to niezrozumienie pogłębia. Młodzi są teraz niebywale delikatni, wrażliwi, niegotowi na stres i z deficytami takich kompetencji społecznych, jakie my kiedyś mieliśmy. Bardzo wyraźnie widać, że w większości są nadwrażliwcami. Nie jest to oczywiście żaden zarzut, jedynie stwierdzenie faktu. Wynika to często z nadopiekuńczości rodziców i braku treningu społecznego. Oczywiście znajdą się i odporni psychicznie, stąpający mocno po ziemi, ale generalnie spora grupa to osoby niedostosowane, które już wcześniej miały z tego powodu masę problemów. Pandemia dołożyła im jeszcze brak przewidywalności, stałości – przez to wszystko nie wiedzą, co przyniesie jutro.

Nastolatek ogólnie nie wie, co będzie jutro, rano czuje się dzieckiem, po południu dorosłym, wieczorem znowu dzieckiem.

Tak i dlatego nie rozumie, co się z nim dzieje, którędy chce podążać. Dziś dodatkowo zaburzone jest poczucie bezpieczeństwa, pojawia się beznadzieja, która sprawia,

że w ogóle nie robi planów, bo już kompletnie nic nie wiadomo. Im dzieci są starsze, dojrzalsze, tym paradoksalnie będzie im trudniej. Maluchy i dzieci w wieku od ośmiu do dwunastu lat oczywiście też mają różne problemy, natomiast nastolatki z racji tego, że są nastolatkami, są wewnętrznie rozedrgane i szukają własnej tożsamości, swojego miejsca w świecie, dostaną bardzo po głowie. Myślę sobie, że trzeba będzie włożyć bardzo dużo pracy, by tym młodym ludziom pomóc, żeby dobrze sobie potem radzili jako dorośli ludzie. Jeżeli oczywiście będą tej pomocy chcieli, bo nie można robić nic na siłę. W każdym razie to na pewno będzie pokolenie, które zapamięta tę pandemię i to, co się z nią wiąże.

Skąd nadwrażliwość, o której mówisz? Ostatnio usłyszałam od młodego człowieka zdanie, które mnie przeraziło – że po tej pandemicznej szkole, w której teraz jest, będzie mógł ewentualnie rowy kopać. Zabrzmiało jak głos beznadziei…

Pewnie tak się czuł, bo wszystko, w co do tej pory inwestował emocje i intelekt, stało się niepewne. Zawsze jednak protestuję przeciwko twierdzeniom tego typu. Mam kalendarz, w którym zapisuję „złote myśli”. Wśród nich – żeby nigdy nie traktować cudzej pracy bez szacunku. Wystarczy wyobrazić sobie, co się zdarzy, jeżeli to ja nie będę wykonywać swojej pracy przez rok, i porównać z tym, co się stanie na świecie, jeśli śmieciarze albo kopacze rowów zarzucą swoje obowiązki przez ten czas. Która z tych profesji jest ważniejsza? Praca typu kopanie rowów czy wywożenie śmieci wydaje się wówczas zdecydowanie istotniejsza niż na przykład bycie psychologiem.

Protestuję. Teraz psychologowie są fundamentalnie ważni. Dzięki wam żyjemy.

No dobrze, trochę przerysowałam. Ale w słusznym celu, by pokazać, że każda praca jest ważna. Często nie zdajemy sobie sprawy z tego, że mniej „ambitne” czynności typu sprzątanie świata to niebywale ważna, odpowiedzialna, a także potrzebna społecznie działalność.

Pamiętasz strajk śmieciarzy w Neapolu sprzed kilku lat? Hałdy śmieci, smród nie do wytrzymania, szczury i robactwo…

Oczywiście. Ale wracając do twojego pytania, skąd się bierze ta nadwrażliwość. To bardzo trudne, złożone zjawisko psychologiczne i socjologicznie. Gdy mówi się o pokoleniu obecnych trzydziestolatków, to są to ludzie urodzeni po 1989 roku – w nowej wolnej Polsce. Często te dzieciaki miały wszystko, czego brakowało ich rodzicom. Zresztą to znany mechanizm, powojenne pokolenie otrzymało to, czego nie miało pokolenie wojenne, pokolenie z czasów Gierka uzyskało to, czego brakowało w okresie rządów Gomułki, itd. – to naturalny proces. Obecni szesnasto- czy siedemnastolatkowie to dzieci, o które rodzice dbają nieco ponad miarę. Oczywiście uważam, że o dzieci należy dbać. Natomiast ci rodzice zdecydowanie przesadzili, wyręczali dzieci w działaniu, myśleniu, wpakowali je w taki tunel – nie chcę tego nazwać wyścigiem szczurów, chociaż oczywiście można by pewnie tę definicję do tego przyłożyć – na końcu którego ma czekać sukces. Liczy się mieć. Ważna jest kariera. Przerzucili na dzieci to, co dla nich było istotne, co nareszcie można było osiągnąć w nowej, demokratycznej, proeuropejskiej Polsce. A ich dzieci bardzo często mają inne aspiracje, potrzeby czy marzenia i odnoszą wrażenie, że świat rodziców jest dla nich kompletnie niezrozumiały. One w ogóle nie postrzegają go w taki sposób jak rodzice. Mają ochotę poczytać poezję, potrzymać się za ręce, poprzytulać, a ciągle słyszą, że trzeba przeć do przo-

du po sukces, bo tylko to się liczy. I ta nadwrażliwość moim zdaniem bierze się też stąd, że współczesne dzieciaki mają bardzo mało kontaktów społecznych. Myśmy spędzali czas głównie bez dorosłych.

Teraz kontaktu z rówieśnikami jest jeszcze mniej. Lekcje od 8.00 do 16.00 przed komputerem, a potem też – spotkania z kumplami na Zoomie, bo na podwórku zbyt niebezpiecznie.

To tragedia. Serio. Młodzi chcieliby pobyć ze sobą blisko, to dla nastolatków najważniejsze – relacje społeczne z rówieśnikami. Najpierw ich rodzice uznali, że dzieci muszą osiągnąć sukces na miarę sukcesów swoich rodziców, muszą cały czas gnać do przodu i robić różne rzeczy, które staną się dla nich ważne kiedyś w przyszłości. Teraz dołożyła się pandemia. Życie w ciągłym biegu nie sprzyja nawiązywaniu stabilnych relacji z koleżankami i kolegami. Siedzenie plackiem w domu też nie pomaga. Ten brak kontaktów rówieśniczych w odpowiedniej ilości powoduje mniejszy trening społeczny. Myśmy jako dzieci mieli podwórka, trzepaki, harcerstwo, kolonie i obozy z dużą dozą wolności. Mieliśmy przestrzeń bez rodziców i spokój bez covidu… Przed pandemią wiele dzieciaków pędziło ze szkoły na jedne zajęcia, na drugie, na trzecie. Ciągle nowi ludzie, ciągle ktoś inny, a nastolatki mają potrzebę, aby być ze sobą blisko w określonej grupce, bo to im daje poczucie bezpieczeństwa.

Wczoraj rozmawiałam o tym z Jarkiem Szulskim. To świetny nauczyciel, który napisał świetną książkę *Nauczyciel z Polski*, naprawdę warto z nim pogadać, bo to ciekawy człowiek. Jest w stałym kontakcie ze swoimi uczniami gimnazjalnymi (bo on uczył w gimnazjum), którzy teraz uczą się w liceum, i oni stwierdzili, że tylko przez te trzy lata w gimnazjum pobyli w grupie razem, w liceum już tej

bliskości nie ma, bo nie ma na to czasu. To jak ci ludzie mają w ogóle funkcjonować? Są samotnikami, czują się wyrzutkami, nawet odrzutkami, i to nie pozwala im zbudować w sobie takiego poczucia, że można ludziom ufać, że można ludziom powierzyć jakąś swoją tajemnicę albo w ogóle być z drugim człowiekiem. Młodzi są wrażliwi na wiele kwestii, a co z tym robimy my, dorośli? Zobacz, co się stało, gdy pojawiły się te młodzieńcze pomysły typu strajk klimatyczny. Dorośli namawiali młodzież, żeby sobie dała spokój. „Przestańcie strajkować, wróćcie do szkoły" – tak mówili. Przez taką naszą postawę młodzi czują się zupełnie niezrozumiani, bo dla nich to bardzo istotna sprawa, a starzy chcieli, żeby sobie odpuścili, ponieważ to lekcje są najważniejsze.

Grecie Thunberg oberwało się parę razy także od Trumpa, jeszcze wtedy prezydenta Stanów Zjednoczonych, który nazywał ją nawiedzoną dziewczynką z zespołem Aspergera. Zresztą, nie tylko od niego. Ale z tego, co mówisz, wynika, że to my jesteśmy winni. Pokolenie między PRL a wolną Polską… Uważaliśmy się za straconą generację, spóźnionych na „Solidarność", zbyt wcześnie urodzonych, żeby wykorzystać czas przemian… Więc „wyhodowaliśmy" pokolenie skazane na sukces, które teraz dostaje obuchem w głowę z powodu covidu.

Mam wrażenie, że zapędziliśmy się w kozi róg, żeby nasze dzieci miały wszystko, zanim poproszą. Zanim pomyślą. Zanim zachcą. Zawsze przypominam rodzicom, że udzielanie pomocy ma sens tylko wtedy, kiedy ktoś o nią poprosi, bo tylko w ten sposób może nauczyć się samodzielności. Chyba że dzieje się jakaś tragedia, ale przecież nie we wszystkich domach dochodzi do nieszczęść, patologia to jednak margines. Trzeba być uważnym na młodych ludzi, ale nie wyskakiwać przed szereg. Przez tę ciągłą kuratelę

rodziców dzieci zatraciły zdolność decydowania o sobie i rozumienia własnych potrzeb. Wielu rodziców zgłasza mi ostatnio taki problem, że jak pytali młodych, co chcieliby dostać w prezencie na urodziny czy pod choinkę, to dzieci odpowiadały, że nic nie potrzebują. I rodzice pisali w tej sprawie do mnie. To są setki listów. Bo jak to możliwe, że dziecko niczego nie chce? To się rodzicom nie mieści w głowie.

Te dzieciaki już wszystko mają…

Mają, bo rodzice kupili, dali, załatwili. A często nie mają pojęcia, co im jest naprawdę potrzebne. Dzieciaki zostały pozbawione etapu gonienia króliczka, marzenia o czymś w danej chwili nieosiągalnym. To spowodowało, że teraz jest im wszystko jedno. Że trochę zobojętnieli. Gdy mówimy o emocjach na przykład, to wiemy, że emocja ma znak, siłę, treść i amplitudę. A młodzi są tacy trochę przytłumieni, bo im nie zależy. To rodzicom zależy bardziej. My, psychologowie, dostrzegamy to zjawisko i przestrzegamy przed nim, ponieważ rodzicowi nie powinno zależeć bardziej. Bo jak to rodzicom będzie bardziej zależało, to tego młodego człowieka wychowają na kogoś, kto będzie się bał podejmować decyzje i brać za nie odpowiedzialność. Rodzice mają teraz taką skłonność, żeby kwestionować czy krytykować pomysły, marzenia i działania dzieci w myśl zasady, że wiedzą przecież lepiej, co dobre dla ich pociech obecnie i w przyszłości. Chcą je chronić, ale to ślepy zaułek. I nie mam tu na myśli żadnych patologii, tylko domy, w których dzieci są bardzo kochane, tylko niestety w głupi sposób.

Zamknięcie w czterech ścianach nie ułatwia tej relacji.

Przeprowadzono już szereg badań na ten temat – w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, we Włoszech, tak-

że u nas, w Polsce. Odcięcie od szkoły w realu oraz pozbawienie kontaktów rówieśniczych spowodowały bardzo skrajne reakcje. Część nastolatków się wycofała, zamknęła w sobie, zniknęła, naciągnęła koc na głowę i udawała, że to się nie dzieje. Byli i tacy, którzy spożytkowali swoją energię w fajny sposób, bo przecież cała masa takiej młodzieży wspierała starszych, woziła seniorom jedzenie i organizowała się, żeby pomagać. Świetnie się w tym realizowali. Pojawiła się taka grupa, która w domach była nie do zniesienia, rodzice zgłaszali przejawy agresji, pyskówki, złe zachowanie. To był efekt stresu, efekt lęku wywołanego pandemią. Odnotowano wreszcie grupę młodzieży, która doświadczyła różnych rodzajów przemocy ze strony rodziców dlatego, że siedzieli razem w czterech ścianach. Wcześniej młodzi mogli trzasnąć drzwiami i wyjść z domu do szkoły, do kolegów, na podwórko, i wrócić wieczorem, a teraz tkwili zamknięci z oprawcą czy oprawcami. Mówię o przemocy fizycznej, psychicznej, emocjonalnej i ekonomicznej, o różnej. To też wyszło w tych badaniach.

Miałaś teraz takich pacjentów?

Przemocowych nie. Jeden chłopiec napisał do mnie, bo miał straszne problemy z matką, ale one zawsze istniały, a teraz zrobiło się po prostu gorzej. Takie sytuacje pojawiały się częściej na początku pandemii, podczas pierwszego wiosennego lockdownu, teraz takich głosów jest mniej. Wiosną 2020 roku młodych najbardziej denerwowało to, że rodzice byli non stop obecni. Że cały czas wisieli im nad głową. Że cały czas ich kontrolowali. Że oni już w ogóle nie mieli przestrzeni dla siebie, powietrza do oddychania. Że rodzice zaglądali co chwilę do pokoju i sprawdzali, czy dzieci odrabiają lekcje, czy połączyły się

na zdalne nauczanie, czy włączyły kamerkę. I wciąż, nieustannie, zadawali pytania, dlaczego, po co, kiedy itd.

Dzieciaki kompletnie straciły swoją prywatność z powodu permanentnej obecności rodziców za ścianą, ale także z powodu szkoły, bo nagle ta szkoła chciała zaglądać do ich pokoi. Niektóre dzieci wstydziły się tego, jak mieszkają, wcześniej nikt tego nie widział, a teraz kamerka śledziła każdy ich ruch. Dlatego nie włączały kamerek podczas lekcji, co mocno frustrowało nauczycieli. Pytałam młodych, dlaczego tak postępują, to odpowiadali, że nie chcę, żeby ktoś im do pokoju zaglądał, wcześniej koledzy ich nie odwiedzali, to dlaczego teraz mieliby to robić? A przecież ten problem tak łatwo rozwiązać, wystarczy pokazać na przykład, jak zmienić tło, aby pokój pozostał w ukryciu. W niewielu szkołach przeszkolono uczniów, jak mają korzystać z tych nowych narzędzi, a przecież wcześniej nie posługiwali się nimi wcale.

Tak więc, jak widzisz, młodzież różnie zareagowała na pandemię. Gdyby istniał tylko jeden typ zachowań, to psychologowie już dawno wymyśliliby jakąś „szczepionkę emocjonalną” i zaaplikowali ją tym dzieciom. Ale to tak niestety nie działa.

Nauczyciele mówią o zjawisku znikających uczniów – takich wypadających z systemu: nie logują się na lekcje, nie wiadomo, co się z nimi dzieje, nie ma kontaktu z ich rodzicami.

Sporo jest takich dzieci, które z różnych powodów, także technicznych, na przykład braku dostępu do Internetu czy komputera, nie pojawiają się na lekcjach. Prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski mówił, że stołeczny ratusz próbował to policzyć, zapewne w każdym mieście sytuacja wygląda podobnie. Tylko to nie powinien być problem władz miasta, a dyrektora szkoły i wychowawcy, bo to

szkoła jest odpowiedzialna za swojego ucznia. Co to znaczy, że go nie ma? To znaczy, że dyrektor czy wychowawca mają, za przeproszeniem, psi obowiązek tego dzieciaka znaleźć i się dowiedzieć, co się z nim dzieje. Po prostu. Tak jak mówimy, że w systemie giną małe dzieci do lat trzech, bo nigdzie nie są zarejestrowane poza aktem urodzenia i potem ich nie ma, dopóki nie trafią do przedszkola, tak tutaj też nam poginęły dzieci, szczególnie właśnie licealiści. I ostatnie klasy podstawówek. Nie chcę generalizować, bo generalizowanie nigdy nie jest dobre, ale i tak zostałam już okrzyknięta wrogiem rodziców, to powiem, co myślę. Uważam, że kompetencje rodzicielskie rodziców nastolatków są mierne. Nastolatki dostają komunikat: masz piętnaście lat, jesteś już duży, prawie dorosły, przecież możesz uprawiać seks, to poradź sobie, wymyśl, co teraz zrobisz. A to są strasznie pogubieni młodzi ludzie, którzy wciąż chcieliby się czuć małymi synkami i córeczkami mamusi i tatusia, tylko się tego wstydzą.

Tylko – bądź tu mądry… Jak znaleźć równowagę między potrzebą uszanowania prywatności młodego człowieka a rodzicielską troską i niepokojem – czy jest na lekcji czy na platformie z grami?

Jestem przeciwniczką kierowania dzieckiem w takim znaczeniu, że rodzice z definicji wiedzą lepiej, co jest niezbędne. Psychologia dosyć dawno odeszła od takiego podejścia. Trzeba wręcz założyć, że małe dziecko jest kompetentne i wie lepiej niż mama, czy jest głodne i czy chce mu się siku. To ono czuje, czy jest zmęczone. A naszym zadaniem jest to zauważyć i rozpoznać potrzeby, emocje. I to samo dotyczy nastolatka. Nastolatek wie, co mu robi dobrze, tylko oczywiście czasami są to rzeczy, które z punktu widzenia rodzica okazują się trudne do zaakceptowania.

Już słyszę rodziców, którzy łapią się za głowę i mówią: „Zaraz, zaraz, co ta Zawadzka wygaduje?!”. Czyli jak nastolatek próbuje dorosłego życia na różne sposoby, bo uważa, że wie lepiej – to też jest dla niego dobre?

Nie, nie, nie. Mówisz teraz o zachowaniach ryzykownych, które są oczywiście wpisane w definicję nastolatka.

I on powie, że to właśnie dla niego dobre.

Poczekaj. Dziecko nie staje się nastolatkiem z dnia na dzień. Mamy kilkanaście lat na to, żeby i siebie, i dziecko przygotować do tego trudnego momentu w życiu. Rozmawiam z rodzicami nastolatków i pytam, jaką książkę o psychologii nastolatka przeczytali. A rodzice mówią, że nie ma takich książek. Odpowiadam, że nie ma ich za wiele, to prawda, ale jednak istnieją. I teraz pojawia się kwestia, czy jesteś gotów na tego człowieka, który siedzi w drugim pokoju. Czy rozumiesz, dlaczego na przykład on kłamie? Napisałam zresztą taki tekst o kłamaniu właśnie i kilka osób mi odpowiedziało, że w ogóle nie patrzyły na to w ten sposób.

Czytałam. O tym, że dziecko kłamie, bo chce ochronić rodzica.

A to żadna wiedza tajemna. Nastolatki oczywiście prezentują różne zachowania ryzykowne, bo to jest wpisane w definicję tego etapu rozwoju, ale nastolatki, które mają takie rzeczy przegadane z rodzicami, wiedzą, że mogą się sprzeciwić grupie rówieśniczej. Mogą powiedzieć „nie” – nie zapalę, nie spróbuję, nie napiję się – ponieważ ich rodzice zrozumieli w odpowiednim momencie, że trzeba w dziecku trenować umiejętność postawienia się autorytetowi. A tym autorytetem przez lata był kto? Rodzic. I jeśli dziecko może powiedzieć rodzicowi, że czegoś nie zrobi, i przegadać z nim powody swojej decyzji, uzyskać akceptację dla swojej odrębności, czuć się w tej sytuacji bezpiecz-

nie, to ono wie, że jak powie „nie” autorytetowi, to świat się nie zawali. W związku z tym może się sprzeciwić rówieśnikom, którzy stają się w pewnym momencie autorytetem. I świat się nie kończy. Rodzice, który świadomie wcześniej pracowali nad samooceną swojego dziecka, dostają człowieka, który w wieku szesnastu lat na zaczepkę kolegów w stylu: „Boisz się”, odpowiada: „Nie boję się, po prostu nie jestem zainteresowany”. To, co się dzieje z dziećmi, gdy stają się nastolatkami, wynika z ich wcześniejszego życia. Rodzice powinni mieć tę świadomość i starannie przygotować siebie i dziecko na ten trudny czas w rozwoju potomka.

Spójrzmy na nastolatki z punktu widzenia pandemii, strachu, niepewności i inwigilacji rodzicielskiej i dodajmy do tego dramatyczny raport o polskiej psychiatrii, gdzie na wszystkie dzieciaki w Polsce przypada czterystu piętnastu specjalistów. Według Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę statystycznie w każdej dwudziestoośmioosobowej klasie dwoje nastolatków miało myśli lub próby samobójcze. Cierpnie skóra…

Zaczęłabym od tego, że żyjemy w bardzo trudnym momencie. Żyjemy w czasie krytycznym, na który nikt z nas nie był gotowy. Ani dorosły, ani dziecko, w związku z tym rzeczy, które się dzieją, wszystkich nas zaskakują. Nikt nie był przygotowany na to, co się wydarzy, nikt nie był przygotowany na to, jak to długo potrwa. Pamiętam, jak w zeszłym roku w marcu rozmawiałam o dwóch, może trzech tygodniach izolacji, a potem powrocie do normalności. Nie wróciliśmy, potem trochę latem wróciliśmy, potem znowu nas zamknęli i tak teraz co chwilę wracamy, nie wracamy. Nie wiesz, co cię czeka następnego dnia. Ale pojawiają się też pozytywy tej sytuacji.

Mam wiele przyjaciółek, które są zatrudnione w korporacjach i teraz pracują zdalnie z domu. To także matki nastolatków. Pytałam je, jak sobie wyobrażają powrót do biura. W ogóle sobie tego nie wyobrażają, bo dzięki pandemii lepiej poznały swoje dzieci i dalej chcą z nimi być. Nareszcie mają czas, żeby z tymi dziećmi pogadać, pograć, wyjść na spacer, przyjrzeć się im, pójść z nimi na terapię, pójść na terapię rodzinną. Nie wysłać dziecko, gdy ma problem, bo to najprostsze rozwiązanie. Pójść całą rodziną. Wszyscy się edukują, wszyscy się rozwijają, żeby ten czas dobrze wykorzystać i pomóc rodzinie systemowo.

Ważna jest uważność, *mindfulness*, skupienie na drugim człowieku. Stwarzanie poczucia bezpieczeństwa. Pokazywanie, że rodzic wspiera dziecko, że jest po jego stronie na dobre i na złe, daje mu kredyt zaufania, bo relacja i praca z nastolatkiem opierają się właśnie na zaufaniu. Lisa Damour w książce *Zaplątane nastolatki* porównuje rodziców do brzegu basenu. Rodzic nastolatka musi zawsze być jak brzeg basenu. Nastolatek wyskakuje na głęboką wodę, tam świruje, robi różne dziwne rzeczy, traci siły, trudno mu złapać oddech i na ostatnich oparach wraca do rodziców, łapie się brzegu basenu, rodzice go tam reanimują, pomagają mu, wspierają, dają głaski, oczekując, że zostanie. A on jak tylko nabierze sił, odbija się nogami od brzegu i znów zapiernicza na głębię, i znowu tam świruje. A za chwilę wraca wyczerpany. Tylko te powroty robią się coraz rzadsze, bo on sobie coraz lepiej radzi. I na tym to polega. Nie mamy przytrzymywać nastolatka przy sobie. Mamy dać mu poczucie bezpieczeństwa i wypuścić go w świat ze świadomością, że w razie czego zawsze będziemy gotowi na brzegu basenu udzielić mu pomocy. Że jak ta skała będziemy tam trwać.

Piękne i malownicze. Ale jak się stać stabilnym brzegiem basenu dla dziecka, gdy wszyscy tkwimy w głębokiej i nieznanej wodzie?

Jesteśmy dorośli i nie możemy oczekiwać, że dzieci staną się dla nas wsparciem. A tak bywało. Pracowałam z nastolatkami, które mówiły, że muszą trzymać matkę za rękę, bo ona się rozwodzi. Rozumiem, że to może być jednorazowa sytuacja to podtrzymywanie na duchu, ale nie trwająca rok. Bo to matka ma wspierać dziecko, bo to jemu świat się rozpadł. Bardzo często odwracamy ten proces i oczekujemy, że nasze dzieci staną się naszymi rodzicami, a my wejdziemy w rolę dzieciątek. Rozumiem, że wszystkim jest teraz ciężko. Mnie też skrócił się lont. Ale mówię: „Ładuj swoje akumulatory dorosły. Szukaj wsparcia. Dowiaduj się, jak możesz pomóc najpierw sobie, a potem nastolatkowi". Rodzic powinien działać tak samo, jak postępuje z maskami tlenowymi w samolocie – najpierw sam wkłada, a potem pomaga dziecku. A nie mówi: „No ja jestem taki biedny, taki mały, nie mogę, nie potrafię, radź sobie dzieciaku sam". Bo to się zawsze źle skończy. Czy jest covid, czy go nie ma. Teraz średnio raz w miesiącu robię pogadankę psychologiczną i podczas najbliższej będę rozmawiała o tym, co pozytywnego covid nam dał. Bo wszyscy potrafimy wskazać, co przyniósł złego. Warto spojrzeć szerzej.

Świetnie. Wyprzedziłaś moje pytanie – co dobrego przyniósł covid?

Wszyscy oczywiście potrafią podać całą masę negatywnych przykładów. A wydarzyło się wiele dobrych rzeczy. Naprawdę dobrych. W każdej zmianie należy szukać pozytywów. Dzięki temu przecież się rozwijamy. W rodzinnych kręgach zbliżyliśmy się do siebie. Słuchamy siebie. Wspól-

nie spożywamy posiłki. Dostrzegliśmy, że nasze dziecko interesuje się zupełnie czymś innym, niż nam się do tej pory wydawało. Że nie lubi włoskiego, woli niemiecki. Że nie ma przyjaciół. Albo że ciągle ktoś do niego dzwoni, gada z jakimiś ludźmi. Że nienawidzi szkoły i w związku z tym *homeschooling* będzie dla niego lepszym rozwiązaniem w przyszłości. Że chciało pójść na architekturę, a teraz myśli o tym, żeby jednak zostać weterynarzem. Uważam, że można naprawdę sporo tego znaleźć, dlatego namawiam do szukania dobrych stron covidu, patrzenia na jasną stronę mocy, dostrzegania szklanki do połowy pełnej i trenowania wdzięczności, bo łatwo wpaść w ruchome piaski, które cię pociągną w dół. Ale uchwycenie linki, dzięki której dasz radę stamtąd się wykaraskać, jest możliwe.

A twoja linka, Doroto? Znalazłaś ją?

Tak, choć zdaję sobie sprawę, że nie jestem najlepszym przykładem. Po roku w pandemii musiałam ograniczyć bardzo wiele aktywności w Internecie, live robię tylko dwa razy w tygodniu zamiast codziennie, webinary tylko raz w tygodniu. Nauczyłam się odmawiać, ponieważ się przemęczyłam. Moje zasoby się wyczerpały. Po prostu jestem wyczerpana dawaniem, chociaż uwielbiam to robić. Ale musiałam przystopować. I każdy z nas też powinien tak postąpić – dać sobie prawo do bycia zmęczonym, zniechęconym, przemęczonym i wygospodarować na przykład godzinę tylko dla siebie raz w tygodniu. Rodzic ma do tego prawo, ale dzieciak też musi dostać na to przyzwolenie, też może się czuć wyczerpany i potrzebować czasu na nicnierobienie. Powinniśmy przykładać tę samą miarę do wszystkich. Rodzice twierdzą, że dzieci są młode, poradzą sobie, dźwigną tę sytuację, ale one tego nie zrobią, a my

będziemy zbierać pokłosie tego, że zostawiliśmy dzieci same. I one także poniosą tego konsekwencje. Rozumiem, że covid wszystko skomplikował, utrudnia nam życia, ale nie można nim wszystkiego usprawiedliwiać. A mam wrażenie, że tak właśnie zaczynamy myśleć.

Większość rodziców, już nie tylko nastolatków, martwi się, bo dzieci uciekają w wirtualną rzeczywistość. Właściwie jedyną dostępną bez maseczki i ograniczeń. Spędzają tam dużo więcej czasu niż w realu. Znam domy, w których funkcjonują specjalne słoiki czasowe, do których wszyscy członkowie rodziny wrzucają telefony, żeby odciąć się od Internetu i mieć czas dla siebie. I co? I pstro, bo dziecko potrafi stłuc słoik, tak bardzo chce się dostać do świata, który zna i akceptuje. Do social mediów i gier.

Od lat prowadzę warsztaty pod tytułem *Czy wiesz, gdzie jest teraz twoje dziecko*. To dotyczy właśnie sieci, a nie realu. Bo rodzice często myśleli, że jak dziecko siedzi w swoim pokoju i gra w grę, to jest bezpieczne. A nie jest, dzieją się tam bardzo różne rzeczy. Więc to, gdzie jest teraz twoje dziecko, to takie hasło, nawet miałam kiedyś zrobić o tym kampanię społeczną, ale wiadomo, że to się nie udaje prywatnym osobom. Nieważne. Nadal edukuję na ten temat. Przedtem prosiliśmy dzieci: „Nie siedź przed komputerem cały czas”. Potem przyszedł covid i mówiliśmy: „Siedź, siedź, siedź, bo szkoła, lekcje, zajęcia dodatkowe, praca domowa…”.

Sprzeczny komunikat…

Oczywiście sprzeczny komunikat. To znaczy sprzeczny i nie sprzeczny. Zupełnie nowy. Po czym mówiliśmy: „Nie siedź po lekcjach przed komputerem, bo już siedziałeś osiem godzin w szkole on-line, więc teraz się wyloguj”. A młody człowiek chciałby z kolegami wreszcie pogadać, bo w trakcie lekcji nie miał takiej opcji. Nie ma innego ży-

cia towarzyskiego, jak to wirtualne. Nie wyjdzie na podwórko, może wprawdzie porozmawiać przez telefon, ale to tylko z jedną osobą naraz, a w sieci z całą klasą. I mogą pograć, ale też pogadać. I co my, rodzice, możemy z tym fantem zrobić? Nie demonizować. Trzeba założyć, że z tymi technologiami zostaniemy już na zawsze. Polecam książkę *Glow Kids*, która wskazuje wiele zagrożeń w relacji człowiek – ekran komputera, tabletu czy smartfona, ale też tłumaczy, dlaczego psychologowie uznali, że to, ile czasu spędzamy w wirtualnej rzeczywistości, ma drugorzędne znaczenie. Ważne okazuje się to, w jaki sposób ten czas tam spędzamy. Jeżeli ktoś czyta książki, korzystając z telefonu komórkowego, to niech to robi całą dobę. Jeżeli ktoś ogląda filmy podróżnicze albo uczy się czegoś i odwiedza kanały, które pokazują różnorakie doświadczenia społeczne, fizyczno-chemiczne czy matematyczne, no to super.

Ale wydaje mi się, że rodzice, którzy narzekają, że ich dzieci za dużo czasu spędzają w rzeczywistości wirtualnej, mają coś innego na myśli. Ich pociechy nie męczą oczu filmami Davida Attenborough ani nie zaczytują się w *Przygodach Tomka Sawyera* na tablecie.

Rozumiem, tylko trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, czy ten rodzic i ta rodzina są atrakcyjni dla nastolatka. Bo jak pytam matkę, co jej zdaniem zaciekawi jej nastoletnie dziecko, w jaki sposób rodzic może się stać atrakcyjny dla nastolatka, to matka proponuje wyjście do galerii… handlowej. „No ale w lockdownie zamknięte” – odpowiadam. „To może jednak muzeum?” – podrzuca matka. Też zamknięte. „To może spacer?”. Wtedy pytam: „Znasz nastolatka, dla którego spacer byłby fajny?”. Ja nie znam. Dla przedszkolaka będzie dobry, bo można go zimą na sankach pociągnąć, wiosną pokazać budzącą się do życia przyrodę.

Na narty nie pojedziesz, bo stoki i hotele zamknięte. A jak nawet już otwarte – to zatłoczone. Za granicę nie polecisz. Więc proponuję: „Wymyśl rodzicu, jak stać się atrakcyjnym dla swojego dorastającego dziecka”. No właśnie – jak? Rodzicom nie przychodzi do głowy, żeby zapytać nastolatka. A on wskaże rozwiązanie. Tylko to będzie pomysł, który wcale nie musi być dla nas ciekawy. Bo nastolatek chciałby na przykład pomalować swój pokój na czarno. I od razu afera, jak to na czarno. Zamiast się cieszyć, że ma ochotę pomalować, to awantura o kolory. Albo nastolatka chciałaby ufarbować włosy na zielono. I znów rodzicowi nie mieści się to w głowie, i krytykuje, i nici ze znalezienia wspólnego mianownika. Zapytaj swojego nastolatka, w czym możesz mu pomóc, jakich kompetencji możesz go nauczyć. Przecież my tego w ogóle nie robimy. Ostatnio przygotowałam wyzwanie dla matek. Poprosiłam, żeby sprawdziły, czy ich nastolatek wie na przykład, gdzie znajduje się zawór do zakręcenia wody w domu, czy umie uruchomić pralkę, uprasować sobie koszulę, wiertarką wywiercić dziurę w ścianie, umocować kołek i zagipsować, przyszyć guzik. A matki zdziwione pytały, po co komu takie umiejętności, przecież nikt już nie przyszywa guzików ani nie ceruje skarpet. Nie o umiejętności chodzi, tylko o to, że to może być dla dziecka atrakcyjne. Ja się nauczyłam w covidzie wielu rzeczy, na przykład strzyc mojego męża.

Nie mogę sobie wyobrazić mojego syna przyszywającego guziki.

Problemem jest twoja wyobraźnia, a może się okazać, że synowi się spodoba. Pooglądaj z nim stare filmy z MacGyverem. Może się okaże, że te pomysły zrobią na nim wrażenie, a reaktor atomowy zaklejony gumą do żucia to bę-

dzie coś. Był o tym odcinek. Albo film *Apollo 13*. Gdy załoga miała kłopot na orbicie, to w centrum kontroli lotów zebrano przedmioty, którymi dysponowali astronauci, pokombinowano i wymyślono, jak mogą naprawić usterkę. Chodzi o to, żeby zrobić coś z niczego. Stworzyć coś swoimi rękami. Moja przyjaciółka zafundowała mężowi i synowi udział w warsztatach stolarskich pod choinkę. Pojechali robić stolik. Wrócili umordowani z jakimiś drewnianymi wypierdkami, żadnego stolika to nie przypominało. Ale byli najszczęśliwsi na świecie, ponieważ zdobyli nowe kompetencje, które być może nigdy do niczego im się nie przydadzą. A może przydadzą. Nigdy nie wiesz. Zwierzątko, roślina, coś, za co dziecko może wziąć odpowiedzialność. Bo my, rodzice, nie dajemy naszym pociechom podejmować decyzji i ponosić za to odpowiedzialności. My wiemy lepiej. A to jest naprawdę ślepy zaułek.

Psychologowie, psychoterapeuci, doradcy rodzinni – wszyscy macie teraz co robić… Nie chcę twierdzić, że jesteście „beneficjentami" pandemii, bo to mogłoby zabrzmieć cynicznie… Ale to wielkie globalne „sprawdzam" pokazało jak w soczewce, jak wiele rzeczy mamy „do przerobienia" – w domach, z dziećmi, z sobą samymi…

Nie jestem terapeutką, tylko doradcą rodzinnym, udzielam dobrych rad, gdy zostanę o to poproszona. I odsyłam, jak trzeba, na terapię, tłumaczę, dokąd pójść, co zrobić, jaką książkę przeczytać. Wskazuję drogę. Mam raczej pacjentów jednorazowych, chociaż ostatnio pracuję z kilkoma parami w sprawach rozwodowych. Covidowych rozwodowych. Pandemia spowodowała, że postanowili się rozejść i chcą zrobić to dobrze.

Za dużo czasu spędzali ze sobą i się okazało, że to nie to?

Właśnie tak. Gdybym była w stanie pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę, to mogłabym tyle czasu siedzieć przed komputerem i przyjmować potrzebujących. I oczywiście z jednej strony mówię sobie, że to dobrze, jest praca, ale z drugiej strony problemy, które się pojawiły, są problemami, z którymi wcześniej nie miałam do czynienia. Nie dlatego, że nie istniały, tylko dlatego, że ludzie nie zwracali na to uwagi. A teraz, ponieważ są bliżej ze sobą, dostrzegli, że to jest albo może być istotne. Oczywiście cieszy mnie, że oni to widzą. Na przykład rodzice mówią, że podejrzewają, że ich córka ma zaburzenia odżywiania. No i zaczynamy rozmawiać, dlaczego tak sądzą, co ich niepokoi. Albo na przykład rodzic się boi, że jego dziecko się tnie, bo ma na rękach ślady, wcześniej ich nie miało, a teraz nosi ubrania z długimi rękawami i w ogóle jest burkliwe. Kolejny rodzic niepokoi się, że syn spędza długie godziny w toalecie i chyba się onanizuje. Oczywiście jak mamy nastolatka w domu, to go nie zmusimy do rozmowy z psychologiem czy psychoterapeutą, to musi być jego wola. Ale próbujemy rozmawiać.

Z jednej strony cieszę się, że rodzice stali się bardziej uważni, że dostrzegają różne rzeczy i troszczą się o dzieci, natomiast z drugiej strony mam wrażenie, że też doszukują się czasem na siłę. Na przykład jedna mama napisała, że jej dziecko ciągle klepie ją po ramieniu i to na pewno jest jakieś zaburzenie.

Te różne zjawiska występowały również wcześniej, tylko teraz je dostrzegamy, bo siedzimy zamknięci z dziećmi w czterech ścianach. Nasza sytuacja przypomina mi trochę laboratorium na Wydziale Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego. Tamtejsi pracownicy zajmowali się badaniem szczurów. Stały tam klatki, szczury biegały przy zapalonym świetle i w ciemnościach, bez jedzenia, i z jedze-

niem, umieszczano ileś tam szczurów w jednej przestrzeni i sprawdzano, kiedy zaczną się zagryzać. Eksperymentowano. I my teraz też siedzimy razem w zamknięciu w ograniczonej przestrzeni, obijamy się o siebie, nikt nie może wyjść, no to zaczynamy się „zagryzać”. Prosta prawda psychologiczna. Do jej odkrycia covid wcale nie był potrzebny.

No tak, ale przyspieszył wiele procesów, o których mówisz.

Uwypuklił je, sama powiedziałaś – jak w soczewce. Prowadzę warsztaty o kompetencjach przyszłości. Moją ulubioną jest rezyliencja, czyli umiejętność podniesienia się po szoku, coś więcej niż elastyczność. Współczesne dzieciaki w ogóle nie posiadają tej kompetencji. Zresztą my wszyscy mamy z nią problem. Nie wiemy, jak ją w sobie wyćwiczyć, więc nie umiemy nauczyć tego dzieci. Gdy nastolatki z czymś sobie nie radzą, wydarzy się coś niefajnego, to od razu jest dla nich koniec świata. A my, dorośli, nie mamy zasobów, żeby im pokazać, jak podnieść się po porażce. Że to jednak nie totalny koniec świata, choć być może koniec jakiegoś świata. Rezyliencja bardzo by nam się przydała tu i teraz, w pandemii. Bo zobacz – wierzymy, że za chwilę wrócimy do normalności, ale powinniśmy sobie uświadomić, że normalność, której doświadczaliśmy rok czy dwa lata temu, prawdopodobnie w ogóle nie wróci. I trzeba być elastycznym, przygotować się i zaakceptować zmianę, koniec świata, który do tej pory znaliśmy. W zeszłym roku kupiłam bilet na koncert mojego ulubionego artysty, który miał się odbyć w Barcelonie. Już drugi raz został przełożony.

Czyj to koncert?

Marka Anthony’ego. Miał przylecieć 20 czerwca do Europy na krótkie tournée i niestety się nie odbyło. I nie wiem,

czy następnym razem się uda, czy na pewno ponowią trasę koncertową, czy dam radę dojechać i czy to ma sens. Bo nie wyobrażam sobie siebie w stutysięcznym tłumie. Nie wiem też, jak będziemy podróżować. Niektóre kraje chcą wpuszczać tylko zaszczepionych. Podobnie linie lotnicze.

Za chwilę pojawi się pewnie „paszport szczepionkowy”.

Już to wszystko pokazuje, jak bardzo świat się zmieni. A to dopiero początek. Mój syn poleciał z rodziną na urlop do Dubaju. Jest zachwycony, tylko nikogo tam nie ma. Normalnie na Burj Khalifa w ciągu godziny wjeżdża tysiąc osób, a teraz było zaledwie dziewięć.

Idealne warunki do podróżowania i zwiedzania. O ironio…

Są zachwyceni. Nie ma turystów, w hotelu pustki, basen tylko dla nich. Cudownie. Za jedną trzecią ceny. Ale ja bym nie pojechała na urlop, żeby cały czas chodzić w maseczce. Bo poza basenem i plażą trzeba ją nosić, trzymać dystans, uważać, przestrzegać zasad. To wszystko oznacza, że nasza przyszłość to nie będzie taka normalność, jaką znaliśmy do tej pory. A z drugiej strony – moja siostrzenica mieszka w Nowej Zelandii. Oni żyją bez wirusa – zamknięci.

No, ale oni mają twardą panią premier, która potrafiła zamknąć półtoramilionowe Auckland, gdy u trzech osób – pary i ich dziecka – stwierdzono koronawirusa. Jacinda Ardern uznała, że służby muszą mieć czas, żeby znaleźć źródło zakażenia, i nieustannie powtarza, że Nowa Zelandia będzie zamknięta dla świata do chwili, aż otwarcie granic będzie bezpieczne. Efekt – w pięciomilionowym kraju było niespełna dwa i pół tysiąca przypadków zachorowań. Zmarło dwadzieścia pięć osób.

Bardzo mi imponuje ich metoda. Zamknęli granice rok temu, nikogo prawie nie wpuszczają, kwarantanna trwa trzy tygodnie, wygrali. Mają otwarty korytarz tylko z Wyspami Coocka i Australią, i to z ograniczeniami. Ale w zasadzie nigdzie nie mogą wyjechać, nie mają turystów. Jakoś na nowo się zorganizują, ale to będzie już inna rzeczywistość. Ich „nowa rzeczywistość". Młodzi ludzie jeszcze nie zdają sobie sprawy, ile covid im odebrał. Nie wsiądą sobie na przykład, ot tak, do samolotu jak parę lat temu i nie polecą, gdzie chcą. Bo w każdej chwili może się okazać, że dany kraj zamyka granice z powodu kolejnej fali pandemii. To może potrwać rok, dwa, może za dwa lata świat uzyska odporność stadną, ale nikt nie wie, czy nie pojawi się kolejny syf. Weszliśmy w fazę trudnych czasów. Chociaż mój tata, który ma dziewięćdziesiąt lat, uważa, że dopóki bomby nie lecą nam na głowy, sklepy są pełne jedzenia i można wykupić abonament w Netflix, to nie ma się czym przejmować. „Jakie trudne życie?" – pyta. „Że w domu musisz siedzieć? Że pracujesz zdalnie? No proszę cię…".

Wszystko jest kwestią perspektywy.

Oczywiście, że tak. I dlatego te nastolatki, które zostały przyzwyczajone, że wszystko mogą, wszystko im wolno, wszystko jest dla nich, wszystko jest dostępne, wszystko jest kwestią pieniądza, w pandemii się dowiadują, że jednak nie wszystko można. I to jest największy dramat tych młodych ludzi, zresztą wszystkich ludzi.

A gdybyś spojrzała tak mentorsko, pedagogicznie, to jak lekcja pandemii wpłynie na tych, którzy znają czasy sprzed zarazy, i na dzieci, które nie będą pamiętać innego dzieciństwa? Dla których covid będzie doświadczeniem pokoleniowym?

Na pewno to jest ważna lekcja pokory, którą otrzymaliśmy od przyrody, bo chcę wierzyć, że wirus nie został sztucznie stworzony w laboratorium w Wuhanie. Musimy nabrać pokory i przestać traktować świat jak swoją własność. Zatroszczyć się o klimat, zmniejszyć swój ślad węglowy, sortować śmieci, żeby wokoło było ładnie i miło. Szukać we wszystkim dobrych małych rzeczy. I zwrócić się ku sobie. Być blisko ze sobą i z rodziną, dbać o własne zasoby, czynić dobro, być dobrym dla siebie i dla innych, bo covid spowodował wielkie podziały między ludźmi, większe niż PiS. Widać to po dyskusjach na Facebooku czy Twitterze. Ludzie skaczą sobie do gardeł. Bardzo szybko obrzucają błotem. Nie przebierają w słowach. To wynika z frustracji, dlatego warto się starać być dobrym człowiekiem.

Wygląda na to, że w takim życiu, jakie wiedziemy teraz, przyjdzie nam urządzić się na jakiś czas, w związku z tym warto dobrze się w nim umościć. Wypracować rutynę, zbudować sieć społeczną, dbać o samorozwój. Myślę, że to taki czas, w którym powinniśmy się skupić na sobie. Nie egoistycznie, ale żeby to był czas inwestowania w siebie. Dbania o siebie, myślenia o sobie.

Tylko czy ty nie mówisz o takim idealnym świecie, o czubku piramidy Maslowa? Wprawdzie podobno jesteśmy zieloną wyspą, mamy tylko niespełna trzyprocentowy spadek PKB, co można uznać za sukces, ale to jest skala makro. A ja myślę o człowieku, który znalazł się wśród tych czterystu tysięcy, którzy stracili pracę w hotelarstwie, albo wśród tych trzystu tysięcy, którzy stracili pracę w branży fitness, albo w handlu – o osobach, które się zastanawiają, czy będą miały co do garnka włożyć, więc nie myślą o samorozwoju.

Doskonale to rozumiem. Zgadzam się z teorią Maslowa, że najpierw trzeba zaspokoić podstawowe potrzeby, żeby my-

śleć o tych umiejscowionych na wyższych piętrach jego piramidy. Mam wielu przyjaciół hotelarzy, których poznałam podczas organizacji akcji *Przytulmy lato*. Rozmawiam z nimi, pytam, jak to wszystko wygląda. Dramatycznie, ale powoli dochodzą do wniosku, że może można trochę inaczej zacząć działać. Oczywiście rozumiem, że większość z nich ma teraz długi niewyobrażalne dla zwykłego człowieka, ale to spowodowało, że zmniejszyły im się potrzeby. Zresztą nam wszystkim się zmniejszyły. Rzadziej chodzimy do sklepu, mniej kupujemy ciuchów. Nie wymieniamy telefonów. Spadła sprzedaż samochodów. Po prostu we wszystkim trzeba umieć znaleźć coś dobrego. Wiem, że to piekielnie trudne. Ja też pracuję na zupełnie innych zasadach, moje dochody sprzed roku i dzisiaj to dwa światy, ale zredukowałam swoje potrzeby i jakoś daję radę.

Zgodziłaś się na krótszą kołderkę.

Tak i uważam, że mi wystarcza. Zmieniłam swoje myślenie. Najważniejsze, że jestem zdrowa. Najważniejsze, że mój tata i moi synowie z rodzinami są zdrowi. Najważniejsze, że moi przyjaciele dobrze się mają i nawet jak dopadły ich kłopoty, to są to tylko kłopoty związane z pieniędzmi. Trzeba szukać tych malutkich pozytywów i umacniać się w nich psychicznie.

A może – gdy będzie już po wszystkim – rzucimy się na życie? Na podróże, wyjazdy, sklepy, kupowanie, kochanie? Jak zgłodniałe wilki zaczniemy hurtowo zmieniać telefony, mieszkania, samochody, kupować sterty nowych ubrań? Oczywiście – ci, których jeszcze będzie na to stać…

W pierwszym momencie na pewno tak, bo to będzie takie odzyskanie wolności. Zaczniemy kupować na potęgę, nie wszyscy, jasne…. Ale na pewno konsumpcjonizm wróci choć na chwilę, żebyśmy znów poczuli się normalnie. Na-

tomiast mam nadzieję, że to będzie krótki trend, a potem nastąpi zmiana. Że nie będziemy już jak wariaci co dwa lata wymieniać wszystkich sprzętów domowych i elektronicznych gadżetów, bo na szczęście weszły w życie przepisy, które nakazują, że sprzęt ma być tak konstruowany, żeby można go było naprawić. Do tej pory jak ci się coś popsuło, to się wyrzucało i szło po nowe do sklepu. A teraz ma się dać naprawić. Uczmy się reperować rzeczy. Mamy jedną planetę. Zasypaliśmy ją tonami elektrośmieci i ubrań, z którymi nie ma co zrobić.

To prawda.

Mam nadzieję, że to będzie taki moment refleksji, szczególnie dla młodych, którzy teraz doświadczyli braku i ten deficyt uzmysłowił im, że nie potrzebują tylu dóbr materialnych. I to będzie super. Za to następne pokolenie znów sobie te niedostatki odbije.

Wspomniałaś o PKB. Jeżeli miernikiem sukcesu państwa jest to, że państwo ma coraz więcej pieniędzy i co roku musi zwiększać PKB, to to jest dla mnie absurd. Dlaczego nie wystarcza nam, że już jest dobrze? Dlaczego musimy mieć lepiej? Cieszmy się tym, co mamy, zamiast gonić za czymś innym. Mam nadzieję, że to się skończy. Że ci młodzi, o których tutaj rozmawiamy, staną się forpocztą zmian. Nie wiem, czy widziałaś, jak tańczyli poloneza na ulicy Mickiewicza. Żadnemu staremu nie przyszłoby do głowy, żeby zatańczyć poloneza z figurami w takiej scenerii, a oni to zrobili, bo studniówki w szkołach się nie odbyły.

A wcześniej podczas Strajku Kobiet wystawili tam *Dziady* w oknie.

To nie są złe dzieciaki. Czują się samotne, pogubione, pełne lęków, tresowane przez rodziców, którzy popełnili mi-

liard błędów wychowawczych, stłamszone, bo rodzice wiedzą lepiej, co dla nich najlepsze. Rodzice nie słuchają swoich dzieci, ale nie słuchają też innych. Jak wyglądają moje rozmowy z rodzicami, którzy chcą przeforsować swoje zdanie? Mówią na przykład: „Chcemy, żeby syn poszedł do wybranej przez nas szkoły". Pytam: „A czy on tego chce?". Okazuje się, że nie, ale to topowa placówka w rankingach, skończyli ją rodzice nastolatka i pragną, żeby i on poszedł w ich ślady. Mówię: „Ale wiecie, że niedobrze jest mieć najgorszego ucznia w najlepszej szkole, lepiej mieć najlepszego w najgorszej". Na to rodzice: „Pani nam sugeruje, żeby on dokonał wyboru?". „No tak" – odpowiadam. „Nie, to w ogóle nie wchodzi w grę, pójdziemy do kogoś innego po radę". Takim osobom nie umiem pomóc. Natomiast uważam, że młodych ludzi warto słuchać, bo oni naprawdę wiedzą, co dla nich dobre.

A jak młody człowiek powie, że ma dosyć szkoły i chce się z niej wypisać?

To bym zapytała, co proponuje, jak sobie wyobraża swoje życie, ale nie mówiłabym tego ze złością. Z ciekawością poznawczą. Okej, rozumiem, że jesteś zmęczony, sfrustrowany, rozumiem, że to nie jest spełnienie twoich marzeń. Ale oboje wiemy, że edukacja jest ważna. Co proponujesz? Co być chciał? Jak sobie to wyobrażasz, bo warto, żebyś coś umiał. Nie chodzi o to, żebyś skończył szkołę. Warto, żebyś miał kompetencje. I jeżeli będziesz się uczył sam, to w porządku. Tylko teraz pomyśl, czy za pięć lat nie chciałbyś mieć matury. I jak w takim razie zamierzasz zarabiać na swoje utrzymanie, no bo jak się nie uczysz, to musisz iść do pracy. Porozmawiajmy o tym. Takiemu nastolatkowi trzeba dać czas do namysłu. Z młodszym dzieckiem, na przykład dwunastolatkiem, należy trochę inaczej negocjo-

wać, pokazać, że jest obowiązek szkolny. Mogę go wypisać ze szkoły, może pójść do innej lub przejść na *homeschooling*. Będzie się uczył w domu, zdawał sam egzaminy.

Pamiętam dyskusję z moim synem, Andrzejem, który na trzecim roku studiów, już po dostaniu tematu pracy licencjackiej, doszedł do wniosku, że rzuca studia. Zachęcałam, żeby licencjat napisał, bo to się może przydać, ale stwierdził, że kierunek, politologia, go nie interesuje. A to było jego marzenie. I poszedł do firmy, w której zatrudnił się jako tester gier. To CD Projekt Red, więc pracował nad *Wiedźminem*, teraz nad *Cyberpunkiem*. Pracuje tam osiem lat, jest jakimś bardzo ważnym panem. Mówię: „Synek, ale wiesz, że masz tylko maturę?". A on na to: „Mamo, no i co z tego? Papier nie świadczy o mnie. Ważne, jakie mam kompetencje. A mam takie kompetencje, że zostałem dyrektorem". Więc to jest tylko takie nasze myślenie, że dziecko musi skończyć studia na Harvardzie. Oczywiście może to być pomocne w karierze, ale dziecko może zrealizować się i w inny sposób, na przykład jeżdżąc do Indii i myjąc nogi ubogim. I to będzie jego marzenie życia, a nie nasze. Trzeba zrozumieć dziecko, poznać jego frustracje i wysłuchać, co proponuje, czego pragnie.

Teraz frustracji jest szczególnie dużo. Boisz się tego, co nadchodzi, czy jesteś tego ciekawa?

Jestem ciekawa. W ogóle się nie boję. Przeżyłam absolutnie genialne życie, uważam, że moje pokolenie miało fantastyczny czas i ja sama miałam z niego wielką frajdę, więc jestem spokojna i czekam, jak to się teraz poukłada. Myślę sobie tylko, że jak bym miała tak żyć, jak teraz, to jedyne, co mnie rzeczywiście martwi, to to, jak będzie wyglądało życie moich wnuków. Chciałabym się dowiedzieć, co zrobimy z wiedzą, którą zdobyliśmy w czasie covidu.

Wiedzą o samotności, starości, odpowiedzialności za drugiego człowieka. Czy to w nas zostanie? Bo wiesz, jak to jest z ludźmi?

Każde zbiorowe doświadczenie łączy, ale na krótko. Szybko uruchamia się gen zapomnienia i wracają stare upiory.

Tak, jestem ciekawa, co z tego nam zostanie. Boję się, że niestety nie za wiele. Z drugiej strony, gdy sobie myślę, że ten świat jednak zmieni się na taki, który będzie dla nas nowy, to porównuję to z wyjściem z jaskini. Siedzieliśmy w jaskini, a teraz z niej wyjdziemy i oczywiście może się zacząć walka o ogień i walki plemienne, żeby zdobyć terytorium i różne dobra, ale może być też tak, że wyjdziemy, zobaczymy zachód słońca i się zachwycimy, jakie życie na nowo jest piękne. W którą stronę to pójdzie? Jestem taka pozytywnie oczekująca. Chociaż oczywiście mam też w sobie sporo lęków związanych z tym, że nowa rzeczywistość nie dla wszystkich okaże się łatwa. Dzieci w wieku powyżej dwunastego roku życia są najbardziej narażone na zło, które w tym wszystkim tkwi. Bo jest dużo dobra, dużo fajnych rzeczy, ale też wiele niepokoju. Młodzi uważają, że to wszystko zostało wymierzone w nich. Są egoistyczni, to typowe dla tego wieku, i myślą, że ktoś się sprzysiągł przeciwko nim. I każe im teraz się uczyć bzdur w szkole online. A przecież to, czy będą wiedzieli, jaka to góra, jaka to rzeka, to nie ma żadnego znaczenia. Wiesz, jak się nazywa stolica Dominikany? Ja nie wiem i żyję.

Santo Domingo. To akurat łatwe. Ale wiem, do czego zmierzasz.

W Afryce pozmieniały się granice i nazwy państw. Kiedyś uczyłam się tego, ale teraz nie pamiętam. I żyję. A w szkole muszą się tego nauczyć. I po co? Ja się uczyłam o złożach złota gdzieś tam i mi się do niczego nie przydało.

Uczyłam się dopływów Amazonki według kilometrażu i też na nic mi ta wiedza.

Do krzyżówki ewentualnie albo do „Wielkiej Gry”, albo „Milionerów”. Młodzi ludzie rozumieją, że potrzebują kompetencji społecznych. Że tutaj mają braki. Że muszą mieć kompetencje związane z umiejętnością uzupełniania swoich zasobów.

Rodzice są przytłoczeni tym zdalnym nauczaniem, bo jak mają kilkoro dzieci, to nie zawsze dla każdego znajdą cichy kąt czy pokój do nauki w domu, nie dla każdego wystarczy sprzętu I jeszcze mierzą się z frustracją dzieci, które muszą zdobywać encyklopedyczną wiedzę, która do niczego im się nie przyda. I rodzic nie wie, jak ma pomóc synowi czy córce – zmusić do zakuwania czy odpuścić.

Można znaleźć trzecią drogę. Ty widzisz dwie opcje: albo się naucz i wykaż, albo zakuj i zapomnij. Ale można uczyć się „na maksa” rzeczy, które interesują dziecko, natomiast reszty na minimum, byle zaliczyć. I odpuszczamy walkę o oceny. Uczysz się tylko tego, co w danym obszarze cię interesuje. Czyli wiesz, że jest Amazonka i ma dopływy, i za to otrzymujesz jeden punkt. Gdybyś znał jeszcze nazwy tych dopływów, dostałbyś drugi punkt, a za znajomość długości dopływów byłby trzeci punkt. Gdy masz punkty tylko za podstawową wiedzę, to zaliczyłeś materiał na trójkę. I nic więcej cię nie interesuje. Nie musisz mieć czwórki, piątki czy szóstki, jak chcieliby rodzice. Natomiast znajdź sobie dwa przedmioty, w których nikt cię nie zagnie. Tylko żeby zaproponować dziecku takie rozwiązanie, to rodzic musi najpierw zmienić swoje oczekiwania. Dzieciaki chętnie by tak zrobiły. Jak pytam, czy lubią chodzić do szkoły, to odpowiadają, że nie. Uczyć też się nie lubią. A zdobywać wiedzę? Tak. Odróżniają uczenie się do szkoły

i zdobywanie wiedzy. Pozwólmy im zdobywać wiedzę. Po prostu.

Jako dorośli uważamy, że przekazując informacje, szkoła daje dzieciom wiedzę. Guzik z pętelką. Dopiero to, co one zrobią z tą informacją, stanie się wiedzą. Dlatego trzeba z dzieckiem o tym porozmawiać. Że nie chodzi o to, żeby miało dużo luźnych informacji. Bo to jest wiedza krzyżówkowa. Z informacji trzeba zbudować wiedzę.

Połączyć fakty jak kropki. Moje marzenie o polskiej szkole.

No właśnie. Dopiero wtedy rozumie się więcej. Jeśli uczeń nie przeczytał lektury, to dostanie za to jedynkę. Ale może po drodze przeczytał pięćdziesiąt innych książek, które go otworzyły i rozwinęły? Może na świadectwie dostanie z polskiego dwójkę czy trójkę, ale zda do następnej klasy. Za to na przykład z fizyki otrzyma siódemkę, bo to jego pasja. Dla dziecka to będzie w porządku, tylko jeszcze rodzice muszą nauczyć się odpuszczać i przestać gonić za ocenami – tu widzę problem.

Myślę sobie, że tak należy pracować z dziećmi. Że one powinny umieć szukać wiedzy szczegółowej, a nie znać ją na pamięć. Przecież jak będziemy chciały się dowiedzieć, co jest stolicą Wysp Zielonego Przylądka, to odpalimy Google'a i w sekundę poznamy odpowiedź. Nie musimy mieć tego w głowie. Edukacja w szkole i w domu powinna iść w takim kierunku, żeby uczyć, gdzie szukać, jak łączyć informacje, jak fake newsa odróżnić od newsa, jak newsa odróżnić od opinii itp. A rodzic musi wziąć na wstrzymanie, pomyśleć, że ma fantastyczne dziecko i ułożyć sobie w głowie priorytety. Żeby mama czy tata wiedzieli, co ważniejsze – wiedza dziecka czy jego zdrowie psychiczne i dobre samopoczucie. W takiej sytuacji sto procent rodziców powiedziałoby, że oczywiście zdrowie psychiczne. A jed-

nak tego nie robimy. Ciśniemy w naukę, przymuszamy, walczymy o oceny i twierdzimy, że dzieci wytrzymają, dadzą radę, ich zdrowie psychiczne na tym nie ucierpi. Guzik prawda. Musimy zadbać o dobrostan młodych ludzi, o to, co jest w nich. A nauka? Bez przesady.

To dobre przesłanie dla wszystkich zbyt ambitnych nauczycieli, którzy uważają, że powinni cały program realizować od deski do deski.

Nauczyciele też się zmieniają, też są zmęczeni. I dostrzegają te nasze dzieciaki, ich problemy. O tym jest m.in. książka Jarka Szulskiego, o której ci wspominałam – jak bardzo nie doceniamy młodych ludzi, nie szanujemy ich wyborów, poglądów, myślenia o świecie. A przecież to ich życie, nie nasze. Nie wiemy, czym będą się zajmować za dziesięć czy piętnaście lat, gdy pójdą do pracy. Nie mamy pojęcia, bo świat będzie wtedy już zupełnie inny. Jaki? Tego przecież nie wiemy.

Tak… Podobno zawody, które będą dawać utrzymanie naszym dzieciom, jeszcze nie istnieją.

Brałam ostatnio udział w internetowej konferencji w Nowym Jorku o zawodach przyszłości. Zaciekawił mnie nowy zawód – nostalgista. To taka osoba, która przypomina starszym osobom, co przeżyły, a o czym już nie pamiętają. Doszłam do wniosku, że oprócz dostarczania starszym ludziom ich wspomnień czy doznań z przeszłości, emocji związanych na przykład z oglądaniem dawno temu pięknych zachodów słońca i błękitnego nieba, będę również opowiadała dzieciom, że tak kiedyś było. Będę tworzyła takie realne bajki jako nostalgista. A Robert wybrał sobie zajęcie polegające na sprzątaniu śladu elektronicznego. Gdy człowiek umiera, zostaje po nim w Internecie mnóstwo danych i trzeba to usunąć, bo inaczej dzieją się dziwne rze-

czy. Na przykład mam koleżankę, której profil na Facebooku wciąż jest aktywny, od czasu do czasu ktoś tam coś napisze, a ona nie żyje już od czterech lat!

Ciekawe czasy nas czekają.

Jeszcze jedną rzecz ci opowiem. Brałam udział w innej konferencji, jeszcze w realu, tuż przed pandemią. Też dotyczyła kompetencji przyszłości. Rozmawiałam wtedy z dziewczyną z Ashoki, to takie stowarzyszenie, które wspiera przedsiębiorców wizjonerów i innowatorów społecznych, o zawodach przyszłości, bo ona przeprowadziła badania na ten temat. I wyszło, że taką profesją, której nie da się zastąpić i zawsze będzie użyteczna, jest barber, czyli męski fryzjer zajmujący się też goleniem i strzyżeniem brody. Nieśmiało dodałam, że może jeszcze psycholog, ale ta dziewczyna przekonała mnie, że sztuczna inteligencja to załatwi. Powstaną odpowiednie algorytmy i będziesz rozmawiać nie z żywym człowiekiem psychologiem, tylko z maszyną.

Nie daj Boże!

Prawda? Na podobnej zasadzie będą funkcjonować laboratoria czy punkty pobrań krwi. Oglądałam film, pacjent wkładał rękę w tunel, podjeżdżała igła, maszyna szukała żyły, a potem wbijała igłę i pobierała krew. Nigdy w życiu bym się na to nie zgodziła, ale młodzi ludzie będą się z tym stykali, tak żyli. Być może na podobnej zasadzie teleporady lekarskie zostaną z nimi jeszcze na przykład dziesięć lat i w ogóle nie spotkamy lekarza w realu.

Też mam nadzieję, że nie.

To wszystko wydaje się niebywale ciekawe, jak świat się pozmienia i poukłada. Robert proponuje, żebyśmy zamiast w Bieszczady, przenieśli się do Nowej Zelandii i żyli jak

dawniej. Dzięki Internetowi możesz pracować z każdego miejsca. W Warszawie albo w Wellington. Mamy tam rodzinę, mają dom, przygarną nas, ogarną, jedźmy. I pewnie gdybym nie miała wnuków, to bym wsiadła w samolot. A tak nie ma mowy, żebym się teraz ruszyła. Jestem uziemioną babcią. Ale młodzi ludzie będą szukali takich miejsc, gdzie można żyć wolniej, na luzie. Na Bali, na Zanzibarze, powstaną takie enklawy i właśnie tam będą przyjeżdżali. Przed nami trudne, ale ciekawe czasy.

Poczekalnia.
13 rozmów o pandemii

Joanna Racewicz

Copyright © 2021 by Joanna Racewicz

This edition copyright © 2021 by Wydawnictwo RM

Wydawnictwo RM
03-808 Warszawa
ul. Mińska 25

rm@rm.com.pl
www.rm.com.pl

Redaktor prowadząca Irmina Wala-Pęgierska
Redakcja Agnieszka Trzebska-Cwalina, Marta Stochmiałek
Korekta Anna Szadziewska
Projekt okładki Agata Muszalska
Edytor wersji elektronicznej: Tomasz Zajbt
Opracowanie wersji elektronicznej: Marcin Fabijański
Weryfikcja wersji elektronicznej: Justyna Mrowiec

ISBN 978-83-8151-464-47
ISBN 978-83-8151-522-1 (ePub)
ISBN 978-83-8151-523-8 (mobi)

Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana, w jakiejkolwiek formie i w jakikolwiek sposób (elektroniczny, mechaniczny) włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów, bez pisemnej zgody wydawcy. Wydawnictwo RM dołożyło wszelkich starań, aby zapewnić najwyższą jakość tej książce jednakże nikomu nie udziela żadnej rękojmi ani gwarancji.

W razie trudności z zakupem tej książki prosimy o kontakt z wydawnictwem: rm@rm.com.pl